

MROŻĄCY KREW W ŻYŁACH DRAMAT I DROBIAZGOWY PORTRET
ROZPADAJĄCEJ SIĘ RODZINY.

CAMILLA GREBE

WSZYSTYCY

KŁAMIA



NAJNOWSZA KSIĄŻKA DWUKROTNEJ LAURETKI SZKLANEGO KLUCZA
ZA NAJLEPSZĄ NORDYCKĄ POWIEŚĆ KRYMINALNĄ



CAMILLA GREBE WSZYSCY KŁAMIA



Z języka szwedzkiego przełożyła
Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Alla Ijuger

Copyright © Camilla Grebe 2021

Published by agreement with Ahlander Agency

Copyright © 2022 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2022 for the Polish translation by Elżbieta Ptaszyńska-

Sadowska

(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie autorki: © Viktor Fremling

Redakcja: Justyna Chmielewska

Korekta: Izabela Sieranc, Marta Chmarzyńska, Magdalena Mierzejewska

ISBN: 978-83-8230-391-9

Dla moich chrześniaków: Maxa, Disy i Sofii

Maria

I

Czy to nie dziwne, że jedno zdarzenie, jedna sekunda mogą z chirurgiczną precyzją podzielić życie na dwie części, rozharatać je i zmienić na zawsze?

W moim przypadku taką cezurą okazała się sobota szesnastego grudnia dwutysięcznego roku. To wtedy moją rodzinę porwał wir wydarzeń, którego nikt z nas nie był w stanie kontrolować ani tym bardziej nim pokierować.

To wtedy wszystko się zaczęło.

*

Obudziłam się w tej samej sekundzie, gdy zadzwonił telefon. Słyszałam, jak w ciemności Greta idzie na palcach do kuchni, żeby odebrać. Przez chwilę mamrotała coś cicho, a potem wróciła i delikatnie potrząsnęła mnie za ramię.

– Mario, to Samir. Koniecznie chce z tobą rozmawiać.

Odrzuciłam na bok wilgotną kołdrę i po omacku ruszyłam przez nieznaną mi przestrzeń. Od kiepsko uszczelnionego okna letniskowej daczy dmuchnęło zimnem, jakby dla przypomnienia, że to grudzień gdzieś na szkiecach – w domku, który nadawał się do zamieszkania właściwie tylko latem.

Serce biło mi szybciej, kiedy stawiając gołe stopy na zimnej podłodze, wślizgnęłam się do kuchni. Zaledwie kilka godzin wcześniej siedzialiśmy w niej, świetnie się bawiąc. Dzieliłyśmy się swoimi tajemnicami, podsumowywałyśmy mijający rok i śmiałyśmy się z tego, że dwanaście miesięcy wcześniej, w grudniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, wszyscy się baliśmy, że przełom wieków oznaczać będzie dla świata – albo przynajmniej dla systemów informatycznych – definitywny koniec.

Rozmawiałyśmy o nowych filmach – o Notting Hill (to faworyt Grety, bo ona lubi szczęśliwe zakończenia) i Matriksie (Keanu Reeves był w nim nieprawdopodobnie przystojny, chociaż trochę chłopięcy).

Pozostałości po babskim wieczorze piętrzyły się w zlewie i na szafkach: brudne talerze, kieliszki, miseczki z resztkami chipsów i oliwek. Butelki po winie – puste lub do połowy opróżnione – i skorupki po krewetkach, które zaczynały już trochę cuchnąć. Gdzieś trząsał grzejnik elektryczny, nastawiony na maksimum, żeby dać odpór mroźnemu powietrzu zza okien.

Sięgnęłam po słuchawkę leżącą obok wypełnionej niedopałkami popielniczki.

– Samir?

Oczywiście w głowie miałam tylko jedną myśl: mój syn. Bo chociaż Vincent rzadko chorował, tej jesieni nabawił się zapalenia płuc i doszedł do siebie dopiero po przyjęciu po kolei dwóch antybiotyków. A kiedy wyjeżdżałam z domu poprzedniego wieczoru, znowu zaczął skrzekliwie i urywanie kasłać; przypominało mi to szczekanie psa, a także krup, który dosyć często łapał we wczesnym dzieciństwie.

Mówiąc szczerze, nie bez skrupułów zostawiłam go samego z Samirem i Yasmin. Przez niemal całe jego życie byliśmy zawsze tylko on i ja, stanowiliśmy bliską i dobrze funkcjonującą wspólnotę, do której nigdy nie zamierzałam dopuścić kogokolwiek poza nami.

Samir oddychał ciężko. Nagle zaszlochał. I jeszcze raz.

Gdy zerknęłam na kuchenny zegar, wystraszyłam się nie na żarty. Cokolwiek się wydarzyło, nie mogło to być nic dobrego. O czwartej nad ranem nie dzwoni się po to, żeby coś ustalić. O tej porze chwyta się za telefon jedynie wtedy, gdy stanie się coś naprawdę poważnego.

– Musisz przyjechać – powiedział swoją łamaną szwedczyzną, którą uwielbiałam od momentu, kiedy otworzył usta i odezwał się do mnie pierwszy raz – Bo... Yasmin. Ona jest...

Znowu szloch.

Moja spontaniczna reakcja: poczucie ulgi. A więc chodzi nie o Vincenta, ale o Yasmin, córkę Samira. Po sekundzie jednak zreflektowałam się i zawstydziałam: być może przytrafiło się coś złego, a ja stoję tutaj i oddycham z ulgą, jakby jej los w ogóle mnie nie interesował.

Za mną rozległy się kroki i zaskrzypiała podłoga. Sekundę później Greta położyła dłoń na moim ramieniu.

– Wszystko w porządku? – spytała.

Pokręciłam głową i nieco się odsunęłam.

– Samir, co się stało?

– Ona, ona...

– Uspokój się.

Ale Samir nie potrafił się uspokoić. Jego płacz przeszedł w wycie i po kilku sekundach w słuchawce odezwał się inny głos. Ciemny, obcy, trochę oficjalny i jakby odrobinę przytłumiony. Mężczyzna spytał, czy rozmawia z Marią Foukarą. Kiedy potwierdziłam, przedstawił się i powiedział, że jest z policji.

– Chodzi o państwa córkę, Yasmin. Obawiamy się, że mogła próbować odebrać sobie życie.

*

A potem?

Pamiętam, że rozmawiałam z Gretą i że niektóre z pozostałych dziewczyn też się obudziły i wyszły do nas. Pamiętam także, że Johanna pomagała mi się ubrać, jakbym była dzieckiem: włożyła mi skarpety, naciągnęła sweter przez głowę i przejechała grzebieniem po włosach. Musiały chyba wcześniej sprawdzić rozkład kursowania promów, bo wiedziały, że najbliższe połączenie mam dopiero za kilka godzin. Przypuszczam, że w tej sytuacji któraś z nich – pewnie Greta – obdzwoniła stałych mieszkańców wyspy, bo następny obraz, jaki mam w pamięci, to marsz do portu przez sosnowy las w towarzystwie właśnie Greta i Johnny.

Grudzień jest najciemniejszym miesiącem w roku.

W grudniu dotkliwie brakuje naturalnego światła, a noce są czarniejsze od smoły. Idąc przez sam środek lasu, z dala od jakichkolwiek zabudowań, prawie nie mogłam dojrzeć własnych dłoni. Mrok był tak gęsty, że wydawało się, iż można go wręcz dotknąć – tworzył nieprzenikloną ścianę wznoszącą się wokół nas i wywoływał poczucie odrealnienia. Rzeczywisty wymiar miały jedynie zmrożone krzaczki borówek widoczne w stożku światła wielkiej latarki, którą niosła Greta. Tak ciężkiej i nieporęcznej, że od samego patrzenia na nią drętwiały ręce. Żadna z nas się nie odzywała, słyszałam jedynie odgłos naszych kroków na zamarznętej ziemi, własny oddech i gwizd wiatru szalejącego w koronach drzew wysoko nad nami.

W porcie czekał jakiś mężczyzna – nie pamiętam jego imienia – który miał zawieźć mnie swoją łodzią do Stavsnas, gdzie zostawiłam samochód.

– Na pewno jesteś w stanie prowadzić? – upewniła się jeszcze raz Greta.

Skinęłam głową – poprzedniego wieczoru piłam najmniej ze wszystkich. Odkąd poznałam Samira, alkohol już mnie tak nie pociągał.

Pożegnałam się z obiema koleżankami serdecznym uściskiem, wsiadłam do łodzi i od razu włożyłam kamizelkę ratunkową. Była stara i porwana, ale przynajmniej trochę chroniła przed zimnem.

Odbiliśmy od brzegu.

*

Yasmin nie była moją córką, tylko pasierbicą. Niektórzy używają dzisiaj określenia „bonusowe dziecko”. To brzmi całkiem sympatycznie, jakby człowiek wygrał coś na loterii, ale, Bóg mi świadkiem, ją akurat trudno uznać za szczęśliwy los. Nie była bynajmniej złą dziewczyną, tylko nieodpowiedzialną, impulsywną i bezgranicznie naiwną; i nieustannie stwarzała wszelkie możliwe problemy. Prawdopodobnie nie różniła się pod tym względem od innych osiemnastolatków, nie mogłam więc jej za to szczególnie potępiać.

Śmiem twierdzić, że jedyną osobą, która jest w stanie kochać nastolatka w każdej bez wyjątku sekundzie, jest jego rodzona matka lub rodzony ojciec. Chyba trzeba być z tej samej krwi i kości, by umieć zdobyć się na wyrozumiałość, tolerować ciągłe humory i tak niewyobrażalne niedbalstwo.

A ja nie byłam matką Yasmin.

Oczywiście kochałam ją, lecz z pewnością inaczej niż Vincenta.

Mój syn Vincent miał dziesięć lat i za niego byłabym gotowa oddać życie. Dla mnie to właśnie jest istotą rodzicielstwa – ten prosty, ale fascynujący fakt, że dobro swojego dziecka przedkłada się nad dobro własne. W każdej sytuacji, bez wyjątku.

Brian, ojciec Vincenta, i ja byliśmy ze sobą bardzo krótko, a kiedy się okazało, że jestem w ciąży, spakował manatki do trzech kolorowych reklamówek oraz do gitarowego futerału i zniknął szybciej, niż zdążyłam ustanowić pieczę rodzicielską. Ten dwudziestoczteroletni irlandzki muzyk był zupełnie niezainteresowany założeniem rodziny z trzydziestoletnią nauczycielką z przedmieścia, której prawie nie znał.

Nie mogłam mieć do niego o to pretensji, bo kto chciałby mieć dziecko z obcą osobą?

A jednak ja chciałam. I nie było dla mnie aż tak ważne z kim. W gruncie rzeczy Brian niewiele mnie obchodził, zależało mi jedynie na Vincencie. To znaczy wtedy pragnęłam po prostu dziecka. Kiedy potem urodził się Vincent i okazało się, że mój wymarzony maluszek został obdarzony nie dwoma, ale aż trzema chromosomami w parze dwudziestej pierwszej, czyli nadmiarem materiału genetycznego, jeszcze bardziej utwierdziłam się w przekonaniu, że to dobrze, że Brian zniknął z horyzontu.

Zespół Downa.

Rzecz jasna wiadomość o wadzie genetycznej syna mną wstrząsnęła. Nie wiedziałam o niej zbyt wiele, mimo że podczas przygotowywania się do zawodu nauczycielki spotykałam dzieci z tą chorobą i sądziłam, że jestem pozbawiona uprzedzeń, a także obeznana z wszelkimi możliwymi modelami funkcji personalnej, jak to się dziś ładnie nazywa. Tymczasem początkowo wyobrażałam sobie, że on nigdy nie będzie mówił ani nie pójdzie do zwykłej szkoły. Sądziłam, że spędzi całe dorosłe życie w różnych zakładach opiekuńczych i nigdy nie znajdzie ani pracy, ani partnerki.

A równocześnie, kiedy ta drobna, ciepła istotka leżała w moich ramionach i przyglądałam się jej małym rączkom, pomarszczonej buzi, i patrzyłam jej w oczy, nie miałam cienia wątpliwości, że jest doskonała. Była moim dzieckiem, moim perfekcyjnym dzieckiem, bez względu na to, co mówili lekarze. A mówili dużo, właściwie bez ustanku, o wszystkich problemach, jakie mogą stać się udziałem Vincenta.

Marzyłam o tym, żeby mi też pogratulowali, żeby któryś z nich na to wpadł. Aby chociaż jedna osoba powiedziała mi, że będzie pięknie i wspaniale.

To wszystko wydawało się teraz bardzo odległe, odległe i niemal śmieszne. Minęło dziesięć lat, w ciągu których Vincent stawiał mnie oczywiście przed wieloma wyzwaniem: karmienie go piersią okazało się piekłem, przynajmniej na początku, i dlatego musiałam dosyć długo pozostać w szpitalu. Kiedy miał zaledwie kilka miesięcy, przeszedł operację serca, w trakcie której załatano dziurę między prawą a lewą komorą, zaczął też później chodzić niż jego rówieśnicy. Potrzebna była również wczesna pomoc logopedyczna, a dla ułatwienia wzajemnej

komunikacji nauczyłam się nawet języka migowego. Ale po pewnym czasie pojawiły się słowa: wypływały z niego, wręcz wytryskiwały. Początkowo nieco trudne do zrozumienia – powolne, ospałe, jakby obce w jego małych ustach – lecz stopniowo coraz wyraźniejsze.

Nauczył się także czytać i pisać, tyle że opanowanie tych umiejętności trwało u niego trochę dłużej niż u innych dzieci. Dzięki wsparciu indywidualnej asystentki chodził nawet do zwykłej szkoły. Miał swoje marzenia, lęki i nadzieje, ale przede wszystkim był niepowtarzalną jednostką, a nie kimś, kogo można by zrównać ze wszystkimi innymi, którym przydarzyło się mieć tu czy tam jeden chromosom więcej.

Jaki zatem był Vincent?

Uwielbiał piec ciasta i gotować, a w kuchni okazał się bardzo dokładny i świetnie zorganizowany. Nawiasem mówiąc, nie tylko w kuchni. Jako jedyny w rodzinie miał naturalną skłonność do utrzymywania porządku w domu. Ja i Samir nie byliśmy w tym dobrzy, nie wspominając już o Yasmin, która przeciągała przez mieszkanie niczym tornado, wszędzie zostawiając po sobie pobożowisko w postaci śmieci, rozrzuconych ubrań oraz kosmetyków.

Vincent lubił zwierzęta i marzył o psie. Nieustannie wiercił mi o to dziurę w brzuchu, ale wciąż żywe wspomnienie jego poprzedniego zwierzątka, chomika, oraz traumy, jaką wywołało odejście tego biednego gryzonia, sprawiło, że się wahałam. Oczywiście miałam też całą masę innych wątpliwości – jak choćby to, kto zajmowałby się psem w ciągu dnia. Zarówno Samir, jak i ja pracowaliśmy na pełen etat, a Yasmin chodziła do szkoły. Zresztą na niej i tak trudno byłoby polegać w takich sprawach.

Chętnie też rysował, i to całkiem nieźle, zdecydowanie lepiej ode mnie. Jego rysunki tryskały kolorami i na ścianie w kuchni, gdzie je wieszałam, szybko zabrakło dla nich miejsca. Był uparty jak osioł i zawsze zwracał baczną uwagę na to, żeby wszystko odbywało się sprawiedliwie, co niekiedy prowadziło do problemów w szkole. Jeśli uważał, że ktoś zachował się wobec niego nie fair albo go obraził, przestawał z tym kimś rozmawiać, i to niekiedy na całe miesiące. Nigdy jednak nie zamykał się całkowicie – jak gdyby jego potrzeba kontaktów z rówieśnikami miała stałą wielkość i jeśli kogoś wykluczał, nie odzywając się do niego, kompensował to sobie, tym intensywniej gawędząc z innymi kolegami.

Mówiłam sobie, że ten jego upór przyniesie mu w późniejszym życiu same korzyści. Jak wiadomo, ta cecha charakteru jest na ogół atutem, a dla Vincenta, który nieustannie musiał się konfrontować z uprzedzeniami otoczenia, mogła okazać się nieoceniona. Problem tkwił bowiem nie w nim, ale w stosunku otoczenia do niego. I jeżeli kiedykolwiek niepokoiliłam się o jego przyszłość, to myślałam właśnie o tym: jak będzie traktowany przez tych, którzy akurat mieli nienaruszony zestaw chromosomów. Przez owych normalnych, którzy patrzyli na niego krzywo i za jego plecami nazywali go downem. Albo co gorsza: mówili tak o nim, chociaż wiedzieli, że on to słyszy.

Vincent miał także niezwykłą intuicję. Można odnieść wrażenie, że niejako węchem wyczuwał uczucia innych ludzi – wiedział, kiedy kłamią albo coś ich gryzie, i potrafił przewidzieć, kiedy ktoś będzie zły. Nie mam pojęcia, jak to robił, raczej nie dochodził do tego na drodze przemyśleń i wyciągania wniosków. Powiedziałabym raczej, że to swoisty rodzaj muzykalności, pozwalający odczytywać zamiary i nastroje otoczenia, tak jak inni odczytują nuty.

*

Dotarłam do Kungsudd o szóstej rano. Nasz nieduży drewniany dom – pomalowana na zielono dawna siedziba ogrodnika ze szczeblinowymi oknami – stał pogrążony w ciemności wśród nagich drzew. Tu i ówdzie między pniami przeświecały pojedyncze płyty śniegu. W kuchni paliło się światło. Na podjeździe zobaczyłam stary, rozklekotany samochód Samira, a obok wóz policyjny, zaparkowany trochę krzywo, jakby kierowca bardzo się spieszył. Zatrzymałam swoje auto w pewnej odległości, chwyciłam torbę z piżamą i kosmetykami i ruszyłam do drzwi.

Kiedy weszłam do środka, Samir czekał na mnie w ciemnym przedpokoju. Prawdopodobnie usłyszał, że przyjechałam. Mroczne oczy, twarz udreńczona bólem. Przytuliłam go, a kiedy oparł swój mokry policzek na moim, zauważyłam, że jego ciało drży i lekko czuć je potem.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęłam.

Nie odpowiedział.

Przeszliśmy do kuchni.

Przy stole siedzieli policjantka i policjant w mundurach, przed każdym z nich stał kubek po kawie. Widząc mnie, wstali i się przedstawili. Wysoką funkcjonariuszkę około pięćdziesiątki rozpoznałam od razu –

miała na imię Gunilla i jesienią odwiedziła szkołę, w której pracowałam, żeby porozmawiać z uczniami o alkoholu i narkotykach stanowiących w Kungsudd spory problem. Z związku z tym władze szkoły i policja podjęły wspólne wysiłki, aby go rozwiązać.

Usiedliśmy. Wszystko wydawało się znajome i zarazem obce, całkiem zwyczajne i jednocześnie przerażające. Ileż to razy Samir i ja siedzieliśmy przy tym zniszczonym kuchennym stole razem z dziećmi – setki, tysiące?

Żadna z tamtych sytuacji nie przypominała jednak obecnej.

– Co się stało? – spytałam, patrząc na Gunillę.

Samir przycupnął skulony obok mnie, ze wzrokiem utkwionym w blacie. Grzebał w niewielkiej szczelinie na jego krawędzi, po chwili wyciągnął małą drzazgę i sprawiał wrażenie, jak gdyby uważnie ją badał. Wciąż lekko drżał, jakby z zimna, chociaż w domu było ciepło i przytulnie.

– Wczoraj późnym wieczorem jakaś właścicielka psa zauważyła coś na Kungsklippan – odpowiedziała Gunilla, splatając dłonie przed sobą.

Miała poważną minę. Na jej twarzy malował się spokój, ale spojrzenie wydawało się nieprzyjazne, jakby nie chciało zatrzymać się na mnie.

– To znaczy?

– Widziała, że coś albo ktoś wpadł do morza. Cała sytuacja wydała jej się dosyć dziwna, mimo to wróciła do domu. Nie potrafiła jednak przejść nad tym do porządku dziennego, dlatego po kilku godzinach poszła tam znowu i wspięła się na sam szczyt klifu. Znalazła na nim parę kozaków, a w jednym z nich tkwiła wetknięta kartka. Wyjęła ją, przeczytała, a kiedy się okazało, że to list pożegnalny, zadzwoniła po służby ratunkowe.

– Do Kungsklippan jest kawałek stąd – zauważyłam, jakby to mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie. W gruncie rzeczy klif nie znajdował się jednak szczególnie daleko, może pięć minut spacerem, jeśli szło się szybkim krokiem.

Gunilla zerknęła szybko na swojego kolegę, po czym kontynuowała:

– Obeszliśmy wszystkie domy w okolicy. I podczas rozmowy z... – Wskazała na Samira, po czym mówiła dalej: – ...okazało się, że waszej córki nie ma w pokoju, a kiedy zadzwoniliśmy do jej pracodawcy, dowiedzieliśmy się, że wczoraj wieczorem nie przyszła do pracy.

Poczułam ciarki na plecach, kiedy dotarło do mnie, co kryje się za tą rzeczową relacją i co ona naprawdę znaczy. Równocześnie ogarnęła mnie

dziwna potrzeba zdystansowania się od całej tej sytuacji. Ona nie jest moją córką, chciałam powiedzieć. Tylko pasierbicą. Cokolwiek się wydarzyło, nie dotyczy to mojego dziecka. Moje dziecko jest na górze i śpi. Bezpieczne.

Żyje.

Policjantka ciągnęła:

– Pani mąż potwierdził, że znalezione buty należą do Yasmin. Podejrzewamy, że mogła próbować odebrać sobie życie.

Doskonale wiedziałam, jak wygląda Kungsklippan, jedno z najwyższych wzniesień na terenie Sztokholmu. Te ciemne granitowe skały opadały niemal pionowo do Bałtyku. Nieustannie upominałam Vincenta, by nigdy nie chodził tam sam. Mimo to znalazłam go na nich kiedyś, jak siedział przykucnięty nad urwiskiem ze wzrokiem utkwionym w wodzie daleko w dole, niczym zahipnotyzowany falami obmywającymi podnóże klifu.

Do rozmowy włączył się towarzysz Gunilli. To chyba on mówił ze mną wcześniej przez telefon.

– Czy Yasmin wydawała się ostatnio przygnębiona, czymś przybita?

– Chwileczkę – wtrąciłam. – Dlaczego właściwie siedzimy tutaj? Czy w takim razie nie powinniśmy jej szukać? A jeśli ona leży tam w wodzie? Przecież jest środek zimy, morze jest lodowate. Chyba trzeba coś zrobić?

Uniosłam się z krzesła, chcąc wstać, ale policjantka szybko położyła mi dłoń na ramieniu.

– Na miejscu jest kilka naszych patroli – wyjaśniła. – Pracują też strażacy. Robimy wszystko, żeby ją znaleźć.

Opadłam z powrotem na krzesło i ukryłam twarz w dłoniach. Usiłowałam uporządkować usłyszane informacje i rozważyć wszystko na trzeźwo.

– Czy wydawała się przygnębiona? – powtórzył pytanie mężczyzna.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza, zmieniłam pozycję i spojrzałam na niego.

– Nie wiem. Ona... – Szukałam odpowiednich słów. – Ona jakby się ostatnio wycofała. Mało jadła. Ale czy to było przygnębienie, depresja? Nie wiem. Zresztą raczej by mi o tym nie powiedziała. Nie jesteśmy ze sobą tak blisko. To znaczy: lubimy się, ale Yasmin jest bardziej związana ze swoim ojcem.

– Czy macie w miarę aktualne zdjęcie córki? – spytał policjant.

– Chyba tak – odparłam, po czym poszłam do pokoju i sięgnęłam po plik fotografii, które ostatnio odłożyłam, żeby w wolnej chwili wkleić je do albumu. Ręce mi się trzęsły, kiedy je przerzucałam. Wzięłam wykonane niedawno przez szkolnego fotografa najświeższe zdjęcie Yasmin, uśmiechała się na nim do obiektywu na tle cieniowanej szarej tkaniny, typowej dla tego rodzaju portretów. Długie włosy miała zebrane w kucyk, na twarzy mocny makijaż. Z uszu zwisały nieduże złote kolczyki w kształcie delfinów, prezent od jej mamy.

Wróciłam do kuchni ze zdjęciem w dłoni.

– Proszę – powiedziałam, podając je policjantowi.

Samir podniósł wzrok. Kiedy zobaczył portret, zaczął się znowu trząść. Jego ramiona unosiły się i opadały w rytm wstrząsającego nim szlochu.

Nagle usłyszałam kroki w przedpokoju. Drzwi się uchyliły i do środka zajrzał Vincent. Jasnorude włosy przykleiły się po jednej stronie do skroni, w oczach odbijał się strach.

– Mamusiu?

Natychmiast podeszłam do niego.

– Nic się nie stało, skarbie. Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju.

Odwróciłam się do gości.

– Proszę mi dać dziesięć minut.

Wziąwszy synka za rękę, pociągnęłam go w stronę schodów.

– Dlaczego u nas jest policja? – spytał. – Dlaczego policja przyszła do nas w nocy?

– Już jest rano – odpowiedziałam, jakby to cokolwiek wyjaśniało.

– Ale dlaczego u nas jest policja?

– Bo myślę, że być może coś stało się Yasmin.

W pokoju Vincenta jak zawsze panował porządek. Zabawki stały w równiutkich rzędach na podłodze, bloki rysunkowe piętrzyły się na starannie ułożonym stosiku, a kredki leżały schowane do pudełek na biurku. Ubrania, też schludnie poskładane, wisiały na krześle. Przy łóżku paliła się lampka nocna ze zwierzątkami, które obracały się po jej włączeniu.

W oknie świeciła samotna bożonarodzeniowa gwiazda, na razie jedyna świąteczna ozdoba w całym domu. Ale prezenty były już kupione, a choinka została zamówiona w szkółce niedaleko boiska piłkarskiego.

– Czy ktoś był niedobry dla Yasmin? – spytał Vincent, szeroko otwierając oczy.

Odgarniając z jego wilgotnego czoła kilka sklejonych kosmyków, pokręciłam głową.

– Nie sądzę – powiedziałam. – Postaraj się jeszcze zasnąć. Porozmawiamy później.

– Ale jeśli ktoś był niedobry dla Yasmin, to może zrobiło jej się przykro?

– Jeśli tak, to będziemy musieli ją pocieszyć.

Widziałam po jego oczach, że mi nie wierzy, mimo to na razie chyba zadowolił się moją odpowiedzią, ponieważ przymknął powieki, ziewnął i przewrócił się na bok.

Zgasiłam lampkę i jeszcze raz pogłaskałam go po głowie. Potem pocałowałam Vincenta w policzek, wciągając znajomy zapach swojego upragnionego dziecka.

– Śpij dobrze – szepnęłam i po cichu wymknęłam się z pokoju.

W kuchni usiadłam znowu obok Samira. Wciąż grzebał w szparze na krawędzi stołu, która wyglądała teraz na trochę większą.

– Co było w liście pożegnalnym? – spytałam, starając się za wszelką cenę zapanować nad drżeniem głosu.

Policjant wyjął przezrzystą plastikową koszulkę z kartką w środku i podsunął mi ją przez blat. Od razu rozpoznałam okrągłe, lekko pochylone do tyłu litery. Opuściłam nieco głowę i przeczytałam:

„Przepraszam, dłużej nie dam już rady. Kocham Was. Y.”.

2

W Kungsudd zaświtał kolejny dzień. Oczywiście w przenośni, bo o prawdziwym świcie o tej porze roku nie mogło być mowy. Grudniowe ciemności ciężko zalegały nad okolicą, a porywisty wiatr smagał gałęziami wiśni w okienną szybę.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

Samir, który po wyjściu policjantów poszedł szukać Yasmin, teraz spał obok na łóżku. Nie budziłam go, na pewno bardzo potrzebował snu. Ja natomiast wymknęłam się cicho i poszłam do jej pokoju.

Zapaliłam światło: łóżko było puste, a reszta wyglądała tak, jakby właśnie wybuchła tam bomba – ubrania walały się po podłodze skłębione na mniejszych i większych stertach. Na niewielkim biurku leżały porozrzucane kosmetyki, puszki po coli, lokówki i pudełka po hamburgerach. Jeden róg pokoju zajmowała piramida rozsypanych czasopism, a na parapecie, obok przymierającej roślinki w doniczce i niedojezionej kanapki, stały adidas.

Innymi słowy: wszystko jak zwykle. Brakowało tylko lokatorki.

Spojrzałam na czarno-białe zdjęcie na ścianie – przedstawiało Yasmin, jej młodszą siostrę Sylvie i ich mamę Annę.

Poprzednia żona Samira była całkiem podobna do mnie. Miała ciemnoblond włosy do ramion, nordyckie jasne oczy i trochę nieśmiały uśmiech, jakby skrywała za nim jakąś tajemnicę. Może byłam trochę bardziej okrągła od niej, ale miałam też kilka lat więcej niż ona wtedy.

Anna, rodowita Szwedka, pracowała we Francji jako au pair i postanowiła tam zostać. Na początku lat osiemdziesiątych wyszła za Samira i niedługo potem urodziły im się córki Yasmin i Sylvie. Kiedy Yasmin miała czternaście lat, razem z matką i siostrą uczestniczyła w wypadku samochodowym na autostradzie na północ od Paryża. Tamtego dnia było zimno i ślisko. Cienka warstwa lodu, która pokryła znaczną część jezdnii pod wiaduktem, była prawie niewidoczna i Anna nie

zdołała uniknąć poślizgu. Samochód zjechał na sąsiedni pas i znalazł się tuż przed wielką ciężarówką.

Anna i Sylvie zginęły na miejscu, Yasmin zaś wyszła z katastrofy niemal bez szwanku, jakby cudem.

Samir tak właśnie potem ją nazywał: swoim małym cudem.

O Annie mówił rzadko, ale kiedy się to zdarzało, oczy zachodziły mu łzami i drżał mu głos.

– Była taka ładna, że gdy szła paryską ulicą, ludzie często się zatrzymywali i na nią patrzyli. Ona jednak w ogóle tego nie wykorzystywała. Zawsze zachowywała się jednakowo serdecznie i miło wobec wszystkich.

Za każdym razem, kiedy to słyszałam, czułam ukłucie w sercu, chociaż zdawałam sobie sprawę, że zazdrość o zmarłą kobietę jest i nielogiczna, i niestosowna.

Przyjrzałam się uśmiechniętej matce i jej dwóm córkom na zdjęciu – z tej trójki została tylko Yasmin.

Czy na pewno?

Nagle poczułam mdłości i dziwny dyskomfort. Nie potrafiłam określić przyczyny swojego złego samopoczucia. Czy wywołało je zniknięcie Yasmin, zbyt duża ilość wina wypitego poprzedniego wieczoru czy po prostu brak snu?

Wróciłam do łóżka, wślizgnęłam się pod ciepłą kołdrę i zaczęłam nasłuchiwać oddechu Samira. Gdy w którymś momencie zrobiło się całkiem cicho, zaniepokoiłam się i szybko zapaliłam nocną lampkę. Odruchowo zacisnęłam powieki. Natychmiast zgasłam światło i uśmiechnęłam się sama do siebie: przecież nie ma powodu, by sądzić, że Samir przestał oddychać z czystej rozpaczy. Mimo to dominującym uczuciem była ulga.

Żył, oddychał.

Kochany Samir.

Biedny, kochany Samir.

*

Poznałam Samira na przyjęciu dwa lata wcześniej. U Grety, tej samej, która zorganizowała babski wieczór w Sandhamn. O ile pamiętam, było nas tam wtedy więcej. Tworzyłyśmy paczkę dziewczyn, a właściwie

kobiet, trzymałyśmy się razem od liceum. Wiele z nas nadal mieszkało w Kungsudd.

Greta postanowiła spróbować skojarzyć mnie ze swoim znajomym, który pracował jako księgowy. Już w momencie, kiedy to powiedziała – to znaczy, że jest księgowym – nabrałam wątpliwości. To brzmiało cholernie nudno. I okazało się, że człowiek był wprawdzie miły, ale rzeczywiście nudny, a na dodatek niestety wpadłam mu w oko, wskutek czego większą część wieczoru spędziłam, starając się go unikać w zadymionym i hałaśliwym mieszkaniu. Do chwili, gdy pojawił się gwóźdź programu z gitarą w rękach, usiadł na krześle pośrodku salonu i zaczął grać i śpiewać po francusku.

– To Samir – szepnęła mi Greta do ucha. – Kumpel mojego kuzyna. Lekarz, a do tego cholernie utalentowany muzyk, nie uważasz?

– Płacisz mu za ten występ?

Wybuchła śmiechem.

– Myślisz, że ja śpię na pieniądzach? Jest moim gościem, ale powiedział, że chętnie zagra. – Przez chwilę się zawahała, po czym dodała: – Jeśli mam być szczerą, na kogoś takiego mogłabym polecić.

Uśmiechnęłam się do niej. Po swoim rozwodzie Greta oznajmiła, że już nigdy nie chce mieć nic wspólnego z facetami, ale jak widać, zmieniła zdanie. Przyjrzałam się uważniej mężczyźnie z gitarą: lekko kręcone włosy zebrane w kucyk i miodowa cera, smukłe palce czule pieściły struny instrumentu.

Zawsze miałam słabość do muzyków – między innymi dlatego zadurzyłam się w Brianie, ojcu Vincenta. Czasami nawet się zastanawiałam, czy zakochałam się w nim, czy raczej w jego muzyce. A może i w jednym, i w drugim. Ale Brian był gówniarzem, młodym chłopakiem dopiero niespiesznie wkraczającym w dorosłość, niezainteresowanym stałym związkiem z kimkolwiek.

Samir to zupełnie co innego.

To dojrzały mężczyzna, starszy ode mnie, co widać było nawet z daleka – policzki miał trochę zapadnięte, włosy przerzedzone i przyprószone siwizną na skroniach. Pod cienką skórą dłoni sterczały sękaty palce palców.

Kiedy nastąpiła przerwa, podeszłam do niego z kieliszkiem wina. Wznieśliśmy toast, po czym on przedstawił się jako Samir Foukara. Mówił niezłe po szwedzku, chociaż z silnym, ale czarującym francuskim

akcentem, i zadawał mi tysiące pytań. Czym się zajmuję, co najbardziej lubię jeść, czy śpię na brzuchu, czy na plecach, i czy nie uważam, że Szwecja jest najpiękniejsza zimą, kiedy słońce kryje się za horyzontem, a drzewa i trawa śpią przysypane śniegiem. Dokładnie tak powiedział: że drzewa i trawa śpią pod śniegiem. To było urocze, i on oczywiście o tym wiedział. Sądzę, że doskonale zdawał sobie sprawę, jakie wrażenie wywarły na mnie jego śpiew, francuski akcent i te drobne poetyckie obserwacje. Kiedy usłyszał, że trochę znam francuski, zaczął od czasu do czasu wtrącać francuskie słowa.

– Wiesz, au debut myślałem, że Szwecja jest cholernie nudna. Ludzie, tu sais, wydają się mało kontaktowi i nietowarzyscy. A potem doszedłem do wniosku, że są jedynie timides, nieśmiali.

Wybuchłam śmiechem razem z nim, ubawiona jego konstatacją. Opróżniłam kieliszek i po chwili znowu nalałam sobie wina.

– Chodź – rzucił. – Spadajmy stąd. Pójdziemy się wykąpać po szwedzku.

Była wczesna jesień i dom Grety, jedyny dom wielorodzinny w całym Kungsudd, leżał tuż nad wodą.

– Serio?

Wziął mnie za rękę i nie czekając na odpowiedź, wyciągnął z pokoju. Wymijając moich nieźle już wstawionych przyjaciół i przyjaciółki, z imponującą determinacją zmierzał do drzwi. W przedpokoju odwrócił się do mnie i spytał:

– Buty nie będą nam potrzebne, co nie?

Roześmiałam się znowu, w końcu byłam nauczycielką szwedzkiego i sformułowanie będące jednocześnie pytaniem i stwierdzeniem brzmiało w moich uszach zabawnie.

I tak oto lekko podchmieleni wymknęliśmy się bosy w ciemną noc, żeby wykąpać się po szwedzku, czyli nago, skacząc ze skał obok domu Grety. Jej słowa: „Jeśli mam być szczerą, na kogoś takiego mogłabym polecieć”, już dawno wyparowały mi z pamięci.

Właśnie w tamtym miejscu i w tamtym momencie przegrałam albo odniosłam zwycięstwo – w zależności od punktu widzenia. Niczym rażona piorunem zakochałam się w szalonym Francuzie, który był nie tylko muzykiem, ale także ojcem szesnastolatki (Yasmin), onkologiem i badaczem z Instytutu Karolinska. Był również mężczyzną, który się nie poddaje: porzucił ojczyznę, aby zacząć wszystko na nowo po tragicznej śmierci żony i młodszej córki na oblodzonej autostradzie pod Paryżem.

Czasami myślałam sobie, że dla niego było to być może coś znajomego, ponowne doświadczenie podobnej sytuacji. Przecież już raz ożenił się ze Szwedką, zakochał się i stracił głowę dla kobiety z Północy – bladolicej, jasnowłosej i nieśmiałej, timide. Może rozpoznał we mnie te bliskie mu cechy, tak jak ja odkryłam w nim muzykę, a także to, co uznałam za egzotyczne? Kto wie, czy z miłością nie jest właśnie tak – że kochamy nie tylko samego człowieka, ale też wszystko to, co dana osoba w nas ożywia i budzi: wspomnienia innych miłości, nieokreślone, ale wywołujące ufność poczucie czegoś znajomego, mimo że przecież nie spotkaliśmy się wcześniej.

Być może wcale nie widzimy ukochanego takim, jakim on jest naprawdę, ponieważ miłość jest zarówno ślepa, jak i oślepiająca, bo taka być musi. Z jakiego innego powodu bowiem wywracalibyśmy nasze życie do góry nogami, żeby zacząć wszystko od początku z kimś nowym? Po co zamieszkiwalibyśmy pod jednym dachem, burzyli ustalone zwyczaje i szli na kompromis we wszystkim, co ważne?

Miłość domaga się zmian, a zmiany boją.

Tamtego wieczoru scementowaliśmy naszą świeżo odkrytą miłość na mojej starej kanapie. A także na podłodze w łazience. Oraz w łóżku nad ranem, gdy świt wypierał ciemność.

Vincent, który tej nocy spał u mojej mamy w jej mieszkaniu dla seniorów w Nacka, miał wrócić do domu nie wcześniej niż po południu. Kiedy wspomniałam Samirowi, że mam ośmioletniego synka z zespołem Downa, uśmiechnął się tylko.

– Pewnie jest szczęśliwy, prawda? Dzieci downy zwykle takie są.

Nie poprawiłam go, ponieważ uznałam to określenie po prostu za błąd językowy cudzoziemca. Downem się nie jest, tylko downa się ma, a jest się człowiekiem o przeróżnych możliwych cechach, pozytywnych i negatywnych. Ponadto powszechnie przyjęła się opinia, zwykle podyktowana dobrą wolą, że każda osoba z zespołem Downa to kipiący radością i pogodą wesolek czy wręcz głupek. Vincent rzeczywiście był zwykle zadowolony i stanowił dla mnie niewyczerpane źródło szczęścia. Ale potrafił też wystawić moją cierpliwość na próbę jak nikt inny.

Po tamtej nocy zostaliśmy parą. Wszystko wydawało się tak naturalne i nieskomplikowane, że nie musieliśmy niczego uzasadniać. Mieliśmy podobne poglądy w większości spraw, takich jak wychowanie dzieci (wolność i odpowiedzialność), polityka (mniej więcej centrum, ale

z odchyleniem bardziej w lewo niż w prawo) czy muzyka (dawniej była lepsza). Widywaliśmy się najczęściej, jak to możliwe, a już po kilku tygodniach Samir poznał Vincenta. Ich pierwsze spotkanie przeszło najśmielsze oczekiwania. Podczas gdy ja przygotowywałam jedzenie, oni dwaj rysowali i bawili się razem. Samir był lwem, a Vincent antylopą, później Samir zamienił się w konia, a Vincent w rycerza. Na koniec Vincent stał się jednookim potworem, Samir zaś był chłopcem idącym samotnie przez ciemny las. Pod kuchennym stołem znajdowała się jaskinia, w której po narzuceniu na blat koców najwyraźniej straszyciło. A po wstawieniu tam lampki udawała obozowisko z ogniskiem.

Sprzątanie po ich przygodach zajęło mi dobrą godzinę, ale co tam! Mój syn zachwycił się mężczyzną, którego kochałam, i vice versa.

Mimo to sytuacja nie była wcale prosta. Jedynie w filmach i w powieściach dzieje się tak, że dwoje ludzi z przeszłością się spotyka i żyje potem długo i szczęśliwie, a tak zwana rzeczywistość nie wciska się w ich życie drzwiami i oknami.

A owa rzeczywistość miewa różne oblicza.

Weźmy na przykład moją mamę. Od początku była bardzo sceptycznie nastawiona do tego mojego Araba, jak go nazywała. I chociaż nieustannie jej powtarzałam, że on jest Francuzem, a nie Arabem, że urodził się i wychował w Paryżu, miał żonę Szwedkę i mówił po szwedzku na długo przedtem, nim się tu przeniósł, nic to nie pomagało. Dla niej był Arabem i już; nazwisko, ciemna karnacja, temperament – takie rzeczy się nie zmieniają tylko dlatego, że ktoś mieszka w europejskim kraju. Ani dlatego, że akurat się w nim urodził.

To jest we krwi.

Czemu ja zawsze muszę zakochiwać się w obcokrajowcach? I co mój ojciec by powiedział, gdyby był jeszcze na tym świecie?

Powstrzymałam się i nie odparowałam, że jemu byłoby kompletnie obojętne, czy Brian i Samir są Szwedami, czy nie. Nic by go to nie obchodziło, ponieważ ludzie z zasady go nie interesowali, bez względu na to, skąd pochodzili. Jedyne, co się dla niego liczyło, to jego rośliny i psy. Wszystko inne, co nie było kudłate albo nie wypuszczało liści – wliczając w to mnie i mamę – miał głęboko w nosie.

Fakt, że Samir był onkologiem, sam w sobie stał się dla matki okolicznością łagodzącą, bo przynajmniej nie stanowił obciążenia dla społeczeństwa, jak wszyscy ci imigranci, którzy tłoczyli się w poczekalni

przychodni, kiedy szła do lekarza rodzinnego, żeby porozmawiać o swojej chorobie zwyrodnieniowej stawów. Mimo wszystko nawet to, że pracował nad zwalczaniem raka, nie mogło zrównoważyć okoliczności, że urodził się muzułmaninem, chociaż tak naprawdę nigdy nie przekroczył progu meczetu, nie odmówił ani jednej modlitwy w życiu i z apetytem wcinał moje kotlety wieprzowe. Mama przeczytała bowiem Tylko razem z córką i była święcie przekonana, że Samir w każdej chwili może się zradykalizować, co oznaczać będzie dla mnie przerażające konsekwencje.

Przyjmowałam jej reakcję ze spokojem, pozwalałam jej mówić głośno o swoich obawach i nie protestowałam. Tak się chyba dzieje, kiedy człowiek jest szczęśliwy – drobne problemy nie zatruwają ci życia. W każdej sytuacji stać cię na tolerancję i cierpliwość.

Tak, wtedy nic nie było skomplikowane. Przepęłniały mnie czysta radość, namiętność, wewnętrzna błogość i wielkoduszna pobłażliwość wobec obiekcji mamy. Wszystko było po prostu hunky-dory, dopóki na scenę nie wkroczyła Yasmin.

*

Samir obrócił się ku mnie na łóżku, zapalił lampkę i ciężko westchnął.

Światło oślepiło mnie w pierwszej chwili, zamrugałam i położywszy mu dłoń na ramieniu, spojrzałam na jego zmęczoną twarz.

– Jak się czujesz?

– Tak sobie. Szukałem jej. Poszedłem wzdłuż brzegu, aż do mostu i z powrotem.

– Nie wiesz, czy policja coś znalazła?

Zamknął oczy.

– Nie. Raczej nie. Mieli odezwać się rano. Zostawili mi też swój numer.

Odwrócił się w drugą stronę i wziął z nocnej szafki skrawek gazety, na której nabazgrane były cyfry.

– Wybacz – powiedział, wstając. – Muszę zadzwonić. A potem pójde znowu szukać.

Zniknął w przedpokoju, a po chwili jego kroki rozległy się na schodach.

Usiadłam na łóżku, po czym też wstałam i wzdrygnęłam się z zimna. Mieszkaliśmy w starym domu, zbudowanym pod koniec dziewiętnastego wieku. Miał bogato zdobioną deskami fasadę i dekoracyjne ramy okien. Ściany w środku były wyłożone boazerią. Sporo elementów trochę się powyginało i rozszczelniło, jak to bywa w stuletnich domach, ale przede

wszystkim nie trzymał już ciepła. Zimą sypialiśmy obowiązkowo w grubych piżamach i skarpetach.

Otuliwszy się szczerze szlafrokiem, zamierzałam zejść na dół za Samirem.

Vincent stał w drzwiach ze swoim game boyem w dłoniach. Uwielbiał grać, mógł godzinami siedzieć nad konsolą i wariował, gdy prosiłam, by ją odłożył.

– Cześć, skarbie – powiedziałam. – Dobrze spałeś?

– Gdzie jest Yasmin?

Czym prędzej podeszłam do niego, przytuliłam go i pogłaskałam po rudych włosach.

– Na razie nie wiadomo. Może zjemy śniadanie?

– Chcę, żeby Yasmin wróciła już do domu – oznajmił, podciągając spodnie od piżamy z wizerunkiem Supermana.

– Ja też.

– Czy Yasmin zrobiła sobie coś złego?

– Nie wiem.

Zeszliśmy do kuchni. Z pokoju dobiegał przytłumiony głos Samira rozmawiającego przez telefon. Vincent próbował pójść do niego, ale wzięłam go za rękę i powiedziałam, że najpierw musimy przygotować śniadanie.

– Samir na pewno jest strasznie głodny – wyjaśniłam. – I Yasmin też będzie chciała coś zjeść, kiedy wróci.

Drżącymi dłońmi wsypałam kawę do ekspresu i otworzyłam pojemnik z chlebem. Doszłam do wniosku, że rutynowe czynności przynoszą ulgę, pozwalają zapanować nad sytuacją: trzeba pokroić chleb, postawić na stole talerze, położyć sztucce.

W momencie gdy wyjmowałam z lodówki masło i ser, odezwał się dzwonek do drzwi.

Ruszyłam do przedpokoju, ale Samir był szybszy i otworzył, zanim zdążyłam wyjść z kuchni.

W progu stali mężczyzna i kobieta, których nie znałam. On, mniej więcej w wieku Samira, był bardzo przystojny. Miał na sobie puchową kurtkę, dzinsy i czapkę z daszkiem. Zdjął ją, odgarnął z czoła szpakowate włosy i przedstawił się jako Gunnar Wijk, śledczy policji kryminalnej. Kobieta, także ubrana po cywilnemu, wyglądała na starszą – mogła być około sześćdziesiątki. Miała krótko obcięte stalowoszare włosy i okrągłą

twarz o łagodnych rysach. Wyciągnęła do mnie rękę, mówiąc, że nazywa się Ann-Britt Svensson i że jest koleżanką Gunnara.

– Chcielibyśmy porozmawiać w związku ze zniknięciem państwa córki – powiedziała, zdejmując zielony wełniany płaszcz.

– Oczywiście – odparłam. – Możemy usiąść w kuchni. Właśnie mieliśmy jeść śniadanie.

Ann-Britt uśmiechnęła się do Vincenta, który szybko ukrył buzię w fałdzie mojego szlafroka.

Gunnar sprawiał wrażenie zakłopotanego. Obracając czapkę w dłoniach, odchrząknął i uzupełnił:

– Ale musimy porozmawiać z każdym z was osobno.

3

I tak oto powstało „przedtem” i „potem”. Ale żeby zrozumieć zdarzenie, które podzieliło nasze życie, muszę zacząć od opowiedzenia tego, co składało się na „przedtem”.

Przedtem był czas pełen miłości i światła. Czas pełen krzątaniny oraz ruchu – przygotowywania posiłków, trzaskania drzwiami (Yasmin) i muzyki puszczanej zbyt głośno (też Yasmin). Wspólnych miłych piątkowych wieczorów i pokruszonych chrupków serowych na kanapie, stosów rzeczy do prania walających się po kątach, treningów piłki nożnej (Vincent) i koszykówki (Yasmin). Czas przedtem nie był nieskomplikowany i pozbawiony problemów – ostatecznie stanowiliśmy nowoczesną patchworkową rodzinę z dziećmi z różnych związków i krewnymi rozsianymi po całym świecie – pulsował jednak życiem, obfitował w nadzieje i marzenia, a przede wszystkim wydawał się przewidywalny.

Potem nastąpiła jedna niekończąca się bolesna niepewność. Nastąpiły cisza i czekanie. Przychodziły nadzieja za nadzieją, które raz po raz burzono, i wreszcie nadzieja zamieniła się w beznadzieję. Pojawiły się bezradność, bezsilność, niemoc i tysiąc innych doznań, jakich nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Niezachwiana ufność przerodziła się w dręczącą podejrzliwość i pulsujący gniew, który stopniowo przygasał i zamieniał się w bolesny smutek.

Ale przede wszystkim dotarło do mnie, że już nic nigdy nie będzie takie samo.

*

Podczas gdy ja i Ann-Britt zostałyśmy w kuchni, Samir z Gunnarem poszli na górę. Vincent dostał pozwolenie na oglądanie wideo, co zwykle

surowo mu racjonowaliśmy, ochno zasiadł więc ze śniadaniem przed telewizorem w dużym pokoju.

Zaproponowałam Ann-Britt kawę. Nie odmówiła, ale za kanapkę podziękowała, ponieważ jadła już w domu.

Trochę przypominała mi mamę – być może z powodu obfitych kształtów lub delikatnych rysów, albo może za sprawą równie badawczego i stanowczego spojrzenia.

– Wszczęliśmy dochodzenie wstępne w sprawie zabójstwa – zaczęła.

– Zabójstwa? Ale jak to, dlaczego...?

Uniosła rękę.

– To bynajmniej nie oznacza, że ktoś zamordował Yasmin ani nawet że państwa córka nie żyje. Mamy jednak świadka, który wczorajszego wieczoru dokonał dosyć zastanawiających obserwacji.

– Chodzi o tę właścicielkę psa? Tę, która znalazła list?

Ann-Britt skinęła głową.

– Podczas przesłuchania dziś rano poinformowała, że widziała na klifie nie jedną osobę, lecz dwie.

– To chyba jeszcze za mało, żeby przypuszczać, że ktoś chciał skrzywdzić Yasmin?

Policjantka odpowiedziała dopiero po chwili:

– Ta kobieta powiedziała, że jedna osoba rzuciła albo zepchnęła coś z krawędzi skały.

Zamilkła.

– Lub kogoś – dodała. – Było ciemno, nie widziała dokładnie.

Znowu zamilkła i przyjrzała mi się uważnie.

Odłożyłam kanapkę z serem na talerzyk, czułam bowiem, że nie przełknę ani kęsa. Fala mdłości wezbrała z nową siłą. Z dużego pokoju dobiegały dźwięki Króla Lwa. Powiodłam spojrzeniem po kuchni. Wszystko wyglądało tak idyllicznie: pomalowane na zielono drzwi szafek, stary piecyk opalany drewnem, który zachowaliśmy podczas remontu. Marmurowe blaty, wybrane specjalnie, mimo że wcale nie były praktyczne, i rysunki Vincenta pokrywające całe ściany.

No i oczywiście zdjęcia – Vincent na śniegu obok gigantycznego bałwana, którego ulepił zeszłej zimy. Na innym: Yasmin i Vincent razem ze starymi krowami w gospodarstwie, które odwiedziliśmy latem. Patrząc na nie, niemal czułam zapach tych zwierząt i wilgotne ciepło ich potężnych, powolnych ciał. Na samym dole wisiała powiększona ślubna

fotografia moja i Samira. Siedziałam na zwalonym pniu brzozy. Sukienka, skandalicznie droga, kupiona w butik w śródmieściu, była pognieciona i przydeptana na dole. Stojący za mną Samir pochylił się nieco i całował mnie w policzek. Chociaż część jego twarzy pozostawała niewidoczna, bez trudu dostrzegałam to, co najważniejsze – miłość w spojrzeniu. Była równie wyraźna i oczywista jak czarne plamy na brzozowym pniu czy wysoka trawa późnego lata.

Ann-Britt podążyła za moim spojrzeniem i popatrzyła na ścianę.

– Pani syn ładnie rysuje – zauważyła.

Odpowiedziałam tylko skinieniem głową.

– Miejmy nadzieję, że wszystko się wyjaśni i ułoży – kontynuowała opanowanym głosem. – Zwykle tak bywa, mimo to muszę zadać pani kilka pytań. Gdzie była pani wczoraj wieczorem?

Powoli zaczęłam rozumieć.

Co ja właściwie sobie myślałam? Że tych dwoje przyszło do nas z grzecznościową wizytą? Żeby nas pocieszyć i potrzymać za rękę? To jej pytanie wyjaśniało także, dlatego odwiedzili nas funkcjonariusze policji kryminalnej. Oni raczej nie zajmują się wyjaśnianiem samobójstw ani ucieczek nastolatków.

– Byłam na babskim wieczorze na szkierach, w Sandhamn. Pojechałam tam po południu i siedziałam aż do... do chwili, kiedy zadzwonił Samir i powiedział o zniknięciu Yasmin.

– O której to było?

Ann-Britt założyła okulary i zapisała coś w notesie.

– Około wpół do piątej.

– Czy ktoś może potwierdzić pani obecność tam?

Słowa powoli się rozplýwały, a wewnątrz kuchni nagle się zamazało, kontury przedmiotów uległy rozmyciu. A więc to dzieje się naprawdę. I przydarzyło się mnie i mojej rodzinie.

– Serio? Czy jestem o coś podejrzana?

Ann-Britt popatrzyła na mnie badawczo znad okularów. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– To są rutynowe pytania, które zawsze zadajemy w takich sytuacjach.

Skinąwszy głową, podałam jej nazwiska koleżanek i numer telefonu Greta.

Zanotowała wszystko. Miała ładny charakter pisma, równe i staranne rządki liter wypełniały białą kartkę. Nie drżały jej ręce, nie miała

wypieków na twarzy. Dla niej to była rutyna, normalna praca, business as usual. A kiedy już wypełni swoje obowiązki, wróci do siebie, do rodziny, do kota albo do książek, my zaś zostaniemy w naszym ładnym, ale pełnym niepokoju domu, nie będąc ani o jotę mądrzejsi.

Uwięzieni w niepewności.

– Znaleźliście cokolwiek? – spytałam.

Ann-Britt położyła długopis obok notesu i obciągnęła wełniany sweter opinający jej biust.

– Znaleźliśmy coś na klifie. I w wodzie. Na razie nie mogę powiedzieć nic więcej. Ale Yasmin nie znaleźliśmy.

– Może ona uciekła – zasugerowałam.

– A czy miała powód, aby uciec?

Zastanawiałam się całkiem długo. Co miałam powiedzieć, co mogłam powiedzieć? Co będzie najlepsze dla Yasmin, dla Samira, dla mojej rodziny?

– W ostatnim czasie nie była sobą.

– Co pani ma na myśli?

Próbowałam napić się kawy, ale ręka drżała mi tak bardzo, że odstawiłam kubek.

– Izolowała się od nas. Zamontowała zamek w drzwiach swojego pokoju. I schudła. To znaczy zawsze była szczupła, ale...

Nie dokończyłam zdania.

– Wydawała się przygnębiona?

– Może.

– Czy ostatnio wydarzyło się coś szczególnego?

– Właściwie nie wiem – skłamałam. – Mam wrażenie, że chodziło o sprawy typowe dla jej wieku... rozumie pani?

– Nie – odparła. – Nie rozumiem. Czy mogłaby pani powiedzieć coś więcej na ten temat?

Westchnęłam.

– Yasmin ma dość szkoły. Jest nią szczerze zmęczona. A może oprócz tego poprzytykała się ze swoim chłopakiem? Nie mam pojęcia. Ze mną nigdy o tym nie rozmawiała. Proszę spytać Samira.

– Jej chłopak... – zaczęła Ann-Britt z wahaniem. – To Tom Borgmark, tak?

– Tak.

– Jaki on jest?

Znałam Toma od niemowlęcia, zajmowałam się nim od małego. Zmieniałam mu pieluchy, zabawiałam i kołysałam do snu.

– To bardzo porządny młody człowiek – odrzekłam z naciskiem na każde słowo.

Kolejne zapiski w notesie. Długopis skrobał po papierze.

– Skąd pani to wie?

– Mieszkam tu od urodzenia. Mój tata był ogrodnikiem w posiadłości Kungsudd. On...

– W majątku? – przerwała mi.

– Tak, nasz dom był kiedyś częścią posiadłości, ale w latach sześćdziesiątych moi rodzice go wykupili. Po śmierci ojca mama przeniosła się do mieszkania, a ja zostałam tutaj. Znam więc Toma od zawsze i mogę za niego ręczyć. To dobry chłopak.

Może za dobry dla Yasmin, przemknęło mi przez głowę, ale, rzecz jasna, nic takiego nie powiedziałam, bo nagle straciłam pewność, czy kobieta siedząca naprzeciwko mnie – o delikatnych rysach i zdradliwie łagodnym głosie – na pewno jest po tej samej stronie co my.

– Hm – bąknęła. – Rozmawialiśmy z Tomem. Wydaje się bardzo przejęty.

– Czy miał jakiś znak życia od Yasmin?

– Nie. Wczoraj pracował do późna, w firmie finansowej w mieście.

Skinęłam głową, już to przecież wiedziałam. Tom studiował w Wyższej Szkole Handlowej, a wieczorami zarabiał jako telemarketer. Oferował jakieś usługi finansowe drobnym przedsiębiorcom.

– A pani mąż? – spytała, poprawiając sobie okulary na nosie. – Gdzie był wczoraj?

Dopiero w tym momencie zrozumiałam, dlaczego Samir siedzi w tym samym czasie z jej kolegą na piętrze i odpowiada na identyczne pytania. To dlatego chcieli przesłuchać nas osobno. Byłam bardzo naiwna, sądząc, że przyjechali we dwójkę z troski o nas, kierowani chęcią wsparcia rodziny w trudnych chwilach.

– Samir cały wieczór był w domu z Vincentem.

Przez chwilę przyglądała mi się w milczeniu.

– Skąd pani to wie?

To proste pytanie wprowadziło mnie w osłupienie, ale i trochę zirytowało. Bez względu na to, co stało się z Yasmin, nie istniały żadne podstawy, by podejrzewać mnie albo Samira o cokolwiek. Jego córka potrafiła narobić

sobie problemów i wpaść we wszelkie możliwe tarapaty bez naszego udziału.

– Byłam dwie godziny jazdy samochodem stąd – zaczęłam chyba przesadnie ostrym tonem. – I nie miałam możliwości skontrolować, czym mój mąż i syn zajmowali się w tym czasie, ale nie miałam też żadnego powodu, aby się tym interesować. Samir nigdy nie skrzywdziłby Yasmin, niezależnie od tego, na jaki pomysł by wpadła. Ona jest dla niego wszystkim. – Zawahałam się, ale w końcu dodałam: – Stracił już jedno dziecko.

Ann-Britt skinęła głową.

– Tak, wiem.

Znowu to poczucie bezsilności i paniki: skąd ona to wie? Czy zanim tu przyszła, najpierw nas rozpracowała, dokładnie sprawdziła naszą historię?

– Mario – zwróciła się do mnie, uprzednio odchrząknąwszy – nie jesteście o nic podejrzani. Ani pani, ani Samir. To są po prostu rutynowe pytania. Czy to jasne?

Potaknęłam.

– Świetnie. Proszę o tym pamiętać. Powiedziała pani, że Samir pomógłby Yasmin bez względu na to, na jaki pomysł by wpadła. W tym momencie muszę oczywiście spytać, czy zdarzało jej się wpadać na jakieś dziwne pomysły?

Wzruszyłam ramionami.

– Przecież chyba pani wie, jak to jest z nastolatkami.

– Nie. Proszę mi opowiedzieć.

– To wieczne pertraktowanie, nieustająca walka. O to, o której ma wrócić do domu, o sprzątanie po sobie, o chłopaków, o alkohol. Nic szczególnego. Typowe problemy w tym wieku.

Kobieta oparła się na krześle i zdjęła okulary.

– Myślę, że to wystarczy – oznajmiła. – Zostawię swoją wizytówkę. Jeśli przypomni sobie pani coś, co mogłoby być ważne, albo będzie pani chciała o coś spytać, proszę dzwonić. I proszę pamiętać, że zawsze jesteśmy do pani dyspozycji i że chodzi nam o pani dobro.

Jej słowa brzmiały jak zniewaga. Nie miałam bynajmniej poczucia, że chodzi o moje dobro. Wręcz przeciwnie, odniosłam wrażenie, że jesteśmy prześwietlani i oceniani. W końcu zaginęła rodzona i jedyna córka Samira

– czy w tej sytuacji nie byłoby lepiej, żeby jej szukali, zamiast przesłuchiwać nas jak podejrzanych?

– Chciałabym też poprosić panią i pani męża, żebyście sprawdzili w rzeczach Yasmin, czy czegoś nie brakuje. Bo jeśli z jakiegoś powodu po prostu zniknęła dobrowolnie, to prawdopodobnie wzięła trochę ubrań, pieniędzy i jakieś inne drobiazgi. Proszę się też upewnić, czy jest jej paszport.

– Okej.

– Czy mogę zamienić jeszcze kilka słów z pani synkiem? – spytała.

– Z Vincentem?

– Tak.

Lekko pokręciłam głową.

– Może pani spróbować. Ale obawiam się, że on nic nie powie.

Niemal niezauważalnie uniosła jedną brew.

– Syn nie rozmawia z osobami, których nie zna – wyjaśniłam.

– Czy mimo wszystko pozwoli pani, że spróbuję?

Poszłam po Vincenta do pokoju.

– Czy ktoś zrobił Yasmin coś złego? – spytał znowu na mój widok.

Nie miałam pojęcia, czy słyszał naszą rozmowę, czy też po prostu wyczuwał, że coś jest nie tak.

– Nie wiem – odparłam, bo nie znałam lepszej odpowiedzi. Nie chciałam niepotrzebnie go niepokoić, był bowiem niezwykle przywiązany do swojej przyszywanej siostry, ale nie chciałam też kłamać.

– Po co znowu przyszli do nas policjanci?

– Bo jeśli jednak ktoś zrobił Yasmin coś złego, to muszą go aresztować.

Przez chwilę się zastanowił, po czym kontynuował:

– I co z nim będzie, jak go aresztują?

– Jeśli się okaże, że jest winny, zamkną go w więzieniu.

– A jak długo trzeba siedzieć w więzieniu, jeśli zrobiło się coś złego?

Westchnęłam głęboko. To było dziwne pytanie, lecz sposób rozumowania Vincenta często bywał nieco osobliwy. A jego pytania – a miał ich doprawdy niemało – niekiedy działały mi na nerwy.

– Jeśli ktoś zrobił coś złego Yasmin, to ten ktoś zostanie w więzieniu do końca życia – odpowiedziałam, biorąc go za rękę.

Niechętnie ruszył za mną do kuchni, do ostatniej sekundy nie odrywając oczu od ekranu telewizora.

– Cześć – przywitała go Ann-Britt, kiedy usiedliśmy przy stole. – Jestem z policji i pomagam w poszukiwaniach twojej siostry. Chciałabym zadać ci kilka pytań.

Milczał.

Ann-Britt cierpliwie odczekała chwilę, po czym kontynuowała:

– Czy pamiętasz, co ty i Samir robiliście wczoraj wieczorem?

Vincent zaczął kołysać się na krześle w przód i w tył ze wzrokiem utkwionym w blacie stołu.

– Może coś fajnego? Na przykład oglądaliście telewizję?

Brak odpowiedzi.

– Pamiętasz, co jedliście?

Cisza.

Siedzieliśmy tak przez dłuższą chwilę, pogrążeni w ciszy. Milczenie Vincenta mogło trwać kilka dni, tygodni, a nawet miesięcy. Ale Ann-Britt tego nie wiedziała. Wyglądała na zaskoczoną, chyba nawet na nieco zawiedzioną. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie przepełniło mnie to swego rodzaju satysfakcją.

Jesteś obca – pomyślałam – a my obcym nie ufamy.

4

Yasmin” oznacza po arabsku kwiat, ale Yasmin nie przypominała kwiatu, chociaż była uderzająco piękna: szczupła, z długimi czarnymi włosami i zielonymi, lekko skośnymi oczami. Miała szerokie usta i rozbijający uśmiech. Wzdłuż grzbietu zgrabnego nosa biegła smuga piegów.

Po raz pierwszy spotkałam ją w listopadzie, kilka miesięcy po poznaniu Samira. Wcześniej oboje rozmawialiśmy o tym, jak najlepiej przedstawić sobie nasze dzieci – o ile Yasmin można było jeszcze uznać za dziecko. Miała już prawie siedemnaście lat, figurę kobiety i stawała się coraz bardziej niezależna.

Pojawili się trzy kwadransy później, niż się umówiliśmy. Ledwie otworzyłam im drzwi, Samir przeprosił mnie, tłumacząc, że samochód odmówił posłuszeństwa i nie chciał zapalić. Nie wiem, czy to prawda, bo chociaż jego auto rzeczywiście było stare i rozklekotane, równie dobrze winien opóźnienia mógł być on sam. Wprawdzie był wspaniałym naukowcem, ale wiele rzeczy często wylatywało mu z pamięci, w weekendy zdarzało mu się zasnąć w środku dnia albo zapomnieć o bożym świecie, gdy oglądał jakiś fascynujący film. Taki po prostu był. Wolny duch w ciele badacza, artysta zmuszony do podporządkowania się społecznym konwencjom, których nie chciał uznać.

Yasmin uścisnęła mi dłoń i dygnęła. Tak, dygnęła. Wydało mi się to trochę dziwne, lecz mimo wszystko urocze. Pomyślałam, że pewnie musiała być surowo chowana. A może to całkiem normalny zwyczaj we Francji?

Moje pierwsze wrażenie okazało się zatem zdecydowanie pozytywne.

Uznałam, że córka Samira jest miła, w pewnym sensie krucha. Była też uczynna – po jedzeniu zebrała naczynia ze stołu, poza tym przez cały czas starała się uczestniczyć w konwersacji. Po kolacji zniknęła z Vincentem, a on wprost stracił dla niej głowę i od razu zaczął się z nią bawić, co było

dla mnie zupełną nowością, ponieważ wobec nieznanym zwykle okazywał skrajną powściągliwość. Równocześnie miał jednak tę swoją niezwykłą intuicję, wyjątkową zdolność rozpoznawania ludzi, którzy go lubią, i tych zawsze szybko dopuszczał do swojego świata.

Od samego początku było jasne, że Yasmin należy do grona wybranych.

Z piętra nieustannie dobiegały chichoty lub głośny śmiech. Grała muzyka i od czasu do czasu dały się słyszeć ciche piski i głuchy tupot stóp.

Wznieśliśmy z Samirem toast, gratulując sobie nawzajem, że wszystko tak dobrze się ułożyło. Może duża różnica wieku między naszymi dziećmi wbrew pozorom była ułatwieniem?

Po pewnym czasie, mniej więcej po półgodzinie, zbiegli na dół. Vincent, który zanosił się od śmiechu, na plecach przywiązał sobie skakanką owczą skórę, a do buzi włożył sztuczne zęby, które dostał na jakimś przyjęciu urodzinowym.

– Zobacz, mamusiu, jestem potworem! – krzyczał, wyciągając przed siebie ręce jak szpony.

Śmialiśmy się wszyscy.

– Mam nadzieję, że to okej, że użyliśmy tej skóry? – odezwała się Yasmin.

– Oczywiście – zapewniłam. – Ale teraz chyba musicie się już trochę uspokoić, bo inaczej dzisiaj nie zaśniesz, młody człowieku.

W ciągu następnych tygodni i miesięcy spędzaliśmy ze sobą dużo czasu. Chodziliśmy na koncerty i do teatru, spotykaliśmy się na wspólnych obiadach lub kolacjach, a niekiedy wybierałam się razem z Vincentem na mecze koszykówki Yasmin.

Pod wieloma względami był to idylliczny okres. Stopniowo poznawaliśmy się coraz bliżej, a ja co rusz odkrywałam nowe twarze mojej pasierbicy. Wiosną chętnie pomagała mi w ogrodzie i niespodziewanie okazała duże zainteresowanie warzywami, które uprawiałam na grządkach za domem.

– Dlaczego sadzisz cebulę na brzegu dookoła marchwi? – spytała kiedyś, wtykając palec w ziemię.

– Cebula lubi słońce i ciepło. Chodzi o to, żeby nać marchwi jej nie zasłoniła. Mój tata mówił też zawsze, że cebula odstrasza połyśnice marchwianki. To taki owad, który niszczy marchew. Ale nie wiem, czy to prawda.

Razem siałyśmy, pełyśmy, kopałyśmy i zbierałyśmy plony. A potem wyciskałyśmy soki, marynowałyśmy oraz kvasiłyśmy. Gdy któregoś razu Yasmin zwierzyła mi się, że tęskni za swoją mamą, ścisnęło mi się serce. Bidulka – pomyślałam – taka młoda, a już doświadczyła tak bolesnej i druzgocącej straty.

Wspomniała o tym, gdy mimo ulewnego deszczu wrywałyśmy chwasty z grządek.

– Szkoda, że moja mama mnie teraz nie widzi – powiedziała jakby od niechcienia. – Czasami straszliwie mi jej brakuje.

– Rozumiem cię – odrzekłam. – Naprawdę rozumiem.

*

Pobraliśmy się w sierpniu. Uroczystość była skromna, a sam ślub odbył się na plaży w Sandhamn. Umówiliśmy się na ceremonię cywilną – nie byliśmy religijni ani nie należeliśmy do żadnego kościoła; oboje wyobraziliśmy sobie, że złożenie przysięgi małżeńskiej na plaży, z ciepłym piaskiem pod stopami i przy akompaniamencie szumu fal rozbijających się zaledwie kilka metrów dalej, będzie bardzo romantyczne.

Yasmin i Vincent uwili dla wszystkich gości wianki z brzozowych witek i kwiatów – między zielone gałązki wplekli stokrotki i różyczki, które, jak podejrzewałam, gdzieś ukradli. Ja miałam na sobie tę zdecydowanie za drogą suknię, która oczywiście rozdarła się już po drodze na plażę, gdy Samir nadepnął na jej rąbek.

Po wszystkim zaprosiliśmy towarzystwo na obiad do domu Grety, która mimo że durzyła się wcześniej w Samirze, pogodziła się jednak z faktem, że jesteśmy parą, i wspaniałomyślnie wynajęła nam swój domek na szkiecach. Oprócz dzieci w uroczystości uczestniczyły naturalnie moja mama i moje najbliższe przyjaciółki. Rodzice Samira nie żyli, nie miał też rodzeństwa, miał za to dziesięciu kuzynów, ale tylko z jednym z nich – Muhammedem – utrzymywał kontakt. I to właśnie on przyleciał aż z Marrakeszu ze swoją żoną Moną.

Trochę stresowałam się ich wizytą, bo przecież Muhammed i jego żona to prawdopodobnie wyznawcy islamu, a skoro tak, to pewnie nie będą mogli wszystkiego jeść i być może się oburzą, że podajemy alkohol.

Samir wyśmiał mnie tylko i powiedział, że wszystko pójdzie świetnie i żebym wyluzowała.

– Znowu wychodzi z ciebie typowa Szwedka. Myślisz pewnie, że on jest terrorystą, kompletnym abstynentem i nudnym palantem tylko dlatego, że ma muźmańskie imię.

Okazało się oczywiście, że miał absolutną rację: Muhammed wypił najwięcej wina z nas wszystkich, a Mona przegadała całą noc z Yasmin i moją mamą. A kiedy Samir sięgnął po gitarę i zaczął śpiewać jakiś arabski szlagier, wówczas jego kuzyn wraz z żoną wstali i dołączyli do niego. O ile dobrze widziałam, moja mama miała łzy w oczach.

Muhammed i Mona najwyraźniej nie tylko wyznawali laicki światopogląd, ale byli też przesympatycznymi i ciepłymi ludźmi.

Tamtego dnia w ogóle sprzyjało nam szczęście. Moja mama jakimś cudem ani razu nie użyła słowa „Arab”, a pogoda była wprost cudowna: świeciło słońce, w koronach sosen cicho szeptał wiatr, a tafla morza przy domku Grety lśniła niczym rozpostarty jedwab. Gdy zapadła noc i goście już sobie poszli, usiedliśmy we dwoje na brzegu i czekaliśmy na świt.

– Jestem szczęśliwa – powiedziałam.

Samir pogłaskał mnie po plecach i zapatrzył się w jasną smugę światła nad horyzontem.

– Szczęście jest ulotne – rzekł. – Jak szwedzkie lato. Pojawia się znienacka i równie szybko znika, bez ostrzeżenia.

Chyba się wtedy roześmiałam, ponieważ to wymyślne porównanie wydało mi się zarówno piękne, jak i zabawne.

Nie przyszło mi jednak do głowy, że on może mieć rację.

*

Po ślubie Samir i Yasmin zamieszkali z nami w Kungsudd. Uznaliśmy, że to będzie dla wszystkich najlepsze rozwiązanie: dom był wystarczająco duży, Yasmin mogła kontynuować naukę w tej samej szkole, ponieważ czas dojazdu wydłużył się tylko nieznacznie, a Samir też nie miał nic przeciwko swoim codziennym podróżom do instytutu. To kolejna z jego zalet: nigdy nie robił problemu ze spraw praktycznych. Spędzanie co rano i co wieczór godziny w samochodzie jakoś specjalnie mu nie przeszkadzało. Zresztą nic nie wskazywało na to, by praca w ogóle go stresowała. O ile dobrze zrozumiałam, to, co robił, wymagało cierpliwości, długich lat studiów i ostrego jak brzytwa intelektu. Mimo to po powrocie do domu nigdy nie wyglądał na zmęczonego czy na wyczerpanego.

Nigdy też nie odmówił Vincentowi, gdy ten chciał z nim pograć w piłkę albo porysować, i najczęściej to również Samir przygotowywał kolację. I to jaką! Jedliśmy sporo potraw wywodzących się z kuchni północnoafrykańskiej: gulasz jagnięcy z kuskusem, zaalouk, czyli sałatkę z bakłażana i pomidorów, rozgrzewającą zupę harirę. Na porządku dziennym był też własnej roboty hummus z dodatkiem czosnku i cytryny, domowy chleb oraz herbata z miętą, którą Samir wyhodował na jednej z dawnych grządek taty. Bardzo uważał, aby nie przesadzać z przyprawami, tak by również Vincent, który nie przepadał za wyrazistymi smakami, polubił nowe potrawy.

– Ostra jak nóż harissa jest dobra na żołądek – mawiał ze śmiechem.

Zupełnie inaczej rzecz się miała ze zmywaniem i ze sprzątaniami. Nikt z nas, z wyjątkiem Vincenta, nie lubił tego robić. W konsekwencji stopy brudnych naczyń piętrzyły się w kuchni, a brudna bielizna czekała na pranie tygodniami. Kłęby kurzu wielkie jak koty czaiły się po kątach, a rośliny doniczkowe przymierały na parapetach. I mogłoby to trwać całymi tygodniami, gdyby ktoś w końcu nie zwrócił na ten stan uwagi, a tym kimś oczywiście zawsze byłam ja. Nie lubiłam roli rodzinnego nadzorca, nie pasowałam do niej i nie chciałam być superpoprawną Anniką z Fizi Pończoszanki, która nieustannie marudzi, że dom popada w ruinę, pogodziłam się jednak z tym, że tak właśnie często dzieje się w związkach. Przydzielano ci pewną rolę albo sama ją przyjmowałaś – w zależności od punktu widzenia. Ktoś zostawał Mędrkiem (Samir), a ktoś Wesołkiem (Vincent), a skoro ja dobrowolnie przyjąłam rolę porządnej Anniki, nie mogłam się od niej wykręcić.

A kim była Yasmin?

Nie wiedziałam tego wtedy i nie wiem również teraz. Poza tym czy w takich sprawach można mieć jakąkolwiek pewność? Wiemy tyle, ile widzimy – a widzimy jedynie tę stronę, którą inni decydują się nam pokazać. Nawet osoby nam najbliższe mogą ukrywać swoje prawdziwe ja.

Tak, muszę przyznać, że nie miałam pojęcia, kim w głębi duszy była Yasmin, ale jestem niemal przekonana, że pragnęła być Królową Śnieżką.

Niedługo po naszym ślubie córka Samira się zmieniła, stało się to niemal z dnia na dzień. Zaczęła się malować, wokół swoich pięknych oczu rysowała gniewne czarne kreski. Ukrywała skórę pod grubą warstwą samoopalacza i z uporem używała perfum w takiej obfitości, że Vincent

od razu zaczynał przy niej kichać. No i te jej stroje – codziennie wyglądała tak, jakby właśnie wybierała się do nocnego klubu, a nie do szkoły.

Bolało mnie to, ponieważ wcześniej była o wiele, wiele ładniejsza. Nie mogłam jednak jej tego powiedzieć. Brakowało mi tamtej dziewczyny, która wyrywała ze mną chwasty na grządkach, i pragnęłam, by wróciła.

Ale tego także nie mogłam powiedzieć.

Ponadto stała się też przewrażliwiona na własnym punkcie i bardzo źle przyjmowała moje ewentualne uwagi na temat jej stroju czy sposobu wyrażania się. Co nie znaczy bynajmniej, że często sobie na nie pozwalałam – nie byłam jej matką i przyjęłam zasadę, że nie powinnam próbować nią być. Choć oczywiście się zdarzało, że na przykład sugerowałam, by ubrała się trochę cieplej, kiedy gdzieś wychodziła i na dworze było zimno. Nie doceniała tego, odbierała to w zupełnie niewłaściwy sposób. Chodziło mi przecież tylko o to, by nie zmarzła, w gruncie rzeczy miałam w nosie, że ubiera się w cienkie wydekoltowane topy i spódniczki tak krótkie, że kiedy się schylała, żeby założyć buty, widać było majtki.

Wydawało mi się jednak dziwne, że Samir w ogóle nie rozmawiał z nią na ten temat. Jestem zdeklarowaną feministką, uważam, że kobiety bez wątplenia powinny mieć takie same prawa i możliwości jak mężczyźni. Ale jestem też realistką i wiem, że w społeczeństwie, w którym żyjemy, trzeba myśleć także o tym, czym emanujemy.

Yasmin emanowała seksem.

*

Drzwi wejściowe się zatrzasnęły i po chwili zobaczyłam policjantów zmierzających do swojego samochodu. Pierwszy sprężystym krokiem szedł Gunnar, kuląc się pod wiatr. Jedną ręką przytrzymał czapkę, a w drugiej niósł teczkę. Tuż za nim po zlodowaciałej nawierzchni dreptała Ann-Britt, z dłońmi schowanymi głęboko w kieszeniach grubego płaszcza.

Na dworze trochę pojaśniało, chociaż stalowoszare niebo nadal wisiało ciężko ponad wierzchołkami drzew. Pojedyncze płatki śniegu tańczyły na wietrze – opadały, a potem znowu się podrywały i wirowały od nowa. Drzewa i krzewy wyciągały nagie gałęzie ku odrobinie światła, jaka się pojawiła, jakby w nadziei, że pewnego dnia nadejdzie jednak wiosna. Trawnik był zmierzwiony, gdzieś tam prześwitywały łąchy

zamarzniętej gliny, w której bawił się Vincent – wyraźnie widoczne ślady jego małych stóp, stężałe i zeskorupiałe, zachował w czasie i przestrzeni mróz. Za cisowym żywopłotem po drugiej stronie trawnika widać było łąkę i pokryty patyną miedziany dach posiadłości Kungsudd.

Nazwa Kungsudd1 mogła sugerować, że mieszkamy na cyplu, ale w istocie była to wyspa połączona mostem ze stałym lądem. Idylliczna, wręcz sielska okolica. Wokół dawnego dworu znajdowało się około pięćdziesięciu posesji, w większości z przełomu wieków. Wiele z nich stanowiło pierwotnie część jednej wielkiej posiadłości, ale w pierwszej połowie dwudziestego wieku zostały sprzedane, inne zaś od początku pełniły funkcję domów letniskowych zamożnych sztokholmskich rodzin.

Latem oddalone od siebie zabudowania otaczała bujna zieleń, tu i ówdzie przecinały ją spore połacie lasu. Na klifach wzdłuż brzegu pyszniły się nowo wybudowane domy, do których należały też obszerne pomosty w dole. W tej części wyspy, nazywanej zakątkiem krezusów, dominowały stal, szkło i beton, a stojące na podjazdach samochody, zazwyczaj niemieckich marek, były szybkie i drogie.

Kungsudd słynęło nie tylko z urody, ale także z bezpieczeństwa. Nie dotknęła nas poważna przestępczość, ominęła nas też fala narkotykowa, która w ostatnich latach zalała wiele innych przedmieść Sztokholmu. Pod tym względem radziliśmy sobie całkiem nieźle.

Oczywiście zdarzały się różne incydenty: ostatniej jesieni pijana sześćdziesięciolatka potrafiła dziecko przy moście – dziewczynka wbrew wszystkiemu przeżyła, ale była poważnie ranna. W jednym z tych szpanerskich pałaców na klifie ojciec rodziny powiesił się po tym, jak żona zostawiła go dla swojego trenera tenisa. A kilka tygodni temu kolumbijska gosposia de Veghów z posiadłości Kungsudd porzuciła swoje obowiązki i uciekła, nie wyjąwszy nawet bułeczek z piekarnika.

W przedpokoju rozległy się czyjeś kroki.

Odwróciłam się od okna.

Do kuchni wszedł Samir. Opadł ciężko na krzesło i spojrzał na mnie. Miał bladą twarz i czoło wilgotne od potu. Usiadłam obok i go objęłam.

Gwałtownie wciągnął powietrze.

– Oni mnie... mnie podejrzewają – wykrztusił. – Uważają, że to ja skrzywdziłem Yasmin.

– Na pewno nie. Mnie zadawali identyczne pytania. To rutynowe działanie.

Roześmiał się oschle i uwolnił się z moich objęć.

– Jak mogli w ogóle pomyśleć coś takiego? Skąd im to przyszło do głowy?! Że ja, jej rodzony ojciec. Swoje. Własne. Dziecko.

Słowa wydobywały się z niego zrywami, raptownie, częściowo hamowane wzbierającym płaczem. Ukrył twarz w dłoniach. Jego ramiona drżały w rytm coraz silniejszego szlochu. Kiedy zobaczyłam, że mężczyzna, którego kochałam, tak strasznie cierpi, kiedy usłyszałam strach tak wyraźnie obecny w każdym jego słowie i poczułam jego lęk, wpadłam w gniew.

– Dlaczego oni nic nie robią? – rzuciłam, waląc dłonią w stół. – Dlaczego zamiast zadawać nam te wszystkie absurdalne pytania, po prostu jej nie szukają? I co takiego znaleźli na klifie? Bo ta policjantka mówiła, że na coś tam natrafili. Co to, u diabła, ma znaczyć? Chyba zamiast bawić się z nami w kotka i myszkę, powinni nam to wyjaśnić? Czy my nie mamy prawa wiedzieć?

Samir milczał.

– Czy obdzwoniłeś jej znajomych? – spytałam go.

– Część.

– A dlaczego nie wszystkich?

Westchnąwszy, zebrał włosy w kucyk i spiął je gumką, którą nosił na nadgarstku.

– A Tom? Rozmawiałeś z nim?

Poruszył się na krześle, wyraźnie zirytowany. Zawsze tak reagował, gdy była o nim mowa. Nie lubił go, a ja zupełnie nie potrafiłam zrozumieć dlaczego. Moim zdaniem Yasmin miała szczęście, że trafiła na takiego chłopaka jak Tom.

– Zostawiłem mu wiadomość.

Wstałam i podeszłam do kuchennej szafki, w której trzymaliśmy nasze dokumenty i książeczki zdrowia. Otworzyłam ją, wyjęłam paszporty i zajrzałam do pierwszego z brzegu.

Ze zdjęcia uśmiechała się do mnie Yasmin.

– Sprawdzalem je wczoraj – bąknął Samir. – Zajrzałem też do jej pokoju. Raczej niczego nie brakuje.

– Mamusiu...?

Natychmiast się odwróciłam: obok stał Vincent. Nie słyszałam, kiedy wszedł do kuchni.

– Jesteś smutna – powiedział, lekko przekrzywiając głowę. Jego jasne oczy błyszczały w słabym świetle dnia, a uśmiech był tak dyskretny, że niemal niewidoczny na okrągłej twarzyczce.

Nie widziałam powodu, by go okłamywać, skinęłam więc głową.

– Martwisz się o Yasmin? – drążył dalej. – I jesteś zła. Okropnie zła.

Znowu potaknęłam, zadziwiona wrażliwością tego niezwyklego chłopczyka, który tak trafnie potrafił wyczuwać nastroje i emocje.

Podszedł jeszcze bliżej, wziął mnie za rękę i zaprowadził na krzesło obok Samira. Kiedy usiadłam, wdrapał mi się na kolana i pocałował mnie w policzek.

– Pocieszę cię, mamusiu – powiedział.

5

Kilka miesięcy po tym, jak Samir i jego córka zamieszkali z nami, Yasmin zaczęła spotykać się z Antonem. To nie pierwszy chłopak, którego przyprowadziła do domu, wcześniej byli inni: gamoniowaci, małomówni, wyraźnie nią zauroczeni. Któregoś dnia po powrocie z pracy zastałam Antona na kanapie w salonie, zasmarkanego i zalanego łzami. Kiedy go spytałam, co się stało, początkowo nie chciał mówić, ale potem wyznał, że Yasmin tylko się nim bawiła i że postępuje tak ze wszystkimi. A teraz już się nim znudziła i kazała mu się wynosić.

W tamtym momencie trochę mnie to nawet rozbawiło. Myśl, że Yasmin, ta słodka dziewczyna, która grzecznie dygnęła przy naszym pierwszym spotkaniu, miałaby być kimś w rodzaju femme fatale, wydała mi się całkiem absurdalna, mimo że styl, w jakim się ubierała, niejako poświadczał, że bardzo się starała zasłużyć na taki epitet.

Gdy opowiedziałam o incydencie Samirowi, wydawał się bardziej poruszony niż ubawiony tym, co usłyszał.

– Powinna skupić się na szkole, a nie na chłopakach – oznajmił. – Powinna więcej czasu poświęcać nauce.

Miał absolutną rację, zwłaszcza że w tamtym czasie oceny Yasmin powoli, ale konsekwentnie stawały się gorsze i marzenie jej ojca, aby w przyszłości została lekarzem tak jak on, było coraz mniej realne.

Mniej więcej miesiąc po swoich siedemnastych urodzinach Yasmin poznała Pita i wtedy wszystko się zmieniło.

Pito nie był fajtłapowatym niedorostkiem. Miał trzydzieści lat, czyli niemal dwa razy więcej niż ona, zajmował się organizowaniem imprez, a jego ramiona i szyję pokrywały kolorowe tatuaże. Nie było w nim choćby śladu nieporadności, nie był też małomówny, ale nie wykazywał najmniejszego zainteresowania rozmową z kimkolwiek poza Yasmin.

Oboje poczuliśmy się jednakowo zszokowani. Chyba bardziej dużą różnicą wieku niż tatuażami i sposobem bycia, niebawem jednak Samir

wytropił, że ów Pito miał na swoim koncie wyrok za przestępstwa narkotykowe. I wtedy się zaczęło. Samir zażądał, aby Yasmin natychmiast przestała się z nim spotykać, bo w przeciwnym razie zawiadomi urząd opieki społecznej i wykreśli ją ze swojego testamentu – zagroził własnej córce, że przestanie dla niego istnieć. Powiedział jeszcze całą masę innych rzeczy, ale mój francuski nie jest na tyle dobry, bym mogła to wszystko zrozumieć, a arabskiego nie znam ni w ząb.

Wiedziałam, że w gruncie rzeczy wcale tak nie myślał. Był niezwykle emocjonalny i potrafił się rozplakać, oglądając program dla dzieci, albo nawrzeszczeć na Yasmin za złą ocenę z klasówki. Emocje, które przybierały tak gwałtowny wyraz, opadały równie szybko, jak wybuchały. A Yasmin zawsze pozostanie przecież jego małym cudem, bez względu na to, co zrobi.

Ona również doskonale o tym wiedziała i skwapliwie to wykorzystywała. Owinęła go sobie wokół małego palca i zawsze osiągała to, co chciała. Czy chodziło o porę jej powrotu do domu wieczorem, udział w imprezach, czy o pieniądze. Za każdym razem to ona wychodziła zwycięsko z ich kłótni.

Najdelikatniej, jak umiałam próbowałam poruszyć ten temat z Samirem. Usiłowałam mu wyjaśnić, że jego córka, jak wszystkie nastolatki, potrzebuje jasnych zasad. Zasad, które nie podlegają negocjacji i które istnieją po to, by wyznaczać bezpieczną i niezachwianą granicę dopuszczalnego zachowania. Reguł, które są nienaruszalnymi murami, a nie pionkami przesuwanymi tam i z powrotem po stworzonej przez nią planszy.

Sądzę, że on to wiedział, nie był jednak w stanie się jej przeciwstawić. Sam przyznawał, że nie może, że nie teraz, że jeszcze nie. Bo przecież Yasmin jest taka wrażliwa i przeżyła tyle trudnych chwil.

Czy ja to rozumiem?

Owszem, rozumiałam. Straciła mamę i siostrę, została przewieziona z jednego kraju do drugiego jak wysłużona walizka i na koniec upchnięta tutaj, na pięterku starego domu, razem z macochą i przyszywanym bratem. Mimo to uważałam, że Samir popełniał błąd, i byłam całkowicie przekonana, że jego uległość wobec córki jej nie pomoże. Jako nauczycielka nie miałam wątpliwości, że zasady stanowią podstawę, dają poczucie bezpieczeństwa – bynajmniej nie ograniczają, tylko raczej budują fundament, na którym można się oprzeć.

Tak czy owak, Yasmin obiecała, że przestanie się widywać z Pitem, i rzeczywiście już nigdy go nie zobaczyliśmy. Ale jeżeli liczyliśmy na to, że ona uspokoi się tylko dlatego, że z nim zerwała, to bardzo się myliliśmy.

Pewnego dnia, tego samego lata, kiedy zaczęła się spotykać z Tomem, weszłam do jej pokoju, żeby go przeszukać.

Czułam bowiem, że coś jest nie tak, bardzo nie tak.

Przetrząsnęłam stos rzuconych na podłogę ubrań, wywróciłam do góry nogami kosz na papiery, sprawdziłam szuflady w biurku – były w nich tylko kosmetyki, śmieci i jeszcze raz śmieci. Z ciasnej przestrzeni pod łóżkiem wyciągnęłam jedynie stare majtki i puste opakowania po słodyczach. Na koniec wyjęłam wszystko z komody – każdą rzecz po kolei – i położyłam na pościeli. Na samym spodzie, pod bielizną, znalazłam torebkę z czymś, co wyglądało jak kostka bulionowa. Otworzyłam ją i powąchałam zawartość, chociaż domyślałam się, co to może być.

Zastanowiłam się przez chwilę i szybko podjęłam decyzję. Greta miała kuzynkę Bellę, która pracowała w policji. Kto jeśli nie ona będzie wiedział, jakie dalsze kroki należy podjąć w takiej sytuacji?

Tamtego wieczoru razem z Bellą czekałam na Yasmin w kuchni. Vincent był w swoim pokoju, a Samir pracował. Celowo do niego nie zadzwoniłam, ponieważ domyślałam się, że byłby przeciwny mojemu planowi. W jego oczach Yasmin była zawsze niewinną ofiarą. Być może to prawda, co jednak wcale nie znaczyło, że zamykanie problemów pod dywan w czymkolwiek jej pomoże.

Wróciła do domu około piątej. Przekręciła klucz w zamku, weszła do przedpokoju i trzasnęła drzwiami tak mocno, że filiżanki z kawą zagrzechotały na stole. Następnie, idąc na górę do swojego pokoju, mimochodem zajrzała do kuchni. Długie czarne włosy miała upięte w węzeł wysoko na czubku głowy, a pod cienką skórzaną kurtką mimo zimna nosiła tylko głęboko wycięty top. Czerwony czubek nosa i czarne półksiężycy pod oczami od rozmazanego tuszu to stałe elementy jej wizerunku.

– Cześć – rzuciła, patrząc na mnie i na Bellę pytającym wzrokiem.

– Cześć – odparła Bella.

W tym momencie Yasmin zauważyła na stole torebkę z bryłką haszyszu i wyraźnie poblądła pod warstwą samoopalacza. Płócienna torba z podręcznikami wypadła jej z ręki i z hukiem wylądowała na podłodze.

– Chciałabym z tobą pogadać o tym – odezwała się Bella, wskazując na foliowy woreczek z kostką bulionową, która nie była kostką bulionową.

Yasmin cofnęła się do przedpokoju, ale po kilku krokach przystanąła i nie ruszyła się z miejsca. Wyraz zdziwienia na jej twarzy ustąpił strachowi i złości.

– To jest Bella – wyjaśniłam. – Kuzynka Grety. Przez wiele lat była policjantką, ale nie pracuje już w policji. Poprosiłam ją, żeby przyszła, ponieważ ma bogate doświadczenie w...

Gestem wskazałam leżącą na stole torebkę.

Oczywiście zrobiło się gorąco. Zalewając się łzami, Yasmin wielokrotnie zapewniała, że haszysz nie należy do niej i że nie ma pojęcia, jakim cudem znalazł się w jej komodzie. I że Pita nie widziała od miesiący. A tak w ogóle, to jakim prawem grzebałam w jej rzeczach?

Bella opisała spokojnie, jakie życie ją czeka, jeśli pójdzie dalej ścieżką, na którą wstąpiła: poważne uzależnienie, świat przestępczy, prostytutka. Wykluczenie o takiej skali, że wręcz trudno to sobie wyobrazić. Wszystko skończyło się wściekłym wybuchem Yasmin, która krzyczała na mnie, że nie jestem jej mamą, że niszczę jej życie i że byłoby lepiej dla wszystkich, gdybyśmy Samir i ja nigdy się nie spotkali.

Nic z tego, co wrzeszcząc, z siebie wyrzuciła, nie było dla mnie szczególnym zaskoczeniem, mimo to zrobiło mi się przykro. Myślałam bowiem, że mamy dosyć dobrą relację, opartą na wzajemnym szacunku, a może nawet przyjaźni. Lubiliśmy się i żywiłam cichą nadzieję, że pewnego dnia Yasmin zrozumie, iż zrobiłam to dla jej dobra, ponieważ mi na niej zależało.

Kiedy wykrzyczała już wszystko, popędziła do swojego pokoju.

Bella pokiwała głową i zwróciła się do mnie:

– A teraz zrób tak: zadzwoń na policję i zgłoś anonimowo, że ten dupek Pito rozprowadza dragi nieletnim. To oczywiste, że dostała to świństwo od niego. A jeśli o nią chodzi...

Zamilkła na chwilę i zabębniła palcami w stół, po czym dokończyła:

– ...daj jej trochę czasu. Przez parę dni na pewno będzie na ciebie zła.

Tu Bella grubo się pomyliła. Minęły tygodnie, zanim Yasmin znowu się do mnie odezwała, a cała ta historia wywołała zgrzyty także pomiędzy mną a Samirem.

Dlaczego najpierw z nim nie porozmawiałam? I czy koniecznie musiałam wciągać w problemy jego córki osoby z zewnątrz? To sprawa

rodzina, a takie załatwia się we własnym gronie.

Próbowałam mu wytłumaczyć, że po prostu chciałam jej pomóc. Nawiasem mówiąc, jemu także, bo przejmując inicjatywę, starałam się oszczędzić mu wstrząsu.

Chyba mnie zrozumiał.

Ale historia bynajmniej na tym się nie skończyła. Zrobiłam, jak radziła Bella, czyli zadzwoniłam na policję i powiedziałam o Pito; jakiś czas później w jego mieszkaniu znaleziono duże ilości haszyszu i kokainy. Aresztowano go i ostatecznie oskarżono o przestępstwa narkotykowe. Podczas śledztwa Yasmin kilkakrotnie składała zeznania.

Nigdy nie powiedziałam jej o moim anonimowym donosie, ale wiem, że mnie podejrzewała. Spojrzenia, jakimi mnie obrzucała, kiedy zabierano ją na przesłuchanie, były pełne pogardy.

Odnosiłam wrażenie, że mnie nienawidzi.

*

Była sobota wieczór, minęła już niemal doba od momentu, gdy właścicielka psa zauważyła dwie osoby na szczycie Kungsklippan. Ponownie zapadła ciemność. Czy przez ten czas w ogóle zrobiło się jasno? Nie pamiętałam. Po wyjściu policjantów postanowiłam poświęcić trochę więcej uwagi Vincentowi. Upiekliśmy chleb, chociaż wcale go nie potrzebowaliśmy, bo w zamrażarce był potężny zapas, ale pieczenie sprawiało mojemu synkowi wielką frajdę.

Samir znowu poszedł szukać Yasmin.

Oczywiście krążenie na oślep w pojedynkę po okolicy i wypatrywanie kogoś, kto zniknął dwadzieścia cztery godziny wcześniej, nie miało większego sensu. Prawdopodobnie jednak zrobiłabym dokładnie to samo, gdyby chodziło o Vincenta.

On i ja napiliśmy się herbaty i zjedliśmy po kromce świeżo upieczonego chleba, a potem położyłam go spać. Wydawał się trochę spokojniejszy – wprawdzie nadal nieustannie pytał o Yasmin, ale nie był już tak roztrzęsiony. I bardzo martwił się o to, jak ja się w tym wszystkim czuję. Jego troska o samopoczucie moje i innych członków rodziny szczerze wzruszała. Ponieważ intuicyjnie wiedział, w jakim jesteśmy stanie i co przeżywamy, czuł się zmuszony nas pocieszać, naprawiać i łątać to, co się zepsuło.

Samir wrócił o wpół do dziesiątej, dygocząc z zimna. Błady i skulony usiadł z powrotem na swoim krześle w kuchni i milczał. Trząsł się i drżał w niekontrolowany sposób, mimo że narzuciłam mu koc na ramiona.

Czułam się potwornie bezsilna. Pragnęłam mu pomóc, chciałam też pomóc Yasmin, ale nie wiedziałam jak.

Czy ona jeszcze żyje? Co właściwie się stało?

W miarę upływu czasu stopniowo odzyskiwałam zdolność trzeźwego myślenia. Próbowałam na chłodno przeanalizować sytuację i sformułować hipotezy, które można by uzasadnić lub odrzucić.

Usiłowałam zrozumieć.

Spojrzałam na Samira.

– Jeszcze herbaty?

Pokręcił głową.

– Nie, dziękuję.

– Jak myślisz... – zaczęłam. – Co według ciebie się stało?

Odwrócił głowę i zapatrzył się w okno. Obserwowałam w szybie odbicie mężczyzny, którego kochałam, jego twarz była stężała i pozbawiona wyrazu.

Chrząknęłam.

– Sądzisz, że ona próbowała... Że chciała coś sobie zrobić?

Nie odpowiedział. Widziałam, że zacisnął jedną pięść, raz za razem otwierał ją i zaciskał na kolanie.

– A te postacie, które właścicielka psa dostrzegła na klifie... – ciągnęłam. – Swoją drogą, jak ona mogła je w ogóle zobaczyć? Przecież musiało być ciemno choć oko wykol, a ścieżka biegnie spory kawałek od urwiska.

– Wczoraj świecił księżyc.

– Naprawdę?

– Tak, w każdym razie kiedy kładłem Vincenta.

Zastanowiłam się. Gdy szłyśmy przez las w Sandhamn, noc była czarna jak smoła, tyle że to było już kilka godzin później.

Usiadłam na krześle obok niego i położyłam dłoń na jego zaciśniętej pięści.

– Samirze, porozmawiaj ze mną. Ale szczerze. Znasz Yasmin znacznie lepiej ode mnie. Czy według ciebie ona...

Nie zdołałam dokończyć zdania.

I wtedy to się stało. Samir się załamał. Pochylił się i oparł czoło na stole. Jego ciałem wstrząsały konwulsje, a z ust ciekły strużki śliny.

– Tak – zaszlochał. – Myślę, że ona popełniła samobójstwo.

6

Poniedziałkowy poranek, dwa dni po zniknięciu Yasmin.

Niedzielę spędziliśmy w nieznośnej próżni, która – jak zauważyłam – powoli stawała się stanem normalnym. Każdy z nas zadzwonił tam, gdzie musiał: Samir do Muhammeda i do swojego szefa w instytucie, ja do Greta i do dyrektorki szkoły z informacją, że przez kilka dni mnie nie będzie, a także do mamy.

Mama się rozplakała, gdy usłyszała, co się stało. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że Yasmin, ta niewinna i krucha istota, odebrała sobie życie albo – co jeszcze straszniejsze – padła ofiarą zbrodni.

Nie, czegoś takiego rzeczywiście nie sposób było sobie wyobrazić. Nawet do mnie, znajdującej się w oku cyklonu, nadal nie docierało, że Yasmin nie żyje. Że odeszła na zawsze, po wieczne czasy. Że już nigdy nie wpadnie do domu jak burza, nie trzaśnie z hukiem drzwiami i nie krzyknie: „Cześć, wróciłam!”.

Że już nigdy nie będę zbierać jej rzeczy z podłogi, prosić ją, żeby ściszyła muzykę, ani nie zobaczę jej z Vincentem pod kocem na kanapie, jak czyta mu na głos jakiś kryminał czy horror, czy jakąkolwiek inną książkę nieodpowiednią dla dzieci.

Krajało mi się serce. Oczywiście przede wszystkim ze względu na Samira, który już wcześniej stracił połowę swojej rodziny w straszliwym wypadku, ale także ze względu na Vincenta. Yasmin stała się dla niego i siostrą, i bratem, których nigdy nie miał, a teraz jej nie było.

To niesprawiedliwe, to złe, to jakaś drwina z życia.

Każdy, kto stracił ukochaną osobę, wie, że takie doświadczenie niesie ze sobą nieopisany ból, i to nie tylko duszy. Boli też ciało, szczypie skóra, oddech staje się ciężki, jakby klatkę piersiową ścisnęła ciasna obręcz. Paralizujący jest także smutek. Działa jak filtr, protektor świadomości – hamuje każdy pobudzający impuls. Mimo wszystko za wszelką cenę starałam się jakoś posklejać nasze codzienne życie. Odprowadzałam

Vincenta do szkoły, paplając po drodze o śniegu, który właśnie spadł, i próbując w ten sposób wywołać poczucie względnej normalności. Wiedziałam jednak, że to na nic. Wystarczyło, że obrzucił mnie tym swoim długim zatroskanym spojrzeniem – on wszystko rozumiał. Mój kochany, mądry chłopiec.

Wracając któregoś razu do domu, specjalnie przeszłam obok Kungsklippan, nie mogłam się powstrzymać. Niebiesko-biała taśma zabezpieczająca przyczepiona do przenośnych pacholek łopotała na wietrze, ale dookoła nie było widać ani policjantów, ani w ogóle nikogo. W dole płynął statek towarowy zmierzający w stronę centrum Sztokholmu.

Miałam ochotę przejść przez taśmę i zbliżyć się do skraju klifu, w nadziei, że może uda mi się coś zauważyć – cokolwiek, co pomogłoby mi zrozumieć bieg wydarzeń. Ale lęk przed tym, że ktoś mógłby mnie zobaczyć w miejscu, w którym nie powinnam się znajdować, okazał się silniejszy. Prawdopodobnie bałam się też spojrzeć w dół, w czarną otchłań wody, i zobaczyć ostre kamienie u podnóża klifu. Obawiałam się, że to byłoby jak patrzenie we własne wnętrze, wejrzenie w sytuację, w jakiej znalazłam się wraz z rodziną. Czyli wejrzenie w przepaść.

Teraz siedziałam z Samirem przy stole w kuchni. Oboje milczeliśmy, bo nie było nic do powiedzenia.

Zerknęłam w okno. Sypiący z nieba gęsty śnieg przesłaniał drzewa i dach posiadłości Kungsudd. Zamarznięte brązowe łachy gliny ze śladami butów Vincenta pokrywała kilkucentymetrowa warstwa białego puchu.

Nagle rozległ się warkot silnika i między pniami pojawił się duży cień. Po chwili przed podjazdem zaparkował samochód, z którego wysiadł mężczyzna z teczką pod pachą. Na moment się zatrzymał, objął spojrzeniem nasz dom, po czym ruszył w stronę wejścia. Chociaż zamiast czapki z daszkiem miał grubą wełnianą czapę z nausznikami, rozpoznałam go od razu. To był Gunnar, przystojny policjant, który przesłuchiwał Samira.

Zadzwoił do drzwi, poszłam mu otworzyć.

– Dzień dobry. Czy możemy porozmawiać?

Wpuściłam go do środka. Odgarnął z czoła mokre kosmyki włosów i spojrzał na mnie badawczo. Odniosłam wrażenie, że jego intensywnie niebieskie oczy pełne są współczucia.

– Jak się miewacie?

– Nie najlepiej – przyznałam.

Bąknął coś pod nosem, po czym powiesił kurtkę i czapkę na wieszaku.

Przeszliśmy do kuchni.

Gunnar skinął głową Samirowi i usiadł obok niego. Powiódł spojrzeniem po rozwieszonych na ścianach rysunkach Vincenta i rodzinnych fotografiach – świadectwach czasu, który minął. Następnie odchrząknął.

– Jak już wspominaliśmy, znaleźliśmy pewne rzeczy na klifie i w jego okolicy. Chciałbym pokazać wam kilka zdjęć.

Otworzył teczkę, wyjął z niej cienki plik odbitek i pierwszą z nich położył na stole.

Przedstawiała skórzaną kurtkę leżącą na szafce ze stali nierdzewnej. Kurtka była mokra i miała trochę porwany jeden rękaw, ale rozpoznałam ją od razu.

– To kurtka Yasmin – powiedziałam. – Skąd ją macie?

– Została znaleziona w wodzie, przy skałach.

Nagle wezbrały we mnie intensywne mdłości.

– Przepraszam – rzuciłam i szybko wybiegłam do toalety. W ostatniej chwili zdążyłam unieść klapę sedesu; zwróciłam całe śniadanie, herbatę i świeżo upieczony chleb Vincenta.

Wyprostowałam się, spuściłam wodę, a następnie wypłukałam usta i obmyłam twarz i ręce nad umywalką. Potem przyjrzałam się sobie w lustrze. Włosy były zaniedbane, oczy zaczerwienione, usta ściągnięte w cienką kreskę. Bił ze mnie strach – wyzierał ze skóry, ze spojrzenia. Wylewał się z każdego poru, jakby moje ciało nie mogło albo nie chciało mieć go w sobie.

Kiedy wróciłam do kuchni, Gunnar pokazał jeszcze jedno zdjęcie. Były na nim buty Yasmin – czarne zamszowe kozaki na zdecydowanie zbyt wysokich obcasach, ze srebrnymi sprzączkami na kostkach. Pamiętam, że protestowałam przeciwko ich kupieniu zarówno ze względu na cenę, jak i na to, że były niepraktyczne.

Zdjęcie musiało być zrobione na Kungsklippan, ponieważ buty stały na samej krawędzi kamiennej półki, poniżej której otwierała się przepaść z morzem w dole.

Samir siedział z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Tak – potwierdziłam, by go wyręczyć. Nie chciałam, żeby jego oczy musiały patrzeć na ten obraz, nie chciałam, żeby jego usta musiały

wypowiedzieć to, co niewiarygodne. – To są jej buty – uzupełniłam.

– Hm – mruknął Gunnar, przeciągając dłonią po swojej nieogolonej brodzie.

– Ale jej nie znaleźliście? – spytałam.

– Nie. Sprowadziliśmy specjalnie szkolone psy. Na miejscu pracowali też nurkowie. Będą kontynuować poszukiwania, kiedy tylko pogoda się poprawi. Ale w tamtym miejscu są silne prądy, mogły ją znieść. Musicie przygotować się na to, że znalezienie ciała może zająć trochę czasu.

Dziwnie to brzmiało, kiedy mówił o niej w ten sposób, sprowadzając ją już wyłącznie do ciała. Nikt wcześniej nie powiedział tego wprost, nie odważył się ująć w słowa, że Yasmin prawdopodobnie nie żyje.

Przed oczami migały mi obrazy znikającej, tonącej w czarnej wodzie Yasmin: długie włosy falowały wokół jej ramion, miała otwarte powieki. Przez ułamek sekundy odniosłam wrażenie, że jestem tam razem z nią, jakby wciągała i mnie w tę zimną, czarną otchłań.

– Natrafiliśmy też na ślady krwi – rzekł Gunnar.

– Krwi? – powtórzyłam.

– Na skałach. Zarówno przy butach, jak i na kamieniach nad samą wodą. – Znowu ścisnął mi się żołądek i poczułam suchość w ustach. Wróciły mdłości, ale tym razem słabsze, do opanowania. – Chcemy ustalić DNA z krwi – kontynuował. – W związku z tym potrzebny jest nam jakiś materiał porównawczy.

– Ale przecież – wykrztusiłam – my nie mamy krwi Yasmin.

Policjant pokręcił głową.

– Przepraszam, musiałem nieprecyzyjnie się wyrazić. Nie potrzebujemy krwi. Czy mógłbym dostać jej szczoteczkę do zębów albo szczotkę do włosów?

– Jasne – odpowiedziałam i poszłam po wymienione rzeczy do łazienki.

Kiedy z nimi wróciłam, Gunnar włożył je do oddzielnych foliowych torebek i szczelnie zamknął.

– Będziemy musieli także od państwa pobrać próbki śliny i zrobić odciski palców. Żeby móc wykluczyć was oboje z analiz kryminalistycznych.

Jego słowa zabrzmiały w moich uszach jak kolejna zniewaga. Wiem, że to może wydawać się śmieszne, ale to wszystko coraz mocniej na nas napierało, przenikało coraz głębiej: wtargnęło do naszego domu, a teraz dodatkowo objęło także nasze ciała. Gdzie jest granica? Czym to się

skończy? Czy teraz nie będziemy mieć już żadnej prywatności, czy żadna sfera naszego życia nie będzie chroniona?

– Okej – rzuciłam.

– Świetnie. W takim razie poproszę jednego z kolegów, aby się tym zajął.

Po wyjściu Gunnara Samir przeniósł się na kanapę do dużego pokoju. Włączył telewizor, pokazywano akurat turniej golfa. Ani trochę nie interesował się sportem i raczej nie patrzył na transmisję – może po prostu potrzebował usłyszeć coś innego niż własne kłębiące się w głowie myśli.

Na kolanach miał książkę, w której przerzucał kartki. Po pewnym czasie podeszłam do niego, żeby spytać, czy może by coś zjadł, i mimo woli zerknęłam na nią. Była gruba, oprawiona w zieloną skórę, a na bogato zdobionej dekoracyjnymi rysunkami gwiazd okładce widniały tłoczone w złocie litery.

– Co to jest? – spytałam.

Spojrzał na mnie obojętnie.

– Koran.

Zdziwiłam się. Samir nie był religijny, nawet nie wiedziałam, że ma egzemplarz Koranu. Potem zauważyłam jeszcze leżący obok mały notes i długopis. Odczytałam rozstrzelone wyrazy.

„Yasmin. Sylvie. Yasmin. Sylvie. Yasmin. Sylvie”.

Jeden rząddek za drugim wypełniony tymi dwoma imionami. Imionami jego córek. Zapisanymi przez niego.

Imionami jego zmarłych córek.

Tego samego dnia około trzeciej ktoś zadzwonił do drzwi. Gdy otworzyłam, zobaczyłam w progu Toma ubranego w ciekawą przeciwdeszczową kurtkę, z wilgotnymi włosami opadającymi w posklejanych kosmykach na twarz.

Padliśmy sobie w ramiona.

– Nie potrafię tego zrozumieć – wykrztusił wśród łkania. – Nie rozumiem.

Uwolniony z jego objęć, chwyciłam drzwi, które podmuch wiatru otworzył na oścież. Przez tych kilkanaście sekund wycieraczka w przedpokoju pokryła się nawianym śniegiem.

– Wejdz – powiedziałam. – Zrobię herbaty.

– A Samir? – spytał.

– Śpi.

Przez jego twarz przemknął cień ulgi.

Nie było tajemnicą, że Samir nie patrzył przychylnym okiem na znajomość Toma i Yasmin, ale w gruncie rzeczy nie akceptował żadnego z jej chłopaków. Być może należał do tych ojców, którzy nigdy nie potrafią się pogodzić z faktem, że ich małe córeczki dorastają.

Ściągnęłam z niego mokrą kurtkę i powiesiłam ją na wieszaku.

Weszliśmy do kuchni. Rozpaliłam ogień w piecyku na drewno, bardziej dla poprawienia nastroju, niż żeby ogrzać wnętrze. Wilgotne szczapy trzaskały i strzelały iskrami.

– Nie rozumiem – łkał Tom, siedząc przy stole. – Przecież nie miała żadnego powodu, żeby...

– Proszę – powiedziałam, podając mu kubek gorącej herbaty. Potem usiadłam przy nim i delikatnie odgarnęłam mu z czoła mokre włosy.

– Kochałem ją. Byliśmy razem. Chciałem się z nią ożenić.

Trochę mnie to zaskoczyło. Bez wątpienia – podobnie jak wszyscy inni jej chłopcy – był nią zafascynowany i bez pamięci w niej zakochany. Ale pewnie też zaślepiony i złapany w sidła. Dlatego któregoś razu nawet go przed nią ostrzegłam. Nigdy jednak nie pomyślałabym, że Tom chciałby spędzić z nią życie. Gdybym miała tego świadomość, zdobyłabym się na większą szczerość i powiedziała mu, co naprawdę sędzę o Yasmin – że jest niedojrzała i jeszcze niegotowa na poważną relację z kimkolwiek. Ta dziewczyna to same problemy i dramaty, uosobienie manipulacji i intryg.

Nawet po śmierci rodziła konflikty.

Naprawdę tak pomyślałam, natychmiast jednak się opamiętałam i zawstydziłam.

Zmarła nastolatka, zgasło młode życie. Moja własna pasierbica. Jak mogę myśleć w ten sposób?

– Rozmawiałeś z nią w ostatni piątek? – spytałam.

– Nie. Miałem wykład, a potem cały wieczór pracowałem. Do bardzo późna. – Przerwał, ale po chwili kontynuował: – Policja też mnie o to pytała. Kontaktowali się także z moim szefem i kolegami z pracy. Zdaje się, że chcieli przesłuchać nagrania z moich piątkowych rozmów z klientami w call center, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście byłem na stanowisku. Cholernie nieprzyjemna sprawa, zupełnie jakbym był podejrzany.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, wsłuchując się w trzaskanie ognia i patrząc na płatki śniegu wirujące za oknem. Tom dłubał w małej ranie przy paznokciu kciuka, długimi szczupłymi palcami odrywał mikroskopijne kawałki skóry.

– Czy według ciebie wyglądała na przygnębioną? – spytałam.

Pokręcił głową tak energicznie, że jego mokre włosy zakołysały się ponad ramionami. Następnie spojrział na mnie z wyrazem zdziwienia, a jednocześnie trochę wyzywająco.

– A dlaczego miałyby być przygnębiona?

– Nie wiem – odpowiedziałam. – W domu wydawała się nieco wycofana. I sporo kłóciła się z Samirem.

– O co?

To pytanie lekko mnie zmroziło. Przecież nie mogę mu tego wszystkiego opowiedzieć. Nie tutaj, nie teraz. I prawdopodobnie nigdy, jeśli miałam być szczerą.

– Nie wiem – skłamałam. – Mój francuski nie jest najlepszy.

To ostatnie akurat było zgodne z prawdą. Podczas tych wszystkich awantur nie byłam w stanie dokładnie zrozumieć, co oboje mówili. Ale pamiętałam je doskonale: słowa, którymi ciskali w siebie jak kamieniami, krzyki, płacz. Wystraszone oczy Vincenta, gdy wślizgiwał się do mnie do łóżka, mówiąc, że nie może spać, kiedy tata Samir i Yasmin są tacy zagniewani. Dlaczego oni są na siebie tak bardzo źli? Czy Yasmin zrobiła coś głupiego? A jeśli tak, to dlaczego nie powie po prostu przepraszam, żeby tata Samir już na nią tak nie krzyczał?

Pytania, pytania, pytania.

A na żadne z nich nie miałam dla niego odpowiedzi, bo kiedy pytałam Samira, o co się kłóca, mówił jedynie, że chodzi o przyszłość Yasmin, o jej wykształcenie. A właściwie o to, że nie będzie go miała, ponieważ jej częsta nieobecność w szkole stawała się coraz bardziej niepokojąca i brzemienna w skutki.

Oczywiście czułam, że nie mówił mi wszystkiego, ilekroć bowiem poruszaliśmy ten temat, odwracał wzrok i udzielał lakonicznej odpowiedzi.

– Mówią, że ktoś mógł ją zamordować – odezwał się Tom, znów obracając twarz w stronę okna. W granatowym zmierzchu śnieg sypał wciąż tak samo intensywnie. – Jakoś trudno mi kupić tę teorię. Dlaczego ktoś miałby chcieć zabić Yasmin?

Powoli zwrócił ku mnie twarz – znałam ją od lat. Teraz wyglądała inaczej: była dojrzała, naznaczona mocniejszymi, wyrazistszymi rysami. Na linii podbródka rysował się delikatny zarost, a w kącikach oczu, opuchniętych i czerwonych od płaczu, dostrzegłam drobne zmarszczki. Dłonie były w ciągłym ruchu – palce skubały ranę na kciuku, gładziły blat stołu, zaciskały się i rozprostowywały.

No właśnie: dlaczego ktoś miałby chcieć zabić Yasmin?

7

Kiedy zobaczyłam Toma po raz pierwszy, miałam piętnaście lat, a on był niemowlakiem. Borgmarkowie mieszkali w jednej z tych wystawnych, pretensjonalnych willi blisko wody. Na co dzień nie zadawałam się z mieszkańcami tamtych rezydencji – z nowobogackimi, jak nazywał ich mój tata.

Tata zawsze dużo mówił o rozwarstwieniu społecznym, ten temat żywo go zajmował. Z przekonania był socjalistą i często opowiadał mi o niewidocznym, ale ewidentnym murze dzielącym ludzi, nazywanym klasą. Ten mur pewnego dnia powinien runąć i nieuchronnie zostanie zburzony przez robotników całego świata zjednoczonych we wspólnej walce. To, że on sam był trybikiem w feudalnej maszynierii, jakoś chyba specjalnie go nie niepokoiło. Podobnie jak jego ojciec pracował jako ogrodnik w majątku Kungsudd należącym do rodu de Veghów. Pensję miał skromną, ale oddany do jego dyspozycji dom – urzekająco piękny budynek z przełomu wieków zatopiony w bujnej zieleni – całkowicie mu wystarczał i zaspokajał jego ambicje.

Zwykł mi powtarzać, że de Veghowie to dobrzy ludzie, tylko trochę inni niż my. To są stare pieniądze. Ostrzegał też, żebym nigdy nie próbowała stać się jedną z nich, bo byłabym wtedy nieszczęśliwa.

Kiedy któregoś razu spytałam go, co to takiego te stare pieniądze, potarł swoje duże, szorstkie dłonie i odpowiedział, że to przeciwieństwo nowych pieniędzy, które mają nowobogaccy z rezydencji.

– A my jakie mamy pieniądze? – dociekałam.

Śmiał się głośno i długo.

– My nie mamy żadnych pieniędzy, Mario. I powinnaś być z tego dumna. Każda korona w banku to korona zabrana komuś innemu albo taka, którą ze skąpstwa nie podzieliłaś się z innymi.

Pozostał wierny swoim politycznym przekonaniom do końca życia, mimo że w socjalistycznym kraju takim jak Szwecja społeczeństwo

klasowe już dawno zostało zlikwidowane. Przynajmniej ja tak uważałam – nie wyciągałam ręki po jałmużnę, widząc kogoś z de Veghów, i nie byliśmy ich poddanymi, mieszkając w domu graniczącym z ich posiadłością. A w szkole jako nauczycielka nie traktowałam swoich uczniów w różny sposób, w zależności od ich pochodzenia.

Tak czy inaczej, rodzice Toma Borgmarka należeli do nowobogackich. Kiedy on przyszedł na świat, mieli już dwie córki i mieszkali w jednej z największych willi nad wodą, w modernistycznym tworze z betonu nazywanym przez moją mamę bunkrem.

Ojciec Toma działał w branży finansowej, nie pamiętam, czym dokładnie się zajmował, a jego matka nie pracowała zawodowo, ale cały czas poświęcała się różnym projektom dobroczynnym. A to małpom ocalonym z niewoli w Afryce, którymi koniecznie należało się zaopiekować, a to dzieciom chorym na raka, to znów kobietom z Trzeciego Świata wymagającym pilnej edukacji z zakresu planowania rodziny i podstaw ekonomii.

Matka Toma była więc do tego stopnia zajęta, że potrzebowała kogoś do pomocy przy opiece nad swoim nowo narodzonym synem, i powiesiła ogłoszenie w sklepie spożywczym. Pamiętam, że była to kartka z odręcznie napisaną informacją i z numerem telefonu na jej skraju do oderwania. Chodziłam już do szkoły średniej i właśnie straciłam dodatkową pracę, ponieważ firma, w której dorabiałam, została niespodziewanie zamknięta – prawdopodobnie był to jakiś interes oparty na brudnych pieniądzach.

Okazało się zatem, że poza starymi i nowymi istniały też brudne pieniądze.

Zadzwoiłam pod wypisany na karteczce numer, zostałam zaproszona na coś w rodzaju rozmowy kwalifikacyjnej, która bardziej przypominała pogawędkę przy kawie w obszernym domu Borgmarków, i już kilka dni później po raz pierwszy zajmowałam się Tomem.

Był niemowlakiem o gładkiej skórze i zupełnie łysej czaszce. Miał duże niebieskie oczy, ciągle szeroko otwarte w wyrazie zdziwienia. Chwytał mnie za palce z zaskakującą siłą, jego pulchne nóżki bez przerwy wierzgały w powietrzu, a w małym brzuchu nieustannie bulgotało i parkotało coś, co nazywało się kolką i co czasami powodowało, że Tom wrzeszczał całymi godzinami.

Pamiętam, że śmiertelnie się bałam, żeby nie zrobić mu krzywdy. Nie miałam młodszego rodzeństwa i nie wiedziałam, jak należy się obchodzić z niemowlakiem. Wydawał się taki delikatny i kruchy, tak łatwo można było upuścić go na podłogę albo niechcący za mocno uścisnąć.

Stopniowo nabierałam jednak coraz większej pewności, nauczyłam się bezpiecznie podtrzymywać mu główkę, a z tygodnia na tydzień zmiana pieluchy, przebieranie i kąpiel wydawały mi się w gruncie rzeczy niemal równie proste jak obchodzenie się z lalką. Ale Tom nie był lalką – był moją pierwszą miłością, ujmującą małą istotką, której rodzice nie poświęcali wystarczającej uwagi.

Początkowo zajmowałam się nim raz w tygodniu, potem coraz częściej. To była moja jedyna praca podczas studiów, a później, kiedy już zostałam nauczycielką i zatrudniłam się w szkole na pełen etat, nadal w razie potrzeby opiekowałam się nim w weekendy lub wieczorami.

Tom rósł szybko – nigdy nie przypuszczałam, że w pozornie kruchym ciałku dziecka może tkwić tak wielka wola życia. Kiedy miał sześć lat, był dosyć gruby i z tego powodu nieraz rówieśnicy mu dokuczali. Zwierzał mi się wtedy ze szlochem i opowiadał o paskudnych wyzwiskach, kopniakach i szturchańcach, jakie spotykały go z ich strony. Pocieszałam go i przytulałam, tłumaczyłam, że jest ładny, zdolny i wspaniały taki, jaki jest. I że nikt nie ma prawa traktować go w ten sposób.

Gdy chodził do drugiej klasy, pewnego dnia wrócił do domu całkiem zakrwawiony i przemarznięty na kość. Koledzy z klasy wepchnęli go do dołu w ziemi, zmusili, by rozebrał się do naga, a potem zaczęli rzucać w niego kamieniami. Przerażona poszłam do jego matki, żeby jej o wszystkim opowiedzieć. Na tym jednak nie poprzestałam – zadzwoniłam także do nauczycielki, a gdy ta nie potraktowała sprawy odpowiednio poważnie, zwróciłam się do dyrektora. Czułam się odpowiedzialna za Toma, ponadto nie ufałam, że jego rodzice zarządzą mobbingowi, którego ofiarą padał ich syn. W gruncie rzeczy wiedziałam, że nic nie zrobią – byli całkowicie zajęci jego starszymi siostrami i pochłonięci własnym pełnym atrakcji życiem.

Czasami opiekowałam się także Casimirem de Veghem, rówieśnikiem Toma mieszkającym wraz z rodziną w posiadłości. Obaj świetnie się ze sobą dogadywali, choć różnili się pod wieloma względami. Jasnowłosy Casimir już jako dziecko był wysportowany, a do tego silny – zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Wydawało się, że nic nie może go złamać ani

wytrącić z równowagi. Często żałowałam, że Tom nie jest choć trochę podobny do swojego kolegi; nie ze względu na mnie, bo ja kochałam go takim, jaki był, ale dla jego własnego dobra. Przydałoby mu się więcej stabilności i pewności siebie.

Casimir miał dwóch starszych braci, Douglasa i Harolda. Douglas był sympatyczny, ale Harold już w dzieciństwie dał się poznać jako niezły gagatek, dlatego zwykle starałam się go unikać.

Z biegiem czasu sytuacja Toma się poprawiła, chociaż nie mogę przypisywać zasług w tym względzie wyłącznie sobie. W jego życiu wiele się zmieniło. W okresie liceum zmienił szkołę, miał nowych kolegów – prawdziwych, a nie tylko z nazwy. Zrzucił też zbędne kilogramy. Stało się to pewnego lata – wydatny brzuch i miękki podwójny podbródek zniknęły i oto nagle narodził się szczupły młody człowiek o kręconej brązowej czuprynie i szerokich ramionach. Niepewność i brak wiary w siebie jednak pozostały, podobnie jak swego rodzaju przeczulenie, które wykazywał już jako dziecko. Dostrzegałam je w jego spojrzeniu, gdy koledzy powiedzieli coś, co można było odebrać jako krytykę, albo gdy patrzył na dziewczynę, w której się durzył. Strach na stałe uwił sobie gniazdo w jego piersi – był jak ciągle obecne, nieustannie przyczajone zwierzątko. A kiedy się w nim budził, musiałam wkraczać do akcji i być dla niego matką, której tak naprawdę nigdy nie miał.

Gdy nie sprawowałam już nad nim opieki, stał się dla mnie przyjacielem, za co byłam mu dozgonnie wdzięczna. Traktowałam naszą przyjaźń poważnie, starałam się być czujna i nigdy go nie zawieść, tak jak zrobiło to wcześniej wielu innych ludzi. Chociaż nie widywaliśmy się już zbyt często, zawsze znajdowałam dla niego czas, gdy dzwonił; bywało też, że umawialiśmy się na spacer nad wodą albo na wspólny lunch. Rozmawialiśmy o życiu, o dziewczynach, które mu się podobały, i o przyszłości.

Kiedy urodził się Vincent, Tom przyniósł mi kwiaty. Był jedną z nielicznych osób, które mi pogratulowały, nie współczując, że mam dziecko z zespołem Downa. I zawsze zachowywał się wobec niego w porządku – widział w nim człowieka, a nie zespół wad genetycznych.

Bardzo wcześnie stało się jasne, że Tom jest niezwykle zdolny, w szkole prawie ze wszystkich przedmiotów dostawał najwyższe oceny. Oczywiście zdarzało się, że pomagałam mu w odrabianiu niektórych lekcji albo

w pisaniu prac, ale generalnie nie potrzebował niczyjego wsparcia, miał bowiem naturalny dar radzenia sobie z różnorodnymi zadaniami.

Po skończeniu szkoły średniej przez rok podróżował po świecie, jeździł na nartach, wędrował po Nepalu i surfował na Sri Lance. Tak jak robią to dziś młodzi ludzie, a przynajmniej ci, którzy mają pieniądze – stare, nowe albo brudne. Po powrocie rozpoczął studia w Wyższej Szkole Handlowej. Wyglądało na to, że pójdzie w ślady ojca.

Trochę mnie to zastanowiło, nie miałam bowiem pewności, czy to dla niego odpowiedni kierunek. Zawsze sądziłam, że powinien pracować z ludźmi, wybrać zawód, w którym miałby szansę wykorzystać swoją wrażliwość. Mógłby zostać na przykład lekarzem albo psychologiem. Znałam jednak swoje granice – Tom był już dorosły, sam podejmował decyzje i nie zamierzałam kwestionować jego wyborów życiowych.

Kiedy się zorientowałam, że Tom i Yasmin są parą, rozplakałam się. Bynajmniej nie ze szczęścia. Wiem, że to może brzmieć okropnie, bo przecież Yasmin nie chciała nigdy niczyjej krzywdy, zawsze jednak wywoływała chaos. A Tom właśnie w końcu uporządkował swoje życie – zyskał prawdziwych przyjaciół, studiował. Może nawet zaczął odbudowywać niską samoocenę, która tak długo go ograniczała.

Podobno poznali się u Casimira. Kiedy jego rodzice wyjeżdżali, chłopak często organizował imprezy, nieraz muzykę słychać było nawet w naszym domu. Któregoś ranka znaleźliśmy u nas w ogrodzie pijanego młodzieńca śpiącego przy grządce truskawek – marynarka od smokingu wisiała na krzaku agrestu kilka metrów dalej, a rzucona na ziemię muszka wyglądała jak długi czarny ślimak pełznący po pokrytej rosą trawie.

Czasami na te przyjęcia bywała zapraszana również Yasmin i przypadek sprawił, że na jednym z nich wpadła w oko Tomowi. Zaczęli spędzać ze sobą coraz więcej czasu – Tom, Yasmin i często także Casimir; osobliwy tercet. Często przesiadywali razem w posiadłości. Co tam robili – nie mam pojęcia. Co mogli robić ludzie w tym wieku?

Słuchali muzyki, całowali się, pili wino?

Samir, który ledwo co doszedł do siebie po historii z Pitem, bynajmniej się nie ucieszył, kiedy usłyszał, że Yasmin ma nowego chłopaka.

Przepytała mnie dokładnie:

– Czy ten Tom jest godny zaufania?

– Tak – zapewniłam. – To naprawdę fajny dzieciak. Zdolny, poukładany. Myślący. Chyba bardziej martwiłabym się o to, jak Yasmin

wpłyń na niego niż odwrotnie.

Samir wyglądał na zszokowanego.

– To znaczy?

– No cóż, ona jest taka...

Zawahałam się i wybrałam bardziej dyplomatyczne sformułowanie.

– ...młoda. Jest jeszcze całkiem młodziutka i nie brakuje jej adoratorów. To może być dla niego trudne.

Potem był ten wieczór, kiedy ja i Samir poszliśmy na koncert, a Vincent spał u mojej mamy.

Wróciliśmy do domu dosyć późno, chyba około pierwszej. Gdy zgasiliśmy światło i położyliśmy się do łóżka, usłyszeliśmy dobiegające z dworu głosy, jakieś chichotanie, piski i niewyraźną paplaninę – to przycichającą, to wznoszącą się w ciszy gwiazdzistej jesiennej nocy.

Oboje podeszliśmy do okna. Nasz dom leżał na uboczu i rzadko się zdarzało, aby ktoś koło niego przechodził, zwłaszcza o tak późnej porze.

W ciemności za szybą dostrzegłam dwie postacie.

Yasmin i Casimira.

Ona była boso i wykonywała przed nim taneczne kroki, śmiejąc się, kołysząc biodrami i odchylając głowę do tyłu, tak że jej długie włosy prawie dotykały trawy.

Patrzyłam na nich, ale początkowo chyba nie docierało do mnie, czego jestem świadkiem. Trochę rozkojarzona – wypiliśmy z Samirem po parę kieliszków wina – zastanawiałam się chyba w tamtym momencie, gdzie jest Tom, ale tak naprawdę nie pamiętam dokładnie, co myślałam.

W następnej chwili Casimir podszedł do Yasmin, chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.

Nie od razu zrozumiałam, że oni się całują. Sądziłam, że są wstawieni i że ona tylko wsparła się na nim, straciwszy równowagę.

Samir jednak od razu zorientował się w sytuacji.

– Merde – zaklął, wciągnął dzinsy i z gołym torsem zbiegł po schodach.

Podczas gdy ja wciąż stałam w oknie sypialni, na dole gwałtownie otworzyły się drzwi i Samir wypadł jak burza, wściekle wymachując rękami.

Nie słyszałam, co mówił, ale to właściwie nie miało znaczenia.

Myślałam gdzie indziej – przy pyzatom małym chłopcu, którego dorastanie śledziłam przez lata i który wreszcie stał się młodym

mężczyzną przekonany, że schwytał najpiękniejszego ptaka w całym lesie.

*

Mniej więcej tydzień po incydencie z Casimirem któregoś wieczoru wstąpił do nas Tom.

– Czy Yasmin jest w domu? – spytał ze ściśniętym gardłem, gdy mu otworzyłam.

– Chyba pracuje – odpowiedziałam. – Czy coś się stało? Mam ją poprosić, żeby do ciebie zadzwoniła?

Pokręciwszy głową, skulił się w sobie, utkwiał wzrok w ziemi i mocniej otulił się kurtką. Wiał zimny wiatr.

– Wejdz na chwilę – spróbowałam zaprosić go do środka.

Wyglądał na mocno zgnębionego. Zaczęłam podejrzewać, że Yasmin z nim zerwała.

Potrząsnął głową.

– Muszę...

– Przejdę się z tobą kawałek – przerwałam mu. – Chętnie odetchnę świeżym powietrzem.

Wrzuciłam na siebie jedną z kurtek Samira i założyłam ocieplane gumowce.

Szliśmy w milczeniu.

Wieczne powietrze przesycone było zapachami jesieni: butwiejących roślin, powoli gnijących opadłych jabłek, dymem z jakiegoś dalekiego ogniska i oczywiście wonią morza, zawsze obecną w Kungsudd. Pojedyncze liście wirowały w ciemności, od czasu do czasu lądowała mi na policzku kropla deszczu.

– Jak wam się układa, tobie i Yasmin? – spytałam wreszcie.

Przystanął w pół kroku, odwrócił się do mnie i utkwiał wzrok w jakimś punkcie gdzieś w ciemnościach.

– Sam nie wiem, ona jest taka... Czasami nie mam pojęcia, co o niej myśleć.

Położyłam mu dłoń na ramieniu i lekko uściśnęłam, zastanawiając się, co mogłabym na to powiedzieć.

– Jesteś wystarczająco dorosły, by dokonywać samodzielnych wyborów i decydować o własnym życiu... ale bądź ostrożny z Yasmin.

Potaął grzbiet nosa palcem wskazującym, a potem na mnie spojrział.

– Co masz na myśli?

– Chodzi mi o to, że ona jest jeszcze bardzo młoda. Niestała, jak to bywa w tym wieku.

– Niestała? – spytał, patrząc mi prosto w oczy.

Kiedy zerknęłam na liście fruujące obok na wietrze, przeszło mi przez myśl, że najtrafniejsze byłoby określenie jej słowem „podfruwajka”, ale chyba i tak powiedziałam już za dużo. Kochałam Toma, chciałam go chronić, ale już bardziej ostrzec go nie mogłam.

Kiedy rozmawiałam z Samirem o tym, co wydarzyło się tamtej nocy między Yasmin a Casimirem, oboje się zgodziliśmy, że ona koniecznie musi się uspokoić, wyciszyć – i to nie tylko dlatego, że z powodu bujnego życia towarzyskiego opuściła się w nauce. Najgorsze było to, że bawiła się uczuciami innych i jak się zdaje, nic sobie z tego nie robiła. Jasne, że miała prawo mieć chłopaka, ale skoro jest z Tomem, to zaczynanie czegoś nowego z Casimirem wydawało się okrutne i bezwzględne.

– Po prostu bądź ostrożny – powtórzyłam, hamując impuls, by powiedzieć więcej. – Uważaj na siebie. I oczywiście także na Yasmin.

8

Minął już tydzień od zniknięcia Yasmin. Siedem dni totalnego chaosu i rozpacz, ciszy i oczekiwania oraz pytań kłębiących się w naszych w głowach, lecz niewypowiadanych na głos w obawie, że nigdy nie poznamy na nie odpowiedzi.

Nie znaleziono ciała Yasmin.

Poszukiwania wciąż trwały, ale już w ograniczonym zakresie. Przypuszczam, że policja wciąż badała także inne wątki, lecz wszyscy zaangażowani w śledztwo funkcjonariusze byli bardzo powściągliwi w informowaniu nas o poczynionych ustaleniach. Dzwonili codziennie, za każdym razem mieli jednak do przekazania tę samą wiadomość: nie, niestety jej nie znaleźliśmy, nie, nic nowego się nie wydarzyło.

Zyliśmy, a właściwie wegetowaliśmy, w cieniu tragedii. Miotani między nadzieją a zwątpieniem, niezdolni do niczego poza czekaniem. Samir był milczący, ale zaskakująco opanowany, godzinami siedział przed wyłączonym telewizorem z dłońmi złożonymi na kolanach. Z kolei ja wzięłam na siebie rolę osoby dbającej o to, by wszystkie rutynowe czynności były wciąż wykonywane – gotowałam, odprowadzałam i przyprowadzałam Vincenta, otwierałam pocztę, odbierałam telefony.

Chodząc z Vincentem tam i z powrotem do sklepu, widzieliśmy w mijanych po drodze domach bożonarodzeniowe dekoracje. Sąsiedzi zawiesili już adwentowe gwiazdy, postawili świeczniki w oknach, a przy wejściach stały oparte o ścianę choinki gotowe, by wnieść je do środka i przystroić.

Postanowiliśmy, że w tym roku nie będziemy świętować Bożego Narodzenia. Oczywiście Vincent dostanie gwiazdkowe prezenty, ale nie zamierzaliśmy przygotowywać żadnej uroczystej kolacji, a przede wszystkim nie chcieliśmy się z nikim spotykać.

Kiedy wyjmowałam z szafy upominki dla Vincenta, żeby zgodnie z wieloletnim zwyczajem położyć je pod kaflowym piecem w dużym

pokoju, z półki wypadły dwie błyszczące czerwone paczuszki.

To drobiazgi, które kupiłam dla Yasmin.

Ona najbardziej pragnęła dostać telefon komórkowy, ale oboje z Samirem nie uważaliśmy tego za dobry pomysł. Komórki były bandycko drogie, poza tym jeśli będąc w mieście, chciała gdziekolwiek zadzwonić, zawsze mogła skorzystać z budki telefonicznej.

Zamiast telefonu kupiłam jej więc bluzkę, którą upatrzyła sobie w H&M, i mascarę, podobno wyjątkowo wydłużającą rzęsy.

Wcisnęłam paczki na najwyższą półkę, za stare, ręcznie haftowane lniane obrusy po babci.

Krótko przed świętami kilka razy wpadła do nas mama z gotowym jedzeniem podzielonym na porcje. Zaopatrzyła nas w lasagne, klopsiki i zapiekankę rybną. Upiekła także szafranowe bułeczki, bo wiedziała, że je uwielbiam. Właściwie nie byłam w stanie rozmawiać z nikim poza Samirem i Vincentem, ale mimo wszystko starałam się okazać jej wdzięczność.

Od czasu do czasu dostawaliśmy kwiaty od kolegów z pracy i przyjaciół zorientowanych w sytuacji. Stawialiśmy je wszystkie w dużym pokoju i Vincent, który miał lekką alergię, kichał za każdym razem, kiedy siedział i oglądał tam telewizję. Poza tym trzymał się całkiem nieźle, prawdopodobnie dlatego, że nie pojmował ogromu tragedii, jaka nas dotknęła, a może po prostu chciał w ten sposób wprowadzić mnie i Samira w lepszy nastrój.

Przynajmniej tak później myślałam.

Mimo to nadal codziennie po kilka razy – a czasami jeszcze częściej – pytał, kiedy wróci Yasmin. W końcu, chyba w Wigilię, wzięłam go na stronę, tak by nie słyszał nas Samir, i powiedziałam, że Yasmin nie żyje i że już nigdy nie wróci.

Popatrzył na mnie tymi swoimi wielkimi, jasnymi oczami, po czym ze skupieniem, jakby próbował rozwiązać zadanie matematyczne, spytał:

– Nie żyje? Jak Kręciek?

Kręciek to nieszczęsny chomik, którego nigdy nie powinniśmy byli mu kupować, bo oznaczał tylko mnóstwo pracy i zachodu, a do tego swoim ciągłym bieganiem w idiotycznym kółku przeszkadzał mu we śnie.

– Tak – potwierdziłam. – Jak Kręciek.

W drugi dzień świąt, kiedy jedliśmy śniadanie, rozległo się pukanie do drzwi.

Poszłam otworzyć, wciąż jeszcze w piżamie, szlafroku i grubych wełnianych skarpetach – znowu zrobiło się zimno, chodziliśmy więc po domu ciepło ubrani i rozpalaliśmy w piecu, ledwie się obudziliśmy.

W progu stali Gunnar i Ann-Britt, śledczy z policji kryminalnej, a także dwójka funkcjonariuszy w mundurach.

Samir wyszedł do przedpokoju. W odróżnieniu ode mnie nie był już w piżamie – miał na sobie ciepły islandzki sweter po moim ojcu i stare codzienne dzinsy, które pięknie opinały mu pośladki, ale miały dziury na obu kolanach. Od dawna niemyte włosy opadały mu na twarz, a jego ruchy były ociężałe i powolne, jakby w czasie świąt postarzał się o kilka lat.

Po krótkim przywitaniu goście oznajmili, że Samir musi pojechać z nimi na komendę. Jest podejrzany o dokonanie zabójstwa i prokurator podjął decyzję o zastosowaniu wobec niego aresztu. Nie słyszałam, co jeszcze mówili, ponieważ byłam zbyt zszokowana, ale pamiętam, że zaczęłam na nich krzyczeć.

– Samir nigdy nie zrobiłby krzywdy Yasmin! To jakieś potworne nieporozumienie...

Położywszy mi rękę na ramieniu, Gunnar utkwiał we mnie spojrzenie swych osobliwie niebieskich oczu.

– Może przejdźmy do kuchni, tam wszystko pani wyjaśnię – powiedział.

– Nie! – wrzasnęłam, gdy Samir sięgnął po swoją parkę, by pójść z mundurowymi. – Zostawcie go! On nic nie zrobił!

Chwyciłam go mocno i przez chwilę trwało coś w rodzaju przeciągania liny. Starszy z policjantów trzymał Samira za jedną rękę, podczas gdy ja szarpałam go za drugą.

– Proszę natychmiast puścić! – ryknęła Ann-Britt, na co ja błyskawicznie wykonałam jej polecenie, równie zszokowana jej potencjałem głosowym, co własnym zachowaniem, tym, że mój strach i instynkt obrony Samira przybrały tak gwałtowny fizyczny wyraz.

Samir odwrócił się i popatrzywszy na mnie udręczonym wzrokiem, bezsilnie opuścił głowę.

– W porządku, Mario. Wszystko się wyjaśni. Niedługo wrócę.

Gdy zniknął wraz z dwoma mundurowymi, Ann-Britt i jej współtowarzysz zaprowadzili mnie do kuchni i poprosili, żebym usiadła.

– Może się pani czegoś napije? – spytał Gunnar. – Herbaty, wody?

Nie byłam w stanie mu odpowiedzieć. Po moich policzkach płynęły łzy, drżałam w niekontrolowany sposób. Było mi zimno, ale inaczej niż zwykle – ten chłód tkwił we mnie, w moim wnętrzu, i stopniowo, ale nieuchronnie rozlewał się po całym ciele, paraliżował mi członki.

Ann-Britt usiadła naprzeciwko. Rysy jej twarzy nie wydawały się już wcale tak delikatne jak przedtem, a gdy się odezwała, jej głos brzmiał niezwykle formalnie.

– Pani mąż został zatrzymany. Otrzyma obrońcę z urzędu i będzie przesłuchany. W ciągu trzech dni prokurator zdecyduje, czy go zwolnić, czy wystąpić do sądu o areszt tymczasowy. – Na chwilę przerwała, jakby chciała, by wypowiedziane przez nią słowa do mnie dotarły, a następnie kontynuowała: – Prokurator wydał także nakaz rewizji. Nasi technicy już tutaj jadą, musimy mieć swobodny dostęp do wszystkich pomieszczeń w domu, a także do waszych samochodów. Ponadto chcielibyśmy zadać pani kilka pytań uzupełniających, jeśli pani pozwoli.

Nie mogłam mówić, brakowało mi słów, opuściły mnie w tej samej sekundzie, gdy Samira wyprowadzono za drzwi. W moim wnętrzu narastał krzyk, który chciał się wydostać, lecz kiedy otworzyłam usta, usłyszałam jedynie cichy, bezsilny jęk.

Gunnar usiadł na krześle obok i wyjął mały dyktafon.

– Możemy? – spytał.

Odczekał, aż się pozbieram i na niego spojrzę. Wtedy położył dłoń na moim ramieniu – była ciężka i ciepła.

– Jestem w stanie sobie wyobrazić, co pani przeżywa, ale z pewnością pani też zależy na ustaleniu prawdy. Samir został oskarżony o poważne przestępstwo, jeśli zatem wie pani coś, co może być istotne i mogłoby mieć wpływ na śledztwo, proszę powiedzieć o tym teraz. Ochronianie przestępcy podlega karze. Dla dobra własnego i ze względu na Vincenta powinna pani być z nami szczerą.

Włączył dyktafon.

Sięgnęłam po jedną z leżących na stole serwetek z krasnoludkami i wytarłam nos.

– Ale przecież tu nie ma nic do opowiadania – pisnęłam. – On nigdy, przenigdy nie zrobiłby krzywdy Yasmin.

– Jak określiłaby pani podejście Samira do kobiet? – spytała Ann-Britt.

– Podejście Samira do kobiet? A co to ma do rzeczy?

– Jakie jest jego zdanie na temat kobiet pracujących zawodowo? Albo żyjących w nieformalnych związkach?

– Przepraszam, to jest jakiś absurd.

– Proszę tylko odpowiedzieć na pytanie – powiedziała Ann-Britt i otworzyła notes, naciskając czubek długopisu.

– Samir uznaje równouprawnienie, jest nowoczesny. Boże drogi, to przecież człowiek wolnego ducha, uwielbia śpiewać, ogląda mądre, intelektualne filmy. Głosowałby za lewicą, gdyby tylko pozwolono mu głosować. Więcej w nim z feministy niż we mnie. Nie wiem, co wy sobie wyobrażacie, ale...

– My niczego sobie nie wyobrażamy – przerwała mi Ann-Britt, notując coś szybko. – A jaki jest jego stosunek do religii?

– Słucham?

– Czy jest wierzący? Bo przecież jest muzułmaninem?

Gapiłam się na nią i powoli zaczynałam rozumieć, do czego zmierza. Tej jesieni cała Szwecja mogła przeczytać w gazetach o Peli Atroshi, młodej Kurdyjce mającej szwedzkie obywatelstwo, zamordowanej przez własnego ojca i jego braci podczas podróży do Iraku, dlatego że rodzina nie akceptowała jej stylu życia. Coś takiego nazywano zabójstwem honorowym, a sama myśl o tym, że rodzice mogą zabić własne dziecko, sprawiała, że po plecach przebiegały mi ciarki.

– Nie, nie – zaprotestowałam. – To jakieś totalne nieporozumienie. Samir nie jest ani trochę religijny.

– Ale wychowywał się w marokańskiej rodzinie? – wtrąciła Ann-Britt.

– Dorastał we Francji – krzyknęłam. – W Paryżu, a nie w Maroku. I nie jest w ogóle religijny, a przede wszystkim nie miał nic przeciwko stylowi życia Yasmin, chociaż może powinien.

– Dlaczego?

Ogarnęło mnie nieopisane zmęczenie, jakby ta pulchna siwowłosa kobieta siedząca naprzeciwko wysssała ze mnie całą energię. Dudniło mi w głowie, zaschło mi w ustach, a moje ręce opierały się bezsilnie na stole jak dwa martwe kawały mięsa.

Spojrzałam za okno, na blade zimowe niebo i śnieg pokrywający krzaki oraz drzewa. Słońce przebiło się przez chmury i pomalowało krajobraz szerokimi smugami złota pięknie kontrastującego z niebieskimi cieniami. W oddali przefrunęło kilka wron, ale poza tym zalegała cisza.

Jak to możliwe, że jest tak cicho?

Moje życie się skończyło, minęło. Było pociągiem, który opuścił stację, łodzią, która zniknęła w oddali, melodią, która przebrzmiała.

Jak to, u diabła, możliwe, że na zewnątrz jest tak cicho i pięknie?

– Była nastolatką – wyszeptałam. – Imprezowała. Zaniedbywała szkołę, a przynajmniej nie uczyła się tyle, ile należało. Uważam, że należało zwrócić jej uwagę, ale on był wobec niej zbyt łagodny.

– Często się kłócili?

Długopis Ann-Britt skrzypiał po kartce notesu.

Zastanowiłam się. Czy moje słowa mogą mieć jakiegokolwiek znaczenie? Czy oni rozumieją?

Głowa powoli opadała mi coraz niżej, czułam się tak, jakby coś ciągnęło mnie w kierunku podłogi albo jeszcze głębiej, w otchłań niedostępną dla ludzkiego oka. W otchłań, która po zniknięciu Yasmin stała się moim życiem.

– Nie – skłamałam, po czym zamknęłam powieki i oparłam policzek na chłodnym blacie stołu. – Jasne, że się kłócili, ale nie więcej niż ja z Vincentem.

9

Skłamałam, mówiąc policji, że Yasmin i Samir nie kłócili się często.

Skłamałam, ponieważ bałam się, że oni nie rozumieją – nie będą w stanie albo nie będą chcieli zrozumieć.

Ich relacja zawsze była żywa, gorąca, naładowana emocjami, które najwyraźniej potrzebowały ujścia i domagały się, by je wykrzyczeć, wyrzucić z siebie, niekiedy rozbijając o ścianę szklaną czy talerz.

Często zadawałam sobie pytanie, skąd brał się ten ogień w ich zachowaniu. Vincent i ja nie kłóciliśmy się nigdy. Oczywiście czasami przywoływałam go do porządku i irytowałam się na niego, kiedy na przykład marudził rano albo wołał leżeć na łóżku i grać na game boyu, zamiast iść na trening piłkarski. Niekiedy ogarniało go zupełne lenistwo i jak wiele dzieci z zespołem Downa miał wypracowane sztuczki, za pomocą których zmuszał innych, by robili to, na czym mu zależało. Był mistrzem w strojeniu nieszczęśliwych min i proszeniu o pomoc, kiedy chciał się od czegoś wymigać, lub po prostu w udawaniu, że czegoś nie rozumie. Starłam się nie pozwalać mu na takie wybiegi i triki, co, rzecz jasna, prowadziło do pewnych konfliktów. Ale zasadniczo nasza relacja układała się harmonijnie, nie musiałam się uciekać do ostrych słów czy podnosić głosu. Nie potrzebowaliśmy dramatycznych gestów ani emocjonalnych wybuchów, by potwierdzić nasze poczucie wspólnoty.

Natomiast kłótnie między Yasmin a Samirem wyraźnie przybrały na intensywności kilka tygodni przed jej zniknięciem. Podczas gdy oni krzyczeli i awanturowali się na dole w kuchni, ja i Vincent próbowaliśmy zasnąć na górze.

Nie byłam głupia, domyślałam się, o co, a właściwie o kogo chodziło.

O Toma.

Zastrzeżenia Samira wynikały głównie z okoliczności natury praktycznej: Yasmin chodziła do ostatniej klasy liceum, a wieczorami pracowała w miejscowej restauracji. Dlatego uważał, że tę niewielką ilość

czasu wolnego, jaki jej pozostawał, powinna wykorzystywać na naukę, ponieważ oceny na świadectwie maturalnym są ważniejsze od romansu, który i tak niebawem się skończy.

Lecz to nie była oczywiście cała prawda. Oboje pamiętaliśmy historię z Pitem; widzieliśmy też Yasmin i Casimira obściskujących się w jesienną noc, widzieliśmy, jak jej białe stopy niemal unosiły się nad ziemią, a ich usta połączyły się w pocałunku. Nie mieliśmy złudzeń, do jakiego stopnia nieodpowiedzialna i nieroztropna potrafiła być ta dziewczyna. Sądzę, że Samir domagał się od niej, żeby się wyciszyła, czyli po prostu: przestała imprezować, trzymała się jednego chłopaka i ubierała się jak normalna dziewczyna. Ponadto nie tolerował Toma, chociaż zupełnie nie umiałam zrozumieć dlaczego.

– Nie wiem – wyjaśniał mi Samir. – Coś jest z tym Tomem. Po prostu nie potrafię mu zaufać.

Zapewniałam go wiele razy, że to dobry i ambitny chłopak i że on jako ojciec powinien być wdzięczny, że Yasmin jest właśnie z nim, skoro już musiała kogoś mieć.

Może problem tkwił w pochodzeniu Toma – nieco ograniczeni rodzice, nuworysze, okazały dom, luksusowe, drogie auta. On sam zaś przeskoczył kilka klas, miał za sobą awans społeczny; przez długie lata studiował, utrzymywał się ze stypendiów lub podejmował się różnych dodatkowych prac, żeby znaleźć się w miejscu, w którym był obecnie. Jego artystowski wygląd mógł łatwo zwieść – w rzeczywistości mój mąż ciężko pracował i stawiał Yasmin wysokie wymagania dotyczące edukacji. Zwłaszcza że nie miał najlepszego zdania o szwedzkiej szkole – uważał, że panuje w niej beznadziejnie liberalne podejście i że w związku z tym trochę dyscypliny jego córce nie zaszkodzi.

Gdy któregoś ranka po jednej z takich wieczornych kłótni zesłam na dół, żeby przygotować śniadanie, odkryłam w kuchennych drzwiach całkiem sporą dziurę. Wyglądało na to, że ktoś w nie kopnął. Następnego dnia z pomocą Vincenta zakleiłam ją kartonem. Nie wyszło nam to najładniej, ale przynajmniej on poczuł się potrzebny – uwielbiał łątać i naprawiać różne rzeczy.

Innym razem Yasmin zasiadła do śniadania z podbitym okiem. Kiedy spytałam, co się stało, powiedziała, że poprzedniego wieczoru w pracy niosła naczynia do kuchni i uderzyła w drzwi szafki. Słyszając to, Samir

z hukiem odstawił kubek z kawą, obrzucił córkę gniewnym spojrzeniem i demonstracyjnie wyszedł.

Poczułam się zdezorientowana, nie wiedziałam, co myśleć.

Oczywiście wierzyłam Yasmin, nie miałam powodu sądzić, że kłamie. Zastanowiła mnie jednak reakcja Samira, jego wyraźna złość. Gdy więc wieczorem tego samego dnia leżałam zwinięta w kłębek pod puchową kołdrą w naszym obszernym łóżku, opierając głowę na jego ramieniu, spytałam go o to.

– Ona kłamie – powiedział tylko, delikatnie głaszcząc mnie po ramieniu. – I tak się przyzwyczaiła do tych kłamstw, że sama już w nie wierzy. Ale ja dotrę do prawdy, wydobędę ją z niej, nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Starłam się pomóc Yasmin, jak umiałam, ponieważ nie ulegało dla mnie wątpliwości, że dziewczyna ma jakiś problem.

Gdy któregoś wieczoru zostałyśmy same, spróbowałam z nią porozmawiać.

– Chodź, usiądź ze mną – zwróciłam się do niej. – Napijemy się herbaty.

Niezbyt chętnie, ale przyjęła zaproszenie. Usiadła jak najdalej po drugiej stronie stołu, spojrzała na kubek z herbatą, który przed nią postawiłam, i nawet go nie tknęła.

– Czy wszystko okej? – spytałam.

– Jasne.

Utkwiła wzrok w blacie stołu, jej twarz była niedostępna.

Siedziałyśmy tak przez chwilę, ja zaś miałam nadzieję, że to wspólne milczenie obudzi w niej swego rodzaju ufność, jak to nierzadko się dzieje pod wpływem ciszy. Dostyc często stosowałam tę technikę wobec moich uczniów i zwykle działała.

Yasmin jednak uparcie się nie odzywała i tylko bawiła się kubkiem, nie pijąc ani kropli herbaty.

– Posłuchaj – powiedziałam w końcu. – Chyba wiesz, że zawsze możesz ze mną porozmawiać, jeśli masz jakiś problem. Czasami dobrze jest pogadać z kimś innym niż rodzic. Bardzo mi na tobie zależy.

– Okej.

– No więc: co się dzieje?

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jej szczupłej dłoni, ona jednak cofnęła ją natychmiast, jakby się oparzyła. Potem jej spojrzenie szybko

prześliznęło się po mnie, by znowu zatrzymać się nieruchomo na blacie stołu.

– Nic.

– Na pewno?

– Tak.

Dwa tygodnie przed zniknięciem Yasmin wróciłam z Vincentem dosyć późno z odwiedzin u Greta – właściwie zamierzałam wyjść od niej znacznie wcześniej, ale kiedy jej córki i mój Vincent zasnęli na podłodze przed telewizorem, skorzystałyśmy z okazji i popijając wino, plotkowałyśmy do północy, a nawet dłużej.

Gdy dotarłam do domu, zastałam Yasmin i Samira w kuchni. Ona siedziała przy stole i zanosila się płaczem, on zaś przykucnąwszy przy niej, przykładal kompres do jej twarzy. Na blacie powstała plama krwi zmieszanej ze smarkami. Krew była także na podłodze, a na jednym z rysunków Vincenta na ścianie widniał rozmazany odcisk dłoni. Pod krzesłem leżała sterta zakrwawionych gazików i kawałków papierowego ręcznika.

Obok stała ortalionowa czarna torba z napisem „Just do it”, której nie znałam. Przypuszczałam, że był w niej strój do koszykówki Yasmin.

– Musisz porządnie przycisnąć – powiedział do niej Samir, po czym spojrzał na mnie.

Podeszłam do nich, nie zdjawszy nawet butów i kurtki.

– Boże drogi – jęknęłam.

Za mną pojawił się Vincent.

– Ojej! – sapnął. – Czy mogę cię pocieszyć?

– Synku, idź, proszę, do swojego pokoju – zwróciłam się do niego.

– Ale ja...

– Natychmiast.

Zwiesiwszy głowę, wyszedł, mocno wybijając każdy krok o podłogę. Po chwili głośne dudnienie jego małych stóp rozległo się na schodach.

– Co się stało? – spytałam.

– Potrzebne jest szycie – powiedział Samir i zaczął chodzić tam i z powrotem po kuchni. Potem przecesał sobie włosy palcami i opadł na krzesło naprzeciwko Yasmin.

– Mówiłem ci, przyciskaj porządnie! – krzyknął.

Yasmin podskoczyła, ale nadal siedziała z opuszczoną głową. Długie czarne włosy moczyły się w kałuży krwi.

– Ma pękniętą wargę – wyjaśnił Samir, przecierając grzbietem dłoni policzek. Wyglądało na to, że płakał. – Sam opatrunek nie wystarczy – ciągnął. – Nie mogę zszyć, bo nie mam w domu odpowiedniego sprzętu. Jeden ząb jest wybity, trzeba iść do dentysty.

I wtedy zauważyłam: on był zły.

Właściwie nie zły, ale wściekły. Szybko wyrzucał z siebie słowa, jego ciało było dziwnie napięte, a usta wykrzywione w taki sposób, jaki widziałam chyba tylko dwa razy, kiedy się pokłóciliśmy.

– Samirze – zwróciłam się do niego. – Uspokój się. Powiedz mi, co się stało?

– Trzeba z nią jechać na pogotowie. Możesz ją zawieźć?

– Ja?

W pierwszej chwili nie rozumiałam, o co mu chodzi. Wydawało się logiczne, aby to on z nią pojechał, w końcu to jego córka. Poza tym sam jest lekarzem i na pewno lepiej ode mnie porozumie się ze szpitalnym personelem.

– Serio? Nie byłoby rozsądniej, gdybyś to ty ją zawiózł?

Samir zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że aż się przewróciło i uderzyło o ścianę.

– Ona kiedyś wreszcie musi się nauczyć. Kiedyś wreszcie musi wziąć odpowiedzialność za swoje czyny. Musi w końcu dorosnąć, inaczej nie ma życia przed sobą.

– Niestety nie mogę jechać – odparłam. – Piłam wino, nie mogę prowadzić.

Szloch Yasmin ucichł.

– Przepraszam – pisnęła. – Przepraszam.

Przykucnęłam obok niej i otoczyłam ją ramieniem. Drugą ręką ostrożnie odgarnęłam pasmo wilgotnych włosów i zobaczyłam jej nabrzmiałą, zakrwawioną twarz.

Zmrużyła oczy, jej powieki drżały.

– Co się stało? – spytałam szeptem.

– Upadłam na korzeń w lesie – wymamrotała, wciąż przyciskając do wargi kompres.

Samir znowu zaczął wędrować tam i z powrotem po kuchni. W końcu się zatrzymał, skrzyżował ramiona na piersi i wodził wzrokiem to po mnie, to po Yasmin. Wydawało się, że wreszcie się zdecydował, bo kiwnął krótko głową.

– Habille-toi! Nous allons a l'hopital.

Podniosłam się z ulgą, słysząc, że mimo wszystko postanowił zawieźć córkę do szpitala.

Kiedy Yasmin wstała z krzesła, torebka, którą trzymała na kolanach, zsunęła się na podłogę.

Wypadła z niej paczka papierosów, a także sprej do nosa i jakaś kartka. Chociaż szybko się schyliła i błyskawicznie wszystko pozbierała, zdążyłam zauważyć napisane na kartce imię: Pito. A oprócz niego numer telefonu.

Ale przecież oni nie mają już ze sobą kontaktu, bo on chyba siedzi w więzieniu – przebiegło mi przez głowę, zanim Samir ryknął znowu:

– Depeche-toi!

Samir i Yasmin wrócili dopiero po kilku godzinach.

– Wszystko się udało? – wymamrotałam, kiedy wślizgnął się do łóżka.

– Yasmin dojdzie do siebie, ale ma wstrząśnienie mózgu. Teraz potrzebuje spokoju.

– Dlaczego byłeś na nią taki zły?

– Porozmawiamy jutro, dobrze?

I rzeczywiście rozmawialiśmy o tym następnego dnia, a także kolejnego. Mimo to nadal nie miałam jasności, co się stało. Yasmin przewróciła się po drodze do domu – tyle wiedziałam. Szła po ciemku, w ostatnich tygodniach ścisnął mróz, więc ścieżka była oblodzona i śliska. Być może w grę wchodził także alkohol. Potknęła się o korzeń i upadła. A Samir się wściekł, bo nie lubił, kiedy włóczyła się po nocy – przynajmniej taką wersję mi przedstawił.

Po tym incydencie ich kłótnie jeszcze się nasiliły: towarzyszył im płacz, a później przez niemal całe noce trwały długie, przytłumione rozmowy po francusku. Natomiast tydzień przed jej śmiercią zrobiło się jakby spokojniej. Nie dochodziło do krzyków, nie było trzaskania drzwiami, Yasmin naprawdę starała się być miła. Nawet trochę posprzątała w swoim pokoju: zniosła na dół rzeczy do prania, a sporą część rozrzuconych dotąd ubrań powiesiła w szafie. Samir też wydawał się mniej nerwowy, choć jednocześnie niezwykle wycofany. Nie chciał grać na gitarze, pić wina ani się kochać. Kiedy przytulałam się do niego w łóżku, obejmując go w talii i całując jego owłosioną pierś, odsuwał się i bąkał:

– Cherie, jestem naprawdę strasznie zmęczony. Wybaczysz mi?

– Wybaczam ci.

W tamtym tygodniu podjęłam jeszcze kilka nieśmiałych prób dotarcia do Yasmin, starałam się zachęcić ją do rozmowy, jej odpowiedź jednak wciąż brzmiała tak samo: wszystko jest w porządku, nic się nie stało.

– Przecież widzę, że coś cię gryzie – nie dawałam za wygraną. – Poza tym strasznie schudłaś.

– No i co z tego? – rzuciła, patrząc wymownie na oponkę na mojej talii.

– Chcę tylko, żebyś wiedziała, że jestem i chcę ci pomóc. Jeśli mi pozwolisz.

Odwróciła się bez słowa, we mnie zaś narastała frustracja – tak było od czasu incydentu z haszyszem znalezionym w jej pokoju, od tamtej pory już w ogóle mi nie ufała. Nie chciała mnie do siebie dopuścić.

A ja nadal tęskniłam za dziewczyną, która wyrывała ze mną chwasty w ogrodzie.

Kiedy w przeddzień wyjazdu do Sandhamn na babski wieczór smażyłam jajka na śniadanie, Yasmin nagle wzięła mnie za rękę. Stało się to zupełnie nieoczekiwanie. Kątem oka widziałam, że podchodzi, sądziłam jednak, że przejdzie za moimi plecami do lodówki, a tu nagle poczułam jej ciepłą dłoń na swoim przedramieniu.

Zdziwiłam się tak bardzo, że aż upuściłam szpatułkę na kuchenkę.

– Dziękuję ci, Mario – powiedziała. – Za to, że byłaś dla mnie taka miła po tym, jak się przewróciłam. No i w ogóle za wszystko, co robisz w domu.

Wskazała na jajka, które zaczęły się przypalać.

Zdjęłam patelnię z palnika, odwróciłam się do niej i niezdarnie ją objęłam. Jej kruche ciało piskłęcia w moich ramionach, jej oddech na mojej szyi. Zapach perfum – dławiący i trochę zbyt ciężki jak na młodą dziewczynę – kręcił w nosie.

Tak, później oczywiście się zastanawiałam: czy ona w ten sposób się ze mną pożegnała?

*

Gdy Samir został zabrany przez policję, Ann-Britt i Gunnar podrzucili mnie i Vincenta do Nacka, do mamy.

Vincent, który siedział w swoim pokoju, kiedy przyjechali z dwoma nieznanymi funkcjonariuszami, na szczęście nie był świadkiem tamtej strasznej sceny i towarzyszącej jej nerwowej szamotaniny. Dziękowałam

niebiosom, że nie słyszał moich krzyków, nie widział moich łez ani daremnych prób powstrzymania policjantów przed aresztowaniem Samira.

Mimo to oczywiście natychmiast wyczuł, że coś jest nie tak, widziałam to po nim. Wysunął krnąbrnie dolną wargę i zacisnął pięści, chociaż zapewniłam go, że u babci też będzie mógł coś upiec. Patrzył na Gunnara i Ann-Britt z nieskrywaną podejrzliwością, mnie zaś co jakiś czas obrzucał oskarżycielskim spojrzeniem, jakby to była moja wina, że siedzimy w obcym samochodzie, a nie w naszym domu, który miał być wkrótce przeszukany przez organy ścigania.

Mama przywitała nas w drzwiach z uśmiechem, ale nie tak serdecznym, naturalnym i szczerym jak zwykle, tylko maskującym wyraźne napięcie na bladej twarzy.

– Wchodźcie, wchodźcie – powiedziała, cofając się do przedpokoju i opierając dłonie na rozłożystych biodrach. I nagle jakby doszła do siebie: zbliżyła się do nas i nas przytuliła, najpierw Vincenta, a potem mnie.

– Co za potworność – szepnęła mi do ucha. – Co. Za. Potworność.

Zastanawiałam się, co jest tą potwornością. Czy to, że mój mąż został aresztowany za zabójstwo własnej córki? Czy też ona naprawdę uważała, że Samir z brzdąkającego na gitarze miłego i ciepłego taty zamienił się w człowieka z zimną krwią dokonującego zabójstwa honorowego, a ja niczego nie zauważyłam?

Odpowiedź na to pytanie uzyskałam później, kiedy Vincent bawił się w pokoju obok z grubym i starym jamnikiem, który kiedyś należał do taty, ale jak na ironię przeżył go o wiele lat.

– To straszne – powiedziała, spoglądając na kubek z kawą oparty na jej masywnych udach.

Skinęłam głową.

– Zakładam, że go wypuszczą, jak tylko się zorientują, że jest niewinny.

– Podniósłszy głowę, spojrzała na mnie. Sprawiała wrażenie zdziwionej i chyba trochę zakłopotanej. – Z drugiej strony policja chyba nie zabrałaby człowieka tak po prostu? Może oni wiedzą coś, czego ani ty, ani ja nie wiemy?

Poczułam takie samo lodowate zimno jak w momencie, gdy dwaj mundurowi wyprowadzili Samira z domu.

– Chyba nie sądzisz, że Samir ma coś wspólnego ze zniknięciem Yasmin?

– Nie, nie. Ja tylko...

– Mamo – przerwałam jej. – On nie skrzywdziłby nawet muchy, a co dopiero własną córkę?

– Jasne, jasne. Tak się tylko zastanawiam.

– Nad czym się zastanawiasz?

– Sama już nie wiem.

Potarła swe pomarszczone dłonie.

– Czy jego pochodzenie nie odgrywa tu jednak pewnej roli. Jego arabskie korzenie.

Musiałam przygryźć wargę, żeby nie powiedzieć czegoś naprawdę paskudnego.

– Przemawia przez ciebie rasistka.

Mama wyglądała na urażoną.

– Wcale nie jestem rasistką.

– Ale tak myślisz. I brzmisz dokładnie jak tamci ludzie z policji. Pewnie jesienią naczytałaś się artykułów w gazetach o tamtej szwedzkiej dziewczynie zamordowanej w Iraku przez własną rodzinę?

Potaknęła.

– Wszyscy chyba poszaleli – ciągnęłam. – Gdziekolwiek się człowiek zwróci, każdy wietrzy zabójstwa honorowe. W szkole to samo. Wystarczy, że rodzic imigrant poprosi o zwolnienie córki na kilka dni z zajęć, od razu powstaje podejrzenie, że rodzina zamierza po kryjomu wydać ją za męża.

– Ale przecież – odezwała się ostrożnie mama – tak się zdarza. Naprawdę.

Nie odpowiedziałam, tylko pomyślałam o dwóch uczennicach z mojej szkoły pochodzących z Bliskiego Wschodu, którym rodzice nie pozwalali uczestniczyć w lekcjach wuefu. Formalnie dziewczyny miały zaświadczenie lekarskie, wiadomo jednak, że chodziło o coś zupełnie innego – ich bliscy uważali, że ćwiczenie razem z chłopcami jest niestosowne. Jedna z nich nie mogła nawet sama przychodzić do szkoły ani z niej wracać, codziennie asystował jej jeden ze starszych braci.

Owszem, takie rzeczy się zdarzały, ale nie w mojej rodzinie.

Mama ostrożnie postawiła kubek z kawą na stole i spojrzała na regał, na którym nie było ani jednej książki. Zamiast nich na półkach królowały porcelanowe figurki, kolorowe szklane wazony i zdjęcia jej oraz taty,

a także moje z dzieciństwa, no i oczywiście fotografie Vincenta szczerzącego się z wózka w szerokim i bezzębnym uśmiechu.

Mama odchrząknęła nieśmiało. Jej lekko zaróżowione policzki nabrały intensywniejszej barwy, a plama czerwieni rozlała się też na szyję.

– W takim razie co według ciebie stało się z Yasmin? – spytała, unikając mojego wzroku.

– Chociaż to straszne, musimy zaakceptować, że ona po prostu odebrała sobie życie. Wiem, że trudno w to uwierzyć. Już łatwiej sobie wyobrazić, że jakiś podły człowiek ją zamordował. Albo że to kolejny przypadek zabójstwa honorowego. I że jest w nie zamieszany Samir. Ale Yasmin miała problemy, mamo. Z nią naprawdę źle się działo, zadawała się z niewłaściwymi ludźmi, wiem też, że w grę wchodziły narkotyki. W ostatnim czasie...

Urwałam i zamyśliłam się na moment, nasłuchując dochodzącej z sypialni pogodnej paplaniny Vincenta, która w końcu ucichła.

– Wyglądała jak kościotrup – uzupełniłam. – Chyba nie dawała sobie rady sama ze sobą. Biedna.

– No tak, biedna Yasmin – powtórzyła za mną mama.

– Mamusiu, co to jest zabójstwo onorowe?

Odwróciłam się.

Vincent stał w drzwiach, trzymając w objęciach opasłego jamnika. Niepojęte, że w ogóle zdołał go unieść.

– Wyjaśnię ci później, synku – odpowiedziałam.

– Czy tata Samir popełnił zabójstwo onorowe?

Miał bardzo skupioną i niewinną minę.

Pies wyswobodził się z jego uścisku i zeskoczył na podłogę, po czym usiadł mu przy nodze i spojrzał wyczekująco, jakby spodziewał się jakiegoś smakołyku.

– Nie, skarbie. Samir jest teraz na policji, żeby wyjaśnić, że nie zrobił nic złego. Tylko rasiści myślą w taki sposób.

– Co to jest rasista?

Westchnęłam. Mimo przygnębiającej sytuacji nie mogłam się powstrzymać, by się nie uśmiechnąć.

– Niektórzy nie lubią ludzi z innych krajów.

Vincent otworzył usta, a następnie zamknął je i zdawał się zbierać siły.

– Dlaczego nie lubią ludzi z innych krajów?

– Pewnie dlatego, że się ich boją.

Przykucnął i pogłaskał jamnika po grzbiecie.

– A czego się boją?

Nagle parsknęłam śmiechem i śmiałam się bez opamiętania, nie mogłam przestać. Aż pociekły mi łzy.

– Dziękuję ci, skarbie – powiedziałam. – Dziękuję, że dzięki tobie mogę się śmiać.

10

Następnego ranka po przeszukaniu domu zadzwonił mężczyzna, który przedstawił się jako Franz Keller, obrońca Samira. Przekazał, że widział się z nim i uczestniczył we wczorajszym przesłuchaniu, poinformował również, że Samir czuje się „dobrze, jak na te okoliczności”. Na koniec dodał, że będzie pełnił funkcję łącznika między mną a moim mężem podczas jego pobytu w areszcie.

Czy to potrzebne? – pomyślałam. Przecież on wróci do domu jutro, najpóźniej pojutrze. Bo na podstawie tak nieokreślonych przesłanek policji nie wolno trzymać nikogo dłużej niż trzy doby.

Po krótkiej rozmowie ustaliliśmy, że skontaktujemy się następnego dnia. Zapisałam jego numer i się rozłączyłam.

Ale nazajutrz nie doszło do żadnej rozmowy z Franzem Kellerem. Rano zostałam wezwana na kolejne przesłuchanie, w związku z czym zostawiłam Vincenta u mamy i pojechałam na komendę, by spotkać się z Ann-Britt i Gunnarem.

Policja zabrała samochód Samira, żeby przeprowadzić jakieś badania kryminalistyczne. Moje auto zostawili w spokoju. W pierwszej chwili się zdziwiłam, potem jednak sobie przypomniałam, że tamtego wieczoru, kiedy zaginęła Yasmin, pojechałam nim do Stavsnas i zostawiłam je w porcie.

Technicy przeprowadzający rewizję w naszym domu nie wywrócili wszystkiego do góry nogami jak w amerykańskich filmach, chociaż oczywiście nie dało się nie zauważyć, że ktoś dokładnie przeszukał nasze rzeczy: grzebał w bieliźnie i zaglądał do albumów ze zdjęciami, sprawdzał śmieci i lodówkę. Swetry Samira leżały w niewłaściwej szufladzie, a teczka z dokumentami, komputer i kamera zniknęły.

To się chyba nigdy nie skończy – przemknęło mi przez głowę, ponieważ nie miałam pojęcia, czy się w ogóle zaczęło.

Na komendzie, po kontroli bezpieczeństwa tuż przy wejściu, wyszedł mi naprzeciw Gunnar. Uścisnął mi rękę i zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu.

– Jak się pani trzyma?

Wzruszyłam ramionami. Nie wiedziałam, co powiedzieć, chyba nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak nędznie się czuję. Starłam się zachować dystans – tak było łatwiej.

W ascetycznym pokoju przesłuchań znajdowały się cztery krzesła, stół z białym laminowanym blatem i nic więcej. Z sufitu zwisał mikrofon, a na stole leżało coś w rodzaju magnetofonu.

– Kawy? – spytał Gunnar.

Skinęłam głową i rozejrzałam się dookoła. Znalezienie się w tym miejscu oznaczało zupełnie co innego niż siedzenie w domu, w naszej kuchni. Dotarła do mnie powaga sytuacji i znowu poczułam lodowate zimno.

Kilka minut później Gunnar wrócił z dwoma kubkami kawy. Tuż potem dołączyła Ann-Britt. Trzymała pod pachą grubą tekturową teczkę, na której widok natychmiast się zdenerwowałam. Przeraziła mnie sama myśl, że mają tak obszerny materiał dowodowy przeciwko Samirowi, ale może właśnie taki efekt miało wyrzucić przyniesienie tej teczki.

Gunnar rozpoczął przesłuchanie, informując mnie, z jakiego powodu tam jestem, a następnie wyrecytował całą masę urzędowych formułek i podał datę oraz nazwiska wszystkich obecnych. Po nim głos zabrała Ann-Britt.

– Mamy świadków, którzy twierdzą, że Yasmin mogła zostać pobita. Kilkakrotnie widziano ją posiniaczoną. Co może nam pani powiedzieć na ten temat?

Byłam zaskoczona, chociaż powinnam była przygotować się na takie pytanie. Najspokojniej, jak potrafiłam, opowiedziałam o siniakach i pękniętej wardze, które wymagały pilnej wizyty na pogotowiu przed kilkoma tygodniami.

– Dlaczego nie wspomniała pani o tym wcześniej?

– Nie sądziłam, że to ważne – skłamałam.

Pauza.

– Czy zdarzało się, że Samir bił Yasmin?

– Nigdy.

– A jak oceniał jej styl życia?

– Co pani ma na myśli?

Ann-Britt poprawiła sobie na nosie okulary do czytania i przeczesła palcami stalowoszare włosy.

– Jak podchodził do tego, że jej chłopak był Szwedem? Że uprawiała seks, imprezowała i piła?

Zaniemówiłam.

– Nijak – odparłam, gdy już otrząsnęłam się z szoku. – Nic nie mówił na ten temat. Zależało mu przede wszystkim na tym, żeby nie zaniedbywała szkoły.

Dalej rozmowa przebiegała w podobnym duchu. Ann-Britt zadawała niezliczone pytania dotyczące Samira i jego podejścia do życia. Czy jest religijny? Czy chodził do meczetu? Czy utrzymywał intensywny kontakt ze swoją rodziną w Maroku i czy kiedykolwiek sugerował, żeby Yasmin się tam przeprowadziła? Czy oceniał jej sposób ubierania się? A może chciał, by nosiła czarczaf?

Usiłowałam nie dać się sprowokować i nie krzyknąć, że Samir jest niewinny, a oni są rasistami albo w najlepszym razie ograniczonymi oportunistami, którzy uczepili się zabójstwa honorowego tylko dlatego, że to ostatnio modny temat w mediach, a rodzice Samira akurat urodzili się w kraju arabskojęzycznym.

– On jest Francuzem – powiedziałam. – Ma w nosie islam, religia go nie interesuje. Kocha Yasmin i stracił już jedno dziecko. Prędzej sam by się zabił, niż skrzywdził swoją jedyną córkę.

Płacz ścisnął mi gardło, a serce łopotało jak wystraszony ptaszek.

– Na regale u państwa stoi Koran – zauważyła Ann-Britt.

– I co z tego? To nic nie znaczy. A pani nie ma Biblii u siebie w domu? Niemal każdy ma ją w swojej bibliotece, bo jej znajomość należy do ogólnego wykształcenia. Do tego wcale nie trzeba być religijnym.

– To nieistotne, co ja trzymam na półce z książkami czy na nocnej szafce – odparła po chwili milczenia. – Ale nie każdy człowiek ma Koran.

– Owszem, chyba że jest się muzułmaninem.

– Przecież mówiła pani, że mąż nie jest wierzący – odparła z triumfem w głosie, jakby właśnie przyłapała mnie na kłamstwie.

Ukryłam twarz w dłoniach.

– Bo nie jest. Samir to intelektualista – wyszeptałam. – Po prostu chce znać własne dziedzictwo kulturowe.

Podniosłam wzrok na przepytującą mnie śledczą. Jej spojrzenie było wyjątkowo zimne i surowe, a twarz nie zdradzała żadnych emocji, jakby ta kobieta w ogóle nic nie czuła. Gunnar zachowywał się zupełnie inaczej – w jego oczach dostrzegałam współczucie. Wyglądał na smutnego i zrezygnowanego.

Ann-Britt otworzyła tekturową teczkę i przerzuciła znajdujące się w niej materiały. Wyjęła zdjęcie i położyła je na stole. Rozpoznałam na nim kurtkę Yasmin.

– Już to widziałam – zauważyłam.

– Znaleźliśmy krew na kurtce. Analiza DNA wykazała, że to krew Yasmin, podobnie jak ta zabezpieczona na skałach.

Poczułam niepokojące ssanie w żołądku. Milczałam.

Po chwili na stole wylądowało kolejne zdjęcie, ukazujące jej buty ustawione na skraju Kungsklippan.

– Ślady jej krwi stwierdzono także na kozakach – kontynuowała Ann-Britt. – A na liście pożegnalnym są odciski palców zarówno Yasmin, jak i Samira.

– Raczej nic w tym dziwnego, pewnie wzięła pierwszą z brzegu kartkę z domu. A w nim na pewno nie brakuje naszych odcisków palców.

– Natrafiliśmy na coś jeszcze. Na list od kuzyna Samira, Muhammeda.

Policjantka wyjęła kopię odręcznie napisanego listu w języku francuskim. Obok położyła kartkę z fotokopiami zdjęć kilku młodych mężczyzn. Pod każdym z nich widniały krótkie podpisy po arabsku, być może nazwiska.

– I?

– Przetłumaczyliśmy go. Muhammed próbował przekonać Samira, aby ten wydał córkę za mąż w Maroku. Na fotografiach są potencjalni kandydaci.

Utkwiłam wzrok w szeregu zygzakowatych znaków.

– To nadal niczego nie dowodzi. Nawet jeśli Muhammedowi się wydawało, że znalazł dla Yasmin odpowiednich kandydatów, to jeszcze nie znaczy, że Samir rzeczywiście zamierzał ją tam wysłać. Swoją drogą: rozmawialiście z kuzynem mojego męża?

– Oczywiście, że tak – odparła Ann-Britt.

– I co powiedział?

– Na razie nie mogę tego zdradzić, ale chcielibyśmy porozmawiać z panią jeszcze o czymś innym.

Pochyliwszy się do przodu, obrzuciła szybkim spojrzeniem Gunnara. Następnie, jakby za sprawą cichego porozumienia, on zabrał głos.

– Proszę posłuchać – zwrócił się do mnie. – Mamy świadka, który widział, jak samochód Samira wyjeżdżał z Kungsudd tego wieczoru, gdy zginęła Yasmin.

Znowu oboje wymienili spojrzenia.

– Ten świadek twierdzi, że Samir przejechał przez most i skierował się na północ – dodała Ann-Britt.

– Kłamie. W Kungsudd nie brakuje ludzi, którzy nie lubią Samira i którzy najchętniej widzieliby go za kratkami za coś, czego nie zrobił.

To była prawda.

Pamiętam spojrzenia, jakimi obrzucono jego i Yasmin, gdy kiedyś w sklepie spożywczym rozmawiali ze sobą po arabsku. Podejrzliwe, pogardliwe wyrazy twarzy. Sądzę, że oni dwoje zrobili to wtedy specjalnie, żeby sprowokować sąsiadów, bo Yasmin wcale nie mówiła dobrze po arabsku. Ale oczywiście znała parę słów i zwrotów, trochę też rozumiała.

Pomyślałam między innymi o rodzicach Toma. Samir wielokrotnie się z nimi ściał, ponieważ oni, w odróżnieniu od niego, nie chcieli, by uczniowie z innych gmin korzystali z boiska do piłki nożnej, które zwykle stało puste. Był też ten zwariowany staruch mieszkający koło mostu – domagał się, by Samir zmienił samochód, ponieważ jego stary saab robił rzekomo za dużo hałasu. Kiedy nazwał Samira ciapatym, namówiłam męża, by zgłosił to na policję, a gdy rzeczywiście to zrobił, został tylko wyśmiany.

Kilka miesięcy później dwaj strażnicy zatrzymali go przed Instytutem Karolinska. Podobno ktoś ich poinformował, że jakaś „podejrzana osoba” kręci się po parku w okolicy budynku, w którym on pracował. A kiedy nie mógł się wylegitymować, powalili go na ziemię i wezwali policję. Od tamtej pory Samir nie miał zbyt wielkiego szacunku dla instytucji porządku publicznego i ich przedstawicieli, zbyt wiele razy musiał bowiem znosić wręcz faszystowskie szykany – zarówno wcześniej, w młodości, jak i po przyjeździe do Szwecji.

Gunnar odchrząknął.

– Jadąc w kierunku północnym, dociera się do składowiska śmieci. Kamera monitoringu zarejestrowała Samira w tamtej okolicy o wpół do dwunastej.

Ann-Britt wyjęła kolejne zdjęcie, czarno-białe. Mimo kiepskiej jakości bez trudu rozpoznałam przygarbioną postać uchwyconą w pół kroku. Samir niósł jakąś torbę i wyglądał, jakby zmierzał w stronę kontenerów. W tle majaczyło jakieś auto, prawdopodobnie jego saab.

– Przecież to może być ktokolwiek – skłamałam.

Gunnar westchnął.

– W jednym z pojemników znaleźliśmy zakrwawioną kuchenną ścierekę – powiedział. – Ponadto w bagażniku samochodu Samira zabezpieczono ślady krwi.

Urwał, a po chwili kontynuował przytłumionym głosem:

– Były w nich włókna ze ściereki.

Kolejne zdjęcie, a na nim rzeczywiście jedna z naszych kuchennych ścierek. Rozpoznałam ją po szlaczkach w postaci dziobiących kurczaków. Na materiale widniały duże brązowoczerwone plamy.

– To wszystko badają teraz nasi technicy – mówił dalej Gunnar. – Ale jestem gotów się założyć, że to jest krew Yasmin. W kontenerach było jeszcze to.

Kolejne dwa zdjęcia, tym razem wyraźne, dobrej jakości, zrobione na białym tle. Na jednym widać zimowe buty Samira, a na drugim spodnie podobne do tych, które nosił.

– Ślady krwi znajdują się zarówno na butach, jak i na spodniach. A na butach są też odciski palców Samira. Prawdopodobnie zidentyfikujemy też na nich jego DNA. Już nie może go pani chronić. Czy pani to rozumie?

*

W moim życiu niejednokrotnie dochodziło do załamania i wstrząsów, ale to, co wydarzyło się teraz, wyrzuciło je całkowicie i przypieczętowało katastrofę. Wiedziałam to z druzgocącą pewnością.

Jak szybko wszystko może się zmienić – jednego dnia masz zwariowaną, ale szczęśliwą rodzinę, a następnego twoja egzystencja leży w gruzach, wszystko roztrzaskane na kawałki jak po bombardowaniu. Czy gdybym wiedziała to wcześniej, żyłabym inaczej? Czy bardziej cieszyłabym się każdym dniem, każdą chwilą?

Czasami łatwo ulec złudzeniu, że nasza egzystencja to teraźniejszość, łagodnie przedłużona i rozciągnięta w przyszłość. Że życie to leniwy kot, który uparcie kroczy jedną z góry ustaloną ścieżką. A potem następuje coś niepojętego, nieopisanego, czego nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić

w najdzikszych fantazjach. Nie idziemy już bezpiecznie obok tego tygrysa, tylko czujemy, jak jego zęby zaciskają się nam na szyi, łapy opierają się na piersi, pazury głęboko wbijają się w skórę.

Słyszymy go, jak ryczy, przeczuwamy, że niedługo wszystko się skończy, i uświadamiamy sobie coś okropnego: zostaliśmy oszukani przez życie.

Tata zwykł mawiać, że życie jest jak drzewo. W jego ustach to oczywiście nic dziwnego: rośliny i drzewa były jego pasją, po prostu wszystkim. Były ważniejsze od ludzi, ważniejsze niż cokolwiek innego.

Korzenie to twój rozwój, powtarzał. Bez zdrowych korzeni zabraknie ci pożywienia, by rosnąć i się rozwijać. Pień to twoje czyny, wybory, których dokonujesz, i codzienność, którą sobie budujesz; może być gruby i silny albo cienki i wąty – to zależy od ciebie. Z chudego pnia nie wyrosną jednak mocne gałęzie. Te gałęzie to nasze marzenia. Wyciągają się ku niebu, bo nie znają lepszego kierunku.

Potem wybuchał śmiechem, spluwał pod nogi, zacierał ubrudzone ziemią ręce i mamrotał pod nosem, że może wystarczy już tej poezji ogrodnika.

Uważam, że moje korzenie były krzepkie i dorodne, sięgały głęboko w moją bogatą historię i dostarczyły mi pokarmu niezbędnego do tego, bym mogła urosnąć silna. Wiem, że dokonywałam właściwych wyborów i że byłam dobrym człowiekiem, a przynajmniej starałam się dawać z siebie wszystko. Miałam też marzenia i odważyłam się uwierzyć, że mogę być szczęśliwa, że wręcz na to zasługuję.

A teraz?

Teraz z mojego drzewa zostało jedynie drewno na opał, starannie porąbane, ociekające jeszcze świeżymi sokami. Wszystkie nadzieje zgasły, wszystkie marzenia się rozwiały. Świadomość, że szkoda już nastąpiła i jest nie do naprawienia, była przytłaczająca. Po co właściwie miałam jeszcze żyć?

Oczywiście był Vincent.

Błogosławiony chłopiec.

Co ja bym bez niego zrobiła?

11

Nie ma ciemności bez światła, a moim światłem był niewątpliwie Vincent.

Po aresztowaniu Samira każdej nocy po omacku przychodził na wpół śpiący do mojej sypialni i wsuwał się pod kołdrę. Był smutny i wstrząśnięty tym, co się stało. Uspokajałam go, a potem zasypialiśmy mocno przytuleni.

Czasami rozmawialiśmy o Samirze.

– Czy oni naprawdę myślą, że tata Samir zabił Yasmin? – pytał z przerażeniem w oczach.

– Tak, oni tak myślą – mówiłam szczerze. – Ale on tego nie zrobił.

– Czy policjanci to rasiści?

– Raczej nie.

Zastanowiwszy się przez chwilę, odgarnął wilgotny kosmyk z czoła i w końcu spytał:

– Czyli tata Samir niedługo wróci do domu?

– Tak, na pewno – skłamałam ze wstydem. – Bo nie zrobił nic złego.

Tak, właśnie tak mu powiedziałam, bo co innego mogłam mówić? Jak miałam dziecku o potencjale intelektualnym sześciolatka wyjaśnić coś, czego sama nie rozumiałam?

Inne wspomnienie: Vincent zupełnie samodzielnie przygotował dla mnie śniadanie w dniu, w którym zostałam wezwana na przesłuchanie dotyczące przedłużenia aresztu Samira. Zaserwował mi chrupkie pieczywo z pasztetem z wątróbki i ogórkiem. Byłam z niego ogromnie dumna nie tylko dlatego, że udało mu się zaparzyć herbatę, wszystko ładnie ustawić na tacy i przynieść na górę, ale głównie z tego powodu, że miał tyle empatii. Który inny dziesięciolatek wpadłby na coś takiego?

Dni toczyły się więc dalej, a dzięki Vincentowi wydawało się, że dalsze życie nie tylko jest możliwe, lecz także ma sens.

Zgodnie z przypuszczeniami Samir nie został zwolniony z tymczasowego aresztu.

Mimo to nie spodziewałam się, że tego samego dnia wieczorem zastanę po powrocie do domu tłum ludzi na ulicy. Towarzyszył mi Gunnar. Prawdopodobnie przeczuwał to i dlatego tak bardzo nalegał, że mnie odwiezie.

Musiało tam być co najmniej pięćdziesięciu dziennikarzy – samochody stały w dwóch rzędach zaparkowane w śniegu na naszej ślepej uliczce. Kiedy wysiedliśmy ze starego volva Gunnara, wszyscy naraz rzucili się w naszą stronę. Podsuwali nam mikrofony i kamery pod samą twarz, zasypywali pytaniami: Czy według pani Samir jest winny? Co sądziła pani o Yasmin? Czy ona była stabilna emocjonalnie? Podobno Samir brał narkotyki, czy może to pani skomentować? Czy wychodząc za niego, wiedziała pani, że jest muzułmaninem? Czy domagał się, żeby przeszła pani na islam?

Odpychając ich na bok, Gunnar oznajmił, że nie udzielam żadnych komentarzy oraz że proszę, by zostawiono mnie w spokoju. Następnie otoczył mnie ramieniem i ostrożnie przeprowadził do wejścia. Gdy znaleźliśmy się w środku, sprawdził pokój po pokoju i w każdym opuścił żaluzje i zaciągnął zasłony, klnąc pod nosem.

– Moja dobra rada – powiedział oschle po powrocie do kuchni. – Lepiej niczego nie komentować i nie odpowiadać na żadne pytania. Ale oczywiście decyzja należy do pani, ma pani wolny wybór. Jeśli jednak chce pani mieć po tym wszystkim jakieś życie, sugeruję z nikim na ten temat nie rozmawiać.

Patrząc na niego, gdy tak stał naprzeciw mnie przy kuchence, po raz pierwszy zadałam sobie pytanie, jaki on właściwie jest. Spodobał mi się ten przyjazny policjant o niebieskich oczach. Oczywiście nie w ten sposób, to jasne. Ale ufałam mu, czułam się bezpiecznie w jego towarzystwie, choć podczas tej osobliwej podróży niekoniecznie siedzieliśmy w jednej łodzi.

Kto wie, pomyślałam. Kto wie, co by się stało w innym życiu.

– Herbaty? – spytał.

– Chętnie – odpowiedziałam.

Napełnił czajnik wodą i postawił go na palniku, a potem wyjął kubki z szafki i sięgnął po stojący przy kuchence pojemnik z herbatą.

– Według pana go skażą?

Wyglądał na zakłopotanego. Zmarszczył czoło i odchrząknął, jakby próbował zyskać na czasie.

– Na razie nawet nie wiadomo, czy prokurator wniesie oskarżenie. Poza tym nie chciałbym spekulować na ten temat.

Nalał wrzątku do kubków. Znad czajnika buchnęła para.

– Zwłaszcza z panią – dodał, a przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

– Przepraszam, nie zamierzałam...

Uniósł rękę, by mi przerwać.

– Nic się nie stało – rzekł.

Następnie podał mi jeden z kubków, usiadł naprzeciwko i nic nie mówiąc, zanurzył sitko z herbatą w wodzie. Z zewnątrz dobiegał szum oddalających się głosów i odpalanych silników samochodowych. Towarzystwo powoli się rozjeżdżało.

– Oni jeszcze tu wrócą – stwierdził Gunnar. – Proszę im za każdym razem mówić, że nie udziela pani żadnych komentarzy.

– Wtedy w końcu przestaną o nas pisać?

– Nie. Ale może chociaż jeden dziennikarz akurat tego dnia zrezygnuje.

Zastanawiając się nad jego słowami, mimo woli spojrzałam na swoje ślubne zdjęcie i poczułam ucisk w żołądku.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziałam. – Po prostu tego nie pojmuję.

Gunnar oparł się na krześle i przeniósł wzrok na zaciągnięte zasłony.

– Wydaje nam się, że znamy tych, których kochamy – rzekł. – To naturalne. Ale czasami właśnie ci, którzy są nam najbliżsi, noszą w sobie największe tajemnice.

– Nie chcę w to wierzyć. Wolę myśleć, że Yasmin po prostu uciekła, to zresztą byłoby do niej podobne.

– Hm – mruknął Gunnar, siorbiąc gorącą herbatę.

– A jeżeli ona nagle objawi się tam, gdzie jest, na przykład w Paryżu albo na Ibizie? Bardzo chciała tam pojechać.

– Ona nie żyje, Mario. Im szybciej pani się z tym pogodzi, tym lepiej. Dowody nie kłamią, nie brakuje żadnych jej rzeczy, jej paszport leżał w domu. Oprócz tego sprawdziliśmy listy pasażerów wszystkich samolotów wylatujących ze Sztokholmu w dniu jej zniknięcia i w następnym. Nie figurowała na żadnej z nich.

– To jeszcze nic nie znaczy. Samir po prostu nie jest taki. Nie ma skłonności do agresji, nie jest despotą. Może ktoś próbuje go zrobić?

– Na przykład kto?

Oczy Gunnara wydawały się bardziej zmęczone niż zwykle.

Zamyśliłam się, grzejąc zmarznięte palce o gorący kubek. Jeszcze nigdy nie marłam tyle, co tej zimy.

– Nie wiem. Yasmin miała kiedyś chłopaka. Nazywał się Pito. Został skazany za przestępstwa narkotykowe, ale wydaje mi się... nie, jestem pewna, że oni wciąż utrzymywali ze sobą kontakt.

Przypomniałam sobie karteczkę z numerem telefonu, która wypadła z torby Yasmin, gdy miała jechać z Samirem na pogotowie.

– Nie mówiła pani o tym wcześniej.

– Jakoś wyleciało mi to z głowy.

Gunnar nic nie powiedział, tylko dosyć długo na mnie patrzył.

Gdy wyszedł, położyłam się do łóżka i utkwivszy wzrok w suficie, przyglądałam się cieniutkim nitkom kurzu zwisającym z listwy nad moją głową. Kołysały się lekko w przeciągu od nieszczelnego okna. Dochodziła dopiero dwudziesta, nie miałam jednak siły nic robić. Zresztą nie musiałam – Vincent był u mamy i spodziewałam się go dopiero około dziewiątej. Wiatr gwizdał za oknem, nieduże, zbite płatki śniegu uderzały w szybę.

Łóżko wydawało się dziwnie puste i zimne bez Samira. A cisza wprost przerażająca bez jego oddechu i obecności.

Książka o drugiej wojnie światowej, którą czytał, nadal leżała na nocnej szafce, podobnie okulary w oprawkach nieudolnie sklejonych taśmą. Ciśnięte na stojący w kącie drewniany taboret ubranie wciąż czekało.

Co zrobiłabym ze wszystkimi jego rzeczami, gdyby został skazany na długie więzienie? A z rzeczami Yasmin – z jej kusymi spódniczkami, wydekoltowanymi topami w jaskrawych kolorach i z masą kosmetyków? Czy powinnam je wyrzucić? Czy wolno mi zrobić coś takiego?

Zastanawiałam się też, jak Samir radzi sobie w areszcie. Podlegał ograniczeniom, które – jak wyjaśnił Franz Keller, jego adwokat o nazwisku brzmiącym tak samo jak marka szwajcarskiej czekolady – oznaczały, że nie mógł rozmawiać z nikim poza swoim pełnomocnikiem.

Nawet ze mną. Czułam się niemal jak podejrzana.

Jaka była moja rola w tym wszystkim? Ofiary?

„Biedna kobieta, jej mąż zamordował własne dziecko, a ona o niczym nie miała pojęcia”.

A może byłam w pewien sposób współwinna temu, co się stało?

„Przecież musiała się domyślać, tylko pewnie patrzyła przez palce. Ostatecznie sama go wybrała”.

Wciąż miałam w uszach słowa mamy.

„Czy jego pochodzenie nie odgrywa tu jednak pewnej roli. Jego arabskie korzenie”.

A jeżeli się nie myliła? Może potrzebę kontrolowania kobiet, także własnej córki, Samir miał po prostu we krwi? Może jego pochodzenie odcisnęło mocne piętno na systemie wyznawanych przez niego wartości i na sposobie działania, mimo że dorastał w świeckiej rodzinie, zdobył wykształcenie na najlepszym europejskim uniwersytecie i żył w jednoznacznie dalekim od religijności kraju – w Szwecji?

Usiłowałam sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek okazywał agresję lub wyrażał konserwatywne poglądy, ale nie znalazłam absolutnie niczego, co wskazywałoby na takie skłonności. Pamiętałam go jako lekko zwariowanego, uroczego, trochę bałaganiarskiego mężczyznę, który lubi śpiewać i gotować. Oddanego nauce badacza pasjonującego się swoją dziedziną. Nielubiącego poranków hedonisty, który czasami wypił jeden albo dwa kieliszki wina za dużo. Namiętnego kochanka, który nie mógł doczekać się lata, żeby móc kąpać się „po szwedzku” i pałaszować obrzydliwe kiełbaski z grilla, zawierające jedynie bułkę tartą i zmielone chrząstki.

Ale były też rzeczy, które uwierały, o których wolałabym nie myśleć.

Na przykład dlaczego po zniknięciu Yasmin Samir zachowywał się w sumie dosyć biernie? Dlaczego już tej samej nocy nie obdzwonił wszystkich jej znajomych?

Gdyby chodziło o Vincenta, zrobiłabym to w pierwszej kolejności.

Potem nasunął mi się obraz Samira siedzącego na kanapie i czytającego Koran – czy to jednak coś znaczyło? Może on mimo wszystko był religijny, a nawet był fundamentalistą, tylko ja tego nie rozumiałam?

A ta historia, kiedy Yasmin się przewróciła i rozcięła sobie wargę? W tamtym czasie bez przerwy się kłócili. Czy ona rzeczywiście się potknęła i niefortunnie upadła, czy też doszło do kolejnej awantury, Samir stracił panowanie nad sobą i ją uderzył? Może to dlatego był taki

zły, kiedy wróciłam z Vincentem do domu? I dlatego nie chciał nawet
zawieźć jej na pogotowie?

Chyba oszaleję, pomyślałam.

Naprawdę oszaleję.

12

Następnego ranka aresztowanie Samira było jedną z głównych wiadomości w telewizji. Dosłownie rzuciłam się z kuchni do telewizora, żeby go wyłączyć, zanim Vincent zdąży cokolwiek usłyszeć i zobaczyć. Niepotrzebnie się denerwowałam. Mój syn siedział skulony na kanapie z nosem utkwionym w jednym z czasopism Yasmin. I to dosłownie utkwionym między kartkami.

– To pachnie jak Yasmin – powiedział, opuszczając magazyn na kolana.

Pogłaskawszy go po włosach, spojrzałam mu w oczy.

– Jest ci smutno? – spytałam.

Skinął głową i wysunął dolną wargę, ale już w następnej sekundzie się rozpromienił.

– Czy mogę teraz mieć psa, mamusiu?

Vincent jak zwykle rozjaśniał nawet najmroczniejsze chwile. Właściwie nie pojmuję, jak w ogóle zdołałam przetrwać tamte dni i tygodnie po aresztowaniu Samira. Ale człowiek tak już ma, że zwykle robi, co musi, a ja musiałam opiekować się moim synem. Stracił Yasmin i potrzebował mnie bardziej niż kiedykolwiek.

Oczywiście nie byliśmy bez przerwy sami. Na przykład któregoś dnia przyjechała do nas Greta. Już w drzwiach uściskała mnie mocno, a potem wpadła jak burza do kuchni z butelką białego wina w jednej ręce i z pojemnikiem sałatki z krewetek w drugiej.

– To jakiś koszmar – powiedziała, opadając na krzesło przy kuchennym stole. – Według policji to Samir ją zamordował?

Usiadłam naprzeciwko niej. Jej krótkie ciemne włosy sterczały na wszystkie strony, a policzki pały od mrozu. Oczy błyszczały – nie wiem, czy z desperacji, czy z ciekawości, ale coś w wyrazie jej twarzy sprawiło, że poczułam się nieswojo.

Zdjęła puchową kurtkę.

– Koszmarnie dziś zimno – powiedziała i kichnęła, nie zasłaniając ust. – Nawet mój kot nie chce wyjść w taką pieprzoną pogodę. Leży i wygrzewa się przed kominkiem – ciągnęła. – Gdzie masz korkociąg, skarbie?

Wstałam i wyjęłam korkociąg, chleb, kieliszki oraz talerzyki.

Cała Greta: chociaż dochodziła dopiero jedenasta, ona już przyniosła wino. Piła regularnie i zwykle za dużo.

– Opowiadaj! – rzuciła, kiedy usiadłam przy stole.

– O czym mam opowiadać?

Przekrzywiła głowę na bok.

– O śledztwie. Mają jakieś dowody?

Wspomniałam o kurtce i butach Yasmin. A także o krwi znalezionej na skałach, o zdjęciach i rzeczach na składowisku śmieci.

– Co dokładnie znaleźli na tej kuchennej ścierce? – dopytywała, pochyliwszy się ku mnie.

Trochę zdziwiła mnie ta jej dociekliwość. Jakie znaczenie mógł mieć dla niej ten szczegół?

– Krew – odpowiedziałam.

– Czyją krew?

Zawahałam się.

– Chyba nie sądzisz, że on to zrobił? – zwróciłam się do niej.

Przez chwilę milczała, wpatrując się w swój kieliszek, po czym rzekła:

– Znasz go krócej niż ja.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Wzruszyła ramionami.

– Tylko tyle, że być może nie znasz go tak dobrze, jak ci się wydaje.

Poczułam się nieswojo, słysząc te słowa z jej ust. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego Greta próbowała insynuować, że Samir ma jakieś ukryte strony, których ja, jego żona, nie byłam świadoma. Jakby znała go znacznie lepiej tylko dlatego, że podkochiwała się w nim, zanim zaczęliśmy się spotykać.

– Co masz na myśli? – spytałam wprost.

Przeniosła spojrzenie na stół, a jej policzki stały się jeszcze bardziej czerwone.

– Nie sądzę, żeby to zrobił, to przecież jasne. Ale on wcale nie jest taki idealny, jak uważasz.

– Greta!

– No dobra: jest flirciarzem. W każdym razie był.

– Flirciarzem? Z kim flirtował?

– Z nikim szczególnym.

Odchyliła się do tyłu i wreszcie na mnie popatrzyła.

– No daj spokój – rzuciła zaczepnie. – Chyba wiesz, jacy są niektórzy mężczyźni? Zrobią wszystko, żeby omotać dziewczynę, a kiedy ona się zainteresuje...

Wykonała zamaszty gest w kierunku okna.

Poczułam się tak oszołomiona, że nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Nigdy nie widziałam, by Samir flirtował z jakąś kobietą. Zaczęłyśmy rozmawiać o innych rzeczach, a kiedy później próbowałam wrócić do tematu, Greta po prostu lekceważąco machnęła ręką.

– Chodziło mi tylko o to, że zanim się pobraliście, nie byliście ze sobą szczególnie długo – wyjaśniła. – Przed tobą on miał swoje życie. Tak czy nie?

Śledztwo toczyło się dalej, zostałam jeszcze kilka razy przesłuchana, ale bez udziału Gunnara. Podobno był na zwolnieniu lekarskim, Ann-Britt nie chciała mi jednak powiedzieć z jakiego powodu. Nie znosiłam jej. Brakowało mi jego przyjaznego spojrzenia i miękkiego głosu.

– Chcę rozmawiać z Gunnarem – oświadczyłam buńczucznie.

– Musi pani zadowolić się moją osobą – oznajmiła w odpowiedzi.

Czasami chodziłam na długie spacery po Kungsudd, przyglądałam się pięknym domom z przełomu wieków, teraz przysypanym śniegiem, lub szłam ścieżką wzdłuż morza. Tą samą, którą w tamten późny grudniowy wieczór wybrała się właścicielka psa.

– Czy jesteś tu, Yasmin? – wyszeptałam, obejmując wzrokiem wodę.

Ale morze było ciche i spokojne, nie przemówiło do mnie. Nie mogło mi nic powiedzieć o losie mojej pasierbicy. Rozpościerało się zimne i obojętne na wszelkie ludzkie strapienia. Drobne szare fale lizały cienką krawędź lodu, który utworzył się wzdłuż linii brzegowej. Ich plusk brzmiał niemal jak śmiech.

Bywało, że wspinałam się na sam szczyt klifu. Policyjna taśma została już dawno usunięta, a ktoś ustawił prowizoryczny płotek z powtykanych w ziemię pomalowanych na czerwono patyków, by ostrzec przechodniów przed przepaścią. Nieopodal leżał stos kwiatów, pluszowych misiów i poduszczyków w kształcie serca. Tu i ówdzie stały znicze, widać też było przyciśnięte kamkami zdjęcia Yasmin i odręczne liściki z tekstem

rozmytym przez deszcz. Niektórzy okazali się bardziej przewidujący i umieścili swoje przesłania w plastikowych koszulkach.

Dziennikarze wciąż nie dawali za wygraną – pojawiali się w naszym ogrodzie, w drodze do szkoły Vincenta, a także u mnie w pracy. Kiedyś nawet na szkolnym boisku mojego syna zaczepił jakiś mężczyzna, powiedział, że pracuje dla gazety, i spytał, jak się czuje mama – czy jest smutna, czy bardzo tęskni za Samirem.

Na szczęście indywidualna asystentka Vincenta, Maja, ostro zainterweniowała, zanim mój synek zdążył otworzyć usta.

Maja, rezolutna Norrlandka obdarzona mocnym charakterem i zerowym respektem dla autorytetów, zwymyślała pismaka od góry do dołu. Jak mógł upaść tak nisko, żeby nachodzić i atakować bezbronne dziecko w szkole? Czy kompletnie odebrało mu rozum, czy może się naćpał? Kazała mu się wynosić, i to szybko.

Relacjonując to zajście, Maja uśmiechnęła się łagodnie.

– Przysięgam, że gdyby od razu się nie zawinął, z całej siły kopnęłabym go w jaja – oznajmiła flegmatycznie w swoim dialekcie i wskazała znacząco na czarne martensy, które miała na nogach.

Dostałam zwolnienie lekarskie i nie pracowałam, ale utrzymywałam stały kontakt z dyrektorem i z częścią najbliższych koleżanek i kolegów. Regularnie informowali mnie o tym, że byli nagabywani przez współpracowników wieczornych gazet, którzy chcieli wiedzieć, jaka jestem tak naprawdę, za fasadą normalności. Nie wiedziałam, czy powinnam się śmiać, czy raczej płakać. Zupełnie jakbym prowadziła drugie, sekretne życie poza tym oficjalnym, w którym pracowałam jako nauczycielka i byłam zwyczajną matką oraz właścicielką niewielkiego domu.

Czy oni naprawdę myśleli, że trzymam w piwnicy dywaniki modlitewne i burki? Że byłam zastraszana przez Samira i zmuszana do bezwzględного posłuszeństwa? Że jestem potworem i nienawidziłam swojej pasierbicy tak bardzo, że było mi obojętne, czy ona żyje, czy nie?

W prasie nieustannie rozpisywano się o mężczyznach do tego stopnia zdeterminowanych, by kontrolować życie oraz seksualność swoich sióstr i córek, że nie wahali się znęcać nad nimi czy nawet je zabić, jeżeli odmawiały podporządkowania się zasadom narzuconym przez tradycję. W telewizji odbywały się debaty, w których zaproszeni eksperci

potwierdzali, że kultura honoru nadal przekazywana jest z pokolenia na pokolenie, nawet w rodzinach od lat żyjących w Szwecji.

Staralam się jak najrzadziej patrzeć na nagłówki, unikałam czytania gazet i wyłączałam telewizor, gdy tylko poruszano ten temat.

Tu nie chodzi o nas – wmawiałam sobie. Nie chodzi o mnie, tylko o kogoś innego.

Czasami usiłowałam sobie wyobrazić, że tym kimś jest Ann-Britt, zimne i gruboskórne babsko.

W ten sposób jakoś się trzymałam.

Ale z drugiej strony, co to dawało, że ja nie czytałam gazet, skoro wszyscy inni je czytali?

Sąsiedzi gapili się na mnie, kiedy wychodziłam z domu, ekspedientki w sklepie spożywczym milkły na mój widok. Znajomi dyskretnie się cofali albo wybierali okreśną drogę, byle tylko uniknąć spotkania ze mną, kiedy byłam w centrum.

Inni zachowywali się wręcz odwrotnie. Wpadali do mnie, zadawali dociekliwe pytania i chcieli godzinami rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Niektórzy płakali, jakby oczekiwali, że ich pocieszę, jakby naprawdę wierzyli, że mogą zrzucić na mnie swoje troski jak worki pełne śmieci.

Któregoś dnia zadzwoniła dyrektorka szkoły, do której chodziła Yasmin, z informacją, że w najbliższy wtorek uczniowie organizują wieczór pamięci poświęcony zmarłej koleżance, i spytała, czy nie zechciałabym przyjść z Vincentem.

– Bardzo dziękuję, ale złapała nas grypa i jesteśmy przykuci do łóżka – skłamałam, ponieważ nie wyobrażałam sobie, bym mogła stanąć przed koleżankami i kolegami Yasmin.

Jej drużyna koszykówki przysłała okolicznościową książeczkę, w której wszystkie zawodniczki napisały listy do Yasmin, oraz piłkę z podpisami członków klubu.

Nie miałam pojęcia, co zrobić z tą piłką. Chodziłam po domu z pokoju do pokoju, aż w końcu dałam ją Vincentowi.

Mniej więcej tydzień później zadzwonił Gunnar.

Powiedział, że sprawdził, co się dzieje z Pitem. Okazało się, że siedzi w więzieniu w Hall i w związku z tym nie mógł być zamieszany w zniknięcie Yasmin, przynajmniej nie bezpośrednio.

Nie zdziwiło mnie to, bo przecież wiedziałam, że został skazany za przestępstwa narkotykowe.

– Dziękuję za informację – odparłam. – Jak się pan czuje? Jest pan chory?

Zamilkł na dłuższą chwilę, po czym odchrząknął i odpowiedział:

– Doszło do pewnego zdarzenia. Wolałbym pomówić o tym kiedy indziej.

Nie nastąpiło jednak żadne „kiedy indziej”, dni mijały jeden za drugim, a życie się kurczyło.

Było późne popołudnie, to musiało być jakieś dwa lub trzy tygodnie po zatrzymaniu Samira, ponieważ właśnie odbyła się pierwsza rozprawa w sprawie tymczasowego aresztowania.

Zobaczyłam go przez okno ze swojego miejsca przy kuchennym stole. Wysoki i chudy, jego stopy trochę zapadały się w śniegu, ciemne kręcone włosy opadały mu na czoło. Miał na sobie znowu cienką kurtkę przeciwdeszczową, był bez czapki i bez rękawiczek.

Wysłałam do przedpokoju, ale poczekałam, aż zadzwoni do drzwi, bo ciągle marzłam i nie chciałam wpuszczać do środka zimnego powietrza.

– Wejdz szybko – powiedziałam, kiedy już uchyliłam drzwi.

Spojrzał na mnie, nie kryjąc zdziwienia.

– Spieszysz się? Przeszkadzam?

I znowu objawiła się w nim ta niepewność, która zawsze wzbudzała we mnie matczyne uczucia. Jakby się obawiał, że jego obecność jest niemile widziana, a mój czas zbyt cenny, abym miała poświęcać go jemu.

– Ty nigdy nie przeszkadzasz – zapewniłam i zdecydowanym ruchem wciągnęłam go do środka, od razu zamykając drzwi. – Po prostu w domu jest cholernie zimno.

– Rozumiem.

– Rozbierz się.

Ściągnął buty i zdjął kurtkę.

– Nie możesz się tak lekko ubierać – zwróciłam mu uwagę. – Przecież jest parę stopni mrozu. Jeszcze nabawisz się... Właściwie to nie wiem, czego mogą z zimna nabawić się chłopcy. U dziewczynek zziębnięcie zwykle kończy się infekcją dróg moczowych.

Uśmiechnął się krzywo.

– Od kiedy jesteś moją matką?

Zazwyczaj żartowaliśmy sobie z tego, że jestem dla niego jak przyszywana mama. Odpowiedziałam zatem tak jak zwykle:

– Od pieluch.

Usiedliśmy w kuchni.

– Jak się miewasz? – spytałam.

– Średnio. A ty?

Westchnęłam i oparłam się na krześle. Odsunęłam od siebie pismo z Zakładu Ubezpieczeń Społecznych z informacją, że do przedłużenia mojego zwolnienia chorobowego potrzebne jest nowe zaświadczenie lekarskie.

– Jeśli mam być szczerą, niespecjalnie.

Pokiwał głową bez słowa i spojrzał na swoje drobne dłonie spoczywające na blacie stołu. Blade palce, skórki wokół paznokci pozrywane aż do wściekle czerwonego mięsa.

– Muszę to wiedzieć – wymamrotał.

– Wiedzieć co?

– Czy to zrobił Samir. Czy to on ją zabił.

Spojrzałam za okno na przysypany śniegiem krajobraz, próbowałam sformułować jakąś odpowiedź, ale ostatecznie się poddałam. Nic już nie wiedziałam, pogubiłam się.

– Bo jeśli to on – ciągnął. – Wtedy... Wtedy...

Zaczął niekontrolowanie szlochać. Łzy płynęły strużkami po jego bladych policzkach.

Urwałam kawałek papierowego ręcznika i podałam mu.

– Powinienem być się domyślić, wyczuć – powiedział, głośno pociągając nosem. – Jeśli to on ją zabił, a ja się nie domyśliłem, nie wyczułem tego, to jestem współwinny. Może nie słuchałem jej wystarczająco uważnie. Widocznie jestem kiepski w słuchaniu. Ja...

– Tom – przerwałam mu. – Cokolwiek się wydarzyło, to nie jest ani twoja, ani moja wina.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– A jeśli?

– Nie ma żadnego jeśli. Żadnego ale.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Słyszeć było jedynie przytłumiony szum lodówki oraz grzmiącą ciszę domu, który zawsze był pełen dźwięków i różnych odgłosów.

– Co teraz będzie? – spytał.

*

No właśnie, co stało się potem?

Dni mijały jeden za drugim, przechodziły w tygodnie. Czas płynął, chociaż najchętniej cofnęłabym zegar. Każdy dzień był jednakowo bolesny. Pod koniec lutego wniesiono akt oskarżenia przeciwko Samirowi. Franz Keller informował mnie na bieżąco o przebiegu procesu, a także zaoferował wsparcie w praktycznych sprawach.

– A co z rachunkami i innymi tego typu rzeczami? Czy potrzebuje pani pomocy w opłaceniu ich? – spytał podczas jednego ze spotkań w jego kancelarii.

Rachunki? – pomyślałam. To był najmniejszy spośród moich problemów. Pokręciłam głową.

– Jak Samir się czuje?

Mecenas poprawił sobie muszkę, do których ewidentnie miał słabość. Był dosyć młodym adwokatem i modnym facetem z upodobaniem ubierającym się w stylu starszego pana. Lubił tweed, trzyczęściowe garnitury w drobną kratkę, no i właśnie muszki.

Mama, która była obecna podczas kilku spotkań, nazwała go Turem Sventonem. Chyba nie miała na myśli nic złego, myślę, że raczej darzyła go sympatią. Był dokładnie takim mężczyzną, jakiego z pewnością życzyłaby sobie na zięcia: dobrze wykształcony, dobrze wychowany, a przede wszystkim nie miał w żyłach ani kropli arabskiej krwi.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, nie najgorzej.

– A co mówi na oskarżenie?

– Nie mogę wypowiadać się na ten temat.

– Dlaczego?

– Nie wolno mi komentować tego, o czym rozmawiam z klientem. Nawet wobec pani.

Zamilkłam.

– W takim razie czego chce oskarżyciel? – spytałam.

– Do czasu rozprawy nie dowiemy się, jakiej kary domaga się prokurator. Tak to działa.

– Ale co pan myśli?

– Nie chcę spekulować. Rozpiętość kary za zabójstwo wynosi od dziesięciu lat do dożywocia.

Nie wydałam nawet najmniejszego dźwięku.

Dożywocie – to brzmiało jak wyrok śmierci.

– Wszystko zależy od tego, czy oskarżenie uzna, że istnieją dodatkowe okoliczności obciążające – kontynuował mecenas.

– Czyli konkretnie co?

– No cóż, czy była to długa sekwencja zdarzeń, w wyniku których ofiara cierpiała, albo czy zbrodnia była planowana i miała brutalny charakter.

– Ale przecież nawet nie znaleziono ciała. Czy w takiej sytuacji można sądzić kogoś za zabójstwo?

Mężczyzna usunął kilka okruchów ze stołu, po czym przyjrzał się dokładnie swojej dłoni.

– Mimo wszystko można. Można też wymierzyć karę.

– Dożywotniego więzienia?

Mecenas poprawił się na krześle.

– Teoretycznie tak. Podstawowy warunek to oczywiście intencja.

– Czyli co, u diabła?

– Fakt, że sprawca miał zamiar pozbawić swoją ofiarę życia.

– Czy to nie dotyczy wszystkich morderców?

Franz Keller uśmiechnął się chytrze.

– Niekoniecznie. Z prawnego punktu widzenia istnieją też inne rodzaje zamiarów. Intencja pośrednia oraz coś, co nazywa się zamiarem ewentualnym.

– Zamiarem ewentualnym? – wymamrotałam. – Co to za dziwna konstrukcja? Albo się coś zamierza, albo nie.

– Może chodzić na przykład o sytuację, gdy sprawca pozostawia poszkodowanego na pewną śmierć, w pełni tego świadomy, ale obojętny na konsekwencje swojego czynu.

Po krótkiej pauzie adwokat spytał:

– Może jeszcze kawy?

Tak, to było dokładnie tak absurdalne, jak się wydaje.

Siedzieliśmy w eleganckich skórzanych fotelach w kancelarii Keller & Forslund i popijaliśmy wyborną kawę, podczas gdy moje życie rozsypało się na kawałki, mężczyzna, którego chyba kochałam, był aresztowany za zabójstwo własnej córki, a w naszym pustym domu dzwoniła cisza.

*

Podczas jednego z takich spotkań zadzwoniła do mnie Maja. Powiedziała, że Vincent wdał się w bójkę w szkole, i pytała, czy

mogłabym przyjechać.

Może nie rzuciłam się do samochodu, ale na pewno nie zwlekałam. Vincent potrafił bardzo się zdenerwować, gdy pokłócił się ze swoimi rówieśnikami; czasami wystarczyło, że ktoś wyraził pogląd, z którym on się nie zgadzał, by wpadł wręcz w furję lub w desperację. A kiedy emocje już opadły, nastawała ta szczególna cisza – cisza, która była jego specjalnością: potrafił nie rozmawiać z kolegami przez długie tygodnie.

Po dotarciu na miejsce zastałam Maję, Vincenta i jego wychowawczynię siedzących we trójkę na ławce pod starym dębem na szkolnym dziedzińcu. Pojedyncze białe płatki sypały się z szarego zimowego nieba, a zlodowaciały śnieg chrzęścił mi pod stopami, gdy zważnym krokiem zmierzałam w ich kierunku.

Vincent machał nogami w powietrzu ze wzrokiem utkwionym w ziemi.

– Co się stało? – spytałam zasapana i z sercem dziko łomoczącym w piersi, chociaż już widziałam, że mojemu synowi nic nie jest. Obmacałam mu głowę i pogłaskałam go po policzku. Bo jeśli coś grozi twojemu dziecku, stajesz się kompletnie bezbronny. Musisz je dotknąć, poczuć ciepło jego skóry, zobaczyć znak życia w jego oczach i dopiero wtedy jesteś w stanie się odprężyć.

Maja, bawiąc się kolczykiem w nosie, spojrzała na nauczycielkę.

– Vincent pobił Alexandra z trzeciej B. Alexander stracił ząb. To znaczy Vincent wybił ząb Alexandrowi – wyjaśniła kobieta.

Wydechane przez nią powietrze zamieniało się na mrozie w białe obłoczki. Wierzchem wełnianej rękawiczki otarła sobie z policzka płatek śniegu i skierowała w moją stronę wymuszony uśmiech.

Vincent wciąż wpatrywał się w ziemię i machał nogami w przód i w tył. Zgarnął z drewnianej ławki oszroniony liść.

– Co też pani opowiada? – rzuciłam, po czym zwróciłam się do Vincenta. – Uderzyłeś go?

Nie odpowiedział.

Maja spojrzała na mnie.

– Synku – odezwałam się najsurowszym tonem, na jaki było mnie stać. – Co się stało?

Nadal nie odpowiadał.

– Vincent?

Ale on milczał, zacisnąwszy małe usta w siną kreskę.

Proces zaczął się piątego marca dwa tysiące pierwszego roku i trwał trzy dni.

Ponieważ zostałam wezwana na świadka, nie mogłam być obecna na rozprawie od samego początku, tylko musiałam czekać, aż przyjdzie kolej na moje przesłuchanie.

Chociaż Franz Keller opisał mi szczegółowo, jak wszystko będzie przebiegać, znalazłszy się na sali, doznałam szoku. Rzędy ławek były szczelnie wypełnione ciekawskimi i dziennikarzami, a reszcie publiczności umożliwiono śledzenie posiedzenia na ekranie wideo w pomieszczeniu obok.

Na wprost, w otoczeniu trzech sędziów i notariusza, siedział przewodniczący składu orzekającego. Po lewej stronie zajął miejsce prokurator, a po prawej, tuż obok Franza Kellera, zobaczyłam Samira. Jego twarz natychmiast złagodniała na mój widok, we mnie również coś wyraźnie zmiękło. To był on, mężczyzna, którego kochałam, albo przynajmniej kiedyś pokochałam, a nie żaden wynaturzony potwór.

Ale ta krótka chwila zaraz minęła, przemknęła tak samo jak wszelkie tego rodzaju ulotne mgnienia i rozplynęła się wśród wszystkich innych osobliwych momentów z przeszłości.

Samir opuścił wzrok, a ja, odzyskawszy równowagę, podeszłam do małego pulpitu dla świadków naprzeciwko sędziego.

Niewiele pamiętam z przesłuchania, byłam tak zdenerwowana, że ledwie mogłam mówić. Staralam się jednak odpowiadać na zadawane mi pytania zgodnie z prawdą i jak najbardziej wyczerpująco. Nie, o ile znam Samira, nie był osobą religijną. Tak, miał bliską i ciepłą relację z Yasmin. Nie, nie bił jej, ale oczywiście bywało, że się kłócili. Tak, przed zniknięciem wydawała się przygnębiona, schudła, nie była sobą.

Po przesłuchaniu mogłam zostać na sali. Pot wystąpił mi na czoło, czułam krople wilgoci także pod pachami i między piersiami. Drżałam.

Ponownie spojrzałam na Samira.

Wyglądał na wyczerpanego. Był blady, a włosy zebrane jak zwykle w kucyk jakby urosły i wydawały się bardziej zniszczone, niż je zapamiętałam.

Jak ty się z tego wykaraskasz? – pomyślałam.

Następnego dnia oskarżyciel i obrońca wygłosili mowy końcowe.

Prokurator przedstawił swoją wersję tego, co się wydarzyło: Samir, mający korzenie w konserwatywnej kulturze muzułmańskiej, nie potrafił zaakceptować zachodniego stylu życia własnej córki. Skontaktował się więc z kuzynem, przedyskutował z nim problem, a ten wysłał mu następnie list z kandydaturami młodych mężczyzn, za których Yasmin mogłaby wyjść za mąż. Kiedy próba przemówienia córce do rozsądku się nie powiodła, ojciec zagroził, że ją zabije, jeśli nie spełni jego woli. Zmusił ją, by napisała list pożegnalny, a następnie zaprowadził ją na klif. Yasmin prawdopodobnie walczyła i się opierała, dlatego doszło do obrażeń. Stąd ślady krwi na skale. Potem Samir zepchnął ją w przepaść – na potwierdzenie tego prokurator przytoczył zeznanie właścicielki psa, a także materialne dowody w postaci kurtki Yasmin i rzeczy Samira.

Następnie sprawca zaaranżował wszystko tak, żeby wyglądało na samobójstwo – zostawił w bucie ofiary list pożegnalny, na którym znaleziono jego odciski palców. Na koniec przebrał się, zakrwawione ubrania włożył do torby, zawiózł na wysypisko śmieci i wyrzucił, co poświadczały zdjęcia z monitoringu.

Gdy słuchałam tego wyводу, słowa zapadały we mnie głęboko, zabijając ostatnią nadzieję i obracając w pył ufność, jaką wciąż żywiłam do Samira. Przedstawione rozumowanie brzmiało w moich uszach przekonująco i, chcąc nie chcąc, musiałam przyznać, że uwierzyłam w wersję oskarżyciela.

Zerknęłam na Samira, a gdy nasze spojrzenia znowu się skrzyżowały, dostrzegłam w jego oczach nieme błaganie.

Tym razem jednak nic nie poczułam. W moim wnętrzu nic nie drgnęło, nie obudziła się żadna tęsknota.

Nie wiedziałam nawet, czy chcę, aby go uniewinniono, czy skazano.

Kiedy głos zabrał Franz Keller, zaczął od podkreślenia w długim wywodzie, jak ogromną wagę ma całkowite wykluczenie wszelkich innych ewentualnych scenariuszy. Zwrócił sądowi uwagę, że zadaniem

oskarżyciela jest udowodnienie ponad wszelką wątpliwość, że oskarżony zamordował swoją córkę.

Czy oskarżyciel rzeczywiście jest w stanie to zrobić?

Nie, stwierdził Franz Keller. Bez ciała nie jest możliwe udowodnienie nawet tego, że Yasmin nie żyje. W tym miejscu obrońca zrobił długą sztuczną pauzę i uśmiechnął się wymownie, jakby chciał, aby sens jego argumentacji zapadł głęboko w świadomość słuchaczy.

Sam fakt, że na ubraniach Samira znajdowała się krew Yasmin, nie oznaczał jeszcze, że on celowo ją skrzywdził, krew mogła bowiem trafić na nie w inny sposób. A jeśli chodzi o zapis z monitoringu, było ciemno, nagrany obraz jest ziarnisty i równie dobrze może przedstawiać kogoś innego, kto z premedytacją próbował zaszkodzić Samirowi, podrzucając rzekome dowody na wysypisko. Natomiast krew znaleziona w samochodzie prawdopodobnie wzięła się tam stąd, że Yasmin często jeździła z Samirem i zwykle wkładała swój strój treningowy do bagażnika. Zdarzało się, że podczas treningu doznawała kontuzji, a nawet obrażeń, i to wyjaśniało obecność jej krwi w aucie.

Na zakończenie podważył przedstawiony przez oskarżyciela motyw. Samir kochał swoją córkę, oświadczył. Wielu świadków potwierdziło, że ich wzajemna relacja była niezwykle ciepła i głęboka, na co niewątpliwie miał wpływ fakt, że przed sześcioma laty w wypadku samochodowym oboje stracili najbliższe osoby – on żonę i młodszą córkę, ona – matkę i siostrę. Ponadto nic nie wskazuje na to, by oskarżony był religijny czy choćby miał konserwatywne poglądy.

To po prostu ciężko pracujący, inteligentny mężczyzna i troskliwy ojciec, który zrobiłby wszystko dla swojego dziecka.

Przed budynkiem sądu czekało na mnie morze kamer, oślepiały mnie jaskrawe błyski fleszy, ja zaś zachowałam się dokładnie tak, jak robią oskarżeni na filmach: ukryłam twarz za szalem i pospieszyłam ku czekającej nieopodal taksówce.

Znalazłszy się w aucie, ostatni raz rzuciłam okiem na mrowie ludzi na zewnątrz i w tym momencie, między dwoma fotografami, przemknęła mi znajoma twarz. Krótkie ciemne włosy, zaczerwienione policzki – to musiała być ona.

Greta.

Co ona tu robi? – zdziwiłam się, przypominając sobie jednocześnie jej pytania dotyczące dowodów zebranych przez policję. Po co, na litość

boską, przysłała na proces? Jeśli chciała mnie wesprzeć, to mogła przynajmniej o tym uprzedzić.

Po powrocie do domu spałam niemal całą dobę, a kiedy w końcu się obudziłam, wzięłam tabletkę na sen i zasnęłam znowu. Bolał mnie każdy mięsień, każdy centymetr kwadratowy skóry nieznośnie swędział. Głowa pulsowała, a myśli kłębiły się obłąkańczo.

Kiedy Vincent, który był u mamy, zadzwonił i tryskając radością, opowiedział mi, że upiekł z babcią ciasteczka z dżemem malinowym, znane jako „malinowe jaskinie”, w pierwszej chwili nie mogłam się zorientować, jaki jest dzień. Proces wydawał się czymś zupełnie nierzeczywistym, jakby mi się przyśnił, ale esemes od Franza Kellera świadczył o czymś wręcz przeciwnym.

Pisał, że jest zadowolony, ponieważ wszystko toczy się zgodnie z planem. Wyrok zostanie ogłoszony za dwa tygodnie.

Jeszcze dwa tygodnie niepewności. Jak ja to przetrwam? Czas jednak, jak wiadomo, nieustannie płynie; czasami się wlecze, czasami pędzi, ale nigdy się nie zatrzymuje.

*

Dwudziestego marca Samir został uniewinniony.

Sąd orzekł, że nie można udowodnić ponad wszelką wątpliwość, iż oskarżony zamordował Yasmin. Głównie dlatego, że nie znaleziono ciała ofiary. Odniosłam jednak wrażenie, że między wierszami sędziowie chcieli dać do zrozumienia, że w gruncie rzeczy uważają Samira za winnego, ale niestety nie są w stanie go skazać.

Okazało się, że nie byli osamotnieni w tym poglądzie.

Reakcja opinii publicznej była równie silna, co natychmiastowa – w oczach większości Samir to morderca. Gazety i internet zostały zalane wypowiedziami oraz postami oburzonych czytelników i obserwatorów. Jak to możliwe, że szwedzki sąd wypuścił na wolność człowieka, który zabił własną córkę? Czy możemy nadal nazywać się państwem prawa, skoro zawiedliśmy młodą, bezbronną dziewczynę, zamordowaną przez człowieka, który powinien ją chronić i kochać?

Inni byli mniej wyrafinowani, pisali, że należałoby zebrać wszystkich muzułmanów i odesłać z powrotem do kalifatu, że miejsce ciapatych jest na pustyni i że jeżeli nie będziemy czujni, ani się spostrzeżemy, a niedługo w Szwecji zapanuje prawo szariatatu.

Czułam się pusta i zagubiona.

Nie wiem, czego się spodziewałam, może naiwnie wierzyłam, że wyrok sądu będzie oznaczać swego rodzaju zakończenie tej historii, i poniekąd tak się stało. Ale prawdziwa niepewność, ta, którą nosiłam w sobie, dotyczyła tego, czy Samir rzeczywiście jest winny, czy nie. Ta niepewność uwierała mnie jak kamień w bucie i wreszcie wydrążyła głęboką ranę, podważając moje zaufanie do męża.

Co teraz będzie? Czy mamy żyć jak dotychczas, tak po prostu?

Czy to jeszcze możliwe?

*

Samir wrócił do domu po południu tego samego dnia, gdy ogłoszono wyrok. Podrzucił go Franz Keller. Z okna pokoju Vincenta zobaczyłam, jak zajechali na podwórko.

Samir wysiadł z auta, uściśnął dłoń swojemu obrońcy, po czym powoli ruszył w kierunku wejścia. Przed odjazdem adwokata pomachał mu jeszcze na pożegnanie. Następnie uniósł głowę i powiódł wzrokiem po fasadzie domu.

Serce ścisnęło mi się w piersi, zrobiłam krok do tyłu i ukryłam się za zasłonką w zebry.

– Idzie Samir – powiedziałam do Vincenta, który siedział na podłodze i rysował.

Przez pewien czas nie puszczałam go do szkoły. Po bójce z kolegą stał się dosyć niespokojny, uznałam więc, że krótka przerwa od zajęć dobrze mu zrobi. A jeśli mam być szczerą, mnie też przydało się towarzystwo, panująca w domu cisza doprowadzała mnie bowiem do szaleństwa.

– Hurra! – wykrzyknął Vincent i natychmiast zerwał się z podłogi. – To mój najlepszy dzień!

Potem popędził na dół – słyhać było głucho uderzenia jego stóp na schodach, a później głośny huk, gdy zeskoczył z trzeciego stopnia od dołu prosto na podłogę w przedpokoju.

Po kilku sekundach otworzyły się drzwi wejściowe i do moich uszu dobiegły ożywione głosy ich obu.

Część mnie próbowała się cieszyć, ale jednocześnie – niezależnie od wyroku sądu – narastało we mnie przekonanie, że Samir kłamał. Nie kupiłam hipotezy Franza Kellera i nie potrafiłam uwierzyć w to, że ktoś

nienawidził mojego męża do tego stopnia, że był gotów zabić Yasmin i podrzucić całą masę dowodów.

To zbyt naciągane, takie rzeczy zdarzały się tylko w filmach.

Jedynie głupiec mógłby dać wiarę podobnym bredniom, a cokolwiek można by o mnie powiedzieć, głupia nie byłam.

Zeszłam powoli po schodach. Nie spieszyłam się.

– Hej – powiedziałam, z daleka przyglądając się im obu, jak zanosząc się śmiechem, turlali się po podłodze.

*

Co tak naprawdę wiemy o tych, których kochamy, lub o jakiegokolwiek innej istocie ludzkiej? Nie wiedziałam dokładnie, co Samir zrobił lub czego nie zrobił, ale uważałam – nie, właściwie wiedziałam całą sobą – że w jakiś sposób był zamieszany w śmierć Yasmin. Po długich bezsennych nocach spędzonych na nieustannym biciu się z myślami i roztrząsaniu słów prokuratora nie znajdowałam po prostu innego wyjaśnienia. I chociaż usilnie szukałam w pamięci czegokolwiek, co przemawiałoby za tezą Samira, że ktoś próbował mu zaszkodzić, przypominałam sobie jedynie sytuacje potwierdzające stanowisko policji i oskarżyciela.

Może Greta miała rację, gdy mówiła, że nie znam Samira tak dobrze, jak sądziłam. Może on prowadził drugie, sekretne życie, równoległe do naszej małej stabilizacji przedstawicieli klasy średniej wiodących przewidywalny żywot na sennym przedmieściu stolicy.

Życie, w którym był flirciarzem lub w którym honor i kontrolowanie innych odgrywały najważniejszą rolę.

Nie mogłam się powstrzymać i zaczęłam czytać o zabójstwach honorowych. Dzięki temu dowiedziałam się sporo o systemach społecznych, w których kobiety są poddane surowemu rygorowi, a każde niedozwolone zachowanie i czyn pociągają za sobą kary o niezwykle szerokim zakresie, od ograniczenia przywilejów przez dyscyplinę po bezpośrednią fizyczną przemoc prowadzącą do śmierci.

Czułam się chora od tego wszystkiego. Zawsze fascynowały mnie obce kultury, miałam pozytywne nastawienie do imigrantów i uważałam, że niekoniecznie trzeba przyjmować zwyczaje kraju nowego zamieszkania. Jeśli ktoś chciał nosić czarczaf, chodzić do meczetu i nadal mówić po arabsku, mimo że przeniósł się na szwedzkie przedmieście, nie miałam nic

przeciwno temu. Uważałam, że jest to nie tylko zrozumiałe, ale także pozytywne.

Ale jeśli oni chcą okaleczać swoje córki? Wydawać je za mężów wbrew ich woli? Zmuszać do posłuszeństwa i poddaństwa?

Tego dnia nie umiałam dotknąć Samira, nie potrafiłam przytulić się do niego ani nawet położyć mu ręki na ramieniu. A myśl o dzieleniu z nim łóżka przyprawiała mnie o mdłości.

– Chyba będzie najlepiej, jeśli będziesz spał tutaj, na kanapie – powiedziałam, kiedy wieczorem piliśmy herbatę w salonie.

Vincent już zasnął. Samir przeczytał mu bajkę i położył go do łóżka.

– Co takiego? – rzucił, po czym nerwowo potargał szpakowate włosy i obrócił kubek w dłoniach.

Milczałam.

– Chcesz powiedzieć, że mam spać na kanapie w swoim własnym domu? – dokończył, a jego oczy pociemniały.

– Sama już nie wiem. Naprawdę nie wiem.

– Putain de bordel de merde! – zaklął i uderzył dłonią w stół. Niechcący upuścił kubek, który z hukiem upadł na podłogę, a gorąca herbata rozlała się na dywan.

– Chcesz rozwodu? – krzyczał. – O to ci chodzi?

Co miałam mu odpowiedzieć? Tak naprawdę nie wiedziałam, czego chciałam. Zapatrzyłam się w ogień w kominku, przyglądałam się płomieniom liżącym bierwiona. Słuchałam trzasków i cichego syku, gdy z drewna ulatniała się wilgoć. Za oknem wiało, ciężkie krople uderzały o szybę. Deszcz zmywał resztki śniegu z trawnika.

– Nie wiem – odrzekłam. – Myślę, że powinieneś się wyprowadzić.

Siedział długo w milczeniu. Jego skóra lśniła w blasku ognia żółtymi i pomarańczowymi refleksami. Jego piękne ciemne oczy, które tak dobrze znałam, zasły łzami.

– Mario – odezwał się cicho. – Ja jej nie zabiłem. Chyba to wiesz, prawda?

14

Kiedy następnego dnia rano zeszłam na dół, Samir jeszcze nie wstał.

– Pozwól mu jeszcze trochę pospać – poprosiłam Vincenta, gdy zamierzał go obudzić.

– Ale chciałbym się...

– Pobawicie się później. Może najpierw przygotujemy śniadanie?

– Tak! – wykrzyknął. – I coś upieczemy?

Popatrzyłam na mojego syna – ekscytacja i radość wyraźnie objawiały się nie tylko na jego twarzy, ale emanowały z całego drobnego ciała podskakującego boso po podłodze.

– Możemy zrobić bułeczki.

– Yes! To będzie super dzień! Czy mogę wyjąć wszystkie szkodniki... to znaczy składniki?

– Oczywiście – powiedziałam, całując go w czoło. – Ty wyjmij składniki, a ja przyniosę gazetę.

Narzuciłam na siebie parkę Samira i otworzyłam drzwi wejściowe. Wiatr wdarł się natychmiast pod nocną koszulę. Ziemia była ciemna i mokra po nocnym deszczu, tu i ówdzie niebo odbijało się w wielkich kałużach, jakby próbowało się w nich umościć.

Podeszłam do skrzynki i wyjęłam z niej poranną gazetę. Była przesiąknięta wilgocią i ciężka.

Kiedy zamierzałam już wrócić do domu, zobaczyłam to.

Na frontowej ścianie widniał namalowany czerwoną farbą jeden wyraz. Przy dolnej krawędzi pochyłych liter zebrała się farba i cienkimi strużkami spłynęła po deskach w dół – wyglądała jak krew.

Przeczytałam go kilka razy; gazeta wyslizgnęła mi się z ręki.

„MORDERCA”.

Nie potrzebowaliśmy wiele czasu, by dojść do wniosku, że Samir nie powinien dalej mieszkać w Kungsudd, i to nie tylko dlatego, że ja chciałam, by się wyprowadził.

Kiedy wybrał się do centrum po farbę, żeby zamalować to graffiti na naszym domu, pracownicy sklepu w ogóle nie chcieli z nim rozmawiać, musiał więc pojechać aż do Nacka. A kiedy w drodze powrotnej wstąpił na stację benzynową, żeby zatankować, jej właściciel – człowiek, z którym Samir co najmniej od roku przy każdej nadarzającej się okazji dyskutował o muzyce – poprosił go, żeby odjechał i już więcej się tam nie pojawiał.

Po tym wszystkim co najmniej przez godzinę siedział nieruchomo na kanapie i wpatrywał się w ścianę. Nawet obecność Vincenta nie zdołała go ożywić.

Oczywiście było mi go żal. W obliczu prawa pozostawał niewinny. Mimo to nie potrafiłam się przemóc i podejść do niego ani go dotknąć.

Kiedy potem razem z synkiem gotowałam obiad, słyszałam, jak on dzwonił w różne miejsca w poszukiwaniu mieszkania do wynajęcia. Vincent wyłapywał pojedyncze słowa docierające do kuchni.

W którymś momencie spojrzał na mnie.

– Co to jest czynsz? – spytał.

– Opłata za wynajęcie mieszkania.

Uformował ostatniego klopsika i położył go na talerzu obok patelni. Ten był większy od pozostałych i przypominał raczej gruszkę niż kulkę.

– Umyj ręce – przypomniałam mu.

Wykonał polecenie, ale nadal wyglądał na zdziwionego.

– A po co tata Samir chce czynsz?

– On wcale nie chce.

– Ale dlaczego...

– Skończ już z tymi pytaniami – przerwałam mu, chyba zbyt ostrym tonem.

– Ale dlaczego...

– Bo przeniesie się do mieszkania.

Nie mogłam już znieść jego pytań, ale równocześnie nie mogłam zaprzeczać temu, co właśnie miało się wydarzyć. Ukoronowanie katastrofy, ostateczny rozpad rodziny.

Dolna warga Vincenta wysunęła się do przodu. Drżała, a w jego oczach pojawiły się łzy.

– Wyprowadzi się od nas?

Nie odpowiedziałam.

– Nie! – krzyknął. – Nie, nie, nie.

Następnie wciąż wilgotną małą dłonią mocno uderzył mnie w twarz.

– Aj! Co ty wyprawiasz? Nie wolno nikogo bić!

Policzek palił mnie z bólu. Albo z powodu szoku, ponieważ Vincent nigdy dotąd nie podniósł na mnie ręki.

– To nie moja wina – syknęłam. – To wszystko wina Samira. Sam sobie to zawdzięcza.

Tamtego popołudnia Samir znalazł mieszkanie do wynajęcia w Solnie. Było potwornie drogie, ale dostępne od zaraz. Poza tym leżało niedaleko jego pracy.

Zanim zapadła ciemność, zdążył spakować swoje najważniejsze rzeczy do dwóch kartonów przeprowadzkowych, które trzymaliśmy w składziku.

Obserwowałam go, gdy wkładał do nich ubrania, przybory toaletowe i książki. Nagle załała mnie fala wspomnień: jak tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, kochaliśmy się na kanapie i namiętność przyćmiła wszystko. Pamiętałam czułość, która powoli, ale nieuchronnie budziła się między nami. A potem ufność i tęsknotę za głębszą więzią i wspólnotą, za „my”, które widziałyby cały świat. Przed oczami, jak migawki z filmu, przemknął mi nasz ślub – bezsensownie droga suknia, beztroski śmiech Vincenta i pełne miłości spojrzenie Samira. Słońce świeciło między koronami sosen, a morze, które daje i zabiera, rozciągało się leniwie po horyzont.

Nie mówiliśmy wiele.

Vincent siedział w swoim pokoju i bawił się game boyem, nie chciał zejść na dół. Samir zamknął kartony i spojrzał na mnie bezradnie.

– No tak – powiedział.

– No tak – powiedziałam.

– Pojadę już. Resztę rzeczy wezmę może później, dobrze?

– Okej.

Wyniósł pudła do przedpokoju. Wyszłam za nim.

– A Vincent? Może wpadnę któregoś dnia i się z nim pożegniam.

– Jasne.

Włożył parkę i wziął adidas, które zakładał, gdy chodziliśmy na spacer.

– No tak – powtórzył, po czym otworzył drzwi.

– Na razie – rzuciłam.

Wyszedł, a w domu znowu zagrzmiała cisza.

Nieco później tego samego wieczoru, kiedy akurat wkładałam zapiekankę rybną do piekarnika, odezwał się telefon.

Dzwoniła Amelie de Vegh, mama Casimira, mieszkająca w posiadłości Kungsudd.

Była postawną kobietą po pięćdziesiątce o jasnych kręconych włosach. Nie przeszkadzał mi jej głośny śmiech i zawsze ją lubiłam, mimo że tata nazywał ją rozpuszczonym babskiem z wyższych sfer.

Nie pracowała, a przynajmniej nie w taki sam sposób jak zwykli ludzie. Działała jednak w tysiącu stowarzyszeń i angażowała się w setki projektów charytatywnych, podobnie jak mama Toma. Oczywiście obie się nie znosiły, stare pieniądze nie lubiły bowiem nowych, a dla brudnych w ogóle nigdzie nie było miejsca.

Amelie zawsze okazywała mi sympatię. Należała do nielicznych osób, które nie owijały niczego w bawełnę, kiedy spotkałyśmy się po aresztowaniu Samira. Spytała mnie wprost, jak się czuję i czy mogłaby mi w czymś pomóc.

– Cześć, Mario – usłyszałam teraz w słuchawce. – Jak się miewasz?

– Dziękuję, w porządku – skłamałam.

– Wspaniale, że Samir został uniewinniony.

– Owszem.

– I że wszyscy mamy to już za sobą.

– No właśnie.

To była dziwna rozmowa, bo przecież niczego nie miałam za sobą i nic nie było wspaniałe. Katastrofa narastała, przypominała gigantyczną kulę śnieżną pędzącą po stromym zboczu.

– Posłuchaj – rzuciła po chwili. – Macie może wiertarkę do pożyczania? Jutro przyjeżdża nowa niania i chciałabym zamontować w jej pokoju półkę.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Wiedziałam, że Amelie szukała nowej pomocy domowej od jesieni, kiedy dotychczasowa odeszła bez uprzedzenia. Zabawne było jednak to, że uparcie używała określenia „niania”, chociaż jej najmłodszy syn Casimir miał już dwadzieścia kilka lat i raczej nie potrzebował opiekunki.

– Czyli w końcu udało się wam kogoś znaleźć? – spytałam.

– Chwała Bogu. W dzisiejszych czasach niełatwo jest trafić na kogoś godnego zaufania. Ta kobieta wydaje się miła i na pewno będzie dobrze. To znaczy, dopóki nie znajdzie sobie faceta i nie odejdzie. Ale sama wiesz, jak to bywa w tym wieku.

Podczas gdy ona dalej paplała o nowej pomocy domowej, próbowałam sobie przypomnieć, czy mamy wiertarkę. Wiedziałam, że narzędzi nam nie brakowało.

– Chyba będę mogła pomóc. Za chwilę podrzucę ci wiertarkę.

– Jesteś aniołem – powiedziała.

Dziesięć minut później znalazłam ją w składziku, leżała wciśnięta między kosiarkę a sekatory. Wróciłam do domu i poszłam na górę do Vincenta.

Wciąż siedział na łóżku pochylony nad game boyem, z plecami wygiętymi w łuk.

– Skarbie, czy mógłbyś zejść na dół i przypilnować zapiekanki? Muszę na chwilę wyskoczyć do sąsiadów.

Spojrzał na mnie tym swoim błagalnym, nieszczęśliwym wzrokiem, którym potrafił zmusić do uległości nie tylko kolegów, ale nawet nauczycieli.

– Jestem straszliwie, ale to straszliwie zmęczony – odpowiedział.

– Vincent!

– Ojejku...

– Proszę cię.

Westchnął demonstracyjnie, wywrócił oczami, po czym odłożył zabawkę na łóżko. Następnie wstał i z wyraźną niechęcią zszedł ze mną do kuchni.

– Nastawiłam minutnik – powiedziałam. – Jeśli zadzwoni, a ja jeszcze nie wrócę, po prostu wyłącz piecyk.

Wydał usta.

– Okej.

– Na pewno wiesz, jak to zrobić?

– Chyba zwariowałaś, mamó – odparł, podnosząc wzrok na sufit. – Jasne, że wiem.

– W porządku. Tylko nie otwieraj piecyka ani nie próbuj wyjmować zapiekanki, bo jest gorąca. I ciężka.

– Obiecuję.

– Super, za chwilę wrócę.

Powiedziawszy to, zostawiłam go w kuchni i wybiegłam w ciemność.

Wieczór był wietrzny. Ostre powietrze przesyciły zapachy mokrej ziemi, rozkładających się zeszłorocznych liści i gnijących wodorostów. Przejście krótkiego odcinka przez cisowy żywopłot i na przełaj przez

łączkę, która oddzielała nasze posesje, zajmowało nie więcej niż parę minut. Na żwirowym podjeździe przed posiadłością Kungsudd stały dwa samochody – range rover Amelie i sportowe auto należące do Harolda, najstarszego brata Casimira.

Amelie otworzyła od razu, gdy tylko zadzwoniłam, jakby stała w holu i na mnie czekała.

– Witaj! – rzuciła, uściskawszy mnie krótko. – Wejdz, zrobiłam kawę.

– Nie mogę zostać zbyt długo – powiedziałam, wręczając jej wiertarkę i zsuwając buty z nóg. – Vincent jest sam w domu, poza tym zostawiłam zapiekanekę w piecyku.

– Tylko szybka kawa – zapewniła, zapraszając mnie do środka.

Jej kuchnia była ogromna i wyposażona we wszelkie możliwe piekarniki i płyty grzewcze. Amelie zaciągnęła mnie do okrągłego stołu po drugiej stronie kuchennej wyspy ze lśniącego marmuru i lekko pchnęła na krzesło.

– Jesteś sama? – spytałam.

– Nie – odpowiedziała, przeczesawszy dłonią krótkie sztywne loki. – Harold jest w domu, ale Bóg jeden wie gdzie. Zdaje się, że zamierzał coś wkuwać.

Skinęłam głową. W trzykondygnacyjnym domu o powierzchni ponad sześćset metrów kwadratowych nietrudno było się zgubić. Wielkie jak komnaty pokoje, liczne schody i przejścia tworzyły istny labirynt.

– A Casimir?

– Nie mam pojęcia, gdzie on się podziewa. W dzisiejszych czasach rodzic musi być wdzięczny, jeśli jego dzieci dają znak życia, kiedy skończy im się kasa.

Nalała kawy do kubków i usiadła obok. Sięgnęła po papierosy.

– Masz ochotę na kieliszeczek calvadosu?

Pokręciłam głową.

– Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę?

– Ani trochę.

Zaciągnęła się głęboko, wydmuchnęła dym w kierunku sufitu i popatrzyła na mnie.

– Czy on jest teraz w domu?

Siedziałam ze wzrokiem utkwionym w kawie i zastanawiałam się, co mam jej odpowiedzieć. Przypomniałam sobie smutne spojrzenie Samira i kartony, które załadował do samochodu.

– On... – zaczęłam, ale kolejne słowa uwięzły mi w gardle.

Spróbowałam od nowa.

– To znaczy...

A potem wybuchłam płaczem, nieestetycznym i zarazem przerażającym. Usta miałam otwarte, jakbym krzyczała, ślina skapywała na stół, a wycie dobywające się z mojej piersi brzmiało wręcz nieludzko.

– Ależ kochanie, moje biedactwo... – wymamrotała Amelie, otaczając mnie ramieniem.

I wtedy opowiedziałam jej wszystko.

Czterdzieści minut później opuściłam posiadłość.

Zanim wyszłam, Amelie uściskała mnie mocno – poczułam zapach perfum, dymu papierosowego i chyba też alkoholu.

– Możesz wpadać do mnie, kiedy tylko zechcesz – zapewniła. – Słyszysz? O każdej porze.

– Dziękuję – odrzekłam szczerze.

Amelie pomachała mi jeszcze na pożegnanie, po czym zamknęła za mną drzwi.

Gdy zesłam po kamiennych schodach i ruszyłam w kierunku domu, nagle od strony lasu usłyszałam krzyk.

Zatrzymałam się, odwróciłam i zaczęłam nasłuchiwać.

Po kilku sekundach krzyk rozległ się znowu. Ale oprócz niego słyhać było też jakieś tępe odgłosy i jakby trzask łamanych gałęzi. Brzmiało to tak, jakby dźwięki dobiegały z części lasu na prawo od posiadłości – czasami chodziłam tamtędy z Vincentem, jeśli się spieszyliśmy i musieliśmy iść do szkoły na skróty.

Ruszyłam w tamtym kierunku, nie bardzo wiedząc, co zrobię, jeśli nagle ktoś wyłoni się z ciemności. Znowu zerwał się wiatr i gwizdał w koronach. Las był dosyć rzadki, składał się z drzew zarówno iglastych, jak i liściastych. Tu i ówdzie leżały jeszcze łachy śniegu, a w niektórych miejscach z ziemi wystawały małe głazy. Ostrożnie omijałam połamane gałęzie, kamienie i dziury w ziemi.

Ciemność wydawała się nieprzenikniona, ale regularnie co jakiś czas księżyc wyglądał spomiędzy chmur i rzucał nieco światła.

– Halo! – krzyknęłam, lecz wiatr od razu gdzieś poniósł mój głos.

Właśnie doszłam do niewielkiej polany, gdy księżyc oblał ją srebrnym blaskiem.

Na ścieżce przede mną leżał wyglądający znajomo but sportowy.

Gapiłam się na niego, nic nie rozumiejąc. Przykucnęłam i przyjrzałam mu się bliżej.

Co robił adidas Samira tutaj, w środku lasu? Przecież kiedy odjeżdżał, miał je na nogach.

W następnej chwili dostrzegłam czyjeś nogi wystające zza krzaka. Jedna stopa poruszyła się gwałtownie i na płacie śniegu rozlały się plamy krwi.

Rzuciłam się pędem. Podbiegłam. Nigdy w życiu nie biegłam tak szybko.

W głowie miałam tylko jedną myśl: to się nigdy nie skończy, ten koszmar będzie wciąż trwał. Wszyscy jesteśmy w nim uwięzieni, jesteśmy ofiarami łańcucha zdarzeń, którego nie rozumiemy lub nie mamy nad nim kontroli.

Vincent

15

Dzień, w którym umarła moja siostra, zaczął się jak każdy inny.

Obudziła mnie mama.

Była pogodna.

Mama prawie zawsze była pogodna, a przynajmniej wtedy, kiedy nie zachowywałem się jak głupek albo niemowa.

Niemowa to ktoś, kto nic nie mówi. Kiedy nic nie mówiłem, mama się złościła i zaczynała przemawiać Surowym Głosem – niskim i strasznie, strasznie powolnym.

– Vincencie! Teraz... masz... mnie... posłuchać... i... zrobić... to... co... ci... każę.

Była dopiero siódma, kiedy mama mnie obudziła.

Siódma to bardzo wcześnie, okropnie wcześnie, szczególnie zimą, bo o tej porze jest jeszcze ciemno i nic nie widać, dopóki nie zapali się lampki. A w ciemności wszystkie dźwięki stają się głośnie i przenikliwe. Nie lubię tego, bo wtedy muszę zatykać sobie uszy.

W domu było zimno i zanim zszedłem do kuchni, wciągnąłem strasznie grube skarpety, żeby się nie przeziębic i nie dostać zapalenia płuc, i nie musieć łykać jeszcze więcej lekarstw, które smakowały naprawdę obrzydliwie. Wstawałem tak wcześnie, kiedy szedłem do szkoły. A to był piątek, czyli dzień, w którym jest szkoła, bo lekcje miałem w poniedziałek, wtorek, środę, czwartek i piątek.

Lubiłem piątki, ponieważ wtedy wszyscy razem spędzaliśmy miło wieczór w domu, oglądaliśmy filmy i jedliśmy serowe chrupki. A potem była sobota i niedziela, kiedy mogłem spać tak długo, jak chciałem. Piekliśmy też ciasteczka, bawiliśmy się, oglądaliśmy filmy i graliśmy w różne gry. A Yasmin czytała mi na głos książki o potworach i mordercach, którzy ścinali głowy pięknym dziewczynom, a potem rąbali je na kawałeczki.

Ale w tamten weekend tak nie było, ponieważ wtedy Yasmin umarła.

Ona nie była moją prawdziwą siostrą, bo nie urosła w brzuchu mojej mamy jak ja. Ale mama powiedziała, że to nie ma znaczenia i że Yasmin stała się moją siostrą, kiedy ona wyszła za męża za tatę Samira.

Tata Samir też nie był moim prawdziwym tatą, ale to także nie miało znaczenia, bo został nim, kiedy ożenił się z moją mamą.

Rośnięcie w czyimś brzuchu jest bardzo ważne, chyba że weźmie się ślub – wtedy już przestaje być takie ważne. Wtedy wszyscy stają się rodziną, niezależnie od tego, w czyim brzuchu się było. A jak już jest się rodziną, to ważne są inne rzeczy, na przykład pomaganie w domu, bycie miłym i nieużywanie brzydkich słów. I żeby porządnie składać ubrania przed pójściem spać i zostawiać je na krześle, myć ręce przed jedzeniem, szorować zęby rano i wieczorem.

Byliśmy dla siebie mili i pomagaliśmy sobie w domu.

Wszyscy sprząтали i gotowali. Oprócz Yasmin, bo ona wolała oglądać telewizję, malować się albo bawić się ze mną.

Lubiłem Yasmin z trzech powodów.

Pierwszy: chętnie bawiła się ze mną w potwory i nie męczyła się tak szybko jak mama. A kiedy już miała dość, leżała całkiem nieruchomo, a ja mogłem łaskotać ją pod pachami albo w stopy, a ona śmiała się wtedy do rozpuku i potem zawsze jeszcze trochę się ze mną bawiła.

Drugi: czytała mi superciekawe książki, o których mama mówiła, że są „nieodpowiednie dla dzieci”.

Trzeci: pozwalała mi być w jej pokoju, kiedy ona robiła inne rzeczy, na przykład się malowała albo rozmawiała przez telefon z Tomem. A kiedy u niej siedziałem, jedliśmy różne przysmaki, które trzymała ukryte w torebce pod łóżkiem. Mogłem zawsze wybierać pierwszy i zwykle brałem coś supersłonego albo coś superkwaśnego.

Chociaż w ostatnim czasie nie zgadzała się, żebym przesiadywał tak często w jej pokoju. Dlatego że potrzebowała spokoju, żeby myśleć.

Zawsze, kiedy potrzebowała spokoju, żeby myśleć, zamykała drzwi na kluczyk.

Było mi trochę smutno z tego powodu, bo lubiłem tam być.

Jedynie, co mi się nie podobało, to wieczny bałagan, jaki tam panował. Lubię, kiedy rzeczy stoją równiutko w rzędzie albo są starannie ułożone jedna na drugiej. Ja na przykład zawsze chowam każdą kredkę z powrotem do pudełka, żeby móc znaleźć wszystkie kolory, kiedy zechcę

rysować, i składałam starannie ubrania, żeby nie były pogniecione, kiedy włożę je następnym razem.

A jeżeli wszędzie wszystko jest porozrzucane, od razu bolą mnie oczy i mam ochotę natychmiast je zamknąć. No a kiedy opuszczam powieki, wtedy nic nie widzę i wszystkie dźwięki stają się przez to głośnie. A kiedy nic nie widzę i zatykam uszy, to robi się nudno.

Lubiłem też tatę Samira.

Miał brązowe oczy i czarne włosy, chociaż niektóre pasemka były całkiem białe. Mama mówiła, że siwe, ale przyjrzałem się im bardzo dokładnie i uważam, że były białe, a nie siwe.

Lubiłem tatę Samira z trzech powodów.

Pierwszy: potrafił podnieść mnie za nogi do góry i trzymać w dół tak, że podłoga stawiała się sufitem. Mama zawsze się bała, że Samir mnie upuści, bo nie wiedziała, czy ma dość siły.

Drugi: umiał grać na gitarze i cudownie śpiewać w języku, który nazywa się francuski.

Trzeci: uszczęśliwił mamę.

Zanim mama poznała Samira, zdarzało się często, że była smutna, wieczorami długo patrzyła na telewizję i piła wiele kieliszków wina, a potem zasypiała na kanapie z głową opartą na stoliku jak na poduszce, chociaż blat był strasznie twardy i ze szkła. Ale kiedy spotkała Samira, chciało jej się dużo więcej piec i wypróbować nowe przepisy. Czasami jeździliśmy nawet do specjalnego sklepu i kupowaliśmy przyprawy o trudnych nazwach, a także warzywa, których nigdy wcześniej nie widziałem.

Początkowo nie chciałem ich jeść, bo wyglądały dosyć dziwnie i miały nieznamy smak. Wypluwałem jedzenie w toalecie, potem szedłem do swojego pokoju i grałem na game boyu.

Jedno warzywo nazywało się na przykład ciecierzycza. To były takie żółte kulki, które po ugotowaniu stawały się miękkie i mączne, prawie jak tłuczone ziemniaki. Kiedy spróbowałem jej pierwszy raz, wydała mi się superobrzydliwa, ale jak dodaliśmy do niej czosnku, przypraw, oliwy z oliwek i soku z cytryny, smakowała całkiem dobrze, prawie jak dip.

Tata Samir powiedział, że to jest hummus. Zanurzaliśmy chleb w tej żółtawej papce i jedliśmy jako obiad.

W tamten piątek poszedłem do szkoły.

Jak zawsze odprowadzała mnie mama. Szliśmy przez las, ponieważ było już późno, a moja wychowawczyni nie lubiła, kiedy ktoś się spóźniał. Jeśli komuś się to zdarzyło, mówiła wtedy, że taka osoba nie ma szacunku dla czasu innych. I pytała, czy naprawdę tak trudno wstać dziesięć minut wcześniej.

Mnie nigdy nie zadała takiego pytania – na szczęście, bo nie wiedziałbym, co odpowiedzieć. Nie miałem pojęcia, czy trudno jest wstać dziesięć minut wcześniej, bo ja wstawałem dopiero wtedy, kiedy budziła mnie mama. A dziesięć minut wcześniej jeszcze spałem, więc nie mógłbym wstać. Poza tym nie wiem, ile to jest te dziesięć minut – mama mówi, że to dlatego, że mam trudności z percepcją czasu.

Moja pani miała czarne włosy i brązowe oczy.

A moja asystentka, a właściwie opiekunka w szkole miała żółte włosy i niebieskie oczy.

Ja miałem rude włosy i szare oczy.

Opiekunkę lubiłem, ale pani nie.

Nie podobała mi się w niej ani jedna rzecz.

Moja opiekunka miała na imię Maja i przyjechała z maleńkiego miasteczka, które nazywa się Pajala. Skąd pochodziła moja nauczycielka – tego nie wiem. Może ona sama tego nie wiedziała, bo nigdy o tym nie mówiła. Za to Maja cały czas opowiadała o Pajali. Że jest tam mnóstwo śniegu i bardzo dużo reniferów, tylko prawie nie ma ludzi.

To tak jak w Kungsudd, tyle że odwrotnie. Bo w Kungsudd niemal nie ma śniegu i ani jednego renifera, ale za to jest mnóstwo ludzi.

Mama zostawiła mnie w szkole. Na pierwszej lekcji mieliśmy szwedzki.

Potem matkę.

Potem gimnastykę.

A potem jedliśmy obiad.

Spaghetti z klopsikami, ale nie smakowało tak dobrze jak nasze, gotowane w domu. Nitki makaronu były papkowate i przyklejały się do widelca, a kiedy próbowałem je rozciągnąć, przerywały się. Klopsiki były czarne z wierzchu i w smaku przypominały zapach z popielniczki, kiedy mama i tata Samir zapraszali gości do domu.

Po obiedzie moja klasa miała angielski, ale ja z Mają poszedłem wtedy do logopedy w centrum, ponieważ musiałem ćwiczyć wymawianie różnych słów, zwłaszcza tych, które zaczynały się od ś. Jest ich dużo więcej, niż mogłoby się wydawać, na przykład świat, śpiewać czy świr.

Musiałem ćwiczyć i ćwiczyc, bo moje usta nie radziły sobie najlepiej z wypowiedaniem niektórych wyrazów. To dlatego, że mam zespół Downa.

W całej szkole tylko ja miałem zespół Downa i bardzo tego żałowałem. Ale indywidualną opiekę miała oprócz mnie też jedna dziewczynka, Alicia. I to z powodu dwóch chorób – jeździła na wózku, ponieważ po wyjściu z brzucha mamy nie mogła w ogóle złapać powietrza, poza tym chorowała na cukrzycę, która podobno może być strasznie niebezpieczna, jeśli zapomni się wziąć lekarstwo albo je się nie to, co się powinno.

Opiekun Alicii nazywał się Hanif. On i Maja często robili sobie przerwę na papierosa na ulicy przed szkołą.

Po lekcjach ze szkoły odebrał mnie Samir, a po drodze do domu kupiliśmy chipsy, chrupki serowe i słodyczne, bo przecież był piątek i mieliśmy spędzić miło czas. Tylko my dwaj, bez mamy i Yasmin.

Mama wybierała się do jakiejś koleżanki, gdzie będą same dziewczyny. Coś takiego nazywa się babski wieczór.

Istnieje też męski wieczór, na którym spotykają się tylko faceci, ale nie ma wieczoru dzieci ani wieczoru ludzi z zespołem Downa, co moim zdaniem jest niesprawiedliwe.

Yasmin musiała akurat w tamten piątek iść do pracy.

Pracowała w restauracji, która nazywała się Rialto. Podawała tam jedzenie, a także zbierała talerze i szklanki, kiedy goście już zjedli. Potem wypisywała im papierek, który nazywał się rachunkiem. Klienci płacili i wychodzili, a ona musiała po nich posprzątać i postawić na stole czyste talerze i świeże szklanki.

Czasami ludzie zostawiali dla niej trochę dodatkowych pieniędzy.

– Kup sobie coś seksownego – powiedział jakiś facet, gdy kiedyś tam byłem.

Yasmin wyglądała na zadowoloną, ale kiedy on sobie poszedł, wykrzywiła się i rzuciła:

– Obślizgły kretyn.

Nie podobała mi się ta jej praca, bo Yasmin zawsze była po niej zmęczona i potem nie miała już siły i ochoty ani czytać mi książki, ani się ze mną bawić. Ale potrzebowała pieniędzy, bo w najbliższe lato chciała wybrać się na wyspę, która nazywa się Ibiza. Na Ibizie są palmy i długie piaszczyste plaże, za to nie ma reniferów, bo one lubią śnieg i nie mogłyby żyć na ciepłym piasku.

Po powrocie do domu Samir i ja zjedliśmy tacos, a potem oglądaliśmy mój ulubiony film, czyli Króla Lwa. Tylko gdy umarł tata Simby, zamknąłem oczy i zasłoniłem uszy.

Zawsze tak robię, kiedy oglądam Króla Lwa.

Później chciałem się bawić, ale tata Samir był zmęczony. Wyglądał też na zasmuconego, miał spuchnięte oczy i zachrypnięty głos jak wtedy, kiedy krzyczał na Yasmin albo na mamę.

– Chodź, mały książkę, położymy cię do łóżka – powiedział.

Nie chciałem, żeby jeszcze bardziej się smucił, więc go posłuchałem i nie protestowałem, chociaż wcale nie byłem zmęczony. Wyszczotkowałem zęby, zrobiłem siku i umyłem ręce. Tata Samir dał mi też witaminy w tabletkach, ale wyplułem ją, kiedy nie patrzył, bo miała ohydny smak. Potem poszliśmy razem do mojego pokoju i czytaliśmy Kubusia Puchatka.

– Śpij dobrze – powiedział później, zgasił lampkę i wyszedł.

Zrobiło się całkiem ciemno, dlatego słyszałem wszystkie dźwięki bardzo wyraźnie. Wiał wiatr i gałąź drzewa uderzała o szybę. Wiedziałem, że to gałąź, bo widziałem ją wiele razy, ale tym razem brzmiało to tak, jakby ktoś pukał i chciał się dostać do środka. Musiałem zatkać sobie uszy, ale i tak nie mogłem przestać myśleć o książce, którą czytała mi Yasmin. W tej książce morderca stukał w okno domu, gdzie spała dziewczyna, a ta dziewczyna nie wiedziała, że on stoi na zewnątrz.

Potem zasnąłem.

A później się obudziłem.

Wciąż było ciemno, ale do moich uszu docierały teraz inne dźwięki. Brzmiały tak, jakby ktoś płakał. Słyszałem głos taty Samira, wydawał się strasznie surowy. Wstałem, żeby sprawdzić, co się dzieje, chociaż się bałem. Pomyślałem sobie, że może komuś jest smutno, a jeśli tak, to mógłbym tego kogoś pocieszyć, bo w pocieszaniu byłem naprawdę bardzo dobry.

To jedna z tych rzeczy, w których byłem najlepszy.

16

W wielu rzeczach byłem dobry.

Na przykład świetnie wychodziło mi rysowanie i mama wieszala prawie wszystkie moje rysunki na ścianie w kuchni. Bardzo lubiła, kiedy rysowałem nasz dom, naszą rodzinę albo różne zwierzęta. Nie podobało jej się za to, gdy rysowałem potwory, które mordowały dzieci nożami. Tych rysunków nie wieszala na ścianie, tylko składała je na kupkę na regale. A jeżeli następnego dnia pytałem o nie, mówiła:

– Oj, nie pamiętam, gdzie je położyłam.

Byłem też dobry w pieczeniu, szczególnie w odmierzaniu mąki, cukru, jajek i różnych innych składników, wsypywaniu ich wszystkich do miski i mieszaniu. Zawsze też po sobie sprzątałem. Mama uważała, że tak powinno być. Powtarzała, że utrzymywanie porządku jest tak samo ważne jak gotowanie, chociaż to wcale nieprawda. Bo jeśli się nie gotuje, to nie ma co jeść i wtedy się umiera. A jeżeli przestanie się sprzątać, to nikt od tego nie umrze, tylko mama robi się okropnie zła, i to przez strasznie długi czas.

Oprócz tego byłem też dobry w milczeniu. Jeżeli ktoś źle się zachował, potrafiłem się nie odzywać tak długo, ile tylko chciałem, nawet jeśli mama, wychowawczynie i Maja prosiły, żebym już przestał być niemową.

Maja mówiła, że takie milczenie jest niewłaściwe, i to nie tylko wobec osoby, na którą jestem zły, ale też wobec mnie.

– Przecież w ten sposób każesz samego siebie – uważała.

Wcale nie, bo ja miałem to w nosie.

Ale to, w czym byłem najnajlepszy, to pocieszanie. Mama mówiła, że to dlatego, że potrafię od razu dostrzec, jeśli komuś jest smutno. To prawda. Myślę, że inni ludzie też to widzą, tylko mają tyle innych spraw na głowie, że nie starcza im czasu na wzajemne pocieszanie. Muszą sprzątać, brać nadgodziny, prowadzić swoje samochody i chodzić na

babskie albo męskie wieczory. A ja nie miałem tyle do roboty, więc jeśli widziałem kogoś smutnego, to zaraz próbowałem go pocieszyć.

To wcale nie jest takie trudne. Wystarczy tylko podejść do takiej osoby, objąć ją i powiedzieć:

– Pocieszę cię.

Zwykle to trochę trwa i czasami zajmuje nawet sporo czasu, ale potem ten człowiek przestaje się już smucić i znowu jest szczęśliwy.

Zszedłem na palcach po schodach, bo wreszcie usłyszałem, że to Yasmin jest smutna, i zacząłem się o nią martwić.

Strasznie płakała. Rozmawiała z tatą Samirem, ale nie znałem francuskiego, dlatego nie wiedziałem, co mówią.

Schowałem się za drzwiami do kuchni i podglądałem ich przez szparę między futryną a ścianą.

Yasmin przyciskała dłonie do twarzy, jakby okropnie bolała ją głowa. Na stole leżał zmięty ręcznik kuchenny, kawałek papieru i długopis.

Tata Samir też wydawał się smutny, ale jednocześnie wyglądał na zagniewanego. Miał pomarszczoną twarz, jak wtedy, kiedy niechcący mocno trafiłem piłką w jego siusiaka.

Powiedział kilka słów po francusku i Yasmin sięgnęła po długopis i kartkę. Napisała coś na niej, a potem podsunęła ją tacie Samirowi.

Długopis sturlał się na podłogę, oboje się wzdrygnęli i rozejrzeli wokół siebie.

Zrobiłem krok do tyłu i przycisnąłem się całkiem płasko do ściany, bo nie wolno mi było wstawać w środku nocy. A jeśli już musiałem, to tylko po to, żeby pójść do ubikacji albo wślizgnąć się do łóżka mamy, ale w żadnym wypadku nie mogłem schodzić na dół. W kuchni były gaz, ogień i noże, niebezpieczne dla każdego z rodziny, ale najbardziej dla mnie, ponieważ czasami zapominałem o ostrożności.

Po chwili znowu zaczęli rozmawiać, więc znowu odważyłem się spojrzeć przez szparę.

Tata Samir wyjął strzykawkę z długą, ostrą igłą.

Nie lubiłem zastrzyków.

Zastrzyki i ohydne jedzenie to najgorsze rzeczy na świecie. Ale jeżeli musiałbym wybierać między zastrzykiem a ohydny jedzeniem, zdecydowałbym się na jedzenie. Bo ohydne jedzenie smakuje ohydnie tylko przez krótką chwilę, a gdy już się je połknie, leży w żołądku i nie smakuje niczym, a później staje się kupą, która jest dobra dla natury. No

a zastrzyk sprawia ból i wtedy, kiedy go dostajesz, i później, ponieważ igła sięga głęboko, głęboko w ciało.

Kiedy tata Samir wbił igłę w ramię Yasmin, mocno zacisnąłem powieki. Nie miałem odwagi na to patrzeć i nie chciałem widzieć, czy pokazała się krew, bo nie lubiłem krwi.

Stałem tak, z zamkniętymi oczami, dopóki znowu nie zaczęli rozmawiać po francusku. Wtedy otworzyłem jedno oko.

Tata Samir wyjął teraz foliową torebkę. Włożył do niej strzykawkę, wsunął też kartkę i powiedział coś do Yasmin.

Ona wyprostowała się i oparła się o krzesło. Była całkiem blada, jakby miała zaraz zwymiotować, ale nie zrobiła tego. Zaraz potem oboje wyszli do przedpokoju, a ja musiałem znowu przycisnąć się do ściany, żeby mnie nie zobaczyli.

Starłem się jak najbardziej spłaszczyć, jak flądra – to taki rodzaj ryby, którą obtacza się w bułce tartej, smaży i je z masłem i cytryną. Wstrzymałem oddech, żeby mnie nie zauważyli, ale w końcu zakręciło mi się w głowie i musiałem zaczerpnąć powietrza, bo inaczej bym się przewrócił i wtedy na pewno by mnie odkryli.

Słyszałem, jak wkładali kurtki i buty. Potem otworzyły się drzwi na dwór i do środka wpadł lodowaty wiatr. Dotarł nawet do mnie, od razu zrobiło mi się zimno i zachciało mi się siku.

Mogłem opuścić swoją kryjówkę, bo oni już wyszli.

Przedpokój był pusty, drzwi wyjściowe zamknięte, słyszałem ich kroki na zewnątrz. Kiedy szli, chrzęściło i trzeszczało pod ich stopami, ponieważ ziemia zamarzła, a w niektórych miejscach leżał śnieg.

Pomyślałem przez chwilę i w końcu postanowiłem, że pójdę za nimi. Nie chciałem być sam w domu w środku nocy. Poza tym Yasmin i Samir wyglądali na strasznie smutnych i być może potrzebowali pocieszenia.

Włożyłem śniegowce.

Potem otworzyłem drzwi.

I wyszedłem.

Było bardzo ciemno, ale na szczęście świecił księżyc, dlatego widziałem, że weszli do lasu. Z daleka wyglądali prawie jak cienie, ale ja nie miałem wątpliwości, że to są tata Samir i Yasmin, bo słyszałem, że mówią po francusku.

Yasmin powtarzała: nie, nie, nie.

Wiem, bo po francusku to brzmi nawet odrobinę podobnie. Mówiła:

– Non, non, non.

Trochę się chwiała, ale może to dlatego, że miała buty na wysokich obcasach. Nie dość, że strasznie trudno się w nich chodzi, to jeszcze okropnie bolą nogi.

Ruszyłem za nimi.

Musiałem ostrożnie stawiać stopy, bo było ciemno, a w gumowcach jest bardzo ślisko na zmarzniętej ziemi. Mama mówiła, że zimą nie wolno mi ich nosić, ale zapomniałem o tym.

Było potwornie zimno, więc zezłościłem się na siebie, że nie wziąłem kurtki – bo o niej też zapomniałem.

Często zapominałem o wielu rzeczach, szczególnie jeśli się spieszyłem.

Albo kiedy się bałem.

Kiedy wszedłem do lasu, zrobiło się jeszcze ciemniej i jeszcze zimniej. Gałęzie drzew kołysały się na silnym wietrze. Wyglądały tak, jakby żyły, więc raz po raz się zatrzymywałem i zamykałem oczy, żeby ich nie widzieć. Ale wtedy musiałem zasłonić uszy i robiło mi się jeszcze zimniej, dlatego w końcu dałem spokój.

Po chwili się domyśliłem, że oni idą nad urwisko.

Mnie nie wolno było tam chodzić. Któregoś razu wybrałem się tam jednak latem mimo zakazu, ale zaraz przybiegła mama i mnie zabrała. Podniosła mnie wysoko z ziemi i krzyknęła:

– Czyś ty oszalał! Tutaj jest śmiertelnie niebezpiecznie! Czy ty tego nie rozumiesz?

W jej oczach pojawiły się łzy. Całą drogę z powrotem niosła mnie na rękach. Płakała jeszcze w domu, mimo że ją pocieszałem. A potem na bardzo długo zabrała mi game boya.

– Tam wszystko mogło się zdarzyć – powiedziała i wyglądała na bardzo zasmuconą.

To przecież nieprawda.

Mogło się zdarzyć jedynie to, że spadłbym w przepaść, ale moja mama martwiła się wszystkim na zapas.

Kiedy dotarłem do klifu, Samir i Yasmin stali na jego drugim końcu, tuż przy krawędzi, chociaż to było niebezpieczne, bo także dorośli mogli spaść w przepaść.

Ja też nie byłem od niej daleko, słyszałem, jak w dole szumiały i grzmiały morskie fale, ale ukryłem się za dużym drzewem.

Zrobiło się jeszcze zimniej, tak zimno, że czułem się jak w zamrażarce. Nie mogłem już ruszać palcami, stopy miałem zdrętwiałe z bólu i zimna. Poza tym okropnie chciało mi się siku i nie mogłem stać bez ruchu, bo wtedy od razu bym się zlał. Na dodatek, chociaż świecił księżyc, strasznie się bałem, bo wydawało mi się, że zaraz wydarzy się coś strasznego.

Tata Samir coś powiedział i wskazał na stopy Yasmin.

Wtedy ona zrobiła coś dziwnego: zdjęła buty i postawiła je na krawędzi. A tata Samir wyjął tamtą kartkę z foliowej torebki i włożył ją do jednego buta.

Coś poruszyło się wśród cieni nad przepaścią, pomyślałem, że to może jakiś potwór. Wychyliłem się do przodu, żeby lepiej widzieć, ale nagle zrobiło się całkiem ciemno, nadciągnęła wielka chmura i zasłoniła księżyc.

Przeraziłem się tak bardzo, że niemal się przewróciłem. Mimo woli zrobiłem krok do przodu i niechcący stanąłem na jakiejś gałązce.

Czasami, kiedy nadeptnie się na gałązkę, ona pęka, i z tą właśnie tak się stało. Trzasnęło głośno, prawie jak przy wystrzale z pistoletu. Przeraziłem się jeszcze bardziej, bo pomyślałem sobie, że może oni zaraz mnie zobaczą i znowu zabiorą mi game boya.

Zacząłem cofać się do lasu. Chociaż chmura już odpłynęła i znowu pokazał się księżyc, a ziemia lśniła srebrzyście, wciąż szedłem tyłem.

Szedłem tak i szedłem, dwa razy nawet się przewróciłem, bo przecież nie widziałem, co jest za moimi plecami. Za drugim razem upadłem na kamień – bardzo zabolało mnie w plecy i zgubiłem jeden but.

Zatrzymałem się na chwilę i włożyłem go z powrotem.

Potem się rozplakałem.

Potem przeszedłem kawałek.

Potem wysikałem się w krzakach.

Potem dotarłem do domu.

Położyłem się do łóżka i chociaż było w nim ciepło, wciąż się trząsałem. Czułem dziwne mrowienie i kłucie w dłoniach i stopach, a po głowie chodziło mi wiele myśli, od których robiło mi się smutno i które mnie przerażały. Przypomniałem sobie długą igłę, którą tata Samir wbił Yasmin w ramię, i słowa, które wciąż powtarzała w lesie:

– Non, non, non.

Znowu napłynęły mi łzy do oczu. Tak bardzo chciałem, żeby ktoś mnie pocieszył.

Ale tata Samir i Yasmin byli na klifie, chociaż tam wszystko mogło się zdarzyć.

A mama pojechała na babski wieczór, gdzie nie proszono dzieci.

A ja leżałem całkiem sam w ciemnym domu w środku nocy.

Zacisnąłem mocno powieki i zatkałem sobie uszy.

Kiedy się obudziłem, nadal było ciemno. Z kuchni dobiegały głosy, których nie znałem, i wtedy sobie przypomniałem, co się stało. Przypomniałem sobie strzykawkę, las i chmurę, która najechała na księżyc, i gałązkę, która złamała się z takim trzaskiem, jakby ktoś wystrzelił z pistoletu.

Znowu zacząłem się bać.

Usiadłem na łóżku i zapaliłem lampkę.

Kiedy się ją włączyło, na jej kloszu zaczynały przesuwać się zwierzęta. Bardzo to lubię, to zawsze mnie uspokaja.

Ale nie tym razem.

Spojrzałem na swoje stopy. Jedna była trochę brudna, a między palcami tkwiły źdźbła trawy. Wyjąłem je, zabrałem game boya z nocnej szafki i zszedłem do kuchni.

Mama i tata Samir siedzieli przy stole z policjantką i policjantem. Wiedziałem, że oni są z policji, ponieważ mieli na sobie mundury, dokładnie takie same jak w telewizji.

– Mamusiu – odezwałem się zaniepokojony.

Mama od razu wstała i podeszła do mnie.

– Nic się nie stało, skarbie. Chodź, pójdziemy do twojego pokoju.

Wzięła mnie za rękę i ruszyła ze mną na górę. Potem powiedziała, że policjanci się obawiają, że coś mogło przytrafić się Yasmin.

Pomyślałem o igle i przepaści.

Zastanawiałem się całkiem długo, czasem mi się to zdarza.

Czy powinienem opowiedzieć, co stało się w lesie? W końcu postanowiłem nic nie mówić, ponieważ wiedziałem, że mama byłaby zła, gdyby usłyszała, że sam w środku nocy poszedłem nad urwisko. Na pewno by spytała, co miałem na sobie, i gdyby się dowiedziała, że tylko piżamę i śniegowce, zdenerwowałyby się jeszcze bardziej.

Moja wychowawczyni mówi, że są trzy różne sposoby kłamania.

Pierwszy: można powiedzieć coś, co jest nieprawdą. To się nazywa kłamstwo.

Drugi: można powiedzieć coś, co jest nieprawdą, po to, żeby być dla kogoś miłym. To się nazywa białe kłamstwo. Istnieje też coś, co się nazywa kłamstwem z konieczności, ale tak naprawdę to jest to samo co białe kłamstwo, tylko że jego używa się w sytuacjach bardzo pilnych.

Trzeci: można nie powiedzieć wszystkiego, co się wie. Na to nie ma specjalnej nazwy, ale to także jest rodzaj kłamstwa.

Uważałem, że trudno zrozumieć różnicę między różnymi odmianami kłamstwa, ale nie zgadzałem się z moją panią, że człowiek kłamie, kiedy nic nie mówi. Bo na przykład ja bardzo często milczałem, i to wcale nie znaczyło, że kłamałem.

Rozmawiałem o swoich wątpliwościach z Mają, a ona mi powiedziała, że nauczycielki nie zawsze mają rację. A potem dodała:

– Dopóki nie robisz nikomu nic złego, moim zdaniem nic nie szkodzi, jeśli jesteś trochę milczący.

Kiedy to sobie przypominałem, pomyślałem, że chyba nie było nic złego w tym, że nie opowiedziałem mamie, co widziałem w lesie.

– Pośpij jeszcze trochę – szepnęła mama i wyszła z pokoju.

Drzwi się zamknęły i po chwili jej kroki ucichły.

Ogarnęło mnie zmęczenie.

Zamknąłem oczy.

I zasnąłem.

Gdy znów się obudziłem, było już jasno, ale nie bardzo jasno, bo zimą nigdy tak nie jest. Ale nie było tak ciemno jak na przykład w Pajali, bo tam w zimie w ogóle nie ma słońca. Tylko że ludzie, którzy tam mieszkają, są do tego przyzwyczajeni, tak samo jak renifery. Chociaż jest ciemno, one grzebią w śniegu w poszukiwaniu jedzenia. I wcale nie jest im zimno, ponieważ mają bardzo grube futro.

Wstałem i poszedłem do sypialni mamy i taty Samira.

Mama stała tyłem do mnie i wkładała szlafrok.

– Gdzie jest Yasmin? – spytałem.

Mama się odwróciła, zbliżyła się i mocno mnie uściskała, jakby chciała mnie pocieszyć, chociaż wcale nie byłem smutny, a przynajmniej nie w tamtej chwili.

– Na razie nie wiadomo. Może zjemy śniadanie?

Kiedy przygotowywaliśmy śniadanie, ktoś zadzwonił do drzwi i tata Samir otworzył. Na zewnątrz stali jakaś pani i jakiś pan, których nie znałem. Weszli do przedpokoju, powiesili kurtki na wieszaku i zdjęli buty.

Kobieta miała siwe włosy i niebieskie oczy. Była dosyć stara i trochę podobna do mojej babci.

Mężczyzna miał brązowe włosy i przypominał tatę Alicii, który przywoził ją do szkoły, a potem zabierał po lekcjach razem z jej wózkiem.

Oboje rozmawiali w kuchni z mamą i tatą Samirem, ale ja nie mogłem z nimi zostać. Musiałem zjeść śniadanie w pokoju i mogłem obejrzeć film na wideo.

Po to, żeby oni mieli spokój.

Nie miałem nic przeciwko temu, bo przecież wiadomo, że wolałem obejrzeć sobie wideo, niż z nimi gadać.

Po jakimś czasie ogarnęła mnie jednak ciekawość i zakradłem się pod kuchenne drzwi, żeby się dowiedzieć, o co chodzi. Mama i policjantka, która miała na imię Ann-Britt, rozmawiały o Yasmin. Podśluchiwałem, co mówią, chociaż wiedziałem, że one by tego nie chciały.

– Zabójstwo? – powiedziała mama.

A po chwili dodała:

– Samir nigdy nie skrzywdziłby Yasmin, bez względu na to, co by zrobiła. Ona jest dla niego wszystkim.

Przestraszyłem się i znowu zacząłem myśleć o Yasmin i policjantach, których widziałem, kiedy obudziłem się w nocy. Wróciłem po cichu na kanapę, ale nie mogłem już dokończyć śniadania, bo czułem się tak, jakbym miał wielką kulę w gardle.

Niedługo potem mama zajrzała do mnie

– Po co oni tu przyszli? – spytałem ją.

– Bo jeśli ktoś zrobił Yasmin coś złego, to policja musi złapać tego człowieka – odpowiedziała. Mówiła bardzo wolno, jak zawsze, kiedy myślała, że się boję, chociaż gdy się boję, słyszę tak samo dobrze jak normalnie, i jeśli mama mówi szybko, też wszystko słyszę.

Zastanowiłem się znowu.

Czy tata Samir zrobił Yasmin coś złego? Pamiętałem, jak po drodze do lasu ona wciąż powtarzała: „nie, nie, nie”. Ale lubiłem tatę Samira i nie chciałem, żeby policja go złapała.

Spytałem mamę, co dzieje się z kimś, kto wyrządza krzywdę komuś innemu. Odpowiedziała, że jeśli jakiś człowiek skrzywdził Yasmin

i policja go złapie, to ktoś taki z pewnością spędzi resztę życia w więzieniu.

Tata Samir tak ładnie śpiewał, umiał się też ze mną bawić i gotować. Nie wierzyłem, że mógł zrobić coś złego Yasmin. Może to, co widziałem, to była tylko taka zabawa? Nie chciałem, żeby siedział całe życie w więzieniu, bo wtedy nie bylibyśmy już rodziną i nigdy więcej nie pieklibyśmy razem ciasta ani nie spędzalibyśmy miłych piątkowych wieczorów. A moja mama znowu zasypiałaby z głową opartą na twardym stoliku kawowym.

Postanowiłem, że nigdy nie powiem o tym ani słowa. Właściwie to nie było kłamstwo, bo nie chciałem nikomu zrobić nic złego. Więc kiedy ta pani policjantka zadawała mi mnóstwo pytań, nie odpowiedziałem na żadne.

Pytała, co robiłem z tatą Samirem poprzedniego wieczoru. Milczałem.

Pytała, czy robiliśmy coś fajnego, czy może oglądaliśmy telewizję.

Potem spytała, co jedliśmy.

To było dla mnie całkiem łatwe, ponieważ jestem superdobry w milczeniu.

*

Po zniknięciu Yasmin wszystko stało się dziwne.

Tata Samir płakał.

Mama też płakała.

Ale mimo to wstawaliśmy z łóżek co rano, robiliśmy śniadanie i jak zwykle myliśmy zęby. Potem jedliśmy obiad i kolację, chociaż Yasmin wciąż nie było i nikt nie siedział na jej miejscu przy stole.

Później świętowaliśmy Boże Narodzenie.

Tata Samir dał mi w prezencie pudło z mnóstwem klocków lego, z których można było zbudować dinozaura. Od Mai dostałem sweter z reniferami – był czerwony, a renifery brązowe, białe i czarne. Mama podarowała mi komplet kredek w czterdziestu siedmiu kolorach i blok do rysowania, prawie tak gruby jak książka telefoniczna w przedpokoju.

Cieszyłem się, chociaż wszyscy inni byli smutni, ponieważ Yasmin zniknęła. Ale moja radość nie trwała długo, bo tuż po Bożym Narodzeniu mama zwróciła się do mnie:

– Synku, muszę ci coś powiedzieć. Yasmin nie żyje.

– Nie żyje? – spytałem. – Jak Kręciek?

– Tak – potwierdziła. – Jak Kręciek.

*

Istniały dwie rzeczy, których potwornie się bałem.

Po pierwsze, że któregoś dnia się obudzę i nie będę miał zespołu Downa, a lubiłem być taki, jaki byłem. Gdybym przestał być taki, to nie mógłbym mieć swojej asystentki Mai ani chodzić do logopedy i pewnie też nie piekłbym tyle ciastek.

Druga rzecz to śmierć.

Śmierć może przyjść do każdego, ale najczęściej przychodzi do starych ludzi takich jak dziadek. Chociaż zabrała też mojego chomika Kręcka, a on wcale nie był stary.

Kręciek miał brązowo-białe futerko, duże czarne oczka i malutkie pazurki bez odrobiny sierści, spiczaste jak igły. Miał też ostre zęby i mógł ugryźć, ale mnie nigdy nie ugryzł, ponieważ mnie się nie bał. Raz ugryzł za to tatę Samira.

– Merde – powiedział wtedy tata Samir i szybko włożył palec do ust.

Nie wiedziałem, co to dokładnie znaczy, bo to było po francusku, ale wiedziałem, że to przekleństwo.

– Kręciek się przestraszył – wyjaśniłem.

Tata Samir nie odpowiedział, tylko poszedł umyć ręce.

Często mył ręce, chyba dlatego, że był doktorem, a doktorzy uważają, że mycie rąk jest bardzo ważne.

Któregoś dnia, kiedy się obudziłem, Kręciek leżał całkiem nieruchomo na trocinach w swojej klatce. Czasami się zdarzało, że odpoczywał i się nie ruszał, więc nie było w tym nic dziwnego. Ale kiedy go szturchnąłem, nawet nie drgnął, także kiedy dotknąłem jego głowy i brzucha.

Zawołałem mamę, a ona podniosła Kręcka, obróciła go kilka razy i w końcu powiedziała:

– Przykro mi, synku, Kręciek nie żyje.

Najpierw myślałem, że kłamie, bo przecież Kręciek miał dopiero siedem miesięcy i pięć dni, ale potem zrozumiałem, że to nie jest żadne kłamstwo, nawet kłamstwo białe.

Mama oznajmiła, że powinniśmy pochować Kręcka, ponieważ każda istota powinna być pochowana. Ale ja nie chciałem. Wolałem, żeby mój chomik został w swojej klatce; lubiłem, kiedy w niej był. Z nim w pokoju nigdy nie czułem się samotny ani się nie bałem, nawet w ciemności.

Włożyliśmy Kręcka do kartonowego pudełka. Strasznie płakałem.

Potem pochowaliśmy go w ogródku pod wiśnią.

Zaśpiewaliśmy mu piosenkę.

Minęło kilka dni.

Po kilku dniach brakowało mi Kręcka dwa razy bardziej niż wtedy, kiedy umarł. Nie chciałem, żeby leżał w ziemi i nie mógł kręcić się w swoim kołowrotku, jeść ulubionych ziarenek ani popijać wody. Więc go wykopałem.

Zrobiłem to tak:

Wziąłem szpadel ze składziku, gdzie znajdowało się mnóstwo różnych narzędzi, które wcześniej należały do dziadka, zanim umarł i został pochowany. Następnie rozkopałem ziemię pod wiśnią i odgrzebałem kartonowe pudełko, już dosyć rozmiękłe i pachnące ziemią.

Wyjąłem z niego Kręcka.

Był całkiem spuchnięty, a po głowie łąziły mu jakieś białe robaki. Usunąłem je i bardzo ostrożnie włożyłem do ziemi, żeby nie zrobiły sobie nic złego. Potem strzepnąłem trochę brudu z futerka Kręcka i zaniósłem go do domu. Owinąłem ręcznikiem i schowałem pod łóżkiem, bo wiedziałem, że mama byłaby zła, gdyby go znalazła.

Ale kilka dni później weszła do mojego pokoju i od razu krzyknęła:

– Rany boskie, co tutaj tak cuchnie?

Zmarszczyła nos jak pies i zaczęła wszędzie szukać.

W końcu odkryła Kręcka pod łóżkiem. Musieliśmy pochować go po raz drugi. Ale tym razem tata Samir wykopał strasznie głęboki dół największą łopatą dziadka, taką, której nie miałem siły nawet unieść.

– Posłuchaj uważnie – zwrócił się do mnie. – Jeśli ktoś umiera, to już nie wraca. Staje się pożywieniem dla drzew, kwiatów i trawy. I w ten sposób zostaje na zawsze w naturze. I to jest piękne. Rozumiesz?

Nie chciałem tego rozumieć.

Ja chciałem mieć Kręcka.

A teraz umarła też Yasmin, tak samo jak on.

Nie chciałem, żeby leżała w ziemi wśród białych robaków i stała się jedzeniem dla natury.

Chciałem, żeby czytała mi straszne książki, bawiła się ze mną i jadła ze mną słodczyce. Chciałem, żeby wszystko było jak zawsze.

18

Wcześniej, zanim Yasmin zaczęła zamykać drzwi do siebie i zanim umarła, czasami wchodziłem do jej pokoju, kiedy była w pracy. Siadałem na łóżku i grałem na game boyu albo przeglądałem jej czasopisma, które były dosyć nudne, ponieważ pisano w nich tylko o makijażu, ciuchach i chłopakach z różnych kapeli w dziwacznych strojach i z dziwaczными fryzurami.

Potem Yasmin zaczęła zamykać drzwi na klucz. Ale kiedyś podejrzałem, że zostawiała go w łazienkowej szafce, w szufladzie z jej kosmetykami.

Raz go wyjąłem i po kryjomu wszedłem do pokoju.

Wyglądał jak zawsze, chociaż był zamknięty.

Usiadłem na łóżku.

Wtedy to zobaczyłem – na podłodze obok nocnego stolika leżał stos kawałków papieru. Podniosłem jeden, był brązowy i twardy od czegoś, co wyglądało jak zaschnięta krew.

Zrobiło mi się smutno.

Yasmin była prawie tak samo niezdarna jak ja. Kiedyś w pracy uderzyła się tak mocno, że przez wiele dni miała pod okiem wielkiego fioletowego sińca. Innym razem przewróciła się w lesie i rozcięła sobie wargę, z której lało się tyle krwi, że musiała pojechać z tatą Samirem do szpitala na szycie.

Bywa, że ktoś, kto jest bardzo fajtłapowaty, nie zawsze chce się do tego przyznać. Kiedy czasami niechcący coś popsułem, mówiłem mamie:

– Nie, to nie ja. Nawet tego nie dotykałem.

To było białe kłamstwo. Po prostu nie chciałem, żeby mama była zła.

Mama patrzyła wtedy na mnie okropnie długo, a później zapomniała o wszystkim.

Czy tak samo było z Yasmin?

Zostawiłem te kawałki papieru na podłodze, żeby się nie domyśliła, że byłem w jej pokoju.

Kiedy już miałem wychodzić, zobaczyłem, że coś wystaje spod łóżka – czarna torba zapinana na suwak, podobna do tej, której mama używała na treningi. Na jednym boku był duży biały napis: „Just do it”.

Wyciągnąłem ją, otworzyłem zamek i pogrzebałem między rzeczami.

Nic ciekawego – babskie ciuchy, jakieś papiery i jedna gruba czarna książka ze złotymi literami na okładce. Kiedy zacząłem zaciągać z powrotem suwak, zauważyłem zdjęcie. Trochę mnie zaciekawiło, więc je wyjąłem.

Była na nim mała dziewczynka. Stała na plaży, a na ramionach miała identyczne pomarańczowe skrzydełka do pływania jak moje.

Przyjrzałem się uważnie. To musiała być Yasmin wiele lat temu.

Chociaż nie powinno się zabierać cudzych rzeczy, wziąłem sobie tę fotografię, bo nie miałem żadnego zdjęcia Yasmin, a zawsze bardzo chciałem jakieś mieć. Narysowałem mnóstwo jej portretów, ale nigdy nie wychodziły mi tak dobrze, jak chciałem – usta wyglądały na za duże i były zbyt czerwone, a włosy zawsze miały niewłaściwy kolor, bo moja brązowa kredka była zbyt jasna, a czarna – za ciemna.

Potem zamknąłem drzwi na klucz i odłożyłem go z powrotem do szuflady z kosmetykami.

Tej nocy obudził mnie przeraźliwy krzyk. Okropnie się wystraszyłem i w pierwszej chwili chciałem zawołać mamę, bo zwykle tak robię, kiedy się boję. Ale zaraz potem usłyszałem, że ktoś coś mówi.

Usiadłem na łóżku i zacząłem nasłuchiwać, a ponieważ było całkiem ciemno i cicho, słyszałem wszystko bardzo wyraźnie.

To była Yasmin.

Nie zapalając lampki, wymknąłem się na korytarz i poszedłem do jej pokoju, bo pomyślałem, że może znowu się o coś uderzyła i chce, żeby ją pocieszyć.

Kiedy otworzyłem drzwi jej sypialni, ogarnęła mnie ciemność i minęło trochę czasu, zanim moje oczy przyzwyczyły się do mroku, a potem zobaczyłem ją leżącą na łóżku.

– Yasmin – szepnąłem. – Smutno ci?

– Nie rób tego – powiedziała. – Przestań!

– Coś ci się śni? – spytałem, podchodząc bliżej.

Położyłem rękę na jej czole, tak jak robiła to mama, kiedy chorowałem. Było gorące i całkiem mokre.

– Tonę – wymamrotała. – Nie! Nie!

Kiedy potrząsnąłem ją lekko za ramię, otworzyła oczy.

– To był tylko sen – wyszeptałem.

– Vincent?

Zamrugła i niemal od razu odchyliła kołdrę, żebym mógł się pod nią wślizgnąć. Położyłem się obok niej, a ona mocno mnie przytuliła.

– Śpijmy teraz – bąknęła.

I to był ostatni raz, kiedy spałem w łóżku Yasmin, zanim umarła.

*

Kilka dni po Bożym Narodzeniu bawiłem się rano u siebie w pokoju klockami lego, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Jeszcze nie jedliśmy śniadania, a ja nawet nie umyłem zębów ani się nie wysikałem i wciąż byłem w piżamie.

Najpierw zamierzałem dalej budować swojego dinozaura, który był już całkiem spory, bo nieźle mi szło, ale nagle usłyszałem krzyk mamy i okropnie się wystraszyłem. Wypadłem z pokoju i podbiegłem do schodów, ale nie odważyłem się zejść na dół, tylko usiadłem na najwyższym stopniu i patrzyłem przez szczeble balustrady.

W przedpokoju stali mama i tata Samir, ale też tamta pani policjantka, która zadawała mi tyle pytań, i dwóch innych policjantów w mundurach. Tata Samir włożył kurtkę, a mama ciągnęła go za jedną rękę, podczas gdy jeden z policjantów ciągnął za drugą. Wyglądało to tak, jakby chcieli go rozerwać.

Mama ciągnęła mocno, ale policjant dwa razy mocniej od niej, więc w końcu dała spokój. Potem dwaj policjanci zaprowadzili tatę Samira do radiowozu. Widziałem, bo szybko wróciłem do swojego pokoju i wyjrzałem przez okno. Posadzili go na tylnym siedzeniu, a przy wsiadaniu pochylili mu głowę, żeby się nie uderzył – tak samo, jak robią w telewizji.

Później mama dosyć długo rozmawiała z resztą policjantów w kuchni.

A jeszcze później przyszła do mnie na górę.

– Byłeś przez cały czas u siebie?

Potaknąłem.

– I nie zakradłeś się na schody?

Pokręciłem głową, bo rozumiałem, że mamie byłoby przykro, gdyby się dowiedziała, że patrzyłem, jak siłowała się z policjantem i przegrała, i że to przez nią zabrano tatę Samira.

Potem pojechaliśmy do babci.

Lubiłem być u babci, bo miała jamniczkę o imieniu Nelly, która była superfajna. Zawsze długo się z nią bawiłem, bo Nelly nigdy się nie męczyła. Psy lubią się bawić, ponieważ inaczej niż ludzie nie mają mnóstwa innych rzeczy do roboty przez cały dzień.

U babci podobało mi się jeszcze to, że była specjalistką od wypieków, szczególnie ciasteczek. Umiała upiec mnóstwo różnych ciast i ciasteczek i w ogóle nie musiała przy tym zaglądać do przepisów, bo robiła je już tyle razy, że mogłaby je przygotować nawet we śnie. Przynajmniej tak mówiła, chociaż mnie się wydawało, że to nieprawda.

To raczej niemożliwe, żeby ktoś potrafił piec we śnie.

Ciasteczka, które super jej wychodziły, to: migdałowe, owsiane, kruche i malinowe groty. Najbardziej lubiłem te z dżemem malinowym, bo podczas pieczenia dżem twardniał i stawał się jeszcze lepszy.

Któregoś razu babcia powiedziała:

– Dziś ludzie wolą kupować słodczyce w sklepie, a ja uważam, że ciastka i ciasta powinno się piec samemu. To jest dobre dla duszy.

Dusza to ta część ciała, która nie może umrzeć. Kiedy ktoś umiera, dusza się odłącza, leci do nieba i unosi się wśród chmur, aż znajdzie inne ciało do zamieszkania.

Zastanawiałem się, gdzie mieszkały teraz dusze Kręcka i Yasmin.

Może Yasmin stała się chomikiem, a Kręciek niemowlakiem?

Babcia nie za bardzo lubiła tatę Samira. A w każdym razie nie przepadała za nim tak jak ja i mama.

– Mam nadzieję, że nie zmusza cię do robienia żadnych głupot? – spytała kiedyś, kiedy mieliśmy piec chleb. Chleb nie jest taki fajny jak ciastka, ale mimo wszystko smakuje całkiem dobrze, kiedy je się go z masłem zaraz po wyjęciu z piekarnika.

– Jakich głupot? – zapytałem.

– No, na przykład tych religijnych bzdur – odpowiedziała babcia, marszcząc twarz i odgarniając z niej włosy wierzchem dłoni, żeby nie pobrudzić się mąką.

– A co to jest religijna bzdura?

Babcia nie chciała mi tego wyjaśnić. Rzuciła, że to nie ma znaczenia i że zamiast gadać, powinniśmy wstawić chleb do piekarnika.

Zanim wyjęliśmy talerze, spytała:

– Czy on czyta Koran?

– A co to jest Koran?

– To taka książka.

– Jak książka kucharska?

Babcia roześmiała się głośno i niechętnie upuściła zmywak na podłogę. Próbowała go podnieść, ale miała kłopot ze schyleniem się, więc musiałem jej pomóc.

– Mniej więcej – potaknęła, kiedy podałem jej zmywak. – Można by tak powiedzieć.

*

W dniu, kiedy policja zabrała tatę Samira, a ja byłem u babci i bawiłem się z Nelly, słyszałem, jak babcia rozmawia przez telefon.

– Aresztowali go mniej więcej godzinę temu. Maria niedawno przywiozła do mnie Vincenta – opowiadała komuś.

A potem dodała:

– To przecież jasne, że ona przechodzi teraz istne piekło. Własne dziecko... jak można zrobić coś takiego?

Wziąłem Nelly na rękę i poszedłem do babci.

– Co to jest istne piekło? – spytałem, kiedy się rozłączyła. Wiedziałem, co to jest piekło, ale nigdy nie słyszałem, żeby było istne.

– Nic, czym musiałbyś się przejmować – odpowiedziała i z hałasem odłożyła słuchawkę.

Dosyć często się zdarzało, że babcia nie chciała odpowiadać na moje pytania, i to mnie denerwowało. Wolałem rozumieć, o czym mówiła, bo kiedy nie rozumiałem, czułem się pominięty.

Spojrzałem na babcię – miała czerwone policzki i czerwoną szyję. Wachlowała się kartką papieru, jak zawsze, kiedy uważała, że zamiast rozmawiać, trzeba zrobić coś innego, na przykład wyjść z psem albo włożyć ciastka do piekarnika.

Nelly zeskoczyła na podłogę, bo nie lubiła, kiedy długo nosiło się ją na rękach.

Schyliłem się i poklepałem ją po grzbiecie, żeby nie czuła się pominięta. Przecież psy też mogą się tak czuć.

Chomiki także, w każdym razie zanim umrą.

Potem spytałem, czy możemy coś upiec, ale babcia powiedziała, że jest zmęczona i że nie możemy.

– Jestem zbyt zmęczona. I zbyt zszokowana.

Nie wiedziałem, co znaczy „zszokowana”, ale nie odważyłem się zapytać, bo rzeczywiście chyba nie czuła się dobrze. A później powiedziała, że to, co przydarzyło się Yasmin, to grzech i hańba.

– Taka ładna i miła dziewczyna, miała przed sobą całe życie – dodała. – Kto by mógł przypuszczać, że Samir...

– Że co Samir? – spytałem.

Babcia potarła ręce. Były czerwone i całkiem grube. Palce wyglądały jak kiełbaski, które dostawaliśmy na obiad w szkole.

– Że ma taką ciemną stronę.

– Co to jest ciemna strona?

Ale na to babcia też nie odpowiedziała. Zamiast tego stwierdziła, że powinniśmy wyjść z Nelly, bo ona na pewno chce się wysikać i potrzebuje świeżego powietrza.

Kiedy spacerowaliśmy, myślałem o tym, co przed chwilą usłyszałem od niej o tacie Samirze.

Rzeczywiście był ciemny, w każdym razie ciemniejszy ode mnie i od mamy, ale jednakowo ciemny ze wszystkich stron. W dodatku niektóre włosy miał całkiem białe, a biel to przeciwieństwo czarnego, czyli ciemnego.

Kiedy Nelly zrobiła siku dwa razy, raz pod latarnią, a drugi raz pod krzakiem z długimi cierniami, wróciliśmy do mieszkania babci.

– Twoja mama nie zawsze taka była – westchnęła, kiedy zdjęła Nelly obrożę wraz ze smyczą.

– Aha – bąknąłem.

– To znaczy, zanim dostała tej pustynnej gorączki – prychnęła babcia i zatrzasnęła drzwi wejściowe z takim rozmachem, że Nelly się przestraszyła i od razu uciekła do kuchni.

Oczywiście nie wiedziałem, co to jest pustynna gorączka, jednak nie zdążyłem spytać, ponieważ babcia poszła do ubikacji i dosyć długo jej nie było, a potem już o tym zapomniałem.

Ale spytałem mamę, kiedy wieczorem wróciliśmy do domu.

Wpadła w złość i uderzyła dłonią w kuchenny stół tak mocno, że aż podskoczyła szklanka i rozlało się trochę soku.

– Nie powinieneś jej słuchać. To są rasistowskie bzdury.

– Czy babcia jest rasistką? – zapytałem.

Wtedy mama mnie przytuliła i pocałowała w policzek.

– Czasami sama zadaję sobie to pytanie – powiedziała.

19

Potem minęło całkiem dużo czasu i nie wydarzyło się nic dobrego, a właściwie działy się same złe rzeczy, o których tak naprawdę wolę nie myśleć.

Mama wciąż była smutna, ponieważ policja wsadziła tatę Samira do więzienia zwanego aresztem. W policji uważali, że on zabił Yasmin, ale mama w to nie wierzyła. Chociaż kiedy to mówiła, odwracała wzrok i wtedy się zastanawiałem, czy to jest białe kłamstwo. Bo czasami jak mama odwraca w ten sposób wzrok, to mówi coś tylko po to, żeby mnie nie zasmucić.

A kiedy myślała, że nie słyszę, płakała.

Czasem budziłem się w środku nocy i słyszałem jej szloch, więc szedłem do niej i ją pocieszałem. Chociaż ona sądziła, że to ja jestem smutny, i sama próbowała mnie pocieszać.

Nie sprzeciwiałem się, bo to ją uszczęśliwiało.

Kiedy sam jesteś smutny, czasami pomaga ci, jeśli pocieszasz kogoś innego.

Inną złą rzeczą było to, że na naszej ulicy pojawiło się strasznie dużo ludzi, których nie znaliśmy. Stali przed domem i za krzakami w ogrodzie, a czasami potwornie długo dzwonili do drzwi. Mama powiedziała, że to są dziennikarze i że oni pracują w gazetach, telewizji i radiu. Sterczeli tam, bo byli bardzo ciekawi taty Samira. Tak bardzo ciekawi, że musieliśmy opuścić wszystkie rolety i żaluzje, żeby nie robili nam zdjęć, kiedy jedliśmy w kuchni, przytulaliśmy się albo braliśmy prysznic. I chociaż mama im mówiła, że nie chce z nimi rozmawiać, oni ciągle wracali. Pewnego dnia jeden dziennikarz przyszedł nawet do mnie do szkoły, ale wtedy Maja okropnie się na niego zezłościła i powiedziała mu:

– Niech pan się stąd wynosi, i to już! A tę kamerę może pan sobie wsadzić tam, gdzie słońce nie dochodzi!

No i ten dziennikarz włożył aparat do czarnej torby, gdzie słońce nie dochodziło, i poszedł.

– Jeszcze trochę i chyba zwariuję – powiedziała mama tamtego wieczoru. – Jeśli to się nie skończy, będziemy musieli się stąd wynieść.

Kiedy to usłyszałem, strasznie się zasmuciłem. Chciałem zostać w naszym domu, bo lubiłem swój pokój, swoje rysunki i kredki, i klocki lego. Chciałem znów odsłonić rolety i chciałem, żeby mama czuła się szczęśliwa.

Ale najgorszą rzeczą, jaka się wydarzyła, było to, że chłopak o imieniu Alexander, który miał żółte włosy i niebieskie oczy i chodził do 3B, zaczął mi strasznie dokuczać.

Alexander z 3B nigdy nie był sympatyczny, ale nie był też szczególnie wredny. Nigdy ze mną nie rozmawiał, a na przerwach zawsze grał w kosza. Spadło jednak bardzo dużo śniegu i pani zabrała piłki do szkoły, i wtedy on zaczął się ze mną drażnić.

– Ty, down, wiesz, że twój ojciec siedzi w więzieniu? – powiedział Alexander z 3B.

– Nieprawda – odpowiedziałem.

– Jasne, że siedzi – upierał się.

– Nie! – krzyknąłem. – On siedzi w areszcie.

– To jest to samo.

– Wcale nie.

– Właśnie że tak.

Potem pojawiła się Maja i Alexander z 3B sobie poszedł.

– Wszystko okej? – spytała Maja, która tego dnia miała czerwoną czapkę, niebieską kurtkę i czarne rękawiczki z frędzlami.

– On jest strasznie wredny – powiedziałem.

– Masz rację – potwierdziła Maja. – Porozmawiam z jego wychowawcą. Czy na razie możesz spróbować go olewać?

– Nie wiem.

– Po prostu traktuj go jak powietrze.

– Jak powietrze?

Maja roześmiała się i przykucnęła obok mnie.

– No tak. Kiedy on ci coś powie, wyobraź sobie, że go wcale nie ma, że w miejscu, gdzie on stoi, jest tylko powietrze. I mu nie odpowiadaj, okej?

– Okej – zgodziłem się.

I potem rzeczywiście próbowałem zachowywać się tak, jak poradziła mi Maja.

Następnego dnia Alexander z 3B podszedł do mnie i rzucił:

– Twój ciapaty tatuś zabił twoją siostrę, wiesz o tym, co nie?

Skoncentrowałem się najmocniej, jak mogłem, ale Alexander z 3B mimo to nie zamienił się w powietrze. Wciąż stał obok i nadal był Alexandrem z 3B, miał żółte włosy, niebieskie oczy, dużo śniegu na kurtce i gluta w jednej dziurce nosa, który pokazywał się przy każdym jego oddechu.

– Nieprawda – odpowiedziałem.

– A właśnie że prawda, twój ojciec jest mordercą.

Spróbowałem jeszcze raz, i to dwa razy mocniej niż poprzednio, ale on wciąż nie stał się powietrzem.

– Chyba, downie, nic nie kapujesz. Twój ciapaty tatuś zamordował twoją siostrę i wylądował w więzieniu.

Nagle wszystko przede mną całkiem pobieleło i stałem się superzły i supersilny, jak Hulk. Moja ręka wystrzeliła do góry, chociaż wcale tego nie chciałem, a moja pięść trafiła Alexandra prosto w twarz, tak że upadł na śnieg.

Z ust trysnęła mu krew, śnieg zrobił się całkiem czerwony, a on głośno krzyczał.

Potem przyszła pani i zabrała go do pielęgniarki.

Potem przyszła też Maja i powiedziała, że powinienem go przeprosić, ale ja nie zamierzałem tego zrobić, nie zamierzałem już nigdy rozmawiać z Alexandrem z 3B.

A potem przyjechała mama i zabrała mnie do domu, i postanowiła, że przez jakiś czas nie pójdę do szkoły.

– Zostaniesz w domu, dopóki sytuacja się nie uspokoi – wyjaśniła. – Zadzwoń do twojej wychowawczynie.

Potem nastał wieczór.

I poszliśmy spać.

*

Później przez dosyć długi czas było nudno, bo nie chodziłem ani do szkoły, ani na treningi piłkarskie, a mama nie miała ochoty na codzienne pieczenie. Ale mogłem za to dużo oglądać wideo, czasami wybieraliśmy się do babci albo babcia przyjeżdżała do nas. Chociaż ona niezbyt często nas odwiedzała, bo nie miała samochodu, a Nelly nie lubiła jeździć

autobusem, ponieważ kiedyś, jak jechałem z nią i z babcią autobusem, jakiś facet nadepnął jej na łapę.

Wtedy strasznie głośno zawyła, a babcia powiedziała:

– Uważaj, ty bęcwale!

Na co on odkrzyknął:

– To pani, do jasnej cholery, powinna trzymać tego kundla na kolanach.

Wtedy babcia poszła ze skargą do kierowcy. Kierowca zatrzymał autobus i spisał numery telefonów tamtego pana i babci. Kiedy dojechaliliśmy do jej domu, musiała wypić kieliszek lekarstwa, które nazywa się sherry, i odpocząć chwilę na łóżku.

– Nelly, słoneczko – powiedziała, kładąc stopy na pękatej czerwonej poduszce ze złotymi nitkami. – Pani nie ma siły dać ci w tej chwili jeść. Musisz trochę poczekać.

Ale to nie miało większego znaczenia, bo pocieszyłem Nelly klopsikami.

Czasami odwiedzali nas też inni ludzie, na przykład Greta, która była najlepszą przyjaciółką mamy.

Mama bardzo lubiła Gretę, ale ja uważałem, że ona jest zła, bo któregoś razu widziałem, jak podczas przyjęcia próbowała pocałować tatę Samira w kuchni.

Zbudowałem sobie szafas pod kuchennym stołem, dlatego Greta mnie nie zauważyła, ale ja przez szparę w obrusie widziałem ją bardzo dokładnie.

Tata Samir odepchnął ją i powiedział:

– Przestań! Ile razy mam cię o to prosić?

Niedługo znowu przyszła do kuchni. Chwiała się trochę i kiedy mówiła, trzymała się szafki. To dlatego, że była pijana; dorośli zawsze myśleli, że nie poznają, kiedy są wstawieni, ale ja od razu to dostrzegałem. Dziwnie się wtedy poruszali i gadali głupie rzeczy, a czasami nie mogli wymówić wszystkich słów, jakby mieli downa.

– Wyglądasz niesamowicie przystojnie w tej opiętej koszuli – powiedziała i położyła rękę na ramieniu taty Samira. – Zacząłeś trenować?

Tata Samir pokręcił głową, nawet na nią nie patrząc, bo patrzył na deskę, na której kroił ser, i musiał cały czas uważać na nóż, żeby nie zrobić sobie krzywdy. Potem zabrał jej kieliszek i wylał wino do zlewu.

– Jesteś pijana – powiedział. – Proszę cię, nie pij już więcej. Jutro będziesz tego żałować.

– Och, daj spokój! Przecież widzę, że zacząłeś trenować. Może powinieneś któregoś dnia zabrać też Marię na siłownię, bo ostatnio naprawdę przytyła. Nie do twarzy jej z tym, wygląda jak stara ciotka.

Tata Samir wyszedł z kuchni.

Czasami odwiedzał nas też Tom.

Tom ma niebieskie oczy i brązowe kręcone włosy.

Lubiłem go, ale lubiłem go bardziej, zanim został chłopakiem Yasmin. Ją też bardziej lubiłem, zanim została dziewczyną Toma.

Wcześniej Tom przychodził do naszego domu i pił herbatę z mamą. Wtedy mogłem zawsze spytać:

– Chcesz się pobawić w potwory?

A on odpowiadał:

– W potwory? Zobaczmy, czy... ja... wrrr... ueee...!

Potem cały sztywniał, strzelał oczami we wszystkie strony i upadał z krzesła na podłogę. Zaczynał czołgać się za mną i brzmiał zupełnie jak zombie. A ja uciekałem przed nim strasznie szybko, bo był potworem, a on mnie ścigał, bo tak właśnie robią potwory.

Ale kiedy został chłopakiem Yasmin, mówił tylko:

– Może innym razem, kolego. Muszę teraz pobyć trochę z twoją siostrą.

I potem oboje siedzieli w jej pokoju i nie pozwalali mi wejść.

Raz jednak wszedłem. Leżeli na łóżku i się całowali, światło było zgaszone i było ciemno. Ale nie całkiem, bo zapalili świeczkę, chociaż mama wciąż powtarzała, że nie wolno palić świeczek, ponieważ nasz dom jest bardzo stary i mógłby superszybko spłonąć.

– Nie wolno palić świeczek – powiedziałem.

– Nie wolno wchodzić do czyjegoś pokoju bez pukania – rzuciła Yasmin.

Zrobiło mi się okropnie przykro i poszedłem do siebie.

Po chwili, ale dosyć długiej chwili, zajrzała do mnie Yasmin. Położyła się przy mnie na łóżku.

– Przepraszam – powiedziała. – Po prostu czasami potrzebuję pobyć trochę sama. Okej?

– Okej – potaknąłem, chociaż wcale nie uważałem, że to jest okej.

Później odwróciła się do mnie i położyła mi rękę na brzuchu, żebyśmy się mogli przytulić. Moje łóżko strasznie zaskrzypiało, bo było za małe dla dorosłych.

– Wiesz, że kocham cię najbardziej na świecie? – spytała.

– Na pewno?

– Aha.

Poczułem się trochę szczęśliwszy, bo nie chciałem, żeby najbardziej kochała Toma.

– Nie będę już z Tomem.

– Dlaczego?

Dosyć długo milczała. A później powiedziała:

– Bo jest za bardzo zaborczy.

– Co to znaczy?

– Ktoś jest zaborczy, jeżeli wciąż chce być z tobą maksymalnie blisko, chociaż ty wolałbyś mieć trochę spokoju i czasu dla siebie.

– Maksymalnie blisko? Czyli tak jak wtedy, kiedy całowaliście się w łóżku?

Yasmin roześmiała się głośno, a ja poczułem się jeszcze szczęśliwszy.

– Coś w tym rodzaju.

A potem dodała:

– Poza tym jestem trochę zainteresowana kimś innym. Ale nie mów tego nikomu.

– Dlaczego nie?

Westchnęła i cofnęła rękę.

– Tata i tak już jest na mnie wściekły. Według niego jestem chyba najgorszą dziwką.

– Co to jest dziwka?

Znowu zapadła cisza.

Wyraźnie słyszałem tylko jej oddech. Odetchnęła siedem razy, zanim mi odpowiedziała:

– Dziewczyna, która często zmienia chłopaków.

Zastanowiłem się.

Niektóre rzeczy muszą być często zmieniane, na przykład majtki, prześcieradło i pomidory, kiedy leżą za długo w lodówce i pleśnieją. Mama też musiała często zmieniać ubrania, ale kiedy chciała to zrobić, nie mogła niczego znaleźć.

– Rany boskie, zupełnie nie mam co na siebie włożyć – mówiła wtedy i zaraz potem jechaliśmy do sklepu, gdzie kupowała sobie nowe rzeczy.

A tata Samir z kolei musiał często zmieniać struny w gitarze, żyłетки i skarpetki, bo wciąż robiły się w nich dziury na palcach.

– Serio? – mówiła do niego mama. – Przecież nie możesz tak wyjść. Ludzie pomyślą, że jesteś bezdomny.

Ale innych rzeczy nie trzeba było zmieniać tak często.

– Czy chłopcy też mogą być dziwkami? – spytałem.

Yasmin zakasłała.

– Tak się raczej nie mówi. Chociaż znam paru takich. Ale chrzanić to. Lepiej poczytam ci Smętarz dla zwierzaków, okej?

*

Gdy taty Samira nie było już strasznie długo, tak długo, że nawet całkiem zniknął śnieg i rano, jak mama mnie budziła, zrobiło się trochę jaśniej, zaczęła się rozprawa sądowa.

Mama pojechała do sądu, ale mnie nie pozwolono z nią być, ponieważ to nie jest nic odpowiedniego dla dzieci. Musiałem więc zostać u babci, bo nadal nie chodziłem do szkoły.

Po rozprawie policja zdecydowała, że tata Samir nie zabił Yasmin. Niesamowicie się ucieszyłem, kiedy to usłyszałem; to był najlepszy dzień od bardzo, bardzo dawna, ale mama wyglądała jakoś dziwnie. Gdy ją spytałem dlaczego, odpowiedziała tylko:

– To skomplikowane, skarbie. Bardzo skomplikowane.

Kiedy tata Samir wrócił do domu, uścisnąłem go mocno, a on mocno uścisnął mnie. Potem się wygłupialiśmy i bawiliśmy się w łaskotki na podłodze. Zrobiliśmy też kolację, oglądaliśmy telewizję, a przed snem przeczytał mi Kubusia Puchatka.

Ale gdy wstałem rano, znowu nadszedł zły dzień, ponieważ tata Samir spał na dole na kanapie, a kiedy mama wyszła do skrzynki po gazetę, zobaczyła, że ktoś w nocy napisał na naszym domu czerwoną farbą:

„MORDERCA”.

Powiedziałem do mamy, że to pewnie Alexander z 3B, ale ona w to nie uwierzyła.

– To zrobił ktoś dorosły – stwierdziła. – Bardzo mały dorosły.

Potem tata Samir pojechał kupić farbę.

Potem zamalował napis na domu.

A potem nadszedł wieczór.

Wieczorem usłyszałem rozmowę mamy i taty. Mówili o mieszkaniach i o czymś, co nazywa się czynsz, i co Samir będzie musiał płacić.

Spytałem mamę, co to jest, ale nie chciała mi wyjaśnić, więc spytałem znowu. Kiedy zadałem jej to samo pytanie trzy razy, wpadła w złość, chociaż pytałem bardzo grzecznie. Wreszcie powiedziała, że tata Samir wyprowadzi się gdzie indziej.

Bardzo się zasmuciłem i zaprotestowałem:

– Nie, nie, nie!

Potem wszystko zrobiło się białe, dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy dokuczał mi Alexander z 3B, i uderzyłem mamę w twarz.

– Aua! – krzyknęła. – Co ty wyprawiasz? Nie wolno nikogo bić.

Następnie dodała:

– To nie moja wina. To wszystko wina Samira. Sam sobie to zawdzięcza.

I wtedy wkurzyłem się na tatę Samira.

Postanowiłem nie rozmawiać z nim strasznie długo.

20

Tamtego wieczoru tata Samir spakował swoje rzeczy do dwóch kartonów, które mama przyniosła ze składziku.

– Przykro mi, Vincencie – powiedział. – Ale niedługo się zobaczymy, okej? Jak wszystko trochę się uspokoi.

Nie odpowiedziałem mu.

– Jesteś zły? – spytał.

Nie odezwałem się ani słowem. Potem poszedłem do swojego pokoju i patrzyłem przez okno, jak tata Samir wkładał pudła do swojego samochodu i z nimi odjechał.

Później wyjąłem zdjęcie Yasmin, jak była mała i miała skrzydełka do pływania na rękach. Kiedy na nią spojrzałem, nagle w gardle urosło mi coś, przez co nie mogłem przełykać. Zacząłem płakać i fotografia stała się całkiem zamazana.

Teraz nie było ani jej, ani taty Samira.

Niedługo później, kiedy grałem na game boyu i właśnie przeszedłem na strasznie trudny poziom, zajrzała do mnie mama.

– Skarbie, czy mógłbyś zejść na dół i przypilnować zapiekanki? Muszę na chwilę wyskoczyć do sąsiadów.

– Jestem okropnie, ale to okropnie zmęczony – odpowiedziałem, bo akurat teraz zrobiło się najciekawiej: grałem w Super Maria i musiałem przeskakiwać przez kule ognia, a jednocześnie łapać gwiazdy.

Ale mama nie przestawała biadolić, więc w końcu odłożyłem game boya na łóżko i ruszyłem za nią. Ona potrafi być wyjątkowo uparta i wtedy lepiej zrobić to, czego chce.

Potem poszła do sąsiadów z czymś, co nazwała wiertarką.

A ja przyniosłem sobie z góry game boya i wróciłem do kuchni.

Usiadłem przy stole i grałem dalej.

Jakiś czas później zadzwonił telefon.

Odebrałem.

– Vincent? Mówi Samir. Zapomniałem swojego kalendarza, więc chciałem po niego wrócić. Stoję przy moście, bo przez tego idiotę ze stacji, który nie pozwolił mi wczoraj zatankować, skończyła mi się benzyna. Możesz poprosić mamę?

Nie odzywałem się, bo to wszystko była wina taty Samira.

– Vincent, przestań już, daj słuchawkę mamie.

Dalej nic nie mówiłem.

– Posłuchaj mnie uważnie – powiedział tata Samir. – Jeśli nie porozmawiam teraz z mamą, będę musiał pójść do domu przez las. To zajmie mi dużo czasu. Poza tym jest ciemno i ślisko. Proszę cię, daj mamie słuchawkę.

Ale ja byłem bardzo dobry w milczeniu, więc nadal się nie odzywałem. Tylko słuchałem.

– Vincent! – krzyknął na mnie. – Merde! Przestań się wreszcie wygłupiać i natychmiast zawołaj mamę!

Wtedy się zdenerwowałem i położyłem słuchawkę na kuchennym blacie.

Potem grałem na game boyu.

Potem zadzwonił minutnik i wyłączyłem piekarnik.

Potem poczułem się zmęczony i położyłem się na kanapie.

Potem zasnąłem.

Obudziłem się, gdy otworzyły się drzwi na dwór.

Usłyszałem głos mamy, znowu płakała. Zaraz potem rozległ się inny głos, męski. Nie odważyłem się jednak wstać, bo nie miałem pewności, kto to jest. Myślałem, że to może jakiś włamywacz albo morderca, który porąbie mnie na kawałki.

Ale po chwili znowu usłyszałem mamę.

– Synku?! – krzyknęła.

Wtedy się odezwałem.

– Jestem tutaj.

Mama weszła do dużego pokoju razem z policjantem, który miał na imię Gunnar.

Podbiegła do kanapy i mnie przytuliła. Była strasznie zimna, miała mokry policzek, a jej kurtka też była mokra i oblepiona liśćmi i małymi gałązkami, jakby mama tarzała się po ziemi jak pies.

– Och, synku – szlochała. – Mój skarbie. Stało się coś straszego.

– Co takiego się stało? – spytałem i trochę się zaniepokoiłem, bo kiedy ostatnio siedziałem u babci, powiedziała mi, że Nelly coraz bardziej się starzeje i chyba już długo nie pociągnie.

– Samir – wykrztusiła mama. – Samir nie żyje. Boże drogi. On musiał chyba...

Zamilkła, ale po chwili dokończyła:

– Musiało mu się coś przytrafić w lesie.

Rozpłakała się jeszcze bardziej, a Gunnar podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

– Może przyniosę szklankę wody albo coś innego? – spytał.

– Co on tam, u diabła, robił? – wyszeptała. – Przecież miał pojechać do swojego mieszkania. Czego szukał w lesie o tej porze, po ciemku?

Pomyślałem o słuchawce na kuchennym blacie i o tym, co mówił Samir. Zrozumiałem, że to przeze mnie tata Samir jest martwy, tak samo martwy jak Kręciek i Yasmin.

I wiedziałem, że należy mi się kara, bo teraz to ja jestem mordercą.

Przypomniałem sobie, co Maja mówiła o milczeniu.

– W ten sposób karzesz sam siebie – powiedziała.

I wtedy już nie miałem wątpliwości, jak powinienem się ukarać. Nigdy więcej nie odezwę się do nikogo.

Gunnar

Dwadzieścia lat później

21

Długopis z hałasem upadł na stół, a Bodil, sznurując usta, dotknęła kokardy swojej jedwabnej bluzki mocno zawiązanej wokół szyi. Świeżo pomalowane paznokcie lśniły na jej bladych palcach, czarne włosy okalające twarz o delikatnych rysach jak zawsze wyglądały perfekcyjnie – ani jeden kosmyk nie wystawał poza linię starannie przyciętego pazia.

Taki perfekcjonizm musi kosztować sporo wysiłku – pomyślałem.

Bycie kobietą musi kosztować sporo wysiłku.

– Co takiego zrobiłeś? – spytała z naciskiem, wbijając we mnie wzrok.

Manfred zakasłał i pochylił się do przodu, tak że jego brzuch oparł się na stole.

– Może pogadamy o tym innym razem? – wtrącił, drapiąc się po swojej szaroblond czuprynie.

Ale Bodil nie zamierzała przegapić okazji, by zmyć mi głowę. Uniosła dłoń ku Manfredowi w ostrzegawczym geście.

– Powiedziałem mu, że może się odezwać, jeśli będzie chciał złożyć formalne doniesienie – rzekłem, zdając sobie sprawę, że najprostszym sposobem, aby zakończyć tę sytuację, to pozwolić jej się wygadać i powrzeszczeć przez chwilę.

Byłem przyzwyczajony do jej wybuchów, nie przejmowałem się nimi. Według mnie stanowiły dla niej coś w rodzaju wentyla bezpieczeństwa, jedyną sposobność, by na sekundę uwolnić się od przymusu kontroli, która trzymała ją jak w imadle.

– Co ty, u diabła, sobie myślałeś, Gunnar? – wycedziła przez zęby i podniosła długopis, po czym demonstracyjnie zaczęła stukać nim o blat.

Stuk, stuk, stuk.

– Przecież i tak nie możemy nic zrobić bez zgłoszenia – odparłem, wzruszając ramionami.

Manfred wiercił się nerwowo obok mnie. Wybuchy Bodil jego nigdy nie pozostawiały obojętnym. Mimo wieku – dokładnie pięćdziesiątki –

zależało mu niemal jak dziecku, by zawsze ją zadowolić, zresztą jak większości funkcjonariuszy na komendzie.

Bodil zawahała się, a następnie westchnęła ciężko i sięgnęła po jakieś dokumenty. W tym momencie wiedziałem, że jest już po eksplozji. Jej twarz się odprężyła, napięcie wokół ust zniknęło. Następnie, lekko wydymając wargi, odłożyła długopis i zajrzała do papierów.

– Słuchaj, Gunnar – odezwała się innym tonem. – Zdaje się, że to ty prowadziłeś śledztwo w sprawie zabójstwa honorowego w Kungsudd dwadzieścia lat temu? Yasmin Foukara. Chyba tak się nazywała ta dziewczyna?

– Zgadza się – potwierdziłem, patrząc na swój sandał.

Sprzączka już ledwo trzymała się paska, a wełniana skarpeta zsunęła się nisko i zwisała zrolowana wokół kostki. Zapisałem sobie w pamięci, że powinienem kupić nowe sandały.

– Skontaktowała się z nami tamtejsza policja. W morzu pod Kungsudd znaleziono ciało. Było zawinięte w dywan i wygląda na to, że całkiem długo leżało w wodzie.

– Cały czas cię słucham.

Rzeczywiście jej słuchałem, chociaż wciąż wpatrywałem się w sandały. To niepojęte, że tak diabelnie szybko się rozpadły, przecież nie minął jeszcze rok, od kiedy je kupiłem, a nosiłem je tylko na terenie komendy.

– Tamtejsi koledzy proszą nas o wsparcie, nie mają wystarczających zasobów, żeby zbadać tę sprawę samodzielnie. Chcę, żebyście ją przejęli.

Gdy podniosłem wzrok, ujrzałem jej szare oczy wpatrzone we mnie.

– Według nich to może być ona – dodała Bodil. – Yasmin Foukara.

– O cholera – rzuciłem, czując jednocześnie, jak krew odpłynęła mi z twarzy. Serce zaczęło mi szybciej bić, odżyły dawne wspomnienia.

Z tamtej zimy. Przeklętej zimy, kiedy wszystko się spieprzyło.

Przez wiele lat za wszelką cenę starałem się nie wracać do tego, co się wtedy wydarzyło, ilu osobom rozpadło się życie – włącznie ze mną. Jednocześnie nie potrafiłem oprzeć się myśli, że obecne śledztwo być może doprowadzi do jakiegoś ostatecznego rezultatu. I że Maria Foukara w końcu będzie mogła pogrzebać swoją pasierbicę – bo jeśli nawet nagrobek jest tylko małą pociechą, to jednak jest pociechą.

Wiedziałem coś o tym.

– Jak natrafiono na ciało? – spytałem.

– Jakiś nurek je odkrył – odpowiedziała Bodil.

– O tej porze roku? – zdziwił się Manfred, masując sobie kolano.
Spojrzałem za okno.

Był listopad i suche liście wirowały między drzewami w parku. Samotny właściciel psa kulił się na wietrze, oddalając się w kierunku Flemingatan.

– Tak – potwierdziła Bodil. – Tylko nie pytaj mnie dlaczego, podobno nurkowali w poszukiwaniu śmieci. Pewnie mieli kombinezony piankowe.

– W poszukiwaniu śmieci?

Manfred wyglądał na szczerze zdziwionego, jakby nigdy nie słyszał o tym, że dno Bałtyku powoli, ale nieuchronnie zamienia się w wielkie wysypisko odpadów.

– To najwyraźniej taki nowy trend – skomentowała Bodil. – Zbierają śmieci z dna morskiego, żeby... – Zawahała się. – Cholera jasna, nie mam pojęcia po co. Pewnie jak wszyscy inni idealiści chcą ratować świat. Przeczytałam raport naszych kolegów, prześlę go wam mejlem. Ale nie ma w nim nic ciekawego. Pojedźcie tam i pogadajcie z patologiem, zobaczcie, co da się wyciągnąć.

– Przemądrzałe, nadęte babsko – burknął pod nosem Manfred, gdy Bodil wyszła z pokoju.

– Hm – mruknąłem.

– Kompletnie cię nie rozumiem. Nie pojmuję, dlaczego to robisz.

– A co ja takiego robię?

Sięgnął po swój drogi płaszcz i elegancką teczkę, które kosztowały chyba więcej niż miesięczna pensja.

– Prowokujesz ją.

– Tak uważasz?

Obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem, obciągnął marynarkę opinającą mu brzuch i poprawił różową jedwabną poszetkę w kieszonce na piersi. Następnie włożył płaszcz, zebrał jego poły i popatrzył w lustro.

Tymczasem ja zdjąłem sandały, wciągnąłem buty i włożyłem puchową kurtkę. Nie była zbyt czysta, a z dziury na jednym rękawie wystawały pióra, gotowe pofrunąć w jesiennym wietrze i wirować wraz z liśćmi, zanim te odbędą swoją ostatnią podróż w kierunku błotnistej ziemi.

– Idziemy? – spytałem, szturchając Manfreda, który nadal wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze.

Kiedy znaleźliśmy się już w samochodzie, rzucił:

– Czyli nigdy jej nie znaleziono, tej Yasmin Foukary?

– Nie.

– I jej ojca nie skazano?

– Został uniewinniony, ale był winny. Znaleziono go martwego w lesie w Kungsudd wieczorem następnego dnia po zwolnieniu z aresztu. – Po krótkiej przerwie dodałem: – Znalazła go jego żona Maria.

*

Dostaliśmy informację tuż po ósmej tamtego wieczoru – właśnie jadłem pizzę, którą sobie zamówiłem, kiedy usłyszałem zdecydowane kroki Ann-Britt w korytarzu. Sekundę później wpadła do mnie do pokoju, jedną ręką podtrzymując ciężki biust. Jej okrągłe policzki pały z podniecenia, a głos brzmiał piskliwie.

– Pospiesz się – rzuciła. – Ktoś zabił Samira Foukarę.

Nie pamiętam, co wtedy pomyślałem – oczywiście nikt się czegoś takiego nie spodziewał. Chociaż może nie do końca, ponieważ Samir Foukara był wówczas chyba najbardziej znienawidzonym człowiekiem w całej Szwecji.

Przez pewien czas byłem na zwolnieniu lekarskim, mimo to nadal śledziłem przebieg sprawy za pośrednictwem mediów i z relacji kolegów.

– Może trzeba było dać mu ochronę – powiedziałem, kiedy już jechaliśmy radiowozem. – Istniało ewidentne zagrożenie.

Ann-Britt prychnęła głośno.

– Nie możemy trwonić naszych zasobów na ochronę każdego, kto został uniewinniony przez sąd. Poza tym wiesz równie dobrze jak ja, że on pozbawił życia własną córkę. Jeśli mam być szczerą: dostał to, na co zasłużył.

Gdy dotarliśmy do posiadłości Kungsudd, wyszła nam naprzeciw młoda koleżanka w mundurze, która wydawała mi się znajoma. Prawdopodobnie spotkałem ją wcześniej przy okazji śledztwa w sprawie śmierci Yasmin.

– On leży niedaleko stąd, w lesie – powiedziała. – Zaprowadzę was.

Tamtego wieczoru było wyjątkowo ciemno i wietrznie, niemal sztormowo. Drzewa gięły się pod naporem wiatru, a gałęzie smagały mnie w twarz, gdy przedzieraliśmy się przez zarośla na skraju lasu.

Ann-Britt skuliła się, chowając głowę w ramionach i wciskając ręce do kieszeni płaszcza.

Po mniej więcej dwudziestu metrach dotarliśmy do niewielkiej ścieżki i idąc nią jeszcze około pięćdziesięciu metrów, ujrzelśmy po lewej stronie stożki światła latarek przesuwające się po pniach sosen.

Za drzewami otworzyła się polanka porośnięta zbitą zeszłoroczną trawą i niskimi krzaczkami jałowca. Tu i ówdzie wyłaniały się nieduże głazy, a większe skały i pnie zwalonych drzew przykryte były czapami śniegu.

Pośrodku polany leżał na plecach Samir Foukara, oświetlony reflektorem na statywie. Był ubrany w parkę i dzinsy. Ręce spoczywały wzdłuż ciała, głowę otaczała kałuża krwi. Brakowało jednego adidasa, a także jednej skarpetki. Dwie postacie w białych ochronnych kombinezonach przykucnęły przy ofierze.

Podeszliśmy bliżej i przywitaliśmy się z technikami kryminalnymi.

– Jak długo nie żyje? – spytała Ann-Britt, wodząc wzrokiem po zwłokach.

– Nie wiemy – odpowiedział jeden z ubranych na biało mężczyzn i poprawił sobie maseczkę. – Jeszcze nie było patologa.

– Kto go znalazł?

– Maria Foukara – poinformowała funkcjonariuszka, która nas przyprowadziła. – Jest tam.

Przysłoniłem oczy dłonią i wpatrując się w ciemność, obok wysokiej sosny dostrzegłem zarys kobiecej postaci w towarzystwie dwóch policjantów.

– Pójdę z nią porozmawiać – powiedziałem.

Ann-Britt skinęła głową, po czym uniosła nieco płaszcz i przykucnęła obok techników.

– To pan – zaszłochała Maria na mój widok.

Jej ubranie było oblepione liśćmi i ziemią, a dłonie umazane krwią.

– Jak się pani czuje?

Otworzyła usta i kilkakrotnie zamrugała.

– To pan – powtórzyła. Najwyraźniej wciąż była w szoku.

– Co się stało?

Otoczyłem ją ramieniem i poprowadziłem do dużego kamienia.

Usiedliśmy na nim. Był zimny i porośnięty wilgotnym mchem. Koledzy cofnęli się o kilka metrów i dyskretnie zniknęli w ciemności.

– On nie żyje – stwierdziła, patrząc na mnie.

Skinąłem głową i ją objąłem. Jej ciałem wstrząsały dreszcze, zdjęłem więc swoją puchową kurtkę i ją okryłem.

– Co się stało? – spytałem powtórnie.

Powoli pokręciła głową.

– Byłam u sąsiadów, w posiadłości. Żeby zanieść im... – Wzdrygnęła się, po czym głęboko zaczerpnęła powietrza. Po chwili mówiła dalej: – ... żeby zanieść im... zanieść... wiertarkę. Kiedy od nich wyszłam i już miałam wracać do domu, usłyszałam krzyk w lesie.

– Krzyk?

– I uderzenia. To brzmiało jak walka.

– Widziała pani kogoś?

Jęknąwszy, pochyliła się do przodu i ukryła twarz w dłoniach.

– Widziałam. But Samira. Na ziemi. A potem zobaczyłam jego.

– I kogoś jeszcze?

Pokręciła głową.

– I co pani zrobiła?

Wyprostowała się nieco i spojrzała na mnie.

– Co zrobiłam?

– Tak, co pani zrobiła, kiedy zobaczyła pani Samira na ziemi?

– Aha. Próbowałam mu pomóc. Ale on już...

Znowu szloch. Cała się trzęsła, a z jej ust dobyło się dziwne przeciągłe wycie.

– To moja wina – wykrztusiła wśród spazmów. – Gdybym nie zmusiła go do wyprowadzki, nigdy by do tego nie doszło.

Nagle złapała się za głowę.

– Boże drogi! Vincent! Muszę wracać. On jest sam w domu i pilnuje piekarnika.

*

Manfred wyjechał z garażu. Przymknąłem powieki i ujrzałem ją przed sobą. Równie wyraźnie jak wtedy, gdy stała przede mną w lesie.

Maria Foukara.

Ma jasne włosy i potarganą fryzurę. Zakrwawione dłonie. Ale przede wszystkim: w jej oczach wyraźnie widać panikę i smutek. Właściwie nie tylko w oczach – one odbijają się w całym jej ciele, w ruchach, w głosie.

Lubiłem ją, nawet bardzo. Być może bardziej, niż należało.

Sympatia wobec bliskich ofiar, świadków i podejrzanych jest niewskazana, bo wpływa na osąd.

Wiedziałem coś na ten temat.

Ale Marii nie sposób było nie lubić. Sądzę, że należała do nielicznych ludzi autentycznie szczęśliwych – to znaczy wcześniej, przed tym wszystkim. Myślę, że kochała swój zawód, uwielbiała swoją rodzinę. I miała osobowość, pasję, żar.

Ale potem wszystko się zawaliło.

– Jak zginął Samir Foukara? – spytał mnie Manfred, dodając gazu, by wyprzedzić autobus, który zatrzymał się na przystanku.

Ciężkie krople deszczu padały z ciemniejącego jesiennego nieba na przednią szybę.

– Został śmiertelnie pobity w lasu kilkaset metrów od własnego domu. Nie ustalono, co tam robił, ale parę kilometrów dalej znaleziono jego samochód. Wyglądało na to, że skończyła mu się benzyna. Prawdopodobnie szedł do domu na piechotę i natknął się na kogoś w lesie.

– Ktoś go pobił na śmierć?

– Uderzenie tępym narzędziem w tył głowy.

– Sprawcy nie ujęto? – spytał Manfred i włączył w końcu wycieraczki, które ruszyły z głośnym skrzypnięciem.

– Nie. Brak świadków, brak dowodów, brak śladów. Albo było ich za dużo. Przez tamten las chodziło mnóstwo ludzi, to popularna trasa spacerowa. A co się tyczy motywu... – Zamilkłem na chwilę, po czym kontynuowałem: – Samir Foukara był powszechnie znienawidzony. Ludzie wpadli w szal, kiedy sąd go uniewinnił.

– A ta kobieta, która go znalazła? Jego żona?

– Maria. Absolutnie nic nie wskazywało na to, że mogłaby być zamieszana w śmierć męża.

– Ale to ona go znalazła.

– Tak – potwierdziłem. – To ona go znalazła.

22

Lekarz medycyny sądowej nazywał się David Feinstein i wydawał się tak młody, że mógłby być moim synem. Chociaż może to jedynie oznaka tego, że zaczynałem się starzeć. Niecały rok do emerytury i cała policyjna kariera będzie już za mną.

Czasami się zastanawiałem, czego się nauczyłem przez te wszystkie lata.

Śmiem twierdzić, że policjantem byłem dobrym. Lecz jeśli chodzi o życie – czy wyniosłem jakieś nauki?

Wszystko zmieniło się tamtej zimy dwadzieścia lat temu. Nic nie potoczyło się tak, jak myślałem, a potem już w nic nie wierzyłem. A kiedy przestaje się wierzyć w cokolwiek, cała reszta staje się zupełnie nieważna. Samo życie wydaje się lekkie, równie lekkie jak puch, który wyłazi z dziury w kurtce.

– David – przedstawił się lekarz, wyciągając do mnie rękę.

– Gunnar – odpowiedziałem i podałem mu dłoń.

Zdecydowany uścisk, ciepłe spojrzenie brązowych oczu. Za każdym razem, gdy poznaję patologów sądowych, zastanawiam się, dlaczego wybrali akurat taką ścieżkę kariery, a nie zostali okulistami, pediatrami czy chirurgami. Dlaczego wolą zajmować się zmarłymi zamiast żywymi. Kiedy spytałem o to jednego z nich, odparł: „Tajemnice, Gunnarze. Chodzi o tajemnice. Każdego dnia rozwiązujemy zagadki i udzielamy głosu tym, którzy już nie mogą mówić. Kto jak kto, ale ty powinieneś to chyba rozumieć?”.

Manfred także się przywitał, a potem we trzech udaliśmy się do sali obdukcyjnej – ściany pomalowane na biało, podłoga pokryta lśniącem linoleum, blaty ze stali nierdzewnej zaopatrzone w odpływy, krany i gumowe węże z dyszami prysznicowymi. Chociaż bywałem w niej wielokrotnie, za każdym razem czułem się tak, jakbym dostał obuchem w głowę. Wszelka miłość, wszelkie nadzieje i wszystko, co kiedyś było

życiem, tu zostaje zredukowane do kości, gnijącej tkanki i płynów ustrojowych, które ściekają do tych odpływów.

– Nie jestem pewny, czy w czymkolwiek wam pomogę – powiedział David, wskazując na jeden ze stołów obdukcyjnych.

Na blacie ze stali nierdzewnej leżały rozrzucone kości, częściowo poskładane tak, by tworzyły szkielet.

– O szlag – bąknął Manfred i pogładził się po brodzie. – To wszystko? David potaknął.

– Tak, a przed ostatecznym zakończeniem obdukcji nie mogę się wypowiadać ani na temat przyczyny śmierci, ani czasu zgonu czy tożsamości ofiary.

– A jak myślisz? Uda ci się w ogóle ustalić przyczynę śmierci? – spytałem, patrząc na odbarwione kości. Obok kości udowej leżało kilka instrumentów, a przy nich kępka wysuszonych wodorostów.

Młody lekarz skrzyżował ręce na piersi.

– Przyznaję, że to może być trudne. Ale jeśli się nam poszczęści, wyodrębnimy DNA i wtedy prawdopodobnie zdołamy ją zidentyfikować.

– Ją? – podchwycił Manfred.

– Tak, to kobieta, tyle mogę powiedzieć. Niczego więcej się jednak ode mnie nie dowiecie, dopóki nie przeprowadzimy wszystkich analiz. I tak stąпам po cienkim lodzie. Obdukcja będzie jutro, obiecał mi pomóc kolega z Uppsali, który specjalizuje się w antropologii sądowej.

– Pewnie Ben? – spytał Manfred.

– Tak – potwierdził David z rozpromienioną twarzą, po czym uśmiechnął się do nas nieznacznie.

– Ale mogę wam coś pokazać – rzekł, podchodząc do blatu pod oknem.

Na niebieskiej foliowej płachcie leżało coś, co wyglądało jak zwinięty dywan pokryty warstwą brudu i wyschniętą, zmatowiałą trawą morską.

– To w tym została znaleziona? – spytał Manfred.

– Tak – odpowiedział David, wciągając lateksowe rękawiczki i sięgając po skalpel. Następnie delikatnie poskrobał dywan jego ostrzem. Po usunięciu piasku i nagromadzonego osadu ukazał się kawałek jego powierzchni.

Pochyliłem się i uważnie przyjrzałem tkaninie utkanej z jasnożółtych i zielonych włókien.

– To włókna syntetyczne? – dociekał Manfred, marszcząc czoło.

– Zgadza się. Inaczej dywan rozpadłby się już lata temu – wyjaśnił David.

– Czyli ona leżała w wodzie przez długi czas? – Mimo wszystko próbowałem coś z niego wydobyć.

– Nie naciągajcie mnie na spekulacje – odparł lekarz z uśmiechem. – Musicie wytrzymać jeszcze parę dni. No dobra: tak, była w wodzie przez lata. Ale czy to rzeczywiście tamta dziewczyna, niejaka Foukara, tego na razie nie wiem. Chociaż o ile mi wiadomo, dysponujemy jej DNA, więc da się to ustalić. Jeżeli oczywiście zdołamy na podstawie tego, co otrzymaliśmy, wyodrębnić profil DNA. Poza tym mamy jeszcze coś takiego.

Sięgnął po przejrzystą torebkę foliową, która leżała obok dywanu.

– Nie zdążyliśmy go wyczyścić, ale...

Gdy lekko potarł plastik między kciukiem a palcem wskazującym, w ostrym świetle sufitowego oświetlenia ukazał się niewielki błyszczący przedmiot.

– Brak widocznej korozji – wymamrotał pod nosem. – To złoto.

Nachyliłem się nieco i długo się przyglądałem.

Poczułem ukłucie w żołądku, serce przyspieszyło.

– Gdzie to znaleźliście? – spytałem.

– W tym sztucznym dywanie.

– Mogę zrobić zdjęcie?

– Be my guest – odparł David i cofnął się o krok, aby ułatwić mi pstryknięcie fotki małego kolczyka w kształcie delfina.

Później.

Był późny wieczór i za oknem mojego mieszkania w Morby szalał jesienny wiatr. Szyby trzeszczały, jakby zaraz miały pęknąć. Odgłos nadjeżdżającego ulicą samochodu narastał i przerodził się w ryk, a następnie przycichł.

Usiadłem na łóżku i powoli się podniosłem, czekając na ostry ból w biodrze. Kiedy nadszedł, wykrzywiłem twarz, a potem poczłapałem do łazienki się wysikać.

Starzenie się jest okropne, nic nie działa tak, jak powinno. Ciało boli i jest irytująco powolne, poza tym przestaje być posłuszne. Chce odpoczywać zamiast ćwiczyć, chce jeździć samochodem zamiast chodzić i uparcie domaga się wstawania w nocy na siku.

Mieszkanie natomiast wyglądało tak samo jak wtedy, gdy tamtego wieczoru przed dwudziestoma laty wprowadziłem się do niego razem z Li: szpanerskie skórzane kanapy stały cicho i potulnie w salonie, akwarele namalowane przez Li podczas wakacyjnego pobytu na Gotlandii wisiały nad telewizorem, a regał był zastawiony książkami.

Książkami Li.

Nigdy ich nie przeczytałem, ale podobało mi się, że tam są. Li zwykła mówić, że nigdy nie będziesz sam, jeśli masz półki pełne książek.

Miała rację, jak zawsze.

W kuchni stały kupione w Ikei stół i krzesła, które Li musiała sama poskładać. Nie dlatego, żebym nie umiał – po prostu ciągle pracowałem.

Prawie w ogóle nie były zniszczone, jedynie tu i ówdzie widać kilka drobnych zadrapań.

Po siku i umyciu zębów wróciłem do sypialni i zerknąłem na zegarek. Pięć minut po północy.

Ostrożnie usiadłem obok niej, położyłem dłoń na jej ramieniu i lekko nią potrząsnąłem.

– Słyszysz mnie?

– Hm – mruknęła i ziewnęła.

– Muszę jutro wstąpić.

– Wcale nie – odpowiedziała. – Możesz być w pracy o dziewiątej.

Wybuchłem śmiechem.

– Serio?

– Tak. Poza tym w tym tygodniu dzieci są z tatą, więc się mi nie spieszy.

Zastanowiłem się.

– Muszę pojechać do Kungsudd spotkać się z Marią Foukarą.

Jęknęła.

– Skoro czekała dwadzieścia lat, to godzina chyba nie robi jej różnicy?

Pocałowałem ją w policzek. Jej blada twarz była wilgotna od potu, a ciemne włosy leżały rozrzucone na poduszce. Otworzyła oczy i przyjrzała mi się uważnie w milczeniu.

Potem spytała:

– Chcesz, żebym sobie poszła, tak?

Skinąłem głową.

– Jezu, Gunnar. Dlaczego to dla ciebie takie cholernie ważne, żeby spać samemu?

– Inaczej nie potrafię.

To prawda, nie potrafiłbym spać obok niej. W ogóle obok żadnej innej kobiety.

Bodil usiadła, pochyliła się do przodu i podniosła z podłogi figi i stanik. Potem ruszyła w kierunku drzwi i po drodze ściągnęła z krzesła jedwabną bluzkę oraz spódnicę.

Zaczęła szybko i nerwowo się ubierać.

– Gdybym cię dobrze nie znała, byłabym wkurzona – wymamrotała.

– Jesteś piękna – powiedziałem, podziwiając jej smukłe białe ciało: brzuch z delikatnym zgrubieniem wokół blizny po cesarskim cięciu, małe piersi i muskularne ramiona.

Prychnęła z irytacją.

– A ty jesteś okropny.

Odprowadziłem ją do drzwi i pocałowałem jeszcze raz, tym razem dłużej.

– Do zobaczenia jutro, śliczna.

– Idź do diabła – odpowiedziała. Ale uśmiechnęła się nieznacznie, na tyle, bym mógł być spokojny, że wszystko jest w porządku.

Drzwi zamknęły się za nią, a ja wróciłem do swojego pustego łóżka. Zgasilem lampkę i opuściłem powieki.

Samotność nie jest może ekscytująca, pomyślałem, ale za to zdecydowanie spokojniejsza.

23

Poranek był przenikliwie zimny i wietrzny. Szybę mojego auta pokrywała cienka warstwa lodu, a gdy zabrałem się do jej zeskrobywania, na chodniku pokazała się Kerstin z czwartego piętra ze swoim dużym pudłem. Jej cienkie siwe włosy powiewały na wietrze, a twarz zdobił pomalowany na czerwono uśmiech. Zatrzymała się przy mnie i oparła ręce na biodrach.

Kerstin zbliżała się do siedemdziesiątki i jak na swoje lata wyglądała całkiem dobrze: miała twarz o miękkich rysach, biust pyszniący się kusząco pod swetrem, a do tego zaczepne spojrzenie.

– Gunnar! – przywitała mnie z jeszcze szerszym uśmiechem.

– Cześć! – odpowiedziałem, prostując plecy. Nagle coś zakłuło mnie w biodrach i zastygłem w połowie ruchu.

– Czyli w nocy trochę przymroziło?

– Na to wygląda – potwierdziłem i wyprostowawszy się do końca, palcem wskazującym usunąłem ze skrobaczki resztki lodu.

– Będiesz wieczorem na zebraniu zarządu?

– To już dzisiaj?

– Wysłałam zaproszenie tydzień temu – rzuciła, marszcząc czoło. – Mamy do rozpatrzenia dwa wnioski o członkostwo w stowarzyszeniu lokatorów.

Uśmiechnąłem się. Ona również.

– Może zdążę – odparłem.

– Świetnie. – Odwróciła się i ruszyła przed siebie, ale po kilku metrach znowu przystanęła. – O siódmej – zawołała jeszcze.

– Okej! – odkrzyknąłem, mój głos utonął jednak w ryku przejeżdżającej ciężarówki.

Jazda do Kungsudd zajmowała tylko czterdzieści minut, ale znalazłszy się tam, miałem wrażenie, jakbym przeniósł się do innego kraju. Wszystko wyglądało jak z bajki: cienki dywan śniegu rozpościerał się na

ziemi między dużymi domami z przełomu wieków, a drzewa w lesie pokrywał roziskrzony szron.

Mimo że nie byłem tu od dwudziestu lat, bez trudu trafiłem do domu Marii Foukary. Nieduża drewniana willa o zielonej fasadzie wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałem. Chyba została świeżo pomalowana, a w ogrodzie panował idealny porządek – zgrabione opadłe liście i resztki ściętej trawy otulały małymi stosikami rośliny na rabatach, a puste doniczki po sadzonkach zostały starannie ustawione pod ścianą.

Gdy tylko wysiadłem z samochodu, uderzyła mnie wszechobecna cisza – słychać było jedynie wiatr i odgłosy ptaków w oddali. Podszedłem do drzwi wejściowych i zadzwoniłem.

Otworzyła po kilku sekundach.

– Dzień dobry – powiedziała z ostrożnym uśmiechem.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, po czym wszedłem do środka.

– Nic się pani nie zmieniła – zauważyłem.

– Naprawdę?

Dotknęła swoich włosów, które przybrały odcień szarego blondu.

Kiwnąłem głową.

Bo to prawda. Oczywiście przybyło jej parę kilogramów, oczywiście trochę posiwiiała, ale spojrzenie miała niezmienione i wciąż tak samo delikatne rysy twarzy.

Za jej plecami pokazała się nagle jakaś kobieta – wysoka, wysportowana, o krótko obciętych brązowych włosach. Wydała mi się znajoma i po kilku sekundach przypomniałem sobie, że poznałem ją chyba podczas śledztwa w sprawie zabójstwa Yasmin.

– Jestem Greta – przedstawiła się, wyciągając do mnie rękę. – Właśnie wychodziłam.

Włożywszy krótki czerwony płaszcz, ucałowała Marię w policzek i szybko zniknęła za drzwiami.

– Na razie! – rzuciła jeszcze, machając ręką.

– To stara przyjaciółka – wyjaśniła mi Maria.

– Pamiętam ją. Była na pogrzebie, rozmawiałem z nią wtedy.

– Na pogrzebie Samira? Możliwe, oni się przyjaźnili. To przez nią go poznałam.

Zamilkła na moment, jakby się zawahała, ale w końcu dodała:

– Swego czasu Greta chyba się w nim odrobinę podkochiwała. To znaczy, zanim się spotkaliśmy.

– Odrobinę?

Uśmiechnęła się.

– No, może trochę bardziej niż odrobinę, ale ona raczej się do tego nie przyzna.

Kiedy wzięła ode mnie kurtkę, żeby ją powiesić, delikatnie przeciągnęła palcami po materiale.

– Ojej – powiedziała ze śmiechem. – Przecież to ta sama.

– Co takiego?

– Kurtka. Nosił ją pan wtedy, poznaję ją.

– Jest okropnie stara.

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

– To niemożliwe! Nosi pan tę samą kurtkę przez dwadzieścia lat?

– Jest bardzo ciepła.

Powiesiwszy moje wierne i wysłużone okrycie, zwróciła się do mnie:

– Czyli ma pan znaczny indywidualny wkład w zrównoważony rozwój. Napije się pan kawy?

– Chętnie.

– Zapraszam – powiedziała i przeszła do kuchni.

Usiadłem przy stole pod oknem i niemal od razu zauważyłem, że czas zatrzymał się również we wnętrzu jej domu. Meble były wciąż te same, firanki też się nie zmieniły. Wisiały nawet dawne rysunki Vincenta – wypłowiałe i trochę postrzępione na rogach, gdzieś tam posklejane pozółtką już taśmą. Czarno-białe fotografie też nie zniknęły ze ścian – Vincent z dużym bałwanem z nosem z marchewki i oczami z kamyków. Yasmin i Vincent obok przeżuwiającej krowy.

Na blacie szafki stały butelka po winie, dwa kieliszki i miseczka z chipsami. Maria dostrzegła moje spojrzenie.

– Greta lubi wino – wyjaśniła. – I chipsy.

Wzięła do ręki małą metalową kapsułkę.

– Pije pan coś takiego?

– Oczywiście.

– Nawet ja kupiłam sobie taki drogi ekspres do kawy – westchnęła, po czym włożyła kapsułkę do maszyny i nacisnęła guzik.

Zabuczało i po chwili gorąca kawa zaczęła wlewać się do kubka.

– Mój ekspres ma ze dwadzieścia lat – przyznałem szczerze.

– No tak, jakżeby inaczej – skomentowała z uśmiechem, a następnie powtórzyła całą procedurę i po kilku minutach podeszła do stołu z dwoma

kubkami.

Usiadła i spojrzała na mnie. Uśmiech zniknął z jej twarzy, która teraz wyglądała na jeszcze bledszą niż wcześniej. W zimnym listopadowym świetle padającym od okna jej zmarszczki stały się bardziej widoczne – tworzyły delikatną siateczkę wokół oczu i w kącikach ust.

– Znaleźliście ją? Przez telefon wspomniał pan o nowych informacjach. Zaczerpnąłem głęboko powietrza.

– Kilka dni temu nurek amator natrafił na czyjeś ciało kilkaset metrów od Kungsklippan. Jeszcze nie udało się go zidentyfikować, ale lekarz medycyny sądowej twierdzi, że leżało w wodzie dosyć długo, prawdopodobnie całe lata.

Maria uniosła dłonie i przycisnęła je do oczu, jakby chciała wyprzeć tę scenę. Potem westchnęła i opuściła ręce na kolana.

– Boże – wymamrotała. – Wie pan...

Zamilkła i spojrzała przez okno na wysoki świerkowy żywopłot oddzielający jej działkę od posiadłości Kungsudd.

– To chyba nigdy się nie skończy – uzupełniła. – Człowiek próbuje nauczyć się z tym żyć, ale na próżno.

– Wiem – powiedziałem.

Jej spojrzenie prześlizgnęło się po mnie badawczo, przez sekundę odniosłem wrażenie, że zaraz mnie spyta, skąd mogę to wiedzieć. Gdy spuściła wzrok na kolana, pasmo siwych włosów zsunęło się jej na czoło. Szybko założyła je za ucho.

– Nie ma pewności, że to ona – rzekłem.

Skłamałem. Kto inny mógłby leżeć w wodzie zawinięty w dywan?

Skinęła głową i wypła łyk kawy.

– Kiedy będzie wiadomo?

– Po pełnej obdukcji i ustaleniu DNA. O ile, rzecz jasna, uda się ustalić profil genetyczny, bo to wcale nie jest pewne.

– A kiedy będzie obdukcja?

Zawahałem się, zanim odpowiedziałem:

– Dzisiaj.

Nie wspomniałem jednak, że właściwie nie chodzi o zwłoki we właściwym tego słowa znaczeniu, tylko o kupkę kości.

Ponownie kiwnęła głową.

– Ustalanie DNA potrwa z tydzień albo nawet dwa. W najlepszym razie, bo w laboratorium zawsze mają mnóstwo roboty. Obiecuję, że

zadzwonię, jak tylko będę cokolwiek wiedział.

– Okej.

Po jej policzku potoczyła się łza, ale Maria nie zadała sobie trudu, aby ją otrzeć.

Podniosłem się, podszedłem do szafki i oderwałem z rolki kawałek papierowego ręcznika.

– Proszę.

– Dziękuję – odpowiedziała, wciąż jednak siedziała nieruchomo z nisko opuszczoną głową i kawałkiem papieru w dłoni.

Na krótką chwilę zapadła między nami cisza.

– Jak się pani miewała przez te wszystkie lata? – spytałem.

– Ja?

– Tak, pani. No i Vincent, oczywiście.

Lekko przekrzywiła głowę i położyła niewykorzystany kawałek ręcznika na stole.

– Od czego mam zacząć? – odezwała się z ociąganiem. – Przestałam pracować wiosną dwa tysiące pierwszego, kilka miesięcy po śmierci Samira. W szkole za dużo gadano, poszeptywano po kątach, nie mogłam tego znieść. Dzieci, rodzice, koledzy. Wszyscy bez przerwy plotkowali o tym, co się stało. Nie miałam siły być tą nauczycielką, która wzięła sobie za męża mordercę. Która powinna była zrozumieć, ale nic nie pojmowała. No i wreszcie złożyłam wypowiedzenie. Myślałam, że za jakiś czas znajdę pracę w innej szkole. Może w mieście. Ale Vincent...

Urwała i popiła łyk kawy.

– ...Vincent nie był w najlepszej formie po śmierci Samira – kontynuowała. – Przestał się odzywać, przynajmniej do mnie i do kolegów w szkole. Ale słyszałam, jak czasami mówił do siebie w swoim pokoju, czyli nie chodziło o żaden fizyczny defekt. Coś takiego nazywa się chyba fachowo mutyzmem wybiórczym. Według lekarzy prawdopodobnie miało to związek z zaburzeniami ze spektrum autyzmu. Jakby nie dość było wcześniejszych diagnoz. W każdym razie już nigdy nie starałam się potem o żadną posadę jako nauczycielka. Ostatecznie miałam dom i spadek po ojcu, więc jakoś sobie radziłam, przynajmniej przez kilka pierwszych lat. Poza tym wzięliśmy szczeniaka, dalmatyńczyka, więc dobrze się złożyło, że siedziałam w domu. Później pracowałam na pół etatu w księgarni w centrum, ale dwa lata temu odeszłam stamtąd i zaczęłam pomagać w prowadzeniu księgowości i administracji

w posiadłości. Pewnie pan nie wie, że teraz mieści się tam ośrodek szkoleniowy. Prowadzi go żona Toma Borgmarka, Nicole.

– Tego Toma Borgmarka?

– Tak, dawnego chłopaka Yasmin. On pracuje w branży finansowej, świetnie mu idzie. Co bardzo mnie cieszy. Przez wiele lat po śmierci Yasmin było mu ciężko. Nie sądziłam, że aż tak mocno ją kochał. W końcu jednak się ożenił, ma dwie córeczki i prowadzi spółkę razem z Casimirem de Veghem, synem byłych właścicieli Kungsudd.

– To oni sprzedali swoją posiadłość?

Uśmiechnęła się.

– Tak, Greger i Amelie de Vegh przenieśli się na stałe do Szwajcarii. Są już po siedemdziesiątce i nie dawali rady zajmować się tym wielkim majątkiem. Ale Casimir wciąż mieszka w Szwecji, w mieście. Też doskonale mu się wiedzie. Często wpada w odwiedziny do Toma i Nicole.

– A Vincent? Co u niego?

Kolejny uśmiech.

– Mieszka w tak zwanym mieszkaniu wspomaganym. Dobrze się w nim czuje, pracuje w sklepie spożywczym. Ma też dziewczynę, Biancę – dodała z jeszcze szerszym uśmiechem. – Przyjeżdża tu co drugi weekend i wtedy miło spędzamy razem czas. Pieczemy, gotujemy. Jak kiedyś.

Nagle jej uśmiech zgasł.

– Nadal jednak się nie odzywa. Miałam nadzieję, że to się zmieni, kiedy pojawiła się Ella, nasza suczka. Dożyła u nas jedenastu lat, odeszła na krótko przed tym, jak Vincent wyprowadził się do mieszkania.

Zamilkła i zamyśliła się nad czymś.

– Kiedy dostaliśmy Elle, Vincent stał się rzeczywiście szczęśliwszy i bardziej ożywiony. Kochał ją, a ona wprost go uwielbiała. Ale niestety jej też nie udało się sprawić, żeby zaczął znowu się odzywać.

– Jak się w takim razie porozumiewacie?

– Ja cały czas do niego mówię, a on odpowiada za pomocą gestów i języka migowego.

Przez chwilę zastanowiłem się nad tym, co usłyszałem.

– Czyli z Tomem jest wszystko w porządku. I z Casimirem. I Vincentem.

Skinęła głową na potwierdzenie.

– A jak pani się czuje, Mario?

– Ja?

Zaczerwieniła się i uciekła spojrzeniem w bok.

– Tak, pani. Udało się pani wrócić do równowagi i pójść dalej po tym, co się wydarzyło?

Spojrząwszy na mnie, zamrugła nerwowo.

– Już dawno nikt nie zadał mi tego pytania.

– Naprawdę?

– Myślę, że ludzie się boją. Albo nie chcą usłyszeć odpowiedzi, nawet moi najbliżsi przyjaciele. Większość uważa, że dzisiaj, po dwudziestu latach, powinnam się już z tym pogodzić.

Dotknąłem jej dłoni. Wzdrygnęła się, ale nie cofnęła ręki.

– Samir i Yasmin – powiedziała po chwili. – Zaakceptowałam to, że obojga już nie ma. Opłakałam ich, pożegnałam na zawsze. Wciąż jednak nie potrafię zrozumieć, jak on mógł zamordować własne dziecko. I nie pojmuję w żaden sposób, jak to możliwe, że ja... ja... nie zauważyłam, nie wyczułam, że coś jest z nim nie tak.

– Bo czy w ogóle można poznać drugiego człowieka? – spytałem, delikatnie głaszcząc kciukiem grzbiet jej dłoni, po czym cofnąłem rękę.

– Najwyraźniej nie tak dogłębnie, jak nam się wydaje. Po śmierci Yasmin byłam przekonana, że Samir jest niewinny. Wszyscy dookoła, pan, znajomi, nawet moja mama, mówiliście, że on to zrobił. Ale ja nie chciałam w to uwierzyć.

Roześmiała się sucho i bez radości.

– I okazało się, że mama miała rację – wyszeptała. – Zawsze powtarzała, że dla ludzi mających korzenie w innej kulturze dobro i zło znaczą co innego. Mówiła też, że skoro nam ucywilizowanie się zajęło setki lat, nie możemy zakładać, że ktoś, kto przybywa tutaj z innego kraju, od razu przyjmie nasze wartości. Że stanie się taki sam jak my, że będzie szanował wszystkich ludzi, bez względu na płeć, pochodzenie czy religię. I tak dalej, i tak dalej.

– A więc to matka uświadomiła pani, że Samir jest winny?

Pokręciła głową i uśmiechnęła się smutno.

– Ani ona, ani nikt inny. Po prostu czas zrobił swoje. Już w trakcie procesu zdałam sobie sprawę, że dowody świadczyły przeciwko niemu. I że jego teza, jakoby ktoś je spreparował, żeby go obciążyć, była bardzo naciągana. Ale zanim to zaakceptowałam, zanim przyjąłam, tutaj... – Wskazała ręką na serce. – Długo to trwało. A kiedy już się pogodziłam z tą prawdą, to jakby coś we mnie umarło. Nie byłam w stanie nawet

pójść na pogrzeb Samira, nie potrafiłam znieść myśli, że miałabym być w tym samym pomieszczeniu co on, chociaż on był już martwy.

Zerknęła na zegarek.

– Przykro mi, ale muszę teraz wyjść. Przyjeżdża nasz księgowy.

– Ostatnie pytanie – powiedziałem, wyjmując swoją komórkę.

Otworzyłem w niej album ze zdjęciami i poszukałem konkretnej fotografii.

– Poznaje to pani?

Maria wzięła ze stołu okulary, pochyliła się nad telefonem i zmarszczyła czoło. Przyjrzała się zdjęciu przedstawiającemu złoty kolczyk w kształcie delfina i po sekundzie jęknęła.

– To jej? – spytałem.

Skinęła powoli głową, zdjęła okulary i położyła je znowu obok kubka.

– Tak – potwierdziła. – Należał do Yasmin. Zawsze nosiła te koczyki. Dostała je od swojej mamy. Jej siostra podobno miała takie same.

24

Kerstin zsunęła się ze mnie i ułożyła głowę na moim ramieniu.

– Było miło – powiedziała, sięgając po papierosa.

– Tylko nie tutaj.

– Okej.

Objąłem spojrzeniem jej ciało: pełne piersi, miękki brzuch zwisający fałdą jak nieduża torebka i zasłaniający łono. Zaróżowione policzki i szminka rozmazana wokół ust.

– Jesteś taka ładna – powiedziałem, czując, że łzy napływają mi do oczu.

Naprawdę tak uważałem. Według mnie dojrzałe kobiety są piękne. Może nie tak gładkie i jędrne jak ich młodsze siostry, ale ja lubiłem te nierówności, były dla mnie niesamowicie ekscytujące. A przede wszystkim podobały mi się kobiety doświadczone i te, które wiedzą, czego chcą.

Kerstin się uśmiechnęła.

– Szkoda, że nie zdążyłeś na zebranie zarządu – bąknęła, kładąc rękę na moim członku i lekko go uciskając.

– Przepraszam. Musiałem pracować.

To nie była wymówka.

Po wizycie u Marii Foukary poświęciłem całe popołudnie na lekturę materiałów dotyczących obu spraw, nad którymi pracowałem na pół etatu jeszcze na zwolnieniu lekarskim: zabójstwa Yasmin i śmiertelnego pobicia Samira Foukary.

Im więcej czytałem, im więcej przeglądałem raportów technicznych, protokołów z przesłuchań świadków i opinii patologów, tym mocniej czułem się poruszony. Cała rodzina została zniszczona, rozbita w pył. Właściwie to cud, że Maria Foukara nadal jakoś funkcjonowała, że codziennie wstawiała z łóżka. Że pracowała, zajmowała się ogrodem i czuwała nad synem.

Mimo tych niewyobrażalnych zdarzeń życie toczyło się dalej.

Spojrzałem na zegarek na szafce nocnej: było wpół do jedenastej.

– Moja piękna – powiedziałem i przyciągnąłem Kerstin do siebie, by pocałować ją w policzek. – Zrobiło się późno, więc jeśli nie masz nic przeciwko temu...

– Już idę – odparła szybko. – Jutro z samego rana muszę pójść z Billym do weterynarza.

Usiadła i zaczęła się ubierać. Jej pośladki rozlały się na materacu i wyglądały jak gigantyczne bochny chleba.

– Może zobaczymy się w przyszłym tygodniu? – spytała, wciągając przez głowę różową tunikę w batikowy wzór.

– Chętnie – odpowiedziałem.

– Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Pochyliła się nade mną i szybko mnie pocałowała. Potem pokuśtykała do przedpokoju. Po kilku sekundach rozległ się trzask drzwi na korytarz.

Po jej wyjściu leżałem jeszcze jakiś czas na łóżku i rozmyślałem o miłości, o kobietach.

Moją pierwszą miłością była mama. Pulchna i dająca poczucie bezpieczeństwa, w jej szerokich ramionach pocieszenie mógłby znaleźć tuzin płaczących dzieci. Kiedy ojciec odszedł, miałem pięć lat, ale świetnie sobie z mamą radziliśmy. Jedyne wkład, jaki on kiedykolwiek wniósł do naszej rodziny, to zastrzyk DNA, którym zapłodnił moją matkę.

Mama pracowała jako sprzątaczką w Szpitalu Południowym. To była ciężka praca, a kiedy wracała do domu, wokół niej unosił się odór potu zmieszany z wonią kawy Yellow Blend. Dla mnie jednak pachniała wspaniale – bezpieczeństwem, energią, śmiechem i siłą rąk, które potrafiły zagnieść ciasto, wyszorować podłogę i wymierzyć policzek w razie potrzeby.

Może już wtedy wiedziałem, że kobiety są silniejsze od mężczyzn. Zresztą nie tylko silniejsze, ale i lepsze, pod każdym względem. Ich ciała były tak kuszące, tak pełne tajemnic czekających na odkrycie. Ich śmiech nieustraszony i zaraźliwy. Ich ruchy celowe i precyzyjne – one nie przewracały szklanek, nie rozrywały naleśników na kawałki, ich palce nie kaleczyły się od ostrej igły, która zręcznie łątała moje dzinsy.

Moja druga miłość miała na imię Athena i miała sześć lat. Chodziliśmy do jednego przedszkola i chociaż prawie wcale ze sobą nie rozmawialiśmy – Athena dopiero niedawno przyjechała ze swoimi rodzicami z Grecji – durzyliśmy się w sobie. O ile pamiętam, moje uczucie było silne

i prawdziwe, chociaż byliśmy tylko dziećmi. A tamten letni dzień, kiedy ona mnie pocałowała – lekko i zwiewnie, ledwie musnęła mi wargi – wciąż pozostaje w moim sercu jako wspomnienie miłości, tej wiecznej, prawdziwej, w odróżnieniu do sympatii kobiet, które pojawiają się i znikają niczym autobusy na ulicy pod moim mieszkaniem.

Mama, która widziała ten pocałunek, kiedy przyszła mnie odebrać po pracy, potargała mi czuprynę i powiedziała:

– Coś mi się wydaje, że będziesz prawdziwym kobieciarzem.

Pamiętam uczucie, które wezbrało wówczas w mojej piersi: były to duma i pewnego rodzaju przekonanie, że ów pocałunek zapowiadał fantastyczne przygody w przyszłości.

Potem wzięła mnie za rękę i ruszyliśmy razem do domu. Śpiewała mi po drodze piosenkę dla dzieci:

– Wiele jest wysokich i nie do złapania, wielu nie widać, ale istnieją, wiele jest żółtych, brzydkich, zielonych, pięknych, czerwonych lub niebieskich...

– O czym jest ta piosenka? – spytałem.

– O nieznanym zwierzętach.

Ale patrząc z perspektywy czasu, myślę sobie, że śpiewała o kobietach, tajemniczych i zniewalających istotach.

Li była wysoka, chociaż może nie tak trudna do złapania. Właściwie żadna nie była trudna do złapania, zresztą specjalnie się też nie wysilałem. To po prostu się zdarzało, i to całkiem często, muszę przyznać. W drodze do domu z treningu hokejowego, w autobusie, u korepetytorki, na którą mama wyskrobała pieniądze – miała na imię Linda, była ode mnie trzy lata starsza i, Bóg mi świadkiem, nauczyła mnie całkiem sporo, choć nie historii i nie matematyki.

Dziewczyna, którą miałem po dwudziestce, nazwała rzecz po imieniu.

– Lubieżny – powiedziała. – Jesteś lubieżny.

– Czy to źle? – spytałem.

– Nie – odparła, po czym rozpięła dzinsy, chwyciła moją rękę i wsunęła ją sobie w majtki. – To bardzo dobrze.

Z Li było inaczej: pragnąłem jej.

Po raz pierwszy spotkałem kobietę, którą nie chciałem się dzielić z nikim innym. I ona czuła tak samo. Nie było to łatwe, ale właściwe, oboje nie mieliśmy co do tego najmniejszych wątpliwości.

Po dwóch latach Li zaszła w ciążę, co wydawało się nieuniknione. Pobraliśmy się, dostaliśmy mieszkanie w Morby, dwupokojowe, z miejscem na małą istotkę, która rosła w brzuchu mojej żony. Robiliśmy wszystko, co trzeba – jeździliśmy do Ikei, planowaliśmy chrzest i pracowaliśmy. Ja pracowałem jak szalony.

Sprawa, którą się wtedy zajmowałem i która pochłaniała mnie dniami i nocami, dotyczyła zabójstwa Yasmin Foukary.

25

Kiedy obudziłem się następnego ranka, padał śnieg. Ciężkie wilgotne płatki przyklejały się do szyby, a potem powoli ześlizgiwały się w dół, zostawiając na niej mokre ślady. Na poduszce widniała duża lepka czerwona plama – to pewnie po Kerstin, która należała do kobiet kochających ogniście czerwone szminki.

Zjadłem przed telewizorem śniadanie – jajko na twardo na chrupkim pieczywie i kubek czarnej kawy – a potem pojechałem do pracy.

Bodil czekała na mnie w swoim pokoju. Była ubrana w granatowy garnitur i kremową jedwabną bluzkę. Ciemne włosy spięta mocno na karku i jak zwykle miała dyskretny makijaż.

– Dzień dobry – rzuciłem.

– Cześć – odparła, wskazując na krzesło.

– Jesteś dzisiaj niezwykle elegancka.

– Niestety nie mogę powiedzieć tego o tobie – bąknęła, zerkając na moje wysłużone sandały, które właśnie przed chwilą włożyłem. – Zamierzasz kupić sobie kiedyś nowe buty czy czekasz, aż podniosę ci pensję?

– Ta bluzka. Bardzo ci do twarzy w tym kolorze.

– Przestań – syknęła i popatrzyła na drzwi. – Nie tutaj.

– I tak fantastycznie układa się na twoim biuście.

– Do cholery! – Stuknęła długopisem w biurko.

– Ładnie ci też z zebranymi włosami. Powinnaś częściej się tak czesać.

Jej policzki płonęły i z każdą sekundą pąs przesuwiał się coraz niżej, obejmując też szyję, niczym czerwone wino rozlane na lnianym obrusie.

Ktoś zapukał w otwarte drzwi i do środka zajrzał Manfred.

Bodil zerknęła na zegarek.

– W samą porę – powiedziała. – Siadaj!

Następnie odchyliła się na krześle i obrzuciła nas obu spojrzeniem, które wyrażało zarazem desperację i niezadowolenie.

– Co mamy? – spytała.

– Wczoraj spotkałem się z Marią Foukarą – zacząłem. – Potwierdziła, że kolczyk należał do Yasmin.

Bodil założyła okulary i zapisała coś w notesie.

– A ja przed chwilą rozmawiałem z patologiem – wtrącił Manfred. – Protokół nie jest jeszcze gotowy, a na analizę DNA trzeba będzie trochę poczekać, ale według niego to nie jest Yasmin Foukara.

– Słucham? – rzuciła Bodil.

– Jak to? – Ja też nie kryłem zdziwienia.

W pokoju zaległa cisza. Manfred zajrzał do swoich notatek.

– Yasmin miała sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu – powiedział po chwili. – A kobieta, której ciało znaleziono, była niższa o co najmniej dziesięć centymetrów.

– Jak to? – spytałem znowu.

Manfred uniósł rękę.

– Poczekaj, to nie wszystko. Po prześwietleniu zębów odontolog też stwierdził, że to nie Yasmin, mamy jej dawną dokumentację stomatologiczną. Poza tym...

Zrobił pauzę i popatrzył najpierw na Bodil, a potem na mnie.

– Kobieta, której szczątki wyłowiono z morza, urodziła co najmniej jedno dziecko – uzupełnił.

– Cholera jasna – syknęła Bodil, spoglądając na niego sponad oprawek okularów. – Czy wiadomo, jak długo leżała w wodzie? – spytała po krótkiej chwili.

Manfred pokręcił głową i przeciągnął dłonią po zaroście.

– Patolog nie potrafił stwierdzić tego jednoznacznie, ale co najmniej piętnaście lat. Czyli wylądowała w morzu mniej więcej w tym czasie, kiedy zmarła Yasmin.

– Przyczyna śmierci? – spytała Bodil.

Manfred pokręcił głową.

– Nie do ustalenia, ale w tylnej części czaszki jest pęknięcie, które się nie zrosło. To mogła być przyczyna.

Bodil zmarszczyła czoło i jakby czytając w moich myślach, na głos wyraziła wątpliwość:

– Skoro to nie jest Yasmin Foukara, jakim cudem jej kolczyk znalazł się w dywanie?

– I to jest pytanie za dziesięć tysięcy koron – odparł Manfred. – Może to po prostu podobny kolczyk.

– Mało prawdopodobne – odezwałem się. – On jest naprawdę wyjątkowy. Nie sądzę, aby istniało wiele takich.

– Tak czy owak, to nie Yasmin Foukara – stwierdził Manfred.

– Jak najszybciej ustalcie, kto to – poleciała Bodil, odkładając długopis na biurko. – Sprawdźcie u patologa, czy ciało ma jakieś cechy szczególne, które pomogłyby nam zidentyfikować ofiarę, i porównajcie je z zaginionymi osobami.

– To nie ciało, tylko sterta kości – bąknął Manfred

– No już, do roboty! – rzuciła Bodil i machnęła ręką. – Chyba nie zamierzacie siedzieć mi tu cały dzień?

– Dlaczego ona zawsze jest taka cholernie najeżona? – warknął Manfred na korytarzu.

– Hm – bąknąłem tylko.

– Może ma za mało seksu?

– Może – odpowiedziałem, chociaż wiedziałem, że problem nie wynika z braku seksu i bliskości. W gruncie rzeczy dziwiło mnie, że Manfred mówi coś takiego, bo przecież całkiem dobrze znał się na ludziach. Oprócz tego zwykle to ja rzucałem seksistowskie żarty, on zaś najczęściej nie bez dumy dawał do zrozumienia, że opowiada się za równością płci i że jest bardzo otwarty.

– Trzeba jeszcze raz pogadać z patologiem – stwierdził. – Ty czy ja?

– Może ty zadzwoń. A ja sprawdzę listę zaginionych.

– Skup się na przypadkach od roku dziewięćdziesiątego piątego do dwa tysiące piątego – dodał Manfred. – Tak sugerował lekarz.

– Czy on się czasem dopiero wtedy nie urodził? – spytałem, mając przed oczami gładką twarz i łagodne piwne oczy Davida Feinsteina.

Manfred otworzył drzwi do swojego pokoju, ale zatrzymał się jeszcze w progu, oparł się o futrynę i westchnął ciężko.

– Przypuszczam, że twoje bokserki mają więcej lat niż on. Ale niezależnie od wszystkiego, brzmiał na całkiem pewnego swojej diagnozy.

Zapukałem do pokoju Birgit na trzecim piętrze.

Birgit to cywilna śledcza i jedna z naszych najlepszych specjalistek od przeszukiwania niezliczonych baz danych, z których korzystamy.

Ponieważ ja nie byłem szczególnie biegły nawet w posługiwaniu się telefonem komórkowym, często korzystałem z jej pomocy.

Dobiegała sześćdziesiątki, była chuda jak patyk, miała równo obcięte włosy o szarobrazowym odcieniu i opaloną pomarszczoną skórę. Ust nie malowała, ale jej twarz rozświetlał szeroki uśmiech.

– Cześć, Gunnar! – przywitała mnie, zapraszając do środka.

Usiadłem na krześle przy klinicznie czystym biurku – na blacie ani jednej kartki, ani jednego spinacza. Na półkach za jej plecami stały starannie uporządkowane teczki i segregatory. Na wieszaku obok wisiała jej sportowa kurtka, a na podłodze stały plecak marki Fjallraven i buty do biegania.

Birgit była entuzjastką aktywnego stylu życia. Każdego dnia, niezależnie od pogody, odbywała jogging z domu w Solnie do pracy na Kungsholmen. Przypuszczam, że przygotowywała się w ten sposób do jakiegoś maratonu albo może triatlonu. Dla mnie to dyscypliny ekstremalne i zawsze starałem się trzymać od nich jak najdalej.

– Wyglądasz bardzo rzeško i świeżo – powiedziałem na powitanie.

– Ach, daj spokój.

– Mówię serio. Więcej ostatnio trenowałaś?

– Przestań.

– Naprawdę wyglądasz olśniewająco.

– Jak długo my się znamy? Dwadzieścia lat? Więc chyba powinieneś już wiedzieć, że nie dam się nabrać na takie numery.

Chociaż uśmiech wciąż nie schodził z jej twarzy, sprawiała wrażenie zmęczonej. Zaciągnąwszy zamek błyskawiczny polarowej bluzy, skrzyżowała ręce na chudej piersi.

– Może ty nie lubisz facetów? – zasugerowałem.

Roześmiała się głośno.

– To, że nie chcę się z tobą przespać, jeszcze nie znaczy, że jestem lesbijką.

– Jesteś pewna?

Znowu wybuchła śmiechem.

– Tak, jestem pewna.

Ta rekuza – w gruncie rzeczy spodziewana – spowodowała, że w mojej piersi zaczęło wzbierać jakieś z początku nieokreślone uczucie. Nie był to wstyd, rozczarowanie ani frustracja.

To ulga.

Bo relacje z kobietami są dla mnie jak przymus. Nic na to nie poradzę. Wiem, że to prawdopodobnie patologiczne i niezdrowe zjawisko. Ale jeśli potraktować je jako uzależnienie, wydaje się mimo wszystko całkiem niewinne. Wszystkie te przelotne znajomości, ciała, które nagle się łączą, a potem rozdzielają, szybko przemijająca ekstaza, pogoń za nią, którą uczyniłem swoim zadaniem życiowym – to przecież nikomu nie wyrządza krzywdy. Oczywiście zdarza się, że niektóre z nich się na mnie złością, bo wyobrażały sobie coś zupełnie innego: związek, wspólną przyszłość. Ale ja naprawdę staram się być szczery. Nigdy niczego nie obiecuję i nie ukrywam swoich zamiarów.

– W czym mogę ci dzisiaj pomóc? – spytała Birgit, sięgając jednocześnie po notes i długopis.

Opowiedziałem jej o zwłokach znalezionych w morzu pod Kungsudd i opinii patologa. Kiwając głową, zapisywała coś w notesie.

– Czyli szukasz kobiety, która zniknęła między dziewięćdziesiątym piątym a dwa tysiące piątym? – spytała.

– Tak.

– Ile miała lat?

– Między dwadzieścia a trzydzieści.

Kolejne notatki, tak staranne i wyraźne, że bez problemu mogłem odczytać każde słowo ze swojego miejsca, dwa metry od niej.

– Zamieszkała w Sztokholmie?

– Niestety nie mamy pojęcia. Mogłabyś sprawdzić w całej Szwecji?

– Jasne, nie ma problemu. Na kiedy potrzebujesz te informacje?

– Im szybciej, tym lepiej.

– Daj mi parę godzin – odparła, poprawiając notes, który leżał trochę krzywo.

Wróciłem do siebie i z katafalku utworzonego w ciągu minionych lat przez liczne kartony wyciągnąłem teczkę z materiałami dotyczącymi śmiertelnego pobicia Samira Foukary. Spoczywała na tym stosie od początku lat dwutysięcznych.

Kartki pożółkły i postrzępiły się na rogach. Znane sformułowania.

...sekcja zwłok wykazała pęknięcie tylnej części czaszki, krwawienie między komorami mózgowymi, zauważalny obrzęk mózgu oraz oznaki zwiększonego ciśnienia.

...Amelie de Vegh potwierdza, że Maria Foukara tego wieczoru przebywała u niej między godziną 18.30 a 19.15.

...wszyscy mieszkańcy w okolicy zostali przesłuchani bez rezultatu...

...a także znaczne ilości puszek po piwie i niedopałków znalezione w miejscu, które jest często odwiedzane przez lokalną młodzież, właściciele psów i...

Tak, tamtej łagodnej zimy przeprowadzono gruntowne śledztwo. Koledzy rozmawiali z sąsiadami, z przyjaciółmi i kolegami Samira oraz ze wszystkimi członkami rodziny de Veghów.

Greger de Vegh, senior rodu, przebywał wówczas w Szwajcarii. Amelie była w domu i gościła Marię Foukarę. Na miejscu znajdował się także najstarszy z synów, Harold, co potwierdziła potem w przesłuchaniu jego matka. A Casimir de Vegh wrócił z miasta tuż po wyjściu Marii.

Fakt, że Harold znajdował się w posiadłości, a Casimir dotarł do niej dopiero po odkryciu ciała Samira Foukary, początkowo wzbudził w nich podejrzenia. Na dodatek Harold miał na koncie wyrok za napaść i dotkliwe pobicie faceta w sztokholmskim pubie. Miał też niesławną słabość do alkoholu, obracał się w skrajnie prawicowych kręgach, a jego znajomi opisywali go jako sympatycznego, ale „trochę porywczego”.

Jeden z sąsiadów nie silił się na subtelności.

– To po prostu zwykły łobuz – oznajmił.

Ale on sam twierdził, że przez cały wieczór zakuwał, poza tym jego noga nigdy nie powstała w lesie.

Nie mogliśmy udowodnić, że było inaczej.

Z kolei Casimir przyznał, że często chodził tamtędy oraz że czasami razem z kumplami przesiadywał na tej polance i popijał piwo. Nie dysponowaliśmy jednak żadnymi zeznaniami świadków ani żadnymi dowodami, które wiązałyby go z badaną sprawą.

A na miejscu zbrodni panował jeden wielki mętlik, roiło się od odcisków stóp biegaczy i właścicieli psów, wokół kamieni piętrzyły się góry śmieci, znaleziono też pozostałości jakiegoś ogniska.

W takiej sytuacji, gdy brakuje zarówno wypowiedzi świadków, jak i dowodów technicznych, trzeba zrobić krok wstecz i zadać pytanie: dlaczego? Kto chciałby widzieć Samira martwego i z jakiego powodu? Odpowiedź brzmiała następująco: połowa Szwecji pragnęła spuścić mu łomot. Podsycana przez media nienawiść urosła do niespotykanych rozmiarów, nie tylko w Kungsudd.

Chyba łatwiej byłoby znaleźć kogoś, kto nie życzył mu śmierci.

Mimo to nie mieliśmy wątpliwości, jak to wszystko przebiegło: Samir Foukara wrócił tamtego wieczoru do Kungsudd, ponieważ być może zapomniał czegoś, pakując swoje rzeczy przed wyprowadzką do nowego mieszkania, a może chciał tylko porozmawiać z Marią. Skończyła mu się jednak benzyna, wobec czego ruszył do domu na piechotę przez las.

Gdy dotarł do polany, natknął się na kogoś – mógł to być ktoś znajomy, mieszkaniec okolicy, lub ktoś zupełnie obcy, kto szedł za nim przez cały czas. Doszło do bójki. Samir odniósł poważne obrażenia głowy i w ich wyniku zmarł.

Maria, która usłyszała krzyk, ruszyła natychmiast, aby zobaczyć, co się dzieje, ale gdy znalazła się na miejscu, sprawca już zniknął. O godzinie dziewiętnastej dwadzieścia trzy – czyli zaledwie kilka minut po opuszczeniu posiadłości Kungsudd – wezwała przez swoją komórkę służby ratunkowe.

Rekonstrukcja zdarzeń była rzetelna, a oparta na niej hipoteza przez dwadzieścia lat wydawała się nie tylko rozsądna, ale również wiarygodna.

A dzisiaj?

Zbyt wiele niewyjaśnionych wątków, zbyt wiele pytań.

Jeżeli kobieta wyłowiona z morza to nie Yasmin Foukara, w takim razie kto to jest? Kto ją zabił i dlaczego przy nieznajomej ofierze znaleziono kolczyk dziewczyny?

No i kto zabił Samira Foukarę?

26

Zapadła już ciemność, kiedy razem z Manfredem usiadłem w aneksie kuchennym, żeby przy kawie przedyskutować nowe ustalenia. Większość kolegów skończyła już pracę, ale w malutkich pokojach wzdłuż korytarza, nazywanych przez niego „dziupłami”, tu i ówdzie wciąż paliło się światło.

Manfred sięgnął po cynamonową bułeczkę i zanurzył ją w kawie.

– No, to o co chodzi? – spytał, zerkając na swój szwajcarski zegarek.

Był żonaty i miał córeczkę o imieniu Nadja. Domyśliłem się, że chciał zdążyć do domu przed jej zaśnięciem. W zasadzie prawie wszyscy żyli w związkach małżeńskich albo partnerskich. Oczywiście była też pewna liczba nieszczęsnych rozwodników oraz paru dziwaków, mężczyzn i kobiet, którzy tak jak ja nie założyli rodziny i egzystowali w dobrowolnie wybranej lub przymusowej samotności.

– W interesującym nas okresie zniknęło niemal sto kobiet w wieku od dwudziestu do trzydziestu lat, z czego co najmniej czterdzieści w samym Sztokholmie. Zdążyłem przyjrzeć się bliżej tylko tym ostatnim. Żadna nie pasuje do naszego profilu.

– Żadna? – spytał, patrząc na bułkę, jakby rozmawiał z nią, a nie ze mną.

– Są za wysokie.

– Wszystkie były w rejestrze paszportowym?

Odgryzł kolejny kęs.

– Tak.

– W takim razie musisz sprawdzić także pozostałe.

– Zrobię to jutro rano. A co mówi patolog?

Manfred poprawił się na krześle i rozpiął górny guzik kamizelki.

– Mówi...

Włożył do ust resztkę bułki i popił kawą.

– ...że nie ustalili niczego, co mogłoby nam pomóc w identyfikacji ciała. Brak jakichkolwiek starych złamań czy śladów chorób. Brak

wypełnień w zębach, co samo w sobie jest trochę dziwne. Podobno większość z nas ma co najmniej jedną plombę. Tak czy inaczej, powiedział, że jeśli nie uda im się wyodrębnić DNA, zwrócą się do laboratorium w Niemczech, które wykonuje analizę izotopową tkanki kostnej.

– Analizę izotopową?

Pokręcił głową.

– Tylko nie proś mnie, żebym ci to wytłumaczył. Chyba chodzi o to, że na podstawie składu izotopowego pierwiastków można określić, skąd dana osoba pochodzi i gdzie mieszkała przez całe życie.

– A niech mnie! – rzuciłem. W chwili ciszy, jaka powstała, usiłowałem zrozumieć to, co usłyszałem.

– A co to jest izotop? – spytałem.

– Żebym to ja wiedział! Czy wyglądam na pieprzonego konstruktora rakiet? Nieważne. Tak czy inaczej, miejmy nadzieję, że nasi technicy mimo wszystko uzyskają profil DNA, a jeżeli nie, to poratują nas Niemcy.

– Okej.

Znowu zapadła cisza, w której dały się słyszeć czyjeś kroki na korytarzu. Po kilkunastu sekundach w kuchence pojawiła się Malin Brundin.

– Cześć – rzuciła z uśmiechem. – Widzę, że nie tylko ja przesiaduję tu wieczorami?

Zarówno ja, jak i Manfred pracowaliśmy z nią już wcześniej. Ubiegłego lata, kiedy prowadziliśmy śledztwo w sprawie zabójstw kobiet w Ostertuna, niewiele brakowało, a stałaby się jedną z ofiar, gdy niespodziewanie natknęła się na sprawcę. Minęło sporo czasu, zanim doszła do siebie po tym przeżyciu.

– Jak tam Otto? – spytał Manfred.

Malin usiadła obok mnie.

– Świetnie – odpowiedziała, odgarniając ciemne włosy za ucho. – Chociaż właśnie przeszedł ospę wietrzną. To dopiero było wyzwanie! Biedaczek miał całą głowę w strupach.

– Żartujesz? – Manfred pochylił się do przodu. – Nadja też miesiąc temu chorowała na ospę.

– Co ty powiesz? – Malin otworzyła szerzej oczy. Oboje popatrzyli na siebie ze zrozumieniem, w jednej chwili zjednoczeni wspólnymi udrękami rodzicielstwa, i jak na komendę zaczęli wymieniać się doświadczeniami

związanymi z codziennym odbieraniem z przedszkola, szczepieniami i wypadaniem zębów mlecznych. Ja zaś dumiałem o swojej pustej lodówce i zmiętej pościeli. Ich głosy oddaliły się nieco.

– Gunnar?

Malin gapiła się na mnie, ściągając brwi.

– Przepraszam, zamyśliłem się. Co powiedziałaś?

– Cholernie dziwne, że tamto ciało w morzu to nie Yasmin Foukara.

– Rzeczywiście – przyznałem.

– Zdaje się, że to ojciec ją zamordował?

Kiwnąłem głową.

– To było oczywiste, ale sąd go uniewinnił.

Malin odchyliła się do tyłu, kładąc ręce na kolanach.

– Dzisiaj z pewnością zostałyby skazany – stwierdziła. – Teraz wiemy o kulturze honoru znacznie więcej. Mamy też nowe ustawodawstwo, nie uznajemy zagranicznych aranżowanych małżeństw dzieci, a zmuszanie kogokolwiek do małżeństwa podlega karze. Miałam kilka takich przypadków. Między innymi młodego chłopaka, któremu własna rodzina groziła śmiercią. Skończyło się tym, że musiał zmienić tożsamość i dostał ochronę.

– Chłopak? – zdziwił się Manfred.

– Oczywiście – odparła Malin. – Ten problem dotyczy nie tylko dziewcząt, a sprawcami przestępstw motywowanych kulturowo nie są wyłącznie mężczyźni. Przypomnijcie mi: w którym roku zginęła Yasmin Foukara?

– W dwutysięcznym – odpowiedziałem.

– No właśnie – odrzekła, podnosząc wzrok na sufit. – Czyli przed jedenastym wrześniem. I przed zabójstwem Fadime Sahindal. Byliśmy wtedy cholernie naiwni.

Po chwili spytała:

– To co, macie jakiś punkt zaczepienia?

– Nieszczególnie – przyznał Manfred.

Malin pokiwała głową i na sekundę zamknęła oczy.

– Wiecie co, czasami strasznie brakuje mi Hanne.

Ani ja, ani Manfred nie skomentowaliśmy tego, bo wszystkim nam jej brakowało.

Hanne Lagerlind-Schon była profilerką i pomogła nam w wielu trudnych sprawach. Niektórzy z kolegów nazywali ją wiedźmą albo

czarownicą, ponieważ jej umiejętność intuicyjnego rozpoznawania przestępców przeczyła wszelkiemu rozumowi. Ale od ponad roku nie żyła i bez względu na to, jak bardzo okazała się niezastąpiona, nie mogła nam już pomóc.

– Pora się zwijać – bąknął Manfred, po czym wstał i rozmasował sobie kolano.

– Boli? – spytałem.

– Jak cholera. Podobno koniecznie muszę schudnąć, w przeciwnym razie nigdy nie będzie dobrze.

– To przykre.

Nie wspomniałem, że istniały też inne powody, dla których powinien zgubić ładnych parę kilogramów – na przykład może jednak chciałby oglądać, jak będzie rosła i rozwijała się jego czteroletnia córeczka. Bo właściwie dlaczego miałem mówić mu rzeczy, o których sam przecież doskonale wiedział?

Po chwili oddalił się wraz z Malin korytarzem, a ostatnie słowo, jakie dotarło do moich uszu, zanim zniknęli mi z pola widzenia, brzmiało „pampersy”.

Wróciwszy zaraz potem do mojej dziupli, zebrałem swoje rzeczy, a także notes, komórkę i żółtą karteczkę z listą zakupów: mleko, masło, jajka.

Tuż przed wyjściem usiadłem jeszcze przy biurku, ściągnąłem z nóg sandały i zadzwoniłem do Marii Foukary.

Odebrała po dwóch sygnałach.

– Dzień dobry. Mówi Gunnar Wijk z policji.

– Dzień dobry.

– Przepraszam, jeśli dzwonię zbyt późno, ale chciałbym, żeby dowiedziała się pani jak najszybciej. To nie jest Yasmin.

Na chwilę zaległa cisza.

– Rozumiem. A kto to jest?

– Jeszcze nie wiemy.

– Aha.

Kolejna pauza.

Korytarzem przeszła sprzątaczką, pchając jedną ręką wózek ze środkami czystości i dużym czarnym workiem na śmieci zawieszonym na statywie, a drugą ręką ciągnąc za sobą odkurzacz.

Skinęła mi głową z uśmiechem, na co odmachnąłem jej ręką.

- Nie wiem, czy to dobra, czy zła wiadomość – usłyszałem w słuchawce.
- Domyślam się.
- Z jednej strony to dobrze, że to nie ona, z drugiej jednak lepiej by było, gdyby to się już skończyło.

Nic nie powiedziałem. W pokoju obok rozległo się głuchoe buczenie odkurzacza.

– Czy to pewne? – spytała.

– Tak.

– Okej. Dziękuję, że pan zadzwonił.

– Nie ma za co. Odezwę się, jak będziemy wiedzieli coś więcej.

Rozłączyliśmy się, a ja wzięłem swoją torbę i wyszedłem.

W domu ogarnął mnie niepokój – najpierw jako irytujące poczucie bezsilności, a potem jako coraz intensywniejsze doznanie dyskomfortu, nad którym nie potrafiłem zapanować. Pojawił się ucisk w klatce piersiowej i ból w skroniach.

Pomyślałem o Marii i Samirze, o rodzinie, która rozplynęła się w powietrzu. Myślałem też o Vincencie, chłopcu, który przestał mówić i wyrósł na mężczyznę, który wciąż się nie odzywa. Myślałem o wszystkich ofiarach zabójstw, jakie widziałem przez te lata, oraz o ich bliskich, których życie już nigdy potem nie było takie samo.

Przez ułamek sekundy przebiegło mi przez głowę, żeby zadzwonić do Kerstin i spytać, czy nie miałyby ochoty wpaść na chwilę, w końcu jednak doszedłem do wniosku, że nie zniósłbym teraz żadnych miłosnych igraszek. Sięgnąłem więc po album ze zdjęciami – mam tylko jeden. Jego kartki są lekko pożółkłe, a rogi każdej fotografii tkwią w małych trójkątnych plastikowych kieszonkach.

Li uśmiecha się do mnie. Trzyma w ręce pędzel malarski, ciemne włosy ma zebrane w koński ogon. Spodnie ogrodniczki usiane są plamami farby, a jej skośne oczy przypominają oczy kota.

Zdjęcie zostało zrobione tutaj, w pokoju stołowym, zaledwie tydzień po tym, jak wprowadziliśmy się do mieszkania. Jego ściany straszyły ohydny odcieniem zieleni, dlatego pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy, było przemalowanie ich na inny kolor. Szczerze mówiąc, to głównie Li malowała, ponieważ ja miałem tyle roboty ze śledztwem, że była zmuszona, a może nawet wołała zrobić większość rzeczy sama.

Przewróciłem kartkę.

Li na skórzanej kanapie, ubrana w ciężowe dzinsy i top w paski opinający jej duży brzuch. Podnosi kubek z herbatą i ze zdziwieniem patrzy w obiektyw. Ma otwarte usta, jakby zamierzała coś powiedzieć.

– Co? – bąknąłem. – Co chciałaś powiedzieć, Li?

Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na mnie zastygła w czasie.

Kolejne zdjęcia.

Li i ja na niedużej żaglówce, którą wynajęliśmy latem, zanim zaszła w ciążę; na tej, na której wpadliśmy na mieliznę na archipelagu Bjorkskars. Dalej: babcia Li pije kawę, sękata dłoń ściska kubek w kwiatki, a między jej sztucznymi zębami widać kostkę cukru. Cętkowany kot, potrącony przez samochód tego samego lata, siedzi staruszce na kolanach.

Ucisk w piersi się nasilił, miałem wrażenie, jakby ktoś stanął mi na mostku. Serce przyspieszyło.

Przerzuciłem kolejne kartki.

Przysypany śniegiem Sztokholm. Li na lodzie, jeździ na łyżwach. Śmieje się i trzyma ręce wysoko nad głową jak baletnica. Kurtka lekko rozpięta, czapka przekrzywiona na bakier.

Upuściłem album na podłogę i po omacku zacząłem szukać komórki, czując jednocześnie, że pot występuje mi na czoło i pod pachami.

Drżącymi palcami wybrałem numer i przyłożyłem telefon do ucha.

– Witaj, Kerstin – powiedziałem. – Co moja piękna porabia dziś wieczorem?

Pożądanie jest przymusem, nie sposób mu się oprzeć. Jest prymitywną siłą natury, przed którą najlepiej skapitulować. A pozostawia po sobie jedynie pustkę i jeszcze większy lęk.

Oczywiście, że kocham kobiety. Chyba bardziej niż większość mężczyzn. I oczywiście czerpię przyjemność ze współżycia z nimi. Czasami jednak marzyło mi się, aby ktoś zakradł się podczas snu i mnie wykastrował. Po prostu go odciął. Bo pożądanie przyćmiewa tak wiele rzeczy, pochłania mnóstwo czasu i energii. Kto wie, czego bym dokonał, gdybym nie spędzał wszystkich wolnych godzin w pozycji horyzontalnej? Może zbiłbym majątek na akcjach, opłynąłbym kulę ziemską albo nauczył się Bóg wie ilu języków.

Może rozwikłałbym sprawę zabójstwa Yasmin Foukary.

A tak siedzę w swoim dwupokojowym mieszkanku w Morby, z każdym dniem biodro boli mnie coraz bardziej i czasami muszę chodzić w nocy do

łazienki nie jeden raz, ale dwa albo nawet trzy.

Wyobrażam sobie, jak wygląda moja prostata – jest nabrzmiała i wściekle czerwona, osiąga wielkość grejpfruta.

Kto będzie chciał się ze mną pieprzyć za pięć lat? A za dziesięć?

Spojrzałem na zegarek: za dwadzieścia jedenasta.

Kerstin chrapała głucho na swoim miejscu obok mnie. Charczenie nasilało się i słabło w rytm oddechu. Jej masywne, wciąż jeszcze wilgotne ramię spoczywało na kołdrze.

Trąciłem ją lekko.

– Co? – warknęła i szczerzej owinęła się kołdrą.

– Muszę wcześniej wstać.

Nie odpowiedziała.

– Kerstin, słyszysz?

– Mm.

– Muszę wcześniej wstać.

Powoli oparła się na łokciu.

– Okej, okej.

– Jesteś bardzo kochana – powiedziałem, patrząc, jak się podnosi.

– Dzięki – wymamrotała i zaczęła się ubierać. Wciągnęła obszerne cieliste majtki i sięgnęła po stanik o szerokich ramiączkach ciśnięty wcześniej na podłogę. Następnie włożyła przez głowę bezkształtną sukienkę i wstała. Rajstopy zwinęła w kłębek i wzięła je do ręki.

– Zobaczymy się w tygodniu? – spytała, zwilżając wargi językiem.

Na jej policzku pozostał ślad szminki.

– Jasne – odpowiedziałem.

– Wiesz, gdzie mnie szukać – dodała z uśmiechem, po czym wyszła.

*

Tak właśnie wyglądało moje życie.

Mogło się wydawać ubogie i żałosne, ale innego nie miałem.

Chodziłem do pracy, robiłem, co do mnie należało, i jeszcze więcej. Byłem dobrym policjantem. Po skończonej robocie wracałem do domu, do pustki mojego małego mieszkanka na północ od Sztokholmu.

Nie trzeba mnie żałować, nie bardziej niż kogokolwiek innego.

Wiem, co mówię.

Generalnie zdrowie mi dopisywało. Wciąż pracowałem. Miałem przyjaciółki, panie, które nader chętnie gotowe były zawsze mnie ogrzać.

Ale chyba nie do końca znałem się na tym, co zwykło się nazywać życiem.

Bo jaki właściwie jest sens tego wszystkiego? – zastanawiałem się. I jakie dziedzictwo zostawię po sobie?

Oczami wyobraźni widziałem swój nagrobek z polerowanego granitu, bez złota i jakichkolwiek ornamentów.

„Tu spoczywa Gunnar Wijk. Na oślep przebiegł przez życie, był niczym trzcina na wietrze, nieświadomy sensu i celu, ale kochany przez wiele spragnionych miłości kobiet”.

Gdy docierałem myślami do tego punktu, do zimnego granitowego kamienia, bez złota i ozdób, nie pozwalałem im snuć się dalej. Dosyć! Wystarczy, do cholery!

Wtedy dzwoniłem do Kerstin albo Bodil. Lub do którejś z pozostałych.

I potem czułem się lepiej.

Kilka kolejnych tygodni minęło bez żadnych znaczących wydarzeń. Parę razy spadł śnieg, ale ciężkie mokre płatki od razu się rozpuszczały, zamieniając się na ziemi w lepłą szarobrunatną breję.

Któregoś wieczoru odwiedziła mnie Bodil, kochaliśmy się na skórzanej kanapie, która trzeszczy i skrzypi. Zgodnie ze swoim zwyczajem wyprosiłem ją tuż przed północą, na co jak zwykle się wkurzyła i poczuła się dotknięta – może ukarze mnie za to później. Nie lubiła być odtrącana, należała do osób, które uwielbiają demonstrować swoją władzę.

Przyjąłem to ze spokojem, ponieważ wiedziałem, że niezależnie od tego, co zamierzała, jej złość wkrótce minie, temperament Bodil można bowiem porównać do temperatury raczej dymu, nie ognia. Czasami podejrzewałem, że ciągnie ją do dramatów i konfliktów niczym ćmę do płomienia świecy tylko po to, aby mogły w nich znaleźć ujście wszystkie frustracje i niepokoje, które skrycie w sobie nosiła.

Następnego ranka popsuła mi się lodówka i musiałem wezwać do domu fachowca. Miał na imię Pedro i bardzo wysoko cenił swoją pracę. Przeklinając i mamrocząc pod nosem, tego samego dnia wieczorem wybrałem się jeszcze do centrum, żeby kupić nowe sandały, ale na widok ceny zrezygnowałem i stwierdziłem, że zamiast policjantem powinienem być zostać serwisantem sprzętu AGD.

Wróciłem do domu bez nowych butów.

Śledztwo utknęło, nie posuwało się nawet o krok do przodu. Żadna z zaginionych osób nie pasowała do martwej kobiety znalezionej w morzu.

Poprosiłem Birgit, aby skontaktowała się z Interpolem i sporządziła listę kobiet z innych europejskich krajów, które zgłoszono jako zaginione w interesującym nas okresie. Obiecała zająć się tym nazajutrz, ponieważ właśnie wychodziła nieco wcześniej na trening pływacki. Kiedy napomknąłem, że jestem pod wrażeniem jej sportowej aktywności,

i zaproponowałem, że może po jej treningu wybralibyśmy się na piwo, odparła cicho, żebym wynosił się do diabła. Następnie włożyła buty do biegania, czapkę i cienką puchówkę, chwyciła plecak i wyszła, nie mówiąc nawet do widzenia.

Technicy zakończyli ekspertyzy i przysłali mejlem raport. Był dosyć nietypowy, ponieważ zwłoki leżały w morzu, dokładnie na głębokości dwudziestu dwóch metrów. Nurkowie przeczesali dno wokół miejsca odkrycia ciała i sporządzili listę znalezionych przedmiotów. Były to: stare opony samochodowe, puszki po piwie, dziecięcy fotelik samochodowy, korba wyciągarki do łodzi i sanki do jazdy na stojąco starego typu, prawdopodobnie z lat pięćdziesiątych. Zidentyfikowano również dywan, w który były zawinięte zwłoki – ten model produkowano dla Ikei między rokiem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym a tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym pod nazwą Karlsholm. To ważne, bo dzięki temu przynajmniej wiadomo, że ofiara nie trafiła do morza wcześniej niż w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym, chociaż opierając się na opinii lekarza medycyny sądowej, i tak nie sięgaliśmy dalej wstecz.

Narodowe Centrum Kryminalistyczne poinformowało nas, że nie zdołano uzyskać DNA. Tamtejsi specjaliści podkreślili jednak, że nie tracą nadziei i będą wykonywać kolejne testy, a jednocześnie przesłali jeden ząb i kilka fragmentów kości do laboratorium w Niemczech, gdzie zostaną one poddane analizie izotopowej.

Natomiast kolczyk oczyszczono zgodnie z wszelkimi zasadami sztuki i porównano z tym, który Yasmin miała w uchu na zdjęciu. Wyglądało na to, że są identyczne. Znaczkki na biżuterii wskazywały, że została ona wykonana we Francji, co dodatkowo wzmocniło hipotezę, że był to kolczyk Yasmin – ten sam, który otrzymała od matki, kiedy mieszkała w Paryżu.

Informacje o odkryciu dokonanym przez nurków dotarły również do gazet i na ich łamach zaczęło roić się od spekulacji, kogo znaleziono na dnie morza. Oczywiście dziennikarze doszli do wniosku, że mogła to być Yasmin Foukara. Na liczne pytania z mediów konsekwentnie odmawiałem komentarza.

Czas mijał.

Dni stawały się krótsze, a noce dłuższe i systematycznie kradły światło, aż w końcu dzień zredukował się do co najwyżej sześciu szarawych godzin. Temperatura spadła, ludzie powyciągali z szaf zimowe ubrania.

Elementy układanki w śledztwie łączyły się jeden po drugim, wciąż jednak nie widzieliśmy całego obrazu i nie rozumieliśmy przebiegu zdarzeń kryjących się za zabójstwami w Kungsudd. I nadal nie mieliśmy pojęcia, kim jest kobieta przez tyle lat spoczywająca na dnie morza.

To nie dawało mi spokoju – jak to możliwe, by człowiek umarł i nie pozostawił żadnego śladu? Jak to możliwe, że znika młoda kobieta, matka, i nikt o niej nie pamięta?

Zagłębiłem się ponownie w stare śledztwo w sprawie zabójstwa Yasmin, przekonany, że musieliśmy coś przeoczyć. Zawsze się tak dzieje, tak wygląda rzeczywistość. Przejrzałem zeznania świadków, raporty kryminalistyczne i inne materiały – zdjęcia, wyciągi bankowe Samira i listy pasażerów wszystkich samolotów, które wystartowały z lotniska Arlanda w ciągu dwóch kolejnych dni po śmierci Yasmin.

Robiłem wszystko, co mogłem, ale nie natrafiłem na nic nowego.

Zawinięta w dywan kobieta była i pozostała zagadką.

*

W poniedziałek dwudziestego szóstego listopada Manfred wpadł do mojej dziupli akurat w momencie, gdy zamierzałem przyciąć u jednego z palców u nóg paznokiec, który mi przeszkadzał. Ponieważ często miewałem tego rodzaju kłopot, trzymałem w pracy specjalne nożyczki.

Manfred był purpurowy na twarzy, a u nasady włosów na czole perliły się krople potu.

– To ci dopiero! – rzucił i opadł ciężko na krzesło obok mojego biurka.

Wątle krzeselko wydało przeciągły jęk w proteście przeciwko tak znacznemu nagłemu obciążeniu, podczas gdy Manfred wyjął z kieszeni marynarki chustkę i wytarł sobie czoło.

– Co się stało? – spytałem, odkładając nożyczki do szuflady i wciągając skarpetkę.

Spojrzał na moją stopę i ściągnął brwi.

– No co? – rzuciłem, domyślając się, że on prawdopodobnie powierza piłowanie swoich paznokci jakiemuś ekskluzywnemu salonowi w śródmieściu, gdzie klientom serwuje się zieloną herbatę i puszcza śpiew wielorybów.

– To niemieckie laboratorium – odezwał się, wciąż marszcząc czoło i nie odrywając spojrzenia od mojej stopy.

– Tak?

– Chyba wiedzą, skąd pochodziła ta kobieta.

Położył przede mną na biurku przyniesione papiery, w których mowa była o jakimś SIA – Stable Isotope Analysis. Przebiegłem wzrokiem po cyfrach, wykresach i diagramach.

– Ni cholery z tego nie rozumiem – przyznałem szczerze.

– Nie zawracaj sobie tym głowy, przejdź od razu do ostatniej strony.

Przewróciłem więc kartki i wiodąc palcem po tekście, zatrzymałem się na ostatnim akapicie.

– A niech mnie! Naprawdę byli w stanie to ustalić?

– Najwyraźniej – odpowiedział Manfred. – Trzeba poprosić Birgit, żeby znowu skontaktowała się z Interpolem. A ty chyba powinieneś pojechać do Marii Foukary i z nią porozmawiać. Mieszka w okolicy od dawna. Może pamięta tę dziewczynę.

Kiedy zaparkowałem przed domem Marii Foukary w Kungsudd, zrobiło się już ciemno. Przenikliwie zimny jesienny wiatr bezlitośnie wdzierał się pod kurtkę, gdy spieszyłem do drzwi wejściowych.

Maria otworzyła od razu, jakby stała w przedpokoju i na mnie czekała.

– To pan? – powiedziała, wyraźnie oszołomiona. – Coś się stało?

– Nie, akurat przejeżdżałem w pobliżu – skłamałem. – Czy mogę zająć chwilę? Chciałbym przy okazji o coś spytać.

– Oczywiście.

Przesunąwszy dłonią po znoszonej dzinsowej koszuli, cofnęła się o krok i wpuściła mnie do środka. Z głębi dobiegło głośne wycie, po którym nastąpił huk. Sekundę później zobaczyłem dwie dziewczynki przebiegające przez pokój.

– Zajmuję się córeczkami Toma i Nicole – wyjaśniła Maria z uśmiechem.

Skinąłem głową i szybko się rozebrałem.

– Wezmę ją – powiedziała, patrząc na moją kurtkę z wyraźnym rozbawieniem. – Jak długo zamierza pan ją jeszcze nosić?

– Jak długo się da. Jest ciepła.

– No tak, podobno.

Powiesiła ją na wieszaku i z zadumą przesunęła dłonią po rękawie. Jej gest wydał się niemal intymny i wzbudził we mnie coś, czego nie potrafiłem nazwać. Nikt nigdy wcześniej nie komentował moich ubrań. Rzecz jasna poza Bodil, która bez przerwy powtarzała, że powinienem kupić nowe sandały.

Z pokoju ponownie dobiegło wycie. Sekundę później do przedpokoju wpadły dwie dziewczynki.

– To jest Ebba – oznajmiła Maria, kładąc dłoń na głowie pięcioletniej blondyneczki ubranej w rajstopki i różowy strój baletnicy z tiulową spódniczką. Pod nosem małej zwisały podłużne zielone smarki, a jej okrągłe policzki pałały.

– A ja mam na imię Adrienne – przedstawiła się druga. Wyglądała na nieco młodszą, jasne włosy miała zebrane wysoko w koński ogon, a gdy spojrzała na mnie, wyraźnie zezowała.

– Cześć – powiedziałem do obu. – Jestem Gunnar i jestem znajomym pani Marii.

– Aha – bąknęła Ebba i chichocząc, wzięła się pod boki.

– Gunnar? Dziwne imię – stwierdziła jej siostra, marszcząc zadarty nosek.

Sekundę później obie zniknęły z powrotem w pokoju.

– Są bardzo żywe – zauważyła Maria, unosząc brwi. – Mocnej kawy?

– Chętnie.

Przeszliśmy do kuchni, gdzie gospodyni nalała kawy do dwóch kubków, umieściła je na tacy, wyjęła pierniczki i postawiła tacę między nami na stole. Następnie zapaliła świeczkę. W blasku łopoczącego płomienia wyglądała młodziej: włosy i skóra przybrały cieplejszy ton, zmarszczki się wygładziły i nagle wydało mi się, że mam przed sobą młodą kobietę, jaką była kiedyś. Tę, która jeszcze nie spotkała swojej wielkiej miłości. Mężczyzny, który okazał się mordercą.

– Jak się pan miewa? – spytała.

– Nie narzekam. A pani?

– Na razie w porządku. Tak myślę. Chyba że te małe rozwalą mi dom.

Roześmiała się. Trzymając kubek między dłońmi, powoli popijała kawę.

Z pokoju dobiegł dziki wrzask.

– Jezu – bąknęła.

– Spokojnie, nie ma powodu do obaw – powiedziałem, jakbym całymi dniami nie robił nic innego, tylko zajmował się dziećmi, chociaż od wielu lat nawet z żadnym nie rozmawiałem.

– Ma pan dzieci? – spytała, jak gdyby czytała w moich myślach.

– Jakoś się nie złożyło.

Przyjrzała mi się badawczo.

– To dziwne – zauważyła. – Tak mało o sobie wiemy, chociaż wtedy spędziliśmy razem sporo czasu.

– Życie bywa dziwne.

– To prawda.

Zamilkła i wpatrując się w kubek, uśmiechnęła się dyskretnie. Po chwili powiedziała:

– Byłam bardzo zła na pana.

– Na mnie?

Roześmiała się i przeczesła palcami niesforne włosy. W jej geście było coś przepraszającego, jakby trochę się wstydziła swojego wyznania.

– Dlaczego? – spytałem. – Czy źle się zachowywałem?

Znowu wybuchła śmiechem.

– Nie, wprost przeciwnie. Lubiłam pana, pański spokój i empatię. To jedyny jasny punkt w tamtym piekle. Ale pan raptem zniknął i byłam zdana na kontakt z tamtą okropną osobą.

– Z Ann-Britt?

Skinęła głową.

– To prawdziwa jędza – przyznałem. – Nie mam pojęcia, co się z nią później działo, nie wiem nawet, czy jeszcze żyje. Miałaby dzisiaj koło osiemdziesiątki.

– Dlaczego pan zniknął?

Patrzyła na mnie uważnie, jej oczy błyszczały, było w nich niemal błaganie.

– Coś się wydarzyło. Ja...

Nachyliwszy się ku mnie, położyła rękę na mojej dłoni, jakby wyczuwała, jakie to dla mnie trudne.

Jej ciepło przeniknęło w głąb i ożywiło w piersi coś, co pozostawało uśpione przez wiele lat. Dotyk wydawał się całkowicie naturalny – asekualny, empatyczny, niewymagający niczego w zamian, zupełnie inny od wszystkich fizycznych kontaktów z kobietami, jakie miałem od odejścia Li.

Jej spojrzenie było niewzruszone, jakby zaglądała w moje wnętrze, albo raczej prowadziła mnie do lustra, w którym po raz pierwszy od lat byłem w stanie zobaczyć siebie takim, jakim się stałem.

Wzięłem głęboki oddech i spróbowałem zdobyć się na odwagę, by wyrazić słowami to, o czym myślałem.

– Zniknąłem, ponieważ...

Z pokoju dobiegły krzyki. Tym razem wskazywały nie na świetną zabawę, ale raczej na panikę i ból.

Oboje zerwaliśmy się z krzesel i wybiegliśmy z kuchni.

Starsza dziewczynka stała nad młodszą, leżącą na podłodze, i raz za razem kopiała ją w głowę. Tiulowa spódniczka falowała w górę i w dół w rytm uderzeń.

– Cholerna dziwka – wycedziła pięciolatka.

– Ebbo! – syknęła Maria i natychmiast podbiegła do niej, chwyciła ją za ramiona i odciągnęła od siostry. – Co ty wyprawiasz?

– Ona mi zabrała...

– Nie wolno bić – powiedziała z naciskiem Maria i przykucnęła przy poszkodowanej dziewczynce. – I nie wolno mówić takich brzydkich słów – dodała.

– Adrienne, czy wszystko w porządku?

– Boli mnie! Auuuaaa!

Maria wzięła ją w objęcia i zaczęła kołysać.

– Cichutko, cichutko. Już dobrze, słoneczko, już dobrze.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Maria odwróciła się i spojrzała na mnie.

– Czy mógłby pan otworzyć? To pewnie Nicole, przyszła po dziewczynki.

Wyszedłem więc do przedpokoju i otworzyłem drzwi.

Za progiem stała kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat. Była uderzająco piękna, ubrana w futrzaną kurtkę i dżinsy tak obcisłe, że wyglądały, jakby były namalowane sprejem na jej nogach. Długie jasne włosy opadały w bujnych i lśniących lokach na ramiona. Na mój widok nieco szerzej otworzyła oczy. Na podjeździe dostrzegłem czarnego miejskiego SUV-a – silnik pracował, a z głośników stereo wylewała się w jesienną ciemność muzyka.

– Ups – powiedziała, lekko chichocząc. – Nie wiedziałam, że Marię odwiedzają mężczyźni.

– Gunnar Wijk – przedstawiłem się, wyciągając do niej rękę.

– Nicole Borgmark – odparła, trzepocząc niewiarygodnie długimi rzęsami.

Trzymała moją dłoń i wydawało się, jakby w ogóle nie zamierzała jej puścić. Sekundę później, gdy drugą ręką oparła się o futrynę drzwi, zauważyłem to.

Ona była nietrzeźwa.

Nie lekko wstawiona czy podchmielona, tylko po prostu pijana, jakby wyżłopała butelkę wina albo przez całe popołudnie pociągała drinki z parasolką.

Po chwili dotarł do mnie także odór alkoholu.

– Ja tylko. Przyjechałam. Po córki.

Cofnąłem się i pozwoliłem jej przejść dalej. Maria i dziewczynki właśnie weszły do przedpokoju.

– Mama! – krzyknęła Adrienne i rzuciła się w objęcia matki.

– Cześć, skarbie – przywitała ją Nicole, głaszcząc małą po policzku. – Dobrze się...

Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa i znowu zachichotała.

– ...bawiłyście? – dokończyła.

Skrzyżowawszy ręce na piersi, Maria obrzuciła ją wymownym spojrzeniem.

– Przyjechałaś samochodem, Nicole?

Młoda kobieta wzruszyła ramionami.

– Miałam spotkanie z klientem. Musiałam. To przecież tylko paręset metrów...

– Zostaw auto tutaj – przerwała jej Maria.

– Ale...

– Żadnego ale. Odbierzesz je później. Albo ja ci je odprowadzę.

Nicole roześmiała się cicho i pokręciła głową. W końcu chyba dała się przekonać.

– Whatever. Przyjdę po nie jutro. Idziemy, dziewczynki.

Usiedliśmy znowu w kuchni.

– Domyślam się, że nie tego spodziewał się pan po rodzinie Borgmarków?

Nie odpowiedziałem.

Maria westchnęła ciężko i przetarła czoło dłonią.

– No cóż, sam pan widział – dodała, splatając ręce na kolanach.

– Długo to trwa?

Skinęła głową.

– Od lat. Nieraz próbowałam z nią porozmawiać. Także z Tomem. Ale to nie takie proste. Ona chyba nie chce przyznać, że ma problem. Wszystko zrzuca na pracę. – Przerwała i podniosła wzrok na sufit, a po chwili dodała: – Tak strasznie mi go żal. On zasługuje na więcej. Dziewczynki oczywiście też.

– Dzwoniła pani do opieki społecznej?

Pokręciła głową.

– Nie, ale zrobię to. Jeśli sytuacja się nie poprawi. Najlepiej byłoby, gdyby ona sama chciała skorzystać z pomocy. A to, co widzieliśmy tu przed chwilą... – Wskazała na przedpokój. – To jeszcze nic. Widywałam

ją kompletnie zalaną, prawie nieprzytomną. Kilka tygodni temu znalazłam ją w ich domu u podnóża schodów, była cała zakrwawiona i cuchnęła wódką. Prawdopodobnie z nich spadła. Musiałam ją umyć i opatrzyć.

– Mam obowiązek to zgłosić – wtrąciłem.

– Rozumiem, że kierują panem dobre intencje, ale proszę pozwolić mi się tym zająć.

– Na tym polega moja praca. Ta kobieta prowadziła po pijanemu, a to jest przestępstwo. A jeżeli jeszcze naraża dzieci na niebezpieczeństwo, bezwzględnie powinienem to zgłosić.

– Niech mi pan da kilka dni.

Zgarnęła ze stołu okruchy po pierniczkach.

– Proszę – dodała.

Milczałem.

Zaległa cisza.

– A więc – odezwała się po chwili – o czym chciał mi pan wcześniej opowiedzieć?

Spojrzałem na nią w skupieniu. Była tą samą kobietą, której jeszcze kilka minut temu zamierzałem wyjawić swoje tajemnice, wciąż tą samą Marią. Ale tamta chwila minęła, spłoszyła ją awantura dziewczynek i wizyta Nicole Borgmark.

– Moja żona mnie opuściła. Ale może zostawmy tę historię na kiedy indziej.

Skinęła głową.

– Pójdę już – powiedziałem. – Przedtem jednak chciałbym jeszcze o coś spytać. Ciało, które znaleźliśmy, zostało poddane badaniom w laboratorium w Niemczech.

– I...?

Nachyliła się do przodu, oparła łokcie na blacie stołu, a brodę na dłoniach. Jej oczy lśniły w blasku świecy.

– Wygląda na to, że ofiarą była kobieta pochodząca z Ameryki Południowej. Prawdopodobnie z Kolumbii.

– Z Kolumbii?

Zmarszczyła czoło i pokręciła głową.

– Z Kolumbii – powtórzyła, wypowiadając tę nazwę powoli, jakby smakowała każdą sylabę.

Zamknęła oczy, ale zaraz je otworzyła. Następnie się wyprostowała, splótła dłonie przed sobą i powiedziała:

– Dobry Boże. Chyba wiem, kto to jest.

29

Leżałem w łóżku i patrzyłem w piwne oczy Billy'ego, który przekrzywił głowę i węszył, a jego kędzierzawe uszy drżały z wyczekiwania.

– Sorry, stary, nie mam nic do jedzenia – wymamrotałem, stłumiwszy beknięcie.

Pia roześmiała się obok mnie i kopnięciem zrzuciła z siebie kołdrę.

Spojrzałem na jej nagie ciało pokryte tatuażami.

– Czy on znowu jest głodny? – spytała.

– Wygląda, jakby chciał mnie zjeść.

– No co ty, przecież jest łagodny jak baranek.

Wstała i nie narzucając nic na siebie, wyszła z sypialni. Kilka sekund później usłyszałem, jak siusia – widocznie nie zamknęła drzwi ubikacji. Potem stanęła w wejściu do pokoju z ręką opartą na futrynie. Emanowała rozkosznym rozleniwieniem, a z jej twarzy biła pewność siebie.

Objąłem wzrokiem jej ciało. Było piękne: proporcjonalne i w miarę pełne. Skóra gładka i opalona, tatuaże mogłyby być może trochę dyskretniejsze jak na mój gust, ale nie jestem wybredny.

Chyba powinienem był odczuwać swego rodzaju męską dumę, że przespałem się z tak młodą i atrakcyjną istotą, prymitywną satysfakcją, że wciąż jestem w stanie uwieść kobietę o dwadzieścia lat młodszą. Tymczasem odczuwałem jedynie odrazę i obrzydzenie – nie wobec niej, ale wobec siebie.

Patrzyłem na nią tak, jak alkoholik patrzy na puste butelki lśniące w blasku poranka. To było też spojrzenie młodej kobiety oglądającej nowo kupione ciuchy, podczas gdy w głowie podlicza debet na koncie i zadaje sobie pytanie, skąd, do cholery, weźmie pieniądze na czynsz. Albo spojrzenie gracza na bezużyteczne kupony totolotka z krzyżykami postawionymi w niewłaściwych kratkach.

– Gunnar Wijk – powiedziała powoli, jakby moje nazwisko było potrawą, którą właśnie przygotowała i zamierzała podać swoim gościom.

– To ja.

– Powinnam iść do mamy, zrobiło się późno.

– To idź.

– Nie wiem, na ile ją znasz, ale Billy to jej ukochane dziecko. Jeśli zaraz go nie odprowadzę, zacznie się niepokoić.

Nie wspomniałem ani słowem, że znam ją lepiej, niż sobie wyobraża.

Poznałem Pię, kiedy jej matka wybrała się na wycieczkę autokarową szlakiem „skarbów sztuki środkowoeuropejskiej”. Kerstin uwielbia takie rzeczy. Kultura wyższa. Regularnie chodzi na wystawy, do teatru i do kina. Nieraz próbowała i mnie namówić, ale ja nie jestem aż tak zainteresowany. Kiedyś zaproponowałem jej pójście na komedię sensacyjną w lokalnym kinie, na co tylko wybuchła śmiechem i spojrzała na mnie jak na wariata.

Podczas gdy Kerstin oglądała drogocenne zbiory sztuki w Budapeszcie, Wiedniu i Pradze, w mieszkaniu na czwartym piętrze mieszkała jej córka Pia. Zajmowała się Billym, podlewała kwiaty i opłacała rachunki. Spotkaliśmy się przypadkiem, gdy stowarzyszenie lokatorów urządziło wspólne wiosenne porządki, i to, co zaczęło się od uprzejmej konwersacji, skończyło się jak zwykle – w moim łóżku.

Pia zebrała swoje rzeczy z podłogi.

– Wezmę prysznic.

– Weź – odparłem, a potem wstałem, włożyłem stary szlafrok, przy którym już od dawna nie było szlufek ani paska, i poszedłem do kuchni. Z łazienki dobiegał szum lejącej się z prysznica wody oraz głuchy odgłos stóp, gdy Pia kręciła się po kabinie prysznicowej.

Odmierzyłem kawę na dwie porcje i włączyłem ekspres. Niedługo potem zaczął skapywać gorący i aromatyczny napój. Billy stał przy moich nogach i przyglądał się z zainteresowaniem, machając ogonem.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

W pierwszej chwili nie zamierzałem otwierać – ktokolwiek to był, mógł przyjść kiedy indziej. Ale sekundę później Billy zareagował na hałas i zaczął szczekać jak opętany.

Owinąłem się więc ciaśniej szlafrokiem, wyszedłem do przedpokoju i precisnąłem się obok psa.

– Cicho bądź – syknąłem na niego, on jednak ujadał dalej.

W końcu otworzyłem.

– Cześć – przywitała mnie Kerstin, wyciągając w moją stronę torbę z bułeczkami. – Pomyślałam sobie...

Nagle urwała i zmarszczyła czoło.

– Billy? – zdziwiła się.

Pies wybiegł na klatkę schodową i zaczął skakać wokół niej z dziką radością.

– Billy? – powtórzyła, spoglądając to na niego, to na mnie. – Dlaczego? Jak to?

Za moimi plecami też otworzyły się drzwi. Odwróciłem się i zobaczyłem Pię, która właśnie wyszła z łazienki z ręcznikiem zawiązanym na biodrach. Piersi i ramiona błyszczały od wilgoci, a na czubku jej głowy sterczał nieduży koczek.

– Mama? – powiedziała, szeroko otwierając oczy.

– Pia? – rzuciła Kerstin. – Co ty, na litość boską, tutaj robisz?

Jej twarz nagle spochmurniała, a pomalowane na czerwono usta ściągnęły się w wąską kreskę. Dłoń trzymająca torebkę z bułeczkami pobladała.

– Ty załosny dupku – wycedziła przez zęby i wymierzyła mi tak siarczysty policzek, że niemal się zatoczyłem.

Potem odwróciła się i ruszyła w kierunku schodów.

Billy spojrział na mnie niezdecydowany, w końcu jednak podreptał za swoją panią.

*

Zatrzymaliśmy się przed okazałą posiadłością przy Strandvagen w centrum Sztokholmu. Odchyliwszy głowę do tyłu, patrzyłem na fasadę ozdobioną kolumnienkami, figurami aniołów i stylizowanymi wieńcami laurowymi.

Z nieba leciały duże płatki śniegu i lądowały na moim czole.

– Niczego sobie – stwierdziłem, zwracając się do Manfreda.

– A czego się spodziewałeś? Oni są nieprzyzwoicie bogaci.

– Jak ty?

Popatrzył na mnie przeciągle, ale nic nie powiedział. Potem podszedł do wejścia, zdjął rękawiczkę i uniósł pulchny palec ku małemu panelowi z cyframi.

– Jaki jest kod?

– Dziewiętnaście dwadzieścia dziewięć. Wielki krach na giełdzie. Z pewnością każdy w tym domu ma z nim jakiś związek.

Wbił po kolei cyfry, rozległo się brzęczenie i po chwili drzwi się uchyliły.

Weszliśmy na klatkę, popatrzyliśmy na mosiężne tabliczki widoczne na ścianie i dowiedzieliśmy się, że de Veghowie mieszkają na szóstym piętrze.

– Powinno być miło – odezwałem się, patrząc na malowidła w kolorach ochry i złota.

Manfred nic nie odpowiedział, tylko zmarszczył czoło, jakby coś go niepokoiło.

Czasami odnosiłem wrażenie, że trochę przeszkadzał mu fakt, iż pochodził z rodziny należącej do klasy wyższej – mieszkał zaledwie kilka przecznic dalej, wśród garstki bogaczy, którzy nie muszą się zastanawiać, czy wystarczy im pieniędzy na filec wołowy w piątek lub butelkę prawdziwego szampana. W policji większość pracowników miała inne pochodzenie – przeważnie byli to tak zwani zwykli ludzie. Choć z pewnością warto zadać sobie pytanie, kto to jest ten tak zwany zwykły człowiek; sam nie jestem pewien, czy kiedykolwiek spotkałem kogoś takiego. A Manfred pod wieloma względami był przecież całkiem zwyczajny: rozwiódł się, ożenił się po raz drugi i miał córeczkę. Zawoził ją do przedszkola, pieklił się ze swoją eks i walczył z nadwagą.

Zwykły do bólu.

Może to ja byłem nienormalny, tylko nie chciałem się do tego przyznać.

Weszliśmy do windy, w której znajdowały się obita skórą ławeczka oraz dwa lustra w złotych ramach. Manfred schował rękawiczki do kieszeni i nacisnął odpowiedni guzik.

– Czyli Amelie de Vegh jest w Szwecji? – spytał.

– W tym momencie tak. Ale ogólnie mieszka z mężem w Szwajcarii.

– A to skromne mieszkanko?

– Należy do Casimira, jej syna.

Winda szarpnęła i przystanęła. Wyszliśmy z kabiny.

Na piętrze znajdowało się tylko dwoje drzwi. Jak wynikało z wiszących na nich tabliczek, za jednymi mieściło się mieszkanie von Essenów, a za drugimi – de Veghów.

Manfred zadzwonił, po czym rozpiął płaszcz, który opinał mu brzuch.

Po chwili otworzył nam mężczyzna po czterdziestce ubrany w dżinsy i sweter z wielbłądziej wełny z dziurą na jednym łokciu.

– Casimir – przedstawił się, wyciągając rękę. – Pan...

– Gunnar Wijk – przywitałem się. – Z policji.

Skinął głową i zaprosił nas do środka.

Pomalowany na biało hol z elegancką drewnianą wykładziną ścienną do połowy wysokości i wyłożoną parkietem podłogą wypełniony był sztuką nowoczesną. W otwartym kominku w salonie, widocznym przez otwarte dwuskrzydłowe drzwi, palił się ogień. Za dużymi oknami dostrzegłem zarysy Muzeum Nordyckiego na wyspie Djurgarden.

Do holu wyszedł jeszcze jeden mężczyzna: szczuplejszy, z ciemnymi kręconymi włosami i o wyrazistych rysach. Chociaż minęło dwadzieścia lat od czasu, kiedy ostatnio go widziałem, rozpoznałem go od razu.

– Tom – powiedział i wyciągnął rękę. – Tom Borgmark.

Gdy uścisnął mi dłoń, dziwnie znieruchomiał, zmienił się też wyraz jego twarzy.

– Oczywiście – odrzekłem. – Spotkaliśmy się już kiedyś. Brałem udział w śledztwie w sprawie śmierci Yasmin.

Skinął głową i na chwilę zatrzymał na mnie spojrzenie.

– Chcieliście porozmawiać ze mną i z mamą? – wtrącił Casimir.

– Tak. Jeśli to możliwe – potwierdził Manfred.

– Mama jest w bibliotece. Zaprowadzę panów – powiedział, a następnie zwrócił się do Toma: – Skończyliśmy na dzisiaj, prawda?

– Jasne. Jutro możemy kontynuować dalsze ustalenia.

Tom włożył kurtkę i skinąwszy nam na pożegnanie, wyszedł.

Ja i Manfred ruszyliśmy za Casimirem – stara podłoga skrzypiała, ale grube dywany, tak mięsiste i miękkie, że można by chyba na nich spać, tłumiły nasze kroki.

Znaleźliśmy się w bibliotece: ściany od podłogi po sufit pokryte były białymi regałami. Z ozdobnego plafonu pośrodku zwisał ogromny kryształowy żyrandol. Zerknąłem na półki: pewnie było na nich trochę prawdziwych książek, ale większość to tylko okładki. Tu i ówdzie stały fotografie, nieduże figurki i kilka wazonów.

Amelie de Vegh siedziała przy biurku pochylona nad laptopem.

Miała krótko obcięte, kręcone siwe włosy i była dosyć przysadzista, a na nasz widok uśmiechnęła się przyjaźnie, choć nieco niepewnie.

Po zwyczajowych uprzejmościach usiedliśmy na fotelach stojących wokół okrągłego stolika pod przeciwległą ścianą.

– Kawy? – spytała. – A może herbaty?

– Dziękujemy – odpowiedział Manfred. – Nie zabierzemy państwu dużo czasu.

Skinąwszy głową, pani de Vegh położyła dłoń na naszyjniku z pereł spoczywającym na pomarszczonej skórze jej dekoltu.

– W czym możemy panom pomóc?

– Jak wspomniałem przez telefon, jakiś czas temu w Kungsudd znaleziono w morzu zwłoki młodej kobiety – zacząłem. – Ciało długo leżało w wodzie. Być może około dwudziestu lat.

Casimir spojrzał najpierw na nas, a potem na swoją matkę.

– I pewnie sądzicie, że to jest Yasmin Foukara?

– Nie – odrzekłem. – To nie ona, lekarz medycyny sądowej nie ma co do tego wątpliwości. Ta kobieta była dziesięć centymetrów niższa od Yasmin, miała około metra i pięćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu. Poza tym urodziła co najmniej jedno dziecko.

Amelie powoli pokręciła głową.

– Skoro to nie Yasmin, nie bardzo rozumiem, jak mogłabym panom pomóc – powiedziała nieco wyniośle.

– Ona pochodziła z Ameryki Południowej, prawdopodobnie z Kolumbii.

– Tak?

Pani de Vegh lekko obróciła sygnet, który miała na małym palcu lewej dłoni.

– Nadal nie bardzo rozumiem – rzekła z autentycznie zdezorientowaną miną.

– Uzyskaliśmy informację, że w roku, w którym zniknęła Yasmin, zatrudniała pani jako pomoc domową młodą Kolumbijkę – wyjaśnił Manfred.

Amelie uśmiechnęła się nieznacznie.

– Ach, teraz rozumiem. Owszem, zgadza się. Ale ona odeszła.

– Odeszła czy zniknęła? – spytałem.

Kobieta lekko wzruszyła ramionami.

– Kto to wie? Pewnego wieczoru po prostu jej nie było. Akurat piekła bułeczki. Kiedy Casimir i mój mąż wrócili do domu, znaleźli je spalone w piecyku, a po niej ani śladu.

– Dlaczego nigdy nie zgłosili państwo jej zaginięcia? – zadałem kolejne pytanie.

– Mój Boże – odparła, wyrzucając przed siebie ręce i wznosząc oczy ku sufitowi. – Myśleliśmy, że odeszła z własnej woli. Zniknęły jej rzeczy, poza tym te dziewczyny nigdy nie zagrzewały długo miejsca. Szybko się nudziły. Poznawały jakiegoś chłopaka. Albo wracały do rodziny. Nawet nie pamiętam, jak one wszystkie wyglądały ani jak się nazywały.

– No właśnie – wtrącił Manfred. – A ta jak się nazywała?

Amelie spojrzała na swoje kolana, uśmiechnęła się i pokręciła głową. Następnie sięgnęła po paczkę papierosów ze stolika. Wyjęła jednego i zapaliła.

– Nie pamiętam. Jak już wspomniałam, w tamtych latach przewinęło się ich u nas wiele.

– Mówi pani serio? – zdziwiłem się. – Nie pamięta pani choćby jej imienia?

– Nie, ale jeśli panu zależy, mogę sprawdzić w starych notatkach. Może gdzieś je zapisałam.

Ostrożnie strząsnęła popiół do porcelanowej popielniczki.

– Wobec tego poproszę – powiedział Manfred, przyglądając się jej dłoni.

– A pan? – zwróciłem się do Casimira, który dotąd milczał. – Pan też nie pamięta, jak ona się nazywała?

Z twarzy odpłynęła mu chyba cała krew, a czoło błyszczało od potu. Otworzył usta i zaraz je zamknął, nie powiedziawszy ani słowa. Matka położyła mu dłoń na ramieniu.

– Ależ Casse – rzuciła. – Co się dzieje?

– To...

Pokręcił głową i obiema dłońmi przeczesał sobie włosy, po czym głęboko zaczerpnął powietrza.

– Przepraszam. Nie, nie pamiętam, jak ona się nazywała – oznajmił.

– Ale ją samą pan pamięta? – nie dawałem za wygraną.

– Nie – zaprzeczył szybko, chyba za szybko. – Nie pamiętam żadnej z tamtych dziewczyn.

W ciszy, jaka zaległa, błyskawicznie analizowałem jego reakcję.

– A nie mają państwo jakiegoś starego zdjęcia tej kobiety? – spytał Manfred.

Twarz Amelie przybrała chłodny wyraz.

– Zdjęcia gosposi? Nie sądzę.

– A może Urząd Skarbowy dysponuje jakimiś informacjami na jej temat? – zasugerowałem. – Zakładam, że nie zatrudniali państwo pracowników na czarno?

Pani de Vegh skierowała na mnie nieugięte spojrzenie.

– Nie zamierzam teraz wstydzić się za to, że dwadzieścia lat temu skorzystaliśmy z pomocy zagranicznej siły roboczej bez płacenia podatków i składek na ubezpieczenia społeczne – odparła, dumnie prostując plecy. – Zresztą to i tak już dawno uległo przedawnieniu.

– Niewątpliwie – odpowiedziałem. – Poza tym przestępstwa podatkowe to nie nasza działka. Nas bardziej interesuje, jak to możliwe, że ta kobieta zniknęła bez śladu, a państwa to w ogóle nie zaniepokoiło i nie skłoniło do złożenia zawiadomienia na policję.

– Przecież zniknęły też jej rzeczy.

– Chwileczkę – kontynuowałem. – Pani mąż i syn wrócili do domu i, jak pani twierdzi, znaleźli w piecu blachę ze zwęglonymi bułkami? To chyba powinno być wzbudzić podejrzenia? Nikt raczej nie pakuje walizek i nie daje drapaką w samym środku pieczenia czegokolwiek?

Po chwili wahania Amelie powiedziała z ociąganiem, jednocześnie gasząc papierosa:

– Mieliśmy z nią trochę problemów.

– Nie wierzę, żeby pani nie pamiętała, jak ona wyglądała albo jak się nazywała – zauważyłem.

– Naprawdę dziś już nie wiem, jak ona miała na imię. Ale ją samą oczywiście pamiętam, bo... – przeciągnęła dłońmi po udach w eleganckich spodniach – ...działy się pewne rzeczy – dokończyła.

– Jakie rzeczy? – spytał Manfred, pochylając się do przodu.

– Podejrzewaliśmy, że ona kradnie. Zginęło parę przedmiotów.

– Jakich? – próbowałem doprecyzować.

– Bizuterii. Zniknęła część bizuterii.

30

Manfred wędrował tam i z powrotem po swoim niedużym pokoju, a ja obserwowałam go z krzesła przy biurku. Odwiesił marynarkę i podwinął rękawy koszuli. Za oknem było czarno – nieprzenikniona ciemność napierała na szybę, jakby tuż przed budynkiem jakieś monstrualnie wielkie zwierzę ułożyło się do snu.

– Wracając do naszego spotkania dziś rano – zacząłem. – Co sądzisz o reakcji Casimira de Vegha?

– Myślę, że wie więcej, niż mówi. Przecież to jasne jak słońce, że on ją dobrze pamięta. Wyglądał, jakby zaraz miał narobić w spodnie.

– Może powinniśmy pogadać też z Tomem Borgmarkiem?

– A dlaczego on miałby wiedzieć, jak nazywała się gospoia de Veghów?

Wzruszyłem ramionami.

– Spędzał u nich sporo czasu. Nawiasem mówiąc, wysłałem zawiadomienie do opieki społecznej. Kiedy byłem u Marii Foukary, akurat wpadła do niej jego żona, żeby odebrać córki. Była nieźle napruta. Podobno ma poważny problem z alkoholem, a to niewątpliwie odbija się na dzieciach.

– Nie wystarczy mieć pieniądze na koncie, żeby uodpornić się na takie rzeczy.

Manfred zatrzymał się przed oknem, wyjrzał w ciemność i powoli przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

– Rozmawiałem przez telefon z mężem pani de Vegh – poinformowałem.

– Z Gregerem?

– Tak. W ogóle nie pamięta tamtej kobiety. Powiedział, że jeśli ktokolwiek wie, jak ona się nazywała, to tylko Amelie. Skontaktowałem się też z pozostałymi braćmi, Haroldem i Douglasem. Oni też nie pamiętają jej imienia ani nazwiska, ale średni brat, Douglas, przyznał, że

zawsze była dla nich miła i pomocna. Ale oczywiście nie mają żadnego zdjęcia.

– No jasne, kto by tam fotografował jakąś pomoc domową? Przecież była nikim. Przejechała pół kuli ziemskiej, żeby im sprzątać i piec bułeczki, zostawiła własne dziecko w Kolumbii, żeby harować dla rodziny, która wymazała jej imię z pamięci w tej samej chwili, gdy jej ciało wrzucono do morza.

Manfred wzruszył ramionami i odwrócił się, kiwając głową.

– W co drugim domu w Kungsudd jest niania i gosposia.

Zastanowiłem się przez moment.

– A co te wszystkie dziewczyny robią w czasie, kiedy nie pracują?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– A ja chyba wiem. Znasz numer do miejscowej policji?

*

Stałem na szczycie Kungsklippan i patrzyłem na ołowianoszare morze. Ciężkie chmury zasnuwały niebo, ale widoczne tu i ówdzie niebieskie smugi zdradzały, że ponad ich zwartą pokrywą wciąż świeciło słońce.

Wiatr szarpał mi kurtkę i targał włosy, które mozolnie zaczesalem na łysinę. Uniosłem rękę do głowy, aby je przytrzymać, a kiedy spojrzałem znad krawędzi w dół, poczułem ukłucie w żołądku. Fale przetaczały się po skałach u podnóża klifu, załamywały się i zamieniały w białą pianę.

Dwadzieścia lat w wodzie. Dwadzieścia lat w objęciach lodowatego Bałtyku.

Gdzieś było jej dziecko. Nieświadome tego, co się stało. Mały człowieczek, któremu dała życie, prawdopodobnie dorósł, być może ma już własne dzieci. Po drugiej stronie kuli ziemskiej toczyło się życie, ale tutaj, pod powierzchnią morza, panowała martwota. Fale kołysały jej ciałem, które stopniowo się rozkładało, aż wreszcie zostały z niego same kości. Po zimie przyszła wiosna, kolejne wiosny następowały po kolejnych zimach. Mijał rok za rokiem, a ona, nieznajoma o niewiadomym losie, pozostała zapomniana.

Nikt za nią nie tęsknił, nikt nie wszczął alarmu ani jej nie szukał.

Pomyślałem o tym, co powiedział Manfred.

„W co drugim domu w Kungsudd jest niania i gosposia”.

Jakże inaczej wygląda nasze życie. Jak bardzo jesteśmy rozpieszczeni – ja także – tym wszystkim, co uważamy za oczywiste: naszą wolnością

wyboru własnej ścieżki życiowej, poczuciem bezpieczeństwa, możliwością przetrwania i oczywistym prawem do bycia blisko tych, których kochamy.

– Chyba zaraz odpadną mi jaja z zimna – syknął Manfred. – Długo będziemy tu tak jeszcze stać?

Odwrociłem się w jego stronę. Skulony przestępował z nogi na nogę, otulając się coraz szczelniej cienkim kaszmirowym płaszczem.

– Powinieneś się cieplej ubierać – zauważyłem.

– Nie mówiłeś, że wybieramy się na długi spacer.

– Chciałem jeszcze raz zobaczyć to miejsce. To urwisko.

– Po co?

Nie miałem odpowiedzi na jego pytanie. To tylko urwisko, nie powie mi, co stało się z nieznaną kobietą, która spoczywała na dnie.

Mimo to czułem, że morze próbowało jednak do mnie przemówić, że coś szeptało i że jego przesłanie było ważne. Przez hałas i szum nie potrafiłem rozróżnić słów, ale potrzebowałem tylko czasu. Czasu, aby połączyć elementy układanki, której na razie nie byliśmy w stanie ujrzeć w całości.

Minęły dwa dni, odkąd lokalna policja zaczęła przeprowadzać wywiady z mieszkańcami okolicy i dzięki temu trafiła na pewien trop. Razem z Manfredem mieliśmy wybrać się do rodziny, która mieszkała kilkaset metrów od posiadłości Kungsudd – być może oni pomogą nam odpowiedzieć na pytanie, kim była tajemnicza kobieta z Kolumbii.

– Okej – powiedziałem. – Jedziemy.

Wróciliśmy do samochodu i w milczeniu pokonaliśmy krótki odcinek dzielący nas od domu Wennergrenów.

Duży, niski budynek z betonu i szkła przywodził na myśl modernistyczne muzeum. Znajdował się na klifie i z jego okien roztaczał się widok na morze. Przed garażem stały dwa auta: czarne audi i czerwony mini.

– Jego i jej – stwierdziłem, wskazując na nie głową.

Manfred nic nie powiedział.

Głośny chrzęst żwiru pod stopami towarzyszył naszym krokom, gdy szliśmy do wejścia. „Wennergren” – głosił napis na dyskretnej srebrnej tabliczce na drzwiach.

Nacisnęliśmy dzwonek i po chwili otworzyła nam kobieta po pięćdziesiątce ubrana w strój treningowy.

– Eva Wennergren – przywitała nas i zaprosiła do środka.

W utrzymanym w szaro-białej tonacji wnętrzu dominowały surowe meble pozbawione jakichkolwiek ozdób. Kątem oka zauważyłem w kuchni blaty ze stali nierdzewnej, które od razu skojarzyły mi się z Zakładem Medycyny Sądowej w Solnie.

Wzdrygnąłem się, mimo że w domu było dosyć ciepło.

– Czy to zajmie nam dużo czasu? Za pół godziny mam jogę.

– Nie – odparł Manfred. – To nie zajmie nam dużo czasu.

Usiedliśmy w salonie na kanapie, która okazała się twarda i niewygodna. Za stolik kawowy służyła marmurowa bryła w kształcie sześcianu. Na nim, ułożone w formę wachlarza, leżały albumy o sztuce. Z okien sięgających od podłogi do sufitu roztaczał się widok na klify i morze. Nad horyzontem zawisała delikatna mgła, niczym snujący się gdzieś w oddali dym z ogniska.

– Chcieli panowie porozmawiać o naszej niani? – zaczęła Eva, wyłączając jednocześnie muzykę pilotem.

– Tak – potwierdziłem. – Podobno dwadzieścia lat temu mieli państwo meksykańską opiekunkę do dzieci?

Kobieta się uśmiechnęła.

– Zgadza się. Margarita. Prawdziwy skarb.

– Czyli pamięta pani, jak ona się nazywała?

Eva zmarszczyła czoło.

– A dlaczego miałabym nie pamiętać? Pracowała u nas przez dwa lata, zajmowała się dziećmi, kiedy były małe. Pozostaliśmy z nią w kontakcie. Dobrze jej się ułożyło. Dziś jest pielęgniarzką w Mexico City, ma dwójkę dzieci. Jeśli wybierzemy się do Meksyku, na pewno ją odwiedzimy.

Słońce przedarło się przez chmury i trochę nas oślepiło. Nagle cały salon był skąpany w świetle.

Zmrużywszy oczy, gospodyni sięgnęła po innego pilota i przycisnęła jeden z guzików. Sekundę później coś zabuczało i w oknach rozwinęły się zasłony z cienkiej tkaniny.

– Czy Margarita widywała się z gospożą de Veghów? – spytał Manfred. Eva ponownie się uśmiechnęła.

– Oczywiście, bez przerwy się spotykały. Na pewno cieszyły się, że mogą porozmawiać po hiszpańsku i mieć kontakt z kimś z tej samej części świata. Myślę, że to niełatwe: opuścić rodzinę i przyjaciół, żeby pracować z dala od domu, gdzieś na innym kontynencie.

– Z pewnością. Czy pamięta pani, jak nazywała się gospościa de Veghów?

Kobieta zastanowiła się przez chwilę, powoli gładząc dłonią legginsy z lycry, po czym jej twarz nagle pojaśniała.

– Chyba Paola. Tak, Paola. Nazwiska nie pamiętam. Ale mogą panowie spytać o to Margaritę. Zaraz dam wam do niej numer.

31

Poprosiłem Manfreda, by wysadził mnie przed domem Marii Foukary.

– Chcę z nią porozmawiać – wyjaśniłem.

– Jak się potem dostaniesz do miasta?

– Pociągiem. Muszę pomyśleć. Do Margarity i tak na razie nie możemy zadzwonić, w Meksyku jest teraz czwarta rano.

Manfred spojrział na mnie, jakbym stracił rozum, ale w końcu wzruszył ramionami.

Podjechaliśmy pod dom Marii. Z komina snuł się dym i po chwili dostrzegłem przez okno jej sylwetkę – wyglądała, jakby stała pochylona nad czymś przy kuchennym stole.

– Zobaczmy się później – powiedziałem, wysiadając z samochodu.

– Nie rozumiem cię – rzucił Manfred.

Zatrzasnąłem drzwi, nie odpowiadając mu.

Zawrócił, dodał gazu i odjechał.

Może coś zupełnie innego, a może jednak widok Marii za szybą obudził we mnie wspomnienie innego czasu i innej kobiety stojącej w oknie.

*

To był tamten wieczór, kiedy Li patrzyła przez okno, jak się oddalałem, chociaż prosiła, bym został z nią w domu.

Tamtego wieczoru nie zapomnę do końca życia.

Zajmowałem się wtedy sprawą zabójstwa Yasmin i bez przerwy pracowałem.

Li była na mnie zła. Potrafiła być strasznie zrzędliva i marudna, kiedy miała zły nastrój. Właśnie tak było wtedy.

– To tak ma wyglądać nasze życie? – syknęła przez zęby, kiedy stałem już w przedpokoju i szykowałem się do wyjścia. – Zamierzasz też tak

ciągle pracować, kiedy urodzi się dziecko? Jeśli tak, to się wyprowadzę. Słyszysz? Wtedy będziesz mógł siedzieć tu sobie sam jak palec.

Wzięła się pod boki.

– I pracować do woli – dodała.

– Wrócę najpóźniej o dziewiątej – powiedziałem i włożyłem kurtkę.

Tak, tę kurtkę. Słynną puchówkę, która ogrzewała mnie od dwudziestu lat.

– Przecież dopiero wróciłeś.

– Coś się stało.

– Zawsze się coś dzieje.

– Wrócę szybko.

Drzwi do sypialni były uchylone. Na łóżku dostrzegłem starannie poukładane kupki ubrań.

– Pakujesz się? – spytałem.

– Porządkuję twoje rzeczy – syknęła, wywracając oczami. Włosy miała splecione w dwa krótkie warkoczyki, a jej duży brzuch sterczał dumnie w spodniach ogrodniczkach.

Potem pokręciła głową i westchnęła.

– Przepraszam. Nie najlepiej się dziś czuję.

Mówiła cienkim i łamiącym się głosem, ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

– Dlaczego? Co ci jest?

– Brzuch. Boli mnie.

Zawahałem się – trwało to sekundę, może dwie. Negocjowałem sam ze sobą.

Ann-Britt się wścieknie, jeśli się nie pojawię. Przysłano wyniki analizy DNA z materiału pobranego z rzeczy znalezionych na wysypisku śmieci i zostałem wezwany w trybie natychmiastowym na spotkanie z prokuratorem, Ann-Britt i pozostałymi śledczymi.

Spojrzałem na Li.

Wyglądała normalnie – na silną, zdrową i bardzo ciężarną. Pomyślałem, że pewnie trochę brakuje jej towarzystwa i ma dosyć spędzania każdego wieczoru samotnie w oczekiwaniu, aż śledztwo, które wydawało mi się tak ważne dla mojej kariery, dobiegnie końca.

– Pojadę tylko po parę dokumentów – skłamałem. – Będę z powrotem za godzinę.

Kiedy spojrzała na mnie przeciągle, od razu wiedziałem, że mi nie uwierzyła i że cokolwiek zrobię, uzna, że ona i dziecko liczą się dla mnie mniej niż praca.

Wyszedłszy na ulicę, spojrzałem w górę i zobaczyłem ją w oknie – ciemną sylwetkę na tle oświetlonego pokoju.

Odwrociłem się i ruszyłem dalej.

Kłamiemy, aby chronić siebie i tych, których kochamy. Kłamiemy z lenistwa, bo kłamstwo jest łatwiejsze niż prawda. Ktoś kiedyś powiedział: kłamstwo okrąży pół kuli ziemskiej, zanim prawda zdąży ledwie zasznurować buty.

Kłamiemy, żeby dodać sobie znaczenia albo wydać się bardziej interesujący, bo prawda bywa czasem piekielnie prozaiczna i przyziemna. Kłamiemy z niewiedzy, ze strachu i z tysiąca innych powodów. I zazwyczaj nie ma to większego znaczenia, no bo czymże jest kropla nieprawdy w oceanie szczerości?

Kłamstwo jest jak słodki mały króliczek – wydaje się taki nieszkodliwy, taki niewinny. Lecz zanim się obejrzymy, wyślizgnie się nam z rąk, rozmnoży i nagle cały las robi się pełen królików. Pierwsze kłamstwo staje się pożywką dla kolejnego, to zaś rodzi następne. W końcu nie da się już ich zliczyć, a tym bardziej zaprowadzić porządku.

Nie sądziliśmy, nie chcieliśmy i nie przypuszczaliśmy, że nasze kłamstwo wywoła katastrofę.

Ale czasami właśnie tak się dzieje.

Siedzieliśmy jak zwykle przy stole w kuchni. Maria tradycyjnie zrobiła kawę. Oczywiście miałem do niej różne pytania, ale nie one były prawdziwym powodem mojej wizyty. Równie dobrze mógłbym zadzwonić.

– O czym chciał pan porozmawiać? – spytała i wsunęła do ust kawałek piernika. Widząc parę okruchów na jej brodzie, ledwie oparłem się impulsowi, by wyciągnąć rękę i je wytrzeć.

Przysunęła drugie krzesło i położyła nogi na siedzeniu. Miała na sobie dresowe spodnie, grube skarpety i robiony na drutach sweter. Włosy związała w luźny węzeł.

Była piękna. Zawsze uważałem, że jest piękna i niezwykle naturalna: nigdy nie zauważyłem u niej choćby śladu makijażu, ani odrobiny sztuczności, wystudiowania, wykreowanej pozy, która tak wielu kobietom wydaje się atrakcyjna.

– Sądzimy, że może pani mieć rację. Gospoia de Veghów pochodziła z Kolumbii, prawdopodobnie to jej szczątki znaleźliśmy.

Maria popatrzyła na mnie w milczeniu.

– Podobno miała na imię Paola – dodałem. – Czy to brzmi znajomo?

– Paola?

Zmarszczyła czoło i bezradnie pokręciła głową.

– Niestety. Nie pamiętam.

– Czy Samir kiedykolwiek ją spotkał?

– Samir? On nigdy nie był u de Veghów, nie lubili go. Zwłaszcza Harold, najstarszy z ich synów. Zdaje się, że należał do jakiejś ekstremistycznej prawicowej organizacji, nie cierpiał imigrantów.

Opuściła wzrok i lekko się uśmiechnęła.

– Wielu nie lubiło Samira – dodała.

– A Yasmin? Spotykała się z nią?

– Nie sądzę. Chociaż mówiąc szczerze, nie miałam specjalnego rozeznania, z kim ona się spotykała. Chodziła własnymi drogami i nie opowiadała wiele o swoich znajomych. Dlaczego pan o to pyta?

Zamilkła, ale zaraz szeroko otworzyła oczy.

– Kolczyk... Chodzi o kolczyk, tak? Przecież kolczyk Yasmin znaleziono przy ciele Paoli. Czyli musiało istnieć między nimi jakieś powiązanie.

Nie odpowiedziałem, ale byłem pod wrażeniem jej umiejętności dedukcji.

Wypiła łyk kawy. Węzeł włosów trochę się rozluźnił i zsunął niżej.

– Czy tamtej zimy zniknęła pani jakaś biżuteria? – spytałem.

– Biżuteria?

Maria wyglądała na ubawioną.

– Ja nie miałam żadnej biżuterii – odparła z uśmiechem. – Tylko obrączkę ślubną, no i może parę srebrnych pierścionków, ale to nie było nic wartościowego.

– A Yasmin? Czy wspominała coś o tym kolczyku?

– Nie miałam rozeznania w jej rzeczach. Zresztą ona sama chyba też nie. W jej pokoju nie sposób było nic znaleźć, panował tam straszny bałagan.

Na schodach prowadzących na górę rozległy się czyjeś kroki. Po chwili w drzwiach kuchni stanął Vincent.

Natychmiast go poznałem. Znacznie przytył, włosy miał rzadsze i już nie tak ogniście rude jak dawniej, ale jasne oczy i okrągła twarz

pozostały takie same.

Na mój widok zatrzymał się w pół kroku. Jedną ręką obciągnął bluzę i rzucił niepewne spojrzenie w kierunku Marii.

– Cześć, Vincent – odezwałem się. – Nazywam się Gunnar i jestem z policji. Poznaliśmy się wiele lat temu, kiedy zginęła Yasmin.

Nie odpowiedział. Stał ze wzrokiem nadal utkwionym w matce, palcami skubiąc skraj bluzy.

– Prawie wcale się nie zmieniłeś – powiedziałem. – Jak się miewasz?

Przeniósł spojrzenie na jakiś punkt na prawo ode mnie, zamrugał kilka razy i nic nie mówiąc, kiwnął głową.

– Napijesz się z nami kawy? – zaproponowała Maria.

Tym razem pokręcił głową, puścił skraj bluzy i obiema rękami narysował coś w powietrzu.

– Aha, wobec tego już ruszaj, żebyś nie spóźnił się na autobus – powiedziała Maria.

Zniknął w przedpokoju.

– I pozdrów Biancę – dodała.

Nie odpowiedział. Kilka sekund później trzasnęły drzwi, a potem zobaczyłem przez okno, jak naciągnął plecak na ramiona i ruszył w kierunku drogi.

– No więc tak to wygląda – odezwała się Maria. – Ani słowa.

Odprowadziłem go wzrokiem, aż zniknął między drzewami – szedł szybkim krokiem, pochylony, jakby czegoś wypatrywał na zamarzniętej ziemi.

Potem spojrzałem na nią, szukając w jej twarzy oznak rozpacz czy smutku, ale ona sprawiała wrażenie pogodzonej.

Dwadzieścia lat i ani jednego słowa. Ta historia miała wiele ofiar.

– Chciałbym porozmawiać o czymś innym – zacząłem.

Maria uniosła jedną brew.

– Wspomniała pani, że była pani na mnie zła – ciągnąłem.

– Owszem. – Roześmiała się cicho. – Ale to było tak dawno temu.

– Kiedy zniknąłem. Powodem tego... W moim życiu coś się w tamtym czasie stało.

Postawiła kubek na stole.

– Chodzi o pańską żonę?

Kiwnąłem głową.

– Li, moja żona, spodziewała się dziecka. Właśnie wprowadziliśmy się do nowego mieszkania.

Spuściłem wzrok i zatrzymałem spojrzenie na swoich dłoniach. Nie mogłem już patrzeć jej w oczy. Poczułem ucisk w klatce piersiowej, powietrze wydało mi się nagle rozrzedzone, jakby pozbawione tlenu.

Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem, tak szczerze, prawdziwie. Chyba sądziłem, że nie jest mi to potrzebne, choć nie była to cała prawda.

Maria milczała, cierpliwie czekała na moje wyznanie. Byłem jej za to wdzięczny.

– Któregoś wieczoru zadzwoniła do mnie Ann-Britt. Musiałem stawić się na komendzie. To znaczy właściwie nikt mnie nie zmuszał, zdecydowałem się jednak pojechać, mimo że Li prosiła, bym tego nie robił. Powiedziała, że boli ją brzuch.

Przerwałem, wsłuchałem się w ciszę i spojrzałem przez okno na popielatoszare jesienne niebo. Liście wirowały na wietrze, parę wron usiadło na trawniku przed domem i zaczęło dziobać w błocie.

– Skłamałem, że pojedę tylko po papiery – opowiadałem dalej. – Obiecałem, że będę z powrotem za godzinę. Ale spotkanie trwało kilka godzin, a ja nie zadzwoniłem, żeby się dowiedzieć, jak ona się czuje. Kiedy wróciłem...

Maria wstała, okrążyła stół i usiadła na krześle obok mnie, a potem otoczyła mnie ramieniem.

– Kiedy wróciłem, ona nie żyła – dokończyłem. – Znalazłem ją w przedpokoju. Chyba próbowała wyjść po pomoc.

Nie opisałem tego, co zobaczyłem, gdy otworzyłem drzwi. To niemożliwe, nie potrafiłbym ubrać tego w słowa. Ciało leżało skulone w pozycji embrionalnej, spodnie były przesiąknięte krwią. Kiedy szukałem pulsu na nadgarstku, jej palce zaczęły już sztywnieć.

Maria wzięła głęboki oddech.

– Boże drogi – szepnęła. – Myślałam, że ona od pana odeszła.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu. Skurcz w klatce piersiowej zupełnie mnie sparaliżował.

– Powiedzieli, że łóżysko się odkleiło i to spowodowało silny krwotok – kontynuowałem. – I że gdybym był w domu, nic by to nie zmieniło. Ale ja w to nie wierzę.

Zamknąłem oczy i oddychałem, usiłując pozbyć się bólu w piersi.

– Skłamałem – szepnąłem. – A ona umarła.

Maria powoli głaskała mnie po głowie.

– Wszyscy kłamią, Gunnarze – powiedziała. – Wszyscy kłamią.

Tu spoczywa Gunnar Wijk. Na oślepe przebiegł przez życie, był niczym trzcina na wietrze, nieświadomy sensu i celu, ale kochany przez wiele spragnionych miłości kobiet”.

Tak, powiedz im, żeby tak napisali na moim nagrobku.

To nie kłamstwo ani nawet ostrożna przesada, to cholerna prawda.

Ale nie zawsze tak było. Przy Li miałem spokój, cel i wiarę w przyszłość. Nie potrzebowałem imponować innym kobietom, zdobywać ich.

Kiedy jednak Li – ten stały punkt, wokół którego zbudowałem swoją egzystencję – odeszła, wszystko się posypało.

Może wyolbrzymiam, mówiąc, że wszystko się posypało. Ostatecznie żyłem przecież dalej. Pracowałem, kochałem – przynajmniej w sensie fizycznym. Tyle że nie potrafiłem już i nie chciałem opierać swojego życia na jednej kobiecie, bo żadna kobieta nie jest nieśmiertelna. Skoro Li, taka silna i taka zdrowa, odeszła, umarła tak po prostu, bez ostrzeżenia, to tym bardziej każda inna osoba mogła pożegnać się z tym światem.

Nawiasem mówiąc, nie tylko mogła. Wręcz powinna.

Poznawałem więc kobietę za kobietą. Poznawałem ciało za ciałem, uczyniłem pożądanie swoją religią, a akt współżycia – sakramentem.

Oczywiście nie obyło się bez plotek.

W pracy nadawano mi różne przezwiska i bynajmniej nie udawałem, że ich nie znam. W kolejce w stołówce koledzy obrzucali mnie wymownymi spojrzeniami. W niektórych sytuacjach dostawałem ostre reprimendy od przełożonych – flirtowanie ze świadkami i koleżankami z pracy jest wysoce niestosowne. Powinienem się opamiętać. Powinienem pomyśleć o własnej reputacji, o odpowiedzialności i o swojej przyszłości. A także o ich przyszłości. Ja tymczasem byłem bezmyślny, nieodpowiedzialny, pozbawiony hamulców. Czy naprawdę nie mogłbym się opanować, nie spuszczać spodni przy każdej nadarzającej się okazji? Czy tak cholernie

trudno jest zapiąć rozporek? W końcu jestem, do diabła, dorosłym facetem?

Przyjmowałem to ze spokojem, bo każda burza zawsze mijała. A potem pojawiła się Bodil; ona nie miała pretensji, tylko się ze mną pieprzyła.

Ponadto zawsze dobrze traktowałem kobiety – dlaczego miałyby być inaczej? Podchodziłem do nich z ciekawością i szacunkiem, ostatecznie nie jestem jakimś dupkiem ani palantem.

Ale już nigdy nie spałem z żadną kobietą pod jednym dachem.

To było zarezerwowane dla Li.

*

Następnego ranka znowu padało – ciężkie krople deszczu zmieszanego ze śniegiem oblepiały grubą warstwą samochody i zalegały na jezdni.

Gdy znalazłem się przy moim starym volkswagenie, zakląłem pod nosem, po czym wyjąłem skrobaczkę i zabrałem się do czyszczenia przedniej szyby. Pod białą mazią znajdowała się warstwa twardego lodu i żeby ją usunąć, musiałem niezłe się napocić.

W końcu się uporałem i rzuciłem skrobaczkę na tylne siedzenie.

Po chodniku w moim kierunku zmierzała znajoma postać. Kerstin z czwartego piętra.

W pierwszym odruchu chciałem wskoczyć do samochodu, przydepnąć gaz i odjechać, ona jednak już mnie zauważyła, pozostałem więc przy aucie i patrzyłem, jak się zbliża z Billym na smyczy. Nad głową trzymała niebieską parasolkę.

Jakaś furgonetka przejechała obok z dużą prędkością i solidnie mnie ochlapała. Poczułem, jak mokra breja spływa mi po łydkach do butów.

Kerstin zatrzymała się na chodniku i przyjrzała mi się uważnie. Jej twarz pod parasolką nabrała chorobliwie fioletowego koloru. Także Billy wpatrywał się we mnie – i nawet on miał oskarżycielskie spojrzenie. Przemoczony wyglądał na chudsze. Sierść na brzuchu, na uszach i wokół zabłoconych łap skręciła się w kędziory.

– Jak mogłeś, Gunnar?

Milczałem, po raz pierwszy od wielu lat zaniemówiłem – naprawdę nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Nie chciałem sprawić jej przykrości. Boże drogi, przecież ja naprawdę ją lubię!

– Kerstin – odezwałem się wreszcie. – Posłuchaj.

Uniosła rękę.

– Nie chcę niczego słuchać.

Zapadła cisza.

– Jesteś... – zaczęła.

Pociągnęła lekko za smycz i znowu na mnie spojrzała. Jej pomalowane na czerwono usta otworzyły się i zamknęły.

– ...dziwką – dokończyła. – Po prostu męską dziwką.

Następnie się odwróciła i poczłapała dalej w deszcz, ciągnąc za sobą Billy'ego.

Jadąc do pracy, myślałem o pogrzebie Samira Foukary. Tamtego dnia, kiedy razem z Ann-Britt dotarliśmy do niewielkiej kaplicy na cmentarzu Leśnym, była tak samo paskudna pogoda – padał śnieg z deszczem.

Oprócz miejskiego urzędnika w ceremonii uczestniczyło niewiele osób, może około dwudziestu.

My znaleźliśmy się tam nie po to, by uczcić pamięć zmarłego, ale żeby odnotować wszystkich obecnych, ponieważ nieraz się zdarza, że sprawca zbrodni pojawia się na pogrzebie swojej ofiary.

Rozmawialiśmy z każdym z osobna – byli to przyjaciele lub koledzy z pracy, czyli z Instytutu Karolinska.

Maria i Vincent się nie pojawili.

Szefowa Samira, kobieta po sześćdziesiątce, płakała głośno podczas całej ceremonii, nieustannie wycierając nos chusteczką w kratkę.

– To był wspaniały człowiek – powiedziała nam już po wszystkim. – Fantastyczny. Nigdy nie uwierzę, że mógłby zabić własną córkę.

Inni okazali się mniej jednoznaczni w swych osądach na temat jego ewentualnej winy.

– Sam już nie wiem, co myśleć – wyznał jeden z jego kolegów, trzydziestoparoletni Algierczyk z kółkiem w nosie. – Oczywiście lubiłem Samira, ale doskonale zdaję sobie sprawę, co religia robi z ludźmi. Czasem działa jak trucizna.

Z kolei Greta, przyjaciółka Marii Foukary, powiedziała:

– Był nadzwyczajny. Wesoły, inteligentny. I przystojny. – Przez jej twarz przemknął cień uśmiechu. – Tylko może nie do końca godny zaufania – dodała.

Gdy spytaliśmy ją, co ma na myśli, przekrzywiła głowę i wyjaśniła:

– To bynajmniej nie znaczy, że zabił Yasmin. Nie w tym rzecz. Chodzi mi o to, że on zawsze stawiał siebie na pierwszym miejscu. I niespecjalnie się przejmował, czy swoim postępowaniem rani innych, czy nie.

*

Późnym popołudniem zebraliśmy się we trójkę w salce konferencyjnej komendy – Manfred i ja usiedliśmy po jednej stronie stołu, a naprzeciwko nas zajęła miejsce Birgit.

– Mieszkałam w Madrycie tylko rok – uprzedziła. – I to w latach osiemdziesiątych, więc nie obiecujcie sobie zbyt wiele.

Skinąwszy głową ze zrozumieniem, przesunąłem w jej stronę telefon konferencyjny.

– Będzie dobrze. Ona mówi też trochę po angielsku.

– Okej – odpowiedziała i wzruszyła ramionami, po czym zerknęła do swojego notesu.

– Jesteś najlepsza – próbowałem dodać jej otuchy.

Spojrzawszy na mnie wymownie, sięgnęła w końcu po słuchawkę i wybrała numer. Po chwili dały się słyszeć trzaski i regularnie powtarzany sygnał.

W jednym z domów gdzieś w Mexico City dzwonił teraz telefon – pomyślałem. – Gdzieś tam jest Margarita, która może okazać się kluczowa dla ustalenia tożsamości Paoli.

Odezwał się kobiecy głos. Błyskawicznie padło wiele słów, dla mnie nie do odróżnienia.

– ¡Hola! – zaczęła Birgit. – Mi nombre es Birgit Malm y trabajo para la policia sueca.

Rozmawiały dobre dziesięć minut.

Birgit robiła w tym czasie notatki w swoim zeszytiku i kiwała głową, jakby Margarita mogła ją widzieć. Kilka razy się zasepiła, jakby usłyszała od rozmówcy coś przygnębiającego.

Gdy odłożyła słuchawkę, odchrząknęła i spojrzała na mnie.

– Margarita ją znała. Dziewczyna nazywała się Paola Vargas i pochodziła z Buenaventury, nadmorskiego miasta na zachód od Cali w Kolumbii. Była niska, liczyła niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu. Miała dwadzieścia dwa lata. Podczas jej pobytu w Szwecji czteroletnią córką zajmowali się jej rodzice. – Zacerpnąwszy głęboko powietrza, relacjonowała dalej: – Była biedna, nie miała żadnego wykształcenia. Przyjęła tę pracę, żeby odłożyć pieniądze dla córki. Chciała jej zapewnić lepszą przyszłość.

– Czy Margarita ma jakieś dane kontaktowe rodziców Paoli?

– Nie. Wtedy była przekonana, że ona po prostu sama odeszła. Z jej opowiadań wynikało, że rodzina de Veghów nie należała do łatwych. Podobno matka była wyjątkowo wymagająca, ale największy problem Paola miała z jednym z synów. Naprzykrzał się jej, a ona nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Margarita nie ma najmniejszych wątpliwości, że to był prawdziwy powód jej zniknięcia.

– Z jednym z synów? – powtórzył Manfred. – Z którym?

– Nie pamięta jego imienia. Zdaje się, że było ich trzech.

Birgit rzuciła okiem na zegarek.

– Muszę już iść.

– Masz trening pływacki? – spytałem.

– Nie, mam życie. Margarita powiedziała, że w razie potrzeby możemy do niej dzwonić. Jutro skontaktuję się z Interpolem.

– Okej – rzucił Manfred. – Dzięki za pomoc.

– Po to tu jestem – odparła, unosząc chude ramiona. Następnie wstała, zebrała swoje rzeczy i ruszyła do wyjścia. Ale w drzwiach zatrzymała się jeszcze i dodała:

– Podobno Paola znalazła też posadę w Stanach, ale jej nie przyjęła. Wołała przyjechać do Szwecji, bo to taki bezpieczny kraj.

*

Bodil włożyła marynarkę, przeczesła dłonią lśniące włosy i oznajmiła:

– Spieszę się. Za dwadzieścia minut jestem umówiona na kolację z komendantem okręgowym. Odprowadźcie mnie na dół, to jeszcze chwilę pogadamy.

Narzuciła na siebie płaszcz, przewiesiła torbę przez ramię, po czym wyszła z pokoju, a my za nią.

– Spróbujecie dotrzeć do jej rodziny? – spytała po drodze.

– Tak – odpowiedział Manfred. – Jutro skontaktujemy się z Interpolem.

– Ale jak potwierdzimy jej tożsamość? Przecież nie mamy DNA.

– Na podstawie izotopowej analizy kawałków kości w laboratorium w Niemczech stwierdzono, że musiała pochodzić z zachodniej części Ameryki Południowej, prawdopodobnie z Kolumbii. I to się zgadza. Wzrost też. Była niska, miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt.

Bodil prychnęła z irytacją.

– To jeszcze nie znaczy, że została zidentyfikowana! – rzuciła, schodząc po wąskich spiralnych schodach. – A kolczyk? – kontynuowała. – Przecież

chyba mówiliście, że należał do Yasmin?

– Uważamy, że to rzeczywiście kolczyk Yasmin – powiedziałem.

– Wobec tego dlaczego tamta kobieta miałaby nosić jej kolczyk?

– Może go od niej dostała – zasugerowałem.

– Zlituj się, Gunnar – odpowiedziała Bodil przesadnie powoli.

– Albo ukradła – wydyszał Manfred, który ledwo nadązał za nami po schodach. – Amelie de Vegh wspomniała, że w czasie, kiedy pracowała u nich Paola, zniknęła część jej biżuterii.

Bodil znowu prychnęła ze zniecierpliwieniem.

– Akurat do tego podeszłabym z rezerwą. Swego czasu też pracowałam jako opiekunka do dzieci i zostałam oskarżona o kradzież, kiedy pani domu nie mogła znaleźć swojego zegarka. On tymczasem leżał w łazience, obok tabletek uspokajających, które łykała garściami.

Wyraźnie przyspieszyła, jej kroki odbijały się echem między kamiennymi ścianami.

– Poza tym – dodała – kto zabił Paolę?

Ani ja, ani Manfred nie odpowiedzieliśmy.

– Samir Foukara zamordował Yasmin. To wiemy – kontynuowała. – Policja to ustaliła, nawet jeśli sąd go uniewinnił. I teraz mam pytanie.

Raptem się zatrzymała i odwróciła w naszą stronę. Obrzuciła nas surowym spojrzeniem, całą sobą dawała wyraz frustracji. Jej blade czoło lekko błyszczało od potu.

– Otóż zastanawiam się, czy według was on zabił także Paolę? Zabójstwo Yasmin dotyczyło spraw honoru. Samir nie miał chyba jednak powodu, żeby uśmiercić tę kolumbijską gosposię? Czy może coś przegapiłam?

– Nie, ale... – zaczął Manfred.

– Nie ma żadnego ale – przerwała mu i ruszyła znowu. – A kto zabił Samira Foukarę? I dlaczego?

Zbliżaliśmy się do głównego wyjścia. Bodil szybko podeszła do drzwi. Jej obcasy głośno stuknęły o podłogę.

Nie odwracając się do nas, wyszła na ulicę. Poszliśmy za nią kawałek. Lodowaty wiatr niósł samotne płatki śniegu. Śnieg z deszczem, który spadł rano, zamarznął na chodniku i teraz skrzypiał pod naszymi stopami.

– Coś nam tu wyraźnie umyka, coś musieliśmy przeoczyć – stwierdziła.

– Chyba nawet wy powinniście to widzieć. Potrzebuję faktów, dowodów,

a nie jakichś oderwanych teorii. Nie mam czasu na takie bzdury. Weźcie się za to jeszcze raz, ale porządnie.

Manfred odprowadzał Bodil wzrokiem, w miarę jak ta oddalała się w kierunku ratusza.

– Kurde, ona jest po prostu nie do wytrzymania.

Splunął na chodnik.

Spojrzałem za nią. Jej ciemne włosy rozwiewały się na wietrze, a biodra kołysały się wyraźnie pod materiałem płaszcza.

– Tak, nie do wytrzymania – powiedziałem z uśmiechem.

Manfred popatrzył na mnie.

– Nie rozumiem cię, Gunnar.

– Hm.

– Tobie to nie przeszkadza, że ona traktuje nas jak gówno?

– Niedługo spuści z tonu.

Zamilkliśmy. Obok przejechał radiowóz i zaraz zniknął w garażu.

Manfred stanął tyłem do wiatru i zapalił papierosa. Zakasłał, gdy tylko wciągnął dym.

– Ale w jednym ma rację.

– Bodil?

– Mhm.

Zaciągnął się po raz drugi, tym razem mocniej, potem wydmuchnął siwy obłok w stronę ciemnego nieba i ponownie zakasłał.

– Chyba coś przeoczyliśmy – powiedział, nie patrząc na mnie.

– Wiem.

– Powinniśmy wrócić do tamtego śledztwa.

– Pracuję nad tym.

Zgasił papierosa na słupie latarni i upuścił niedopałek na ziemię.

– No, na mnie już pora. Afsaneh wścieka się, kiedy nie ma mnie w domu, gdy Nadja zasypia.

– Idź, idź – rzuciłem, myśląc o Li i o okruchach straconego czasu.

Ale sekundę później przed moimi oczami pojawił się obraz Marii – ciągle jeszcze czułem ciepło jej dłoni głaszczącej mnie po głowie.

– Jesteś pewny?

– Ja nie mam żadnych planów – odparłem.

Na moim biurku leżały porozkładane papiery – raporty techników kryminalnych, ekspertyzy lekarza medycyny sądowej, zdjęcia, protokoły z przesłuchań i listy pasażerów z lotniska Arlanda.

Tak samo działo się za każdym razem, kiedy wracałem do starych, zniszczonych od wielokrotnego czytania dokumentów. Wszystko, co drzemało uśpione w najciemniejszych zakamarkach pamięci, powracało z potężną siłą. Teraz znowu widziałem rozpacz Marii, zagubienie Vincenta i przerażenie w oczach Samira, kiedy go aresztowaliśmy. Obserwowałem rozpad rodziny Foukarów jak tragiczny wypadek samochodowy widziany w zwolnionym tempie.

Jednego dnia: mama, tata, dzieci. A drugiego: pobojuwisko i zaledwie szczątki tego, co kiedyś było rodziną.

Zerknąłem na zegarek – dochodziła druga w nocy.

Wszyscy już dawno poszli do domu. Oczywiście tu i ówdzie ktoś siedział na dyżurze, ale na moim piętrze było cicho i pusto. Słyszałem jedynie przytłumione buczenie klimatyzacji.

Przeczytałem wszystkie materiały, podkreśliłem co ważniejsze fragmenty i wynotowałem parę rzeczy, starając się znaleźć brakujący element układanki. Wciąż nie mogłem oprzeć się poczuciu, że jestem całkiem blisko odkrycia czegoś rozstrzygającego, tak jakby przez cały czas ktoś stał za moimi plecami, a kiedy tylko się odwracałem, usuwał się w cień.

Dolałem sobie kawy z termosu, który wcześniej napełniłem w malutkiej kuchni. Nad wysłużonym kubkiem unosiła się para. Po paru łykach mój żołądek skurczył się w cichym proteście i zrobiło mi się niedobrze.

W końcu doszedłem do wniosku, że dalsze ślęczenie na komendzie nie ma sensu. Byłem zbyt zmęczony, by mogło to przynieść jakikolwiek pożytek. Miałem wrażenie, że nie byłbym w stanie dostrzec owego brakującego puzzla, nawet gdyby leżał tuż pod moim nosem.

Zacząłem więc zbierać papiery i starannie układać je na kupkach, a gdy pochylilem się, by ściągnąć z nóg sfatygowane sandały, mój wzrok padł na pewne nazwisko.

Zamarłem, serce przyspieszyło bicie.

To niemożliwe – pomyślałem. – To przecież, do cholery, niemożliwe.

Wyjąłem komórkę, spojrzałem znowu na zegarek i zastanowiłem się przez chwilę. Wreszcie wybrałem numer.

– Co jest, u diabła?! – warknął Manfred. – Czy ty masz pojęcie, do cholery, która godzina?

Nie przejąłem się jego irytacją i nie zamierzałem tracić czasu na przeproszenie ani uprzejmości.

– Chyba wiem, co się wtedy wydarzyło – powiedziałem. – Możesz przyjechać?

Yasmin, 2000

Stałam w ciemności na klifie. Morze rozciągało się przede mną, szemrząc i szumiąc, podczas gdy fale rytmicznie lizały wielkie kamienie daleko w dole pod moimi stopami.

Zamknęłam oczy, nie miałam odwagi patrzeć na czarną wodę i ostre skały. Lodowato zimny wiatr targał mi włosy, samotny płatek śniegu wylądował na policzku.

Przepełniały mnie strach i rozpacz.

To nie dzieje się naprawdę – pomyślałam. – To niemożliwe. Moje życie się kończy, zanim zdążyło się zacząć. Jak mogło do tego dojść?

Przecież doskonale wiem, jak do tego doszło.

Tom. Wszystko zaczęło się od niego.

Czy na pewno?

Może cała ta historia miała swój początek już tamtego wieczoru, kiedy zginęły mama i Sylvie? Albo tamtego ranka, gdy tata postanowił, że powinniśmy wyjechać do Szwecji, tak po prostu, chociaż wszyscy moi przyjaciele żyli w Paryżu i nie miałam najmniejszej ochoty przeprowadzać się do kraju, w którym przez pół roku jest piekielnie zimno, a poza tym pełno w nim zadufanych w sobie socjofobów.

– Zmiana otoczenia dobrze ci zrobi. Potrzebujesz nowego startu.

Ale ja nie chciałam żadnego pieprzonego nowego startu. Nie byłam przecież jakimś zdezelowanym samochodem czy komputerem, który trzeba zrestartować, żeby znowu zadziałał: control, alt, delete.

Chociaż w prawdziwym życiu nasze historie nie mają żadnego wyraźnego początku, gdzieś jednak muszą się zaczynać. Im więcej się nad tym zastanawiałam, tym mocniej utwierdzałam się w przekonaniu, że wszystko zaczęło się od Toma.

W posiadłości Kungsudd miała się odbyć impreza. To musiał być czerwiec, bo właśnie skończył się rok szkolny. Byłam po drugiej klasie liceum, w której wyraźnie opuściłam się z matmy i chemii, za co tata, rzecz jasna, się na mnie wpienił.

Casimir zapraszał mnie na nią od dawna.

Nie spotykaliśmy się, ale czasami wpadaliśmy na siebie, bo przecież mieszkaliśmy bardzo blisko. Wiedziałam, że mu się podobam, nieraz czułam, jak taksuje mnie wzrokiem, nie byłam jednak do niego przekonana. Uważałam, że jest zbyt wymuskany: krótko przystrzyżone włosy, koszulki polo, sygnet – to wszystko zajeżdżało snobizmem i klasą wyższą, a snobizm i klasa wyższa to kompletnie nie moja bajka. Oprócz tego był też cholernie wysportowany, a chociaż grałam w koszykówkę, niespecjalnie lubiłam sport. Wstąpiłam do drużyny tylko dlatego, że była w niej jedna z kumpelek, poza tym trener to prawdziwe ciacho. Nie odnosiłam sukcesów jako zawodniczka – byłam za niska i zbyt powolna, z czasem jednak uznałam, że i tak jest całkiem spoko.

Casimir natomiast grał w tenisa, brał udział w zawodach żeglarskich i jeździł w narciarskich slalomach. Polował i chociaż jego rodzice nie mieli już koni w posiadłości, chyba nadal jeździł konno.

Nie mogłam jednak zaprzeczyć: był dosyć przystojny. Wysoki, umięśniony i zawsze opalony, miał jasne włosy, które po lecie robiły się niemal białe na końcach, od słońca jaśniały mu też brwi. Uśmiechał się wyniośle, nosił się dumnie i prosto – pewności siebie mu nie brakowało.

– Wpadnij w piątek wieczorem – powiedział, kiedy w przeddzień spotkałam go w lesie po drodze ze szkoły.

– Nie wiem, czy będę mogła – odparłam, zatrzymując się, ponieważ zagroził mi przejście na wąskiej ścieżce.

– Jasne, że będziesz.

– Zobaczę – rzuciłam i zrobiłam krok do przodu, licząc na to, że się odsunie. Ale on stał w miejscu na szeroko rozstawionych nogach, z rękami wsuniętymi do tylnych kieszeni dżinsów, i się uśmiechał.

Cofnęłam się.

– Będzie super – dodał. – Napijemy się. I może coś zajaramy.

Spojrzałam na niego, marszcząc czoło. Taki gość jak Casimir chyba nie pali trawki?

– Muszę już iść – powiedziałam i próbując go ominąć, weszłam w krzaki jagód. Jakaś gałązka złamała się pod moim ciężarem i zadrapała mnie

w łydkę.

On też zrobił krok w bok i znowu stanął przede mną.

Słońce przeświecające przez korony drzew padało na jego wypalone słońcem włosy.

– Mógłbyś się odsunąć?

– Jeśli przyjdiesz jutro.

Wzruszyłam ramionami.

– Okej, przyjdę – skłamałam.

Uśmiechnął się triumfalnie.

– Około dziewiątej.

– Okej.

Nie zamierzałam tam iść, nie miałam najmniejszej ochoty zadawać się z Casimirem i jego śmiertelnie nudnymi kumplami. Ale kiedy w piątek wróciłam ze szkoły, tata znowu zaczął mi truć o matmie i chemii.

– Jeśli nie weźmiesz się do roboty, nie dostaniesz się na profil medyczny – zaczął, zanim zdążyłam zdjąć kurtkę i buty.

Nie lubiłam, kiedy mówił po szwedzku. Wkurzało mnie, że popełnia tyle błędów. Jego szwedzki był zdecydowanie gorszy od mojego. Oczywiście rozumiałam, że niełatwo jest nauczyć się perfekcyjnie nowego języka, jeśli w młodości chociaż jedno z rodziców nim nie mówiło. Ale czy naprawdę musiał go używać w rozmowie ze mną tylko dlatego, że obok siedziała Maria?

Dopóki mieszkaliśmy w Paryżu i dopóki żyły mama i Sylvie, był niemal idealnym ojcem. Nie wtrącał się przesadnie, dobrze się ubierał i nie truć ciągle na temat szkoły. Był cool. A kiedy coś mówił, brzmiał mądrze i kompetentnie, niezależnie od tematu. Znał się na nauce, polityce i muzyce, i to było widać. Ale gdy zaczynał mówić po szwedzku, sprawiał wrażenie... no właśnie, kogo? Chyba głupiego. Naprawdę wydawał się ograniczony.

Nie podobało mi się, że mój ojciec wychodzi na idiotę.

– Przestań wciąż tokować – rzuciłam, zerknąwszy na Marię, która która obserwowała nas z kuchni.

– Tylko nie tym tonem. Więcej szacunku, moja panno.

– To może ty też mi gookaż.

W tym momencie Vincent zbiegł pędem ze schodów, zeskokczył z ostatnich trzech stopni i z hukiem wylądował na podłodze. Jego rude

włosy stanęły dęba, gdy rzucił mi się w ramiona. Był spocony, miał lekko wilgotny T-shirt.

– Cześć, słonko – powiedziałam, przykucając i głaszcząc go po głowie.

– Pobawimy się?

Spojrzałam na tatę, który ze skrzyżowanymi na piersi ramionami oparł się o ścianę.

– Jasne – odparłam. – Możemy się pobawić.

Uratowana przez Vincenta – coś takiego zdarzało się dosyć często. Boże, jak ja go kochałam! Był taki ciepły i szczery, wręcz przejrzysty. Nie potrafił kłamać, to było mu całkiem obce.

Ale umiał milczeć.

Bawiliśmy się aż do kolacji. Chyba udawaliśmy żywe trupy, bo akurat czytałam mu książkę o apokalipsie zombie. Maria nie lubiła, kiedy karmiłam go czymś takim – co oczywiście sprawiało, że tym chętniej sięgałam po tego rodzaju rzeczy.

Zjedliśmy kolację, nie pamiętam dokładnie co, zdaje się, że tata coś przygotował.

Umiał świetnie gotować, od zawsze. W przeciwieństwie do Marii – wszystko, co ona przyrządzała, smakowało jak papier i często było przypalone albo rozgotowane. Potem nastąpiło obowiązkowe wspólne piątkowe siedzenie przed telewizorem przy coca-coli i serowych chrupkach. Nie było jednak szczególnie miło, bo tata przez cały czas patrzył na mnie w taki sposób, jakbym sprawiła mu największy zawód na świecie tylko dlatego, że złapałam kilka słabszych ocen.

Gdy Maria poszła położyć Vincenta spać, znowu zaczął marudzić. Jak zwykle, gdy zostawaliśmy sami, mówił po francusku.

– W wakacje będziemy siedzieć nad książkami trzy wieczory w tygodniu.

– Co takiego? Trzy wieczory w tygodniu?

– Nad matematyką i chemią, żebyś zdążyła nadrobić zaległości.

Przeszłam na szwedzki, z pełną premedytacją, bo to dawało mi przewagę.

– Daj spokój. Przecież mam pracować w Rialto.

Odgarnął włosy z twarzy i zebrał je w kucyk. Potem powoli pokręcił głową i uśmiechnął się pod wąsem, jak zawsze, gdy uważał, że powiedziano coś naprawdę idiotycznego.

– Ciężka praca, Yasmin. W życiu tylko to się liczy: ciężka praca.

– Może dla ciebie.

Westchnął.

– Już sam nie wiem, co mam z tobą zrobić.

– Przykro mi, że jestem dla ciebie taką katastrofą.

Sięgnął po pilota, wyłączył telewizor i odwrócił się w moją stronę.

– Gdyby to przerastało twoje możliwości, wszystko bym rozumiał. Ale przecież tak nie jest. – Rozłożył szeroko ręce w typowym rodzicielskim geście. – Jesteś zdolna – kontynuował. – Jeśli tylko chcesz, potrafisz. Problem w tym, że nie chcesz. Dlaczego?

– Nie jestem tobą – odparłam.

Znowu wrócił do francuskiego. Błyskawicznie wyrzucał z siebie słowa, żywo gestykułując.

– I całe szczęście, bo moja droga wcale nie była prosta. Musiałem walczyć o to, żeby móc się uczyć. Musiałem dorabiać wieczorami i w weekendy, zabiegać o stypendia. I wspierałem dziadków aż do ich śmierci. A ty? Ty dostałaś wszystko podane na srebrnej tacy. I mimo to nie stać cię na wysiłek.

Jego twarz złagodniała.

– Yasmin – powiedział. – Jedyne, o co proszę, to żebyś spróbowała.

– Właśnie to zrobiłam.

– Nie, nie zrobiłaś.

– Właśnie że tak.

– Nie.

– Tak.

– Nie.

– Przestań! – krzyknęłam. – Nie masz pojęcia, co czułam. Nic nie wiesz o tym, jak mi było.

– Usiądź – rzucił, nie patrząc na mnie.

Nie odezwałam się już, tylko pobiegłam na górę do siebie.

W tej sytuacji żadna impreza nie mogła być gorsza od siedzenia w domu.

Kiedy potem zeszłam do przedpokoju i zbierałam się do wyjścia, pojawiła się Maria. Wyglądała jeszcze bardziej załóżnie niż zwykle: duży bezkształtny T-shirt zwisał jej do bioder, a welurowe spodnie przypominały śpiochy.

– Yasmin – zwróciła się do mnie. – Twój tata jest strasznie wzburzony.

Położyła mi rękę na ramieniu, jakby cokolwiek nas łączyło albo jakby rzeczywiście się mną przejmowała.

– Trudno – bąknęłam.

– Może powinnaś z nim porozmawiać, zanim pójdziesz.

– Nie sądzę.

Powiodła wzrokiem po moim stroju i zatrzymała się na dekolcie. Zawahała się. Otworzyła usta, powstrzymała się jednak od komentarza.

– Zamierzasz tak iść? – spytała mimo wszystko po chwili.

– Tak. A czemu nie?

Uśmiechnęła się i lekko ścisnęła mnie za rękę.

Odsunęłam się. Nie chciałam, żeby mnie dotykała.

– Weź szal.

– Nie potrzebuję, dziękuję.

– Później zrobi się chłodno. Proszę!

Sięgnęła po jeden ze swoich brzydkich szali, kosmaty i jasnobrązowy jak biegunka, i zarzuciła mi go na ramiona. Potem zawiązała go w taki sposób, aby zakrył dekolt, i się uśmiechnęła.

– Wróc najpóźniej o północy – poprosiła.

Nie odpowiedziałam.

Maria, matka Jezusa. Najświętsza ze wszystkich świętych.
I ona dokładnie taka była – przynajmniej w swoich oczach.
Po raz pierwszy spotkałyśmy się u niej w domu na kolacji.

Tata od pewnego czasu zachowywał się dziwnie. Był bardziej zamyślony niż zwykle, uśmiechał się do siebie, kiedy przygotowywał śniadanie, podśpiewywał w kuchni. Kupił sobie też żel do włosów i wodę po goleniu, a nawet zaczął prasować koszule, chociaż do tej pory zawsze tylko rozwieszał je po praniu do wyschnięcia na oparciach krzesel.

Domyśliłam się oczywiście, że coś musi być na rzeczy. Nawet gdybym była ślepa i głucha, nie mogłam tego nie zauważyć. Nie chodziło wcale o to, że nie chciałam, żeby sobie kogoś znalazł. Naprawdę nie. Minęły już dwa lata od śmierci mamy i Sylvie i szczerze mu życzyłam, by kogoś poznał, bo nie potrafiłam już znieść jego zboliałych spojrzeń na widok spotykanych na mieście zakochanych par. Miałam dość jego przybitego głosu, kiedy pytałam, czy planuje coś fajnego na weekend.

Któregoś wieczoru oznajmił:

– Poznałem pewną kobietę. Ma na imię Maria.

Widziałam po jego minie, że tym razem to coś poważnego. Widziałam, że chciał wręcz wykrzyczeć jej imię i pragnął podzielić się tym, co go spotkało.

– Super – powiedziałam szczerze.

– Na pewno?

– Jasne.

Ucieszył się, przyciągnął mnie do siebie i mocno przytulił. Lubiłam ten jego ojcowski uścisk. Pachniał jedzeniem i swoją nową wodą kolońską.

– Zaprosiła nas na kolację w najbliższy piątek – oznajmił.

Kiedy poznałam Marię, polubiłam ją.

Trochę przypominała mi mamę, może za sprawą jasnych włosów i rozświetlonych oczu. Chociaż miała zupełnie inny styl, trochę

siermiężny. Nosiła obszerne koszule wyrzucone na dzinsy, a srebrny pierścionek na palcu wskazującym prawej ręki wyglądał, jakby kupiła go na jarmarku.

Mama nigdy by się tak nie ubrała, wyróżniała się wyszukany smakiem. Lubiła dobrze uszyte rzeczy w intensywnych kolorach i duże ozdoby. Topy musiały być wydekoltowane, a dzinsy obcisłe. Zawsze miała nienaganny makijaż i pomalowane paznokcie. Owca

Maria była bardzo powszednia, bardzo szara. Gdyby stanęła pośrodku lasu, byłaby prawie niewidzialna, wtopiłaby się w sosny i mchy, jak żołnierz ubrany w maskujące barwy.

– Witaj, Yasmin. Dużo o tobie słyszałam – powiedziała na przywitanie i uścisnęła mi rękę obiema dłońmi.

– Cześć – odpowiedziałam i dygnęłam.

Zrobiłam to automatycznie, taki głupi odruch. Mama i tata przywiązywali dużą wagę do tego, żebyśmy z Sylvie były grzeczne i dobrze wychowane. Jako małe dziewczynki, witając się z dorosłymi, musiałyśmy zawsze dygać. To weszło nam w krew.

Od razu poczułam się głupio.

Maria wyglądała na rozbawioną; machnęła ręką, zapraszając nas do środka swojego śmiesznego zielonego domu.

Ledwie znaleźliśmy się w przedpokoju, przybiegł Vincent. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, buzię miał szeroko otwartą.

– Cześć – odezwałam się pierwsza. – Jestem Yasmin.

– A ja mam na imię Vincent – odpowiedział.

Maria uśmiechnęła się promiennie – wtedy jeszcze tego nie wiedziałam, ale Vincent nie zawsze pozytywnie reagował na obcych. Potrafił się dąsać albo milczeć jak zakłęty, mógł też przesiadywać godzinami w swoim pokoju i grać w głupie gry. Mnie jednak polubił od razu.

Ja też go polubiłam.

Prawdopodobnie tata i Maria sądzili, że poczułam do niego sympatię, ponieważ po śmierci Sylvie brakowało mi rodzeństwa. Mylili się. Vincent nigdy nie mógłby zastąpić Sylvie. Nikt nie byłby w stanie tego zrobić, nikomu nie wolno było zająć jej miejsca.

Nikomu i nigdy.

Pokochałam Vincenta od pierwszej chwili za to, że był Vincentem, jedyną normalną osobą w tej całej pieprzonej rodzinie.

Kiedy tata i Maria się pobrali, cieszyłam się ich szczęściem, chociaż nie bardzo chciałam przeprowadzać się do Kungsudd. Lubiłam nasze mieszkanie w Solnie, mimo że było małe i mieściło się na szóstym piętrze wysokiego bloku z windą, w której cuchnęło sikami, a całe ściany były zagryzmołone wulgaryzmami.

Na początku czułam się w Kungsudd całkiem okej.

Maria wydawała się wniebowzięta, że wszyscy mieszkamy razem, a ja szczerze się starałam być miła. Pomagałam jej robić porządki w ogródku, pilnowałam się, żeby nie bałaganić w kuchni i tak dalej. Ona też była sympatyczna, zadawała dużo pytań o Francję i mamę, ciągle potakiwała, a kiedy przyznałam, że za nią tęsknię, wyglądała jak zbity pies. Widziałam, że się mną przejmuje i że zależy jej na mnie.

Ale potem się zmieniła.

Miała całe mnóstwo zastrzeżeń niemal do wszystkiego – mleko musiało być ekologiczne, nie powinno się wyrzucać resztek jedzenia, tylko je kompostować. Warzyw nie należało kupować w sklepie, tylko uprawiać we własnym ogródku, a im bardziej były zapiaszczone i robaczywe, tym lepiej. Ubrania musiały być całe, czyste i nie powinny odsłaniać zbyt wiele ciała, a makijaż to rzecz całkowicie zbędna.

„Jesteś o wiele ładniejsza bez niego, Yasmin, zapamiętaj to sobie!”

Miałam tego dość, powoli robiło się to nie do wytrzymania. Czy teraz już zawsze tak będzie?

Alkohol był okej w piątek i sobotę, palenie dopuszczalne ewentualnie w czasie przyjęć – ale ja oczywiście nie mogłam ani palić, ani pić, mimo że byłam już prawie dorosła. Dawanie pieniędzy na cele charytatywne było jak najbardziej wskazane, ale chodzenie do kościoła absolutnie wykluczone, ponieważ religia to czysta bzdura. Wszyscy ludzie są jednakowo wartościowi, bez względu na to, czy są żółci, biali czy czarni. Kaleki nazywano niepełnosprawnymi, a staruszki i staruszków – seniorami. Afryka to ekscytujący kontynent, który chętnie głębiej by poznała, ale Ibiza to matecznik ćpających nastolatków ze „strefy ryzyka”. Jazz był w porządku. I muzyka ludowa. Ale nie pop, a już na pewno nie ten, którego ja słuchałam. Literatura miała ogromne znaczenie, odgrywała zasadniczą rolę w naszej cywilizacji, jednak książki czytane przeze mnie oczywiście nie należały do literatury, były jedynie rozrywką i właściwie nie nadawały się dla mnie, a tym bardziej nie wolno ich było

czytać Vincentowi, którego najwyraźniej należało chronić niemal przed wszystkim.

Koleżanki Marii nie różniły się od niej pod tym względem.

Najgorsza wydawała się Greta, paskudne babsko, które robiło, co tylko mogło, żeby wyglądać na lesbę, a kiedy nikt nie widział, kleiło się do mojego taty. Ona i Maria przesiadywały godzinami i narzekały na współczesną młodzież, na jej brak „politycznej świadomości” i „zaangażowania społecznego”.

A tata bił pianę razem z nimi. Nigdy im nie zaprzeczył, chociaż wiedziałam, że myśli inaczej. Zachowywał się tak, jakby przestał mieć własną wolę i poglądy, jakby pozbył się ich w tej samej chwili, gdy na tamtej imprezie ujrzał nieumalowaną twarz Marii, jej zniszczone włosy i wymięte ubranie.

– Dlaczego to robisz? – spytałam go kiedyś.

– Co ja takiego robię?

– Zgadzasz się z nią, mimo że... no wiesz, wcale tak nie uważasz.

Westchnął.

– Miłość wymaga kompromisów, córeczko.

– Przy mamie nigdy się tak nie zachowywałaś.

Przytulił mnie, pocałował w policzek i szepnął:

– Mylisz się. Przy twojej mamie robiłem tak samo. Tylko byłaś wtedy bardzo mała i nie pamiętasz.

Może miał rację, może mamę i jego także dzieliły różnice, z którymi się zmagali. Może ścierali się ze sobą jak dwa kamienie na plaży, aż wszystkie nierówności się wygładziły i nie stawiały żadnego oporu.

A jeżeli rzeczywiście tak było, to już wolę nigdy nie być zakochana ani nie wyjść za mąż.

Kto by chciał być pieprzonym otoczakiem?

– To jest cena, jaką trzeba ponieść, żeby być rodziną – dodał.

Ale ja nie chciałam być częścią modelowej rodziny Marii.

Potrafiłam spojrzeć na to z jej punktu widzenia. To było tak cholernie perfekcyjne: dwoje ciapatych, z czego jeden pracował, ratując dzieci chore na raka, Szwedka i down. Czyż może być bardziej poprawne politycznie stadło? Tylko patrzeć, jak zaczniemy tkać sukna na ubrania i pojedziemy na wyprawę rowerową do Korei Północnej.

– Nie mogłabyś się trochę postarać? – spytał tata.

Pogłaskał mnie po głowie, ja zaś zacisnęłam zęby, żeby powstrzymać słowa, które cisnęły mi się na usta.

– Ze względu na mnie – dodał.

Zastanowiłam się.

Chciałam, żeby był szczęśliwy, naprawdę chciałam. Od wypadku nie zaznał radości życia. Poza tym kochałam Vincenta.

Może więc uda mi się wytrzymać z Marią?

– Spróbuję – odpowiedziałam.

*

Szłam w letni wieczór do posiadłości Kungsudd, ubrana w czarny top, który według Marii był tak cholernie wyzywający, że musiała narzucić na mnie swój najładniejszy sraczkowatobrązowy szal.

Muzyka z imprezy docierała aż do lasu, odbijała się echem od łuszczących się pni sosen – dudniły basy, w oddali słychać było zgiełk i krzyki.

Przechodząc obok ciernistych zarośli, zdjęłam szal, zwinęłam go w kłębek i wcisnęłam pod gałęzie.

Nie zamierzałam pozwolić jej wygrać.

36

Zobaczyłam go od razu, siedział sam na fotelu w kącie z wazonem tulipanów między kolanami. W palcach trzymał papierosa. Patrzył znudzony na ludzi kręcących się wokół w rytm głośnej muzyki i od czasu do czasu strząsał popiół do wazonu.

Był chudy, ciemne loki opadały mu na czoło. W jego spojrzeniu odbijała się jakaś wewnętrzna udreka, jakieś zmaganie.

Wiedziałam, kim jest. Nieraz wpadał do nas, rozmawiał z Marią i potem sobie szedł. Nigdy jednak się nie przywitaliśmy – bo niby dlaczego? Nie miałam ochoty poznawać znajomych Marii.

A zwłaszcza Toma, którym się tak zachwyciła.

Rozejrzałam się dookoła: około pięćdziesięciu gości, większość to dwudziestolatkowie, stali w grupkach i gadali albo tańczyli. Wszyscy wyglądali na wstawionych albo zjaranych, w powietrzu wisiał ciężki zapach trawy.

Światło było zgaszone, ale wszędzie paliły się świece – w świecznikach, kandelabrach i na rozstawionych tu i tam talerzykach. Gdziekolwiek w ciemności jarzyły się papierosy. Za oknami wysokie korony drzew rysowały się wyraźnie na tle osobliwie jasnego nieba wczesnego lata.

Latem w Szwecji nigdy nie było ciemno. Podejrzywałam, że to jedna z tych rzeczy, do których nigdy nie zdołam się przyzwyczaić w tym dziwnym kraju: migotliwe ciepłe noce płynnie przechodzące w poranki. Wieczny dzień, który trwał, dopóki nie zapanowała wieczna noc.

Czy to miało wpływ na ludzi?

Chyba tak, bo ledwie wyrzało słońce, wszyscy robili się chorobliwie towarzyscy, a kiedy nastawała ciemność, popadali w apatię jak zmęczone niedźwiedzie. Zamykali się w swoich mieszkaniach i domach, by przeczekać zimę przed telewizorem, z piwem w jednej ręce i pilotem w drugiej.

Casimir pomachał do mnie z kanapy i właśnie zamierzał wstać, żeby się przywitać, ale dziewczyna siedząca obok chwyciła go za rękę i pociągnęła z powrotem.

Uniosłam dłoń w geście pozdrowienia, a potem podeszłam do Toma.

– Cześć – powiedziałam.

Spojrzał na mnie i nie mówiąc ani słowa, kiwnął ręką z papierosem, co przy sporej dozie dobrej woli można było zinterpretować jako pozdrowienie.

Usiadłam na fotelu obok, starając się wyglądać na niezainteresowaną rozmową.

Przypatrywał mi się uważnie, po raz ostatni głęboko zaciągnął się papierosem, wrzucił niedopałek do wazonu pomiędzy tulipany i wciąż nie odrywał ode mnie wzroku. Jego niezwykle ciemne oczy miały w sobie coś, co kojarzyło się ze starością. Z rezygnacją albo może z cynizmem. Nie byłam pewna, ale odniosłam wrażenie, że skądś znam to spojrzenie.

Takie samo widywałam w lustrze.

– Ty jesteś Yasmin – zauważył.

Skinęłam głową.

Ktoś krzyknął, rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Tom nie zareagował, nadal na mnie patrzył. Pod jego ciemną grzywką lśniły kropelki potu. Coś drgnęło w kąciku jednego oka.

– I co o tym myślisz? – spytał, wskazując zmęczonym gestem w kierunku pokoju.

Miał długie i smukłe palce.

Dłonie pianisty – powiedziałaaby mama.

Zastanowiłam się, obejmując wzrokiem rozbawionych ludzi, drogie meble i dywany, olejne portrety na ścianach i trofea myśliwskie zawieszane nad dwuskrzydłowymi drzwiami.

– Przygnębiające – powiedziałam z naciskiem.

Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

– Przejdziemy się? – zaproponował.

Szliśmy wzdłuż wody, minęliśmy należący do de Veghów ogromny pomost z przycumowaną żaglówką i dwiema łodziami motorowymi.

Potem ruszyliśmy po skałach w górę. Klif był stromy, wspinaliśmy się metr po metrze. Tom kilka razy mnie wyprzedził, podał mi swoją dłoń pianisty i pomógł wejść wyżej.

Opowiadał o sobie – skończył dwadzieścia cztery lata, studiował w Wyższej Szkole Handlowej i miał dwie starsze siostry. Jego rodzina mieszkała w jednym z tych supernowoczesnych domów blisko wody.

– Gdyby to ode mnie zależało, nigdy nie kupiłbym takiego brzydkiego domu – powiedział z grymasem.

A gdybym ja mogła wybierać, nigdy nie zamieszkałabym w tym kraju – pomyślałam.

– A gdzie wolałbyś mieszkać? – spytałam.

Zatrzymał się. Otarł sobie pot z czoła, odwrócił się i spojrzał na posiadłość Kungsudd, która leżała w ciemności u naszych stóp osnuta delikatną mgłą.

– Pewnego dnia kupię tamten dom.

Roześmiałam się, po prostu parsknęłam śmiechem. Bo to przecież oczywiste, że nigdy nie będzie go stać na kupno Kungsudd. Coś takiego było poza zasięgiem zwykłych śmiertelników. Nawet jeśli on – jak rozumiałam – pochodził z zamożnej rodziny, mimo wszystko nie mógł dysponować aż takimi pieniędzmi.

Nikt, kogo znałam, nie miał tyle kasy.

– Żartujesz, prawda? – rzuciłam.

– Ani trochę.

Szliśmy wyżej. Po naszej lewej stronie rozciągał się rzadki sosnowy las, po prawej było tylko morze, a nad nim wyjątkowo jasne niebo.

– Dlaczego chciałbyś mieć Kungsudd? – spytałam po chwili. – Takie paskudne mauzoleum?

– Właśnie w tym rzecz – odpowiedział i podał mi rękę, żeby wciągnąć mnie na kolejny kamienny występ.

Nie rozumiałam go, co tylko obudziło we mnie jeszcze większe zainteresowanie.

– A ty? – zwrócił się do mnie. – Gdzie chciałabyś mieszkać?

– Na pewno nie tutaj.

– Masz na myśli posiadłość?

Zawahałam się.

– Nie, Szwecję.

Wchodziliśmy coraz wyżej, aż wreszcie dotarliśmy do Kungsklippan. Płaska półka długości mniej więcej dziesięciu metrów i podobnej szerokości stanowiła sam szczyt klifu. Porastało ją trochę suchej trawy,

gdzieniegdzie wystawały kamienie. Wiało, niezbyt mocno, ale wystarczająco, bym na gołych ramionach dostała gęziej skórki.

Wziął mnie za rękę i zaczął ostrożnie prowadzić w kierunku krawędzi.

– Chodź – zachęcił.

Podeszłam za nim na sam skraj urwiska. Daleko w dole majaczyły czarne kamienie, sterczały z nieruchomej wody niczym ostre zęby, gotowe zmiążyć każdego, kto na nie spadnie.

Staął między mną a lasem, ja zaś odwróciłam się do niego tak, że stałam plecami do przepaści. Utkwił we mnie wzrok i złapał za nadgarstki.

– Odchyl się do tyłu – powiedział.

Pokręciłam głową, chyba nawet się roześmiałam w reakcji na tę niedorzeczną propozycję.

– No, daj spokój, nie bój się – nalegał. – Trzymam cię.

Chwyciłam mocno jego nadgarstki. Powoli się odchyliłam, najpierw nieznacznie, a potem poddałam mu się całkowicie. Jego uchwyt wokół moich przegubów był coraz silniejszy, piekła mnie skóra przedramion i dłoni.

Moje życie w jego rękach.

W piersi mieszały się strach i dziwne poczucie triumfu. A w tle – podniecenie i ciekawość tego, co miało nadejść.

Spojrzałam w niebo, opuściłam głowę najniżej, jak mogłam, tak nisko, że byłam w stanie dostrzec jasną smugę horyzontu ponad taflą morza. Moje włosy rozwiewały się na lekkim wietrze i łopotały nad przepaścią.

To było piękne.

I to był początek końca – chyba już wtedy to wiedziałam.

Tom i ja spędziliśmy razem prawie całe lato. Kąpaliśmy się w morzu i uprawialiśmy seks na nabrzeżnych skałach. Wypływaliśmy łodzią jego rodziców na nieduże szkiery pod Kungsudd, paliliśmy jointy i spaliśmy w kajucie. Poznawaliśmy się coraz bliżej.

Tom był przedziwny.

Jego plusy: inteligencja, energia, atrakcyjny wygląd. Przypuszczam, że czekały go sukcesy, bo studentom handlówki zwykle dobrze wiodło się w życiu.

A wady?

Wszystko potwornie drobiazgowo roztrząsał, nic nie było dla niego proste. Rodzice faworyzowali jego starsze siostry (tak twierdził), nauczyciele wyraźnie się na niego uwzięli (tak twierdził), a w pracy miał samych idiotów (tak twierdził). Wiedział, że jest inteligentny, mimo to nieustannie wątpił we własne możliwości. Podejrzewał, że jego najlepszy przyjaciel (Casimir) w głębi ducha nim gardził, ponieważ nie jest godny jego rodziny, co oczywiście było absolutną bzdurą. De Veghowie kochali go jak własnego syna.

– Wiem, że w końcu mnie zostawisz – powtarzał z udręczoną miną i patrzył na mnie błagalnie swymi dużymi ciemnymi oczami. Wyglądał jak zbity pies.

– Dlaczego miałabym cię zostawić?

– Po prostu to wiem, widzę to po tobie. Po co takiej dziewczynie jak ty ktoś taki jak ja?

Początkowo odbierałam to jako pochlebstwo i wyraz uznania. Widocznie w jego ocenie byłam tak bardzo godna pożądania, że sądził, iż nie zasługuje na moje zainteresowanie i na moją miłość. Ale w miarę upływu czasu jego podejście zaczęło mi potwornie przeszkadzać. Wydawało mi się cholernie nieseksowne bycie z facetem, który czuł się

nic niewarty i żył w przekonaniu, że rzucę go, gdy tylko pojawi się ktoś lepszy.

A tym kimś w jego mniemaniu był najwyraźniej Casimir.

Spotykaliśmy się całkiem często. Czasami tylko my troje, to znaczy ja, Tom i Casimir, a czasami towarzyszyła nam też Sophie, jego laska.

Sophie wszystko miała duże – biust, tyłek, zęby. Śmiała się głośno, wprost rżała jak jakiś cholerny koń. A to, co miała do powiedzenia, było w większości infantylne. W porównaniu z nią Vincent wydawał się intelektualnym gigantem.

Biedna dziunia.

Casimir kompletnie ją ignorował. A na mnie się gapił, i to przez cały czas. Rzecz jasna Tom nie mógł tego nie zauważyć. To jednak wcale nie oznaczało, że interesowałam się jego przyjaciele.

Pewnego wieczoru, kiedy leżeliśmy nago na skałach, wciąż jeszcze mokrzy po kąpielach, Tom odwrócił się do mnie i powiedział:

– Wiem, że masz na niego ochotę.

– O czym ty mówisz?

– Chodzi mi o Casimira. Przecież widzę to po tobie.

– Czy ciebie już kompletnie pogięło?

Chwycił mnie za twarz i ścisnął tak mocno, że szczęka o mało nie wypadła mi z zawiasów.

– Au! Co ty wyprawiasz?

– Jeśli odejdziesz... – wysyczał przez zęby.

– Puść mnie! – rzuciłam i oparłam się na jednym łokciu.

– Zabiję cię, pamiętaj.

Potem zwolnił uścisk, gniew w jego oczach zgasł i powróciło spojrzenie zbitego psa.

Roześmiał się.

– Co to, do cholery, miało być? – spytałam.

Wstałam i cofnęłam się kilka kroków po śliskiej skale.

Nie odpowiedział.

Nagle przeszedł mnie dreszcz, zimno pojawiło się nie wiadomo skąd, zaczęłam się trząść i szczękać zębami. Sięgnęłam po ręcznik i owinęłam się nim szczelnie.

– Chcę wrócić do domu – powiedziałam.

– Uspokój się.

– Chcę do domu.

Roześmiał się sucho.

– To był żart, Yasmin. Nie załapałaś?

*

Minęło trochę czasu, zanim powiedziałam tacie i Marii, że jestem z Tomem. W gruncie rzeczy nie zamierzałam im w ogóle mówić, tak koszmarne byli spięci i spanikowani po historii z Pitem, ale któregoś dnia zobaczyli mnie z nim na łące między naszym domem a posiadłością.

Kiedy wróciłam do domu, tata siedział w kuchni przy stole, a Maria wyjmowała naczynia ze zmywarki, ubrana w coś, co wyglądało jak lniany worek.

– Czy to twój nowy chłopak? – odezwał się tata, wskazując głową na okno.

– Tom? Chyba tak.

Maria zamarła w pół kroku. Szklanka, którą trzymała w ręce, spadła na podłogę i rozbiła się na tysiąc kawałków. Obrzuciła mnie przelotnym spojrzeniem, po czym przykucnęła i zaczęła zbierać szkło.

– Ty i Tom jesteście parą? – spytała.

– Coś w tym rodzaju.

– Niech to szlag! – syknęła i włożyła kciuk do ust.

Na podłodze zostały kropelki krwi.

Zadałam sobie wtedy pytanie, i na dobrą sprawę do dziś nie znam na nie odpowiedzi: czy ona zakłęła dlatego, że się skaleczyła, czy dlatego, że byłam z Tomem?

Tego samego wieczoru słyszałam, jak tata i Maria o nas rozmawiali. Stałam w przedpokoju, o czym nie wiedzieli, oni zaś siedzieli w kuchni. Nie pamiętam, co robili, ale przypominam sobie ich słowa.

Tata spytał swoim dziwnym szwedzkim ciapatego:

– Ten Tom to dobry chłopak, tak?

– To fantastyczny młody człowiek.

– Czyli według ciebie nie ma się czym martwić?

Na chwilę zapadła cisza, po czym Maria odparła:

– Nie wiem. Oni są tak różni...

Brzęk szkła, bulgotanie nalewanego wina.

Przemknęłam na schody, nie miałam siły dłużej tego słuchać.

To oczywiste, że w jej mniemaniu nie dorastałam Tomowi do pięt. On zawsze był jej ulubieńcem, uwielbiała go od maleńkości.

Prawdopodobnie stanowił dla niej obraz perfekcyjnego dziecka bez wad – takiego, jakiego los jej poskąpił.

Mimo wszystko to bolało, straszliwie bolało. Poczułam ucisk w klatce piersiowej, nie mogłam oddychać. Zrobiło mi się niedobrze, niewiele brakowało, a bym zwymiotowała. Chciałam krzyczeć, miałam ochotę coś roztrzaskać – cokolwiek, byle tylko należało do niej. Ale gdzieś dużo głębiej gryzło mnie inne uczucie, silniejsze niż wszystkie pozostałe.

Tęskniłam za mamą.

Tęskniłam za nią tak rozpaczliwie, że niemal rozpadałam się na kawałki.

*

Tom stał się stopniowo częścią mojego codziennego życia, naszego codziennego życia.

Wpadał do nas niemal każdego dnia, ani razu jednak nie byliśmy u niego w domu – on tego nie chciał.

– Nie znoszę spędzać czasu ze starymi – oznajmił, przeczesując dłonią ciemne włosy. – Oni są totalnie porąbani.

Któregoś wieczoru na początku września przypadkiem wpadliśmy na jego mamę. Była wysoka i miała jasne włosy o odcieniu, który u dorosłych można osiągnąć wyłącznie przez rozjaśnianie. Ciuchy wyglądały na drogie, a z jej ramienia zwisała designerska torebka, identyczna jak te w magazynach modowych.

– Tom – rzuciła, całując go lekko w policzek.

Następnie zwróciła się do mnie. Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, który wyglądał na naturalny, w każdym bardziej naturalny niż jej śnieżnobiałe zęby.

– Christina – przedstawiła się i wyciągnęła do mnie rękę.

Diamenty w jej pierścionkach zamigotały w wieczornym słońcu.

– Yasmin – odpowiedziałam, siląc się na uśmiech.

A może jednak uśmiechnęłam się całkiem szczerze? Bo w gruncie rzeczy ta kobieta emanowała ciepłem, którego się nie spodziewałam. Przecież Tom opisywał ją jako najgorszą sukę.

– Miło wreszcie poznać kogoś z przyjaciół Toma – rzekła.

Podkreśliła słowo „wreszcie” i spojrzała wymownie na syna.

Potem znów się uśmiechnęła i zwróciła wzrok na mnie.

– Muszę lecieć, jestem umówiona na drinka. Yasmin, wpadnij do nas któregoś dnia. Fajnie byłoby poznać cię bliżej.

– Wpadnę.

Ponownie zerknęła na Toma, ale on nie zwracał już na nią uwagi, tylko zapatrzył się na morze i przepływający w oddali prom. Ręce wcisnął w kieszenie spodni, oczy miał mroczne.

Pani Borgmark odeszła.

Przyjrzałam mu się uważniej. Jego spojrzenie było niezgłębione, twarz przybrała nieprzystępny wyraz.

– Twoja mama wydaje się całkiem miła.

Roześmiał się krótko i ruszył przed siebie.

– I na tym właśnie polega problem – rzucił oschle, zwrócony do mnie plecami. – Potrafi być miła, jeśli tylko chce. Ojciec tak samo. Wszyscy uważają, że oboje są tak cholernie idealni, ale mnie zawsze tak naprawdę mieli w nosie.

– Co masz na myśli?

Tom odkaszlnął i splunął na chodnik.

– Chyba wiesz, że twoja macocha zajmowała się mną, kiedy byłem mały?

– No i co z tego? Raczej nie ma w tym nic dziwnego, że ludzie korzystają z opiekunek do dzieci? We Francji...

– To nie to samo – przerwał mi. – Moi rodzice zawsze dużo więcej uwagi poświęcali siostrze. One są tak piekielnie idealne i dostają, co tylko zechcą. A ja? Ja muszę walczyć dosłownie o wszystko. Muszę się uczyć i dodatkowo pracować. To potwornie niesprawiedliwe.

Doszliśmy do podjazdu przed jego domem. Działkę otaczało wysokie ogrodzenie, w kilku miejscach widoczne były kamery monitoringu i tabliczki z napisem: „Osobom nieuprawnionym wstęp wzbroniony”. Za płotem majaczyła gigantyczna betonowa willa. Słońce wyjrzało właśnie zza szczytu budynku i odbiło się w czarnym lakierze mercedesa, który stał zaparkowany przed garażem.

Przystanąłam.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że większość ludzi powiedziała by, że nie masz na co narzekać? – stwierdziłam.

Kilka dni później siedzieliśmy z Tomem na skałach i paliliśmy.

Fale leniwie obmywały kamienie, wieczorne słońce nadal grzało, w powietrzu czuć było jednak pewną rzeźkość, która zapowiadała, że jesień jest już w drodze. Woda też zrobiła się chłodniejsza. Oczywiście wciąż dawało się kąpać, ale niezbyt długo, bo jeśli wypłynęło się nieco dalej, nogi niemal drętwiały z zimna.

Myślę, że powoli ogarniało nas znudzenie – lato było długie, a my być może spędziliśmy trochę za dużo czasu razem.

Niewykluczone, że zaczynaliśmy być sobą nawzajem zmęczeni.

W każdym razie ja zaczynałam czuć się zmęczona Tomem. Okropnie mnie drażniły zarówno jego zaciętość, jak i nagłe wybuchy. Coraz bardziej miałam dość tego wiecznego paranoicznego gadania, że na pewno go zostawię, a także osobliwego narcyzmu, który wyrażał się w pogardzie dla wszystkich dookoła.

Spojrzałam na zegarek.

– Muszę zmykać – rzuciłam. – Jutro wcześniej wstaję.

Zgasił swojego jointa w skalnej szczelinie i popatrzył na mnie przeciągle. Wieczorne słońce oblało jego postać złotożółtym światłem. Ciemne półdługie włosy rozrzucone na skale w mokrych i ciężkich puklach skojarzyły mi się z trawą morską.

– Jasne – bąknął.

– Jesteś zły?

– Dlaczego miałbym być zły?

Słusznie: dlaczego miałby być zły. Przecież nie było powodu.

– Idziesz ze mną? – spytałam, zbierając swoje rzeczy i wsuwając stopy w klapki.

– Nie, jeszcze trochę zostanę.

Ruszyłam w kierunku skraju lasu. Najkrótsza droga prowadziła właśnie przez las za posiadłością Kungsudd. Biegła tam nieduża ścieżka, która

wychodziła prosto na nasz dom.

Ledwie weszłam między wysokie sosny, od razu zrobiło się chłodniej. W półmroku drzew unosił się zapach żywicy i wilgotnej ziemi. Krzaczki jagód i paprocie łaskotały mi gołe kostki, niewidoczne ptaki śpiewały w gęstych zaroślach. W oddali słyszałam syrenę jakiegoś statku.

W pierwszej chwili go nie zauważyłam. Stał poza ścieżką, leniwie oparty o pień, z komórką w dłoni.

Casimir.

– Hej! – powiedział, gdy się zbliżyłam.

Był ubrany jak z marzeń każdej teściowej – w koszulkę polo i białe spodenki do tenisa. Naprawdę mógł się podobać – mocno opalony, jasnowłosy, pięknie umięśniony. Mimo to nie wzbudzał mojego zainteresowania.

Nie wtedy.

– Co ty tutaj robisz? – spytałam.

Wzruszył muskularnymi ramionami i posłał mi uśmiech.

– Nic specjalnego. A ty?

Odpędziłam natrętnego komara.

– Kąpałam się z Tomem.

– No jasne. – Roześmiał się. – Znow robiałaś za terapeutkę? – rzucił, chichocząc.

Zdziwiłam się, myślałam bowiem, że Tom był taki humorzasty i gderliwy tylko wobec mnie.

– Niby dlaczego?

Znowu wybuchnął śmiechem. Typowym dla niego: pobrzmiwającym pewnością siebie i lekceważeniem, jakby Casimir de Vegh nie miał obowiązku tłumaczyć się nikomu, a zwłaszcza mnie.

Zrobił krok do przodu, uniósł rękę i pogłaskał mnie po policzku.

– Jesteś bardzo ładna – powiedział.

Byłam zupełnie nieprzygotowana na coś takiego, minęło więc dobrych kilkanaście sekund, nim zareagowałam. Zszokowana cofnęłam się nieco, ale zanim zdążyłam wymyślić jakąś sensowną odpowiedź, on odwrócił się i odszedł.

– Na razie! – krzyknął i machnął ręką.

Milczałam. Stałam na ścieżce jak zamurowana i patrzyłam, jak kołyszącym się krokiem oddala się między drzewami. Sekundę później poczułam czyjąś dłoń na ramieniu.

Tuż za mną wyrósł Tom. Widocznie szedł za mną przez las. Twarz miał wykrzywioną wściekłością, oczy czarne jak węgiel.

– Dziwka – powiedział przytłumionym głosem. – Pieprzona wywłoka.

Cios nastąpił sekundę później, wymierzony prosto w brzuch. Na początku tak właśnie robił: uderzał wyłącznie w miejsca, gdzie nie było widać siniaków. Nie odczułam wielkiego bólu, tylko straciłam oddech, a przede wszystkim osłupiałam ze zdziwienia.

Zrobiłam kilka kroków, żeby się nie przewrócić.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – wyszeptałam.

Zacierał ręce, wpatrując się we mnie.

– Dobrze wiesz.

– O czym ty gadasz?

– Umówiliście się w lesie, tak?

– Pogięło cię? Z nikim się nie umawiałam.

Zerknęłam w kierunku, gdzie Casimir zniknął między drzewami.

– Przyznaj się – wycedził przez zęby i podszedł bliżej.

Cofnęłam się. Ostra gałązka wbiła mi się w kostkę.

– Nie mam do czego się przyznawać! – krzyknęłam. – Ty masz jakąś pieprzoną paranoję!

Spojrzałam na swoją stopę – z rozcięcia leciała krew. Spływała na suchą, pokrytą igłami ziemię, tworząc czerwone plamki na żółtym i szarym podłożu.

– Przez cały czas mnie śledziłeś, ty cholerny psycholu? – ciągnęłam. – Śledziłeś mnie? Jeśli tak, to...

– To co?

– To możesz się wynosić do diabła! Nikt nie będzie mnie tak traktował, rozumiesz?

Mój gniew chyba go zaskoczył. Tom opuścił ramiona, jego twarz złagodniała, a w oczach pojawiło się błaganie.

Wyciągnął do mnie rękę. Drżała.

– Posłuchaj – wydukał. – Przepraszam. Cię. Wybacz. Mi.

Prosił i błagał. Wręcz żebrał.

Podobnie było za każdym razem, kiedy mnie śledził, a potem miał ten swój napad.

On przecież wcale nie chciał mnie bić ani oskarżać o różne rzeczy, ale powinnam spróbować popatrzeć na to z jego perspektywy – przekonywał. Kiedy pływaliśmy łódką razem z Sophie, ciągle

rozmawiałam z Casimirem, buzia mi się po prostu nie zamykała, i miałam zdecydowanie zbyt skąpe bikini, niemal widać mi było sutki. Oprócz tego częściej śmiałam się z żartów Casimira niż z jego.

W tym akurat musiałam mu przyznać rację. Tom miał wiele zalet, ale na pewno brakowało mu poczucia humoru.

Chociaż zdawałam sobie sprawę z tego, że jego zachowanie wynika z braku pewności siebie, przyjęłam postawę defensywną. I mimo początkowej próby oporu zaczęłam się przed nim tłumaczyć i prosić o wybaczenie, jakbym rzeczywiście zrobiła coś złego.

Z czasem jednak miałam dość.

– Ty jesteś nienormalny! – krzyczałam. – Przestań wreszcie mnie obwiniać o te wszystkie idiotyzmy, bo na serio z tobą zerwę.

Najczęściej awantury kończyły się jego płaczem – głośnym i cholernie żalnym.

– Wiem, że mnie zostawisz – łkał. – Bo ty nie potrafisz być wierna, taka twoja natura. Widzę to przecież. A Casimir ma wszystko: pieniądze, dom za granicą...

Kiedy już skończył się nad sobą uzalać, był znowu taki jak zwykle.

Prawie.

Przez kilka dni po tego rodzaju eksplozjach zazwyczaj zachowywał się wyjątkowo miło. Dawał mi drobne prezenty – kwiaty, czekoladki albo szampana. Raz dostałam srebrny naszyjnik z zawieszka w kształcie serduszka.

– Kocham cię – mówił. – Chcę spędzić z tobą życie.

*

Gdy któregoś dnia wróciłam do domu z bukietem róż, Maria i tata siedzieli w kuchni i pili herbatę.

– Tom daje ci kwiaty? – spytał tata, marszcząc czoło. Był najwyraźniej zaniepokojony.

Wyjęłam wazon, nalałam do niego wody i włożyłam róże. Nawet nie zadałam sobie trudu, żeby odwinąć je z folii.

– Jak widzisz – odpowiedziałam, wcisnąwszy wazon między doniczki z ziołami na szafce.

Maria popatrzyła na mnie przeciągle, majstrując przy swoim tandetnym srebrnym pierścionku.

– Skoro on daje ci takie ładne kwiaty, chyba mogłabyś się zdobyć chociaż na to, żeby zdjąć z nich folię i postawić wazon na stole.

– Nie mam siły – odparłam i wyszłam.

Gdy znalazłam się na górze, usłyszałam, że zaczęli rozmawiać. Nie musiałam nawet nadstawiać uszu, żeby wiedzieć, co mówili. Tata na pewno uważał, że powinnam zakuwać, zamiast imprezować i włóczyć się z chłopakiem, a Maria twierdziła, że jestem najgorszą suką, której nie stać nawet na to, żeby zadbać o piękne kwiaty od Toma.

Pocieszałam się myślą, że niedługo będzie lepiej. Musiałam tylko z nim zerwać.

Czy to będzie trudne?

39

Nie mogłam powiedzieć o tym Tomowi, ale jego zachowanie prowadziło dokładnie do tego, o co mnie oskarżał. Ta cała jego paranoja i ciągłe gadanie, że kocham się w Casimirze, skłoniły mnie do zainteresowania się nim na serio.

On zawsze zwracał na mnie uwagę, wiedziałam o tym.

Zaczęłam się zastanawiać: jak wyglądałoby moje życie, gdybym była z nim, a nie z Tomem? Casimir nigdy nie stroił fochów, nie użalał się nad sobą i nie deliberował tyle nad życiem oraz wszystkimi niesprawiedliwościami, jakie go spotkały. Miał mnóstwo znajomych, dom wielki jak pałac i bez przerwy podróżował. Pomijając jego kretyński styl ubierania się, można by go uznać za strzał w dziesiątkę.

Tego rodzaju myśli równocześnie sprawiały jednak, że czułam się brudna – jakby Tom miał rację, oskarżając mnie nieustannie, i jakbym rzeczywiście miała wypisane na czole, że jestem niewierna.

To było cholernie frustrujące. A im więcej czasu poświęcałam na rozmyślanie o Casimirze i Tomie, tym większe odczuwałam napięcie, gdy widziałam się z tym pierwszym. Jak gdyby sama świadomość, że nawet patrzenie na niego jest zabronione, powodowała, że serce biło mi szybciej, czerwieniłam się i nie wiedziałam, gdzie zwrócić oczy.

*

Po kolejnej jesiennej imprezie Tom zaatakował mnie w drodze do domu.

– Widziałem, jak się na niego gapisz – warknął.

Był oczywiście pijany, ja zresztą też.

– Wcale nie – odpowiedziałam.

Nie potrafiłam jednak podnieść głosu, ponieważ wino sprawiło, że moja głowa stała się ciężka, a ciało bezsilne.

– A to? – Szarpnął czerwoną sukienkę, którą pożyczyłam od Marii. – Nie mogłaś włożyć czegoś innego?

Nie pojmowałam, o co mu chodziło. Sukienka Marii nie była ani wydekoltowana, ani zbyt krótka, sięgała niemal do kolan, i dlatego właśnie ją wybrałam. Nawet zakonnica spokojnie mogłaby się w niej pokazać.

Tak naprawdę nie wiem, co stało się potem – może to kombinacja mojej nieoczekiwanej uległości i jego zamroczenia alkoholowego tak na niego podziałała – w każdym razie kiedy już prawie doszliśmy do cisowego żywopłotu przed naszym domem, przyłożył mi prosto w żołądek.

Cios był tak niespodziewany i mocny, że od razu upadłam na ziemię. Świat wokół zawirował, głowa głucho uderzyła o kamień. Poczułam mdłości.

Sekundę później kopnął mnie w bok. Zwymiotowałam, rzygałam na wilgotną trawę obok siebie.

Nawet gdybym chciała zaprotestować, i tak nie byłabym w stanie.

Poza tym paradoksalnie uważałam, że na to zasłużyłam. Przecież rozmawiałam z Casimirem niemal przez cały wieczór. I pozwoliłam, żeby położył mi rękę na plecach, chociaż Tom stał w kącie i wściekły gapił się na nas.

Tak, pozwoliłam na to, dopuściłam do tego i teraz płaciłam cenę.

Nie można było odmówić temu pewnej logiki.

Kilka dni później oczywiście znowu byliśmy razem.

Teraz Tom wypłakiwał mi się w rękaw, zapewniał o swojej miłości, przysięgał na wszystkie świętości, że już nigdy mnie nie uderzy, i załatwił bilety na ceremonię MTV Awards w Globen. Nie wiem, czy mu uwierzyłam, ale ponieważ miałam wyrzuty sumienia, bo czułam słabość do Casimira, postanowiłam na razie ostatecznie nie zrywać.

Siedzieliśmy u mnie na łóżku, kiedy Tom wyjął coś z kieszeni.

– Zobacz, co udało mi się skombinować – powiedział, machając niewielką foliową torebką.

Wzięłam ją od niego, otworzyłam i wyjęłam z niej coś małego – brązową kostkę wielkości jednej trzeciej pudełka zapalek.

Podniosłam ją wyżej, ostrożnie wbiłam paznokieć w bryłkę, po czym przysunęłam do nosa.

– Myślałam, że nie lubisz haszu – zauważyłam.

W tej samej chwili z dołu dobiegł głos Vincenta.

– To jest najgorszy dzień w moim życiu! – krzyczał.

Następnie rozległy się głośne kroki na schodach.

– Schowaj to – rzuciłam, wkładając hasz z powrotem do torebki i oddając ją Tomowi.

– Gdzie?

Rozejrzałam się po zagraconym pokoju. Ale on nie czekał na moją wskazówkę, tylko wstał, otworzył górną szufladę komódki i wcisnął zawiniątko pod moją bieliznę.

Sekundę później do pokoju wpadł Vincent.

– Mama jest okropnie, okropnie głupia! – oznajmił bez żadnych wstępów.

– Chodź, słonko – zwróciłam się do niego, jednocześnie odsuwając się nieco, żeby zmieścił się na łóżku.

Usiadł ciężko.

– Cześć, kolego – przywitał go Tom z uśmiechem. Zawsze był dla niego miły.

Vincent wykrzywił buzię i spojrzał na mnie.

– Mama mówi, że nie wolno mi grać na game boyu przez dwa dni.

– A co takiego zrobiłeś? – spytałam, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

– Nic – bąknął, machając nogami nad podłogą.

– Coś chyba musiałeś przeskrobać.

– No... – wymamrotał. – To wcale nie była moja wina, tylko wina Gustava. Tego z 2B. To on zaczął.

– Chodź – powiedziałam, po czym wyciągnęłam się na plecach i szeroko rozłożyłam ramiona.

Vincent zawahał się przez sekundę, ale potem położył się na mnie. Przy uchu czułam jego szybki i wilgotny oddech, jego serduszko postukiwało o moją klatkę piersiową.

Objęłam go.

– Teraz jesteśmy hamburgerem – zauważył.

– Tak – potwierdziłam. – Najlepszym hamburgerem na świecie.

I tak oto porcja haszyszu znalazła się w szufladzie mojej komódki.

Nie miał z nią nic wspólnego ani Pito, ani ja.

Ona należała do Toma, ale Maria oczywiście nigdy by w to nie uwierzyła, gdybym jej powiedziała. W jej mniemaniu Tom to chodzący

ideał, ja natomiast byłam suką i w żadnym razie na niego nie zasługiwałam. Uważała, że jestem arogancką dziewczuchą, która nie zadała sobie nawet trudu, żeby usunąć folię z róż, która nie miała ochoty z nim rozmawiać, kiedy dzwonił, i wywracała oczami, gdy ona opowiadała, jaki to z niego miły, dobry i wspaniały chłopiec.

A Pito?

Pito to nieudacznik. Był sympatyczny, trochę ociężały i – jak stwierdziłam po pewnym czasie – dosyć nudny. Jego największa zaleta, która sprawiała, że chciałam się z nim spotykać, polegała na tym, że Maria wręcz chorobliwie go nie znosiła. Za każdym razem, gdy przekraczał próg domu, niemal odejmowało jej mowę. W końcu jednak przestało to być zabawne, bo ja też nie mogłam już znieść jego widoku.

Zresztą nieważne.

Wracając do haszyszu: kiedy Maria go znalazła, zrobiła wielki cyrk i zadzwoniła do jakiejś koleżanki pracującej w policji. Ta przyszła do nas i wykladała mi chyba przez godzinę, czym grozi i jakim jest nieszczęściem sięganie po narkotyki. Nie mogłam powstrzymać się od płaczu.

Nie dlatego, że – jak im obu się zdawało – miałam wyrzuty sumienia albo się wystraszyłam, ale z powodu poczucia cholernej niesprawiedliwości. Przecież to wszystko była wina Toma! Nie mogłam jednak tego powiedzieć. A nawet gdybym powiedziała, i tak nikt by mi nie uwierzył.

Poza tym zostałam upokorzona. Maria najwyraźniej grzebała w moich rzeczach, przeszukiwała moją bieliznę. Nic więc dziwnego, że zainstalowałam zamek w drzwiach do swojego pokoju.

Kiedy ta facetka z policji wreszcie sobie poszła, myślałam, że wszystko wróci do normy. Dopiero potem się zorientowałam, że Maria musiała chyba donieść na Pita, bo kilka tygodni później on został zatrzymany, a mnie wezwano na przesłuchanie.

To było naprawdę obrzydliwe. Trzymali mnie bez końca na komisariacie, zadawali mnóstwo pytań o niego i o mnie. Oczywiście nie powiedziałam o nim nic złego, bo niby dlaczego miałabym zrobić coś takiego? Niczego ze sobą nie ustalaliśmy. Ale Pito i tak wpadł, policja musiała chyba znaleźć jakieś gówno u niego w domu.

Potem odbyłam rozmowę z tatą, wyjaśniłam mu, że haszysz nie należał do mnie, nie zdradziłam jednak, że przyniósł go Tom. Nie wiem, czy mi uwierzył, ale widziałam, że zmarszczył czoło, kiedy wspomniałam

o znajomej Marii z policji – chyba nawet on uważał, że to niezbyt rozsądne, by wciągać w nasze domowe sprawy obcych ludzi.

– Przecież Maria mogła sama ze mną porozmawiać, bez pośredników – powiedziałam najłagodniejszym tonem, na jaki było mnie stać.

– Przede wszystkim powinna była pomówić ze mną – odparł tata, nie kryjąc rozdrażnienia.

Widziałam, że był na nią zły, i to sprawiło, że poczułam się dziwnie zadowolona. Jak gdybym w końcu przyparła go do muru i kazała mu wybierać.

I wybrał mnie. Swoją córkę.

40

Tego roku też nadeszła jesień, jesień niepodobna do żadnej z moich dotychczasowych. Las w Kungsudd płonął odcieniami ochry, żółci i czerwieni. W ciągu nocy, które stawały się coraz dłuższe, szron na okiennych szybach malował misterne koronkowe wzory. Z każdym dniem morze stawało się ciemniejsze i zimniejsze, aż wreszcie nie było już mowy o kąpielach.

Byłam dorosła i miałam całkiem dorosłe problemy.

Co prawda nie brakowało mi koleżanek, zwłaszcza wśród dziewczyn z drużyny koszykarskiej, ale nie wyobrażałam sobie, bym mogła którejkolwiek z nich powiedzieć, że mój chłopak mnie bije. Oczywiście nie uważałam, że to moja wina, aż tak wypranego mózgu nie miałam. Po prostu było mi wstyd, że ja – którą wszyscy uważali za cholernie silną, niecofającą się przed nikim i niczym – nie zostawiłam go już dawno temu.

*

W któryś październikowy weekend Casimir zorganizował kolejną imprezę. Jedną z wielu. Jego rodzice większość czasu spędzali w Szwajcarii, a on i jego bracia balowali niemal bez przerwy. I nie musieli później sprzątać. To znaczy, owszem – ktoś sprzątał, ale nie oni, tylko ich gosposia Paola, która była do tego stopnia nieśmiała, że gdy tylko ktoś przyszedł, od razu uciekała i gdzieś się chowała.

Była niska i drobna jak dziewczynka, zresztą kiedy pierwszy raz ją zobaczyłam, myślałam, że to dziecko. Włosy nosiła związane w węzeł na karku i najczęściej ubierała się w jakiś miękki dres z lampasami na nogawkach. Miała delikatną twarz, wysokie kości policzkowe i pełne usta. Przypuszczam, że chłopcy uważali ją za uroczą. Za pierwszym razem próbowałam porozmawiać z nią po francusku, a potem po arabsku, ale

ona tylko uśmiechnęła się nerwowo i szybko wycofała się do kuchni ze ścierką w ręce i ze spuszczonej oczami.

Przypominała mi wystraszonego psa.

– Daj sobie spokój – rzucił Casimir, otwierając piwo. – Ona mówi tylko po hiszpańsku.

– To jak się z nią porozumiewacie? – spytał Tom. – Językiem ciała?

Poruszył biodrami i wyszczerzył się znacząco do kolegi.

Casimir uśmiechnął się pobłaźliwie, po czym zniknął z pokoju z piwem w ręce.

– On leci na nią – szepnął Tom. – I to od dawna. Ale trafił na twarde orzechy.

Tamtego wieczoru na imprezie pojawiło się wyjątkowo dużo ludzi. Ledwie weszliśmy i Tom poszedł po drinki, obok mnie stanął Harold, brat Casimira.

Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy. Zawsze odnosiłam wrażenie, że jest trochę dziwny.

Miał jasne włosy i był opalony jak Casimir, ale niższy i bardziej przysadzisty od niego: jego głowa wydawała się osadzona bezpośrednio na tułowiu, nogi miał mocne jak kłody, a potężne bicepsy wręcz rozsadzały koszulę.

– To ty jesteś Yasmin? – spytał, unikając mojego wzroku.

– Tak.

Zapalił papierosa.

– Skąd jesteś?

– Co masz na myśli?

Zaciągnął się i wydmuchnął dym w moją stronę.

– Nie jesteś Szwedką.

– Nie, to znaczy mój tata jest Francuzem. A czemu pytasz?

Spojrzał na papierosa i ściągnął brwi.

– Słyszałem co innego.

– Ciekawe.

– Słyszałem, że jesteś Arabką.

Zamurowało mnie. Wszyscy wiedzieli, że Harold jest rasistą, ale to, że on uwierzył albo może sam myślał, że jestem Arabką tylko dlatego, że moi dziadkowie ze strony ojca pochodzili z Maroka, wprowadziło mnie w osłupienie.

– Generalnie uważam, że Arabowie i Afrykańczycy nie powinni ruszać się z Afryki – dodał. – Zasadniczo.

Zaciągnął się znowu i zanim zdążyłam wymyślić ciętą ripostę, zniknął w głębi pokoju.

Później nie mogłam pozbyć się wrażenia, że przez cały wieczór dziwnie na mnie patrzył, albo może tylko mi się wydawało, w każdym razie czułam się tak, jakby nie chciał mnie widzieć pod swoim dachem. Mimo to postanowiłam ignorować jego samego i jego idiotyczne komentarze. Nie zamierzałam pozwolić, żeby zepsuł mi imprezę.

Ale nie on jeden próbował schrzanić tamten wieczór. Tom oczywiście siedział w kącie i dęsał się jak naburmuszony dzieciak, który upuścił lody.

Cały czas kręciła się między nami Paola. Rzecz jasna nie jako gość – biegła wśród gości, serwowała drinki i zbierała puste szklanki. Kiedy pochyliła się nad siedzącym na stołku Casimirem, żeby sprzątnąć ze stołu kilka butelek po piwie, on chwycił ją wpół i pociągnął na swoje kolana. Potem położył rękę na jej biuście i mocno ścisnął.

Gdy próbowała mu się wyrwać, dostrzegłam w jej oczach panikę. Śmiech Casimira sprawił, że poczułam się nieswojo.

Tamtego wieczoru już więcej nie widziałam Paoli.

Mniej więcej pół godziny później wstałam, żeby przynieść sobie kolejnego drinka.

Tom chwycił mnie za rękę.

– Chcę już iść – powiedział.

– Dlaczego? Przecież dopiero przyszliśmy.

– Tu jest do bani i drętwo.

Popatrzyłam na niego.

Siedział skulony w fotelu z papierosem zwisającym między dwoma palcami lewej ręki. Ciemne włosy opadły mu na czoło jak zasłona i zakrywały oczy. Mimo to widziałam, że był zły, że coś go wkurzało – prawdopodobnie to, że zbyt wielu chłopaków zerkało na mnie.

Wstał, a uścisk wokół mojego przedramienia stwardniał.

– Idziemy – wycedził przez zęby.

– Nie – odpowiedziałam i niespodziewanie mu się wyrwałam.

Jego ręka wystrzeliła do góry, na co instynktownie się cofnęłam, aby uniknąć ciosu, ten jednak nie nastąpił. Tom stał z uniesionym ramieniem, zastygły w pół ruchu.

Rozmowy wokół nas ucichły, spojrzenia wszystkich zwróciły się na niego. Dziewczyna Douglasa, pulchna blondyna w króciutkiej spódniczce, zasłoniła dłonią usta. Casimir zgasił jointa w szklance grogu, a Harold powoli odstawił piwo.

Tomowi pot wystąpił na czoło, jego klatka piersiowa gwałtownie się unosiła i opadała, jakby właśnie przebiegł sto metrów.

– Wynoś się do diabła! – krzyknęłam.

Wykrzywił usta w coś na kształt uśmiechu, a potem odwrócił się i wyszedł – leniwie, powłócząc nogami, jakby chciał dać do zrozumienia, że ma w nosie, co myślę.

Nie minęło wiele czasu, gdy Casimir pojawił się u mojego boku.

– Problemy miłosne? – spytał z uśmiechem, niemal niezauważalnie unosząc spłowiałą od słońca brew.

– Coś w tym rodzaju.

Wyciągnął do mnie rękę.

– Chodź, zatańczymy.

W pierwszym odruchu chciałam odmówić, bo przecież dotykane Casimira było zakazane. To grzech, oznaka amoralności, którą Tom najwyraźniej dostrzegł we mnie, jeszcze zanim zdążyła faktycznie się objawić.

Potem jednak poczułam na przedramieniu ból po żelaznym uścisku Toma, skóra wciąż piekła i paliła.

Nikt nie będzie o mnie decydował – pomyślałam. – Nikt.

A zwłaszcza on.

Spędziliśmy razem cały wieczór.

Casimir donosił kolejne drinki, żartował. Był świetnym gospodarzem i miłym wytchnieniem od moich wszystkich dorosłych problemów. A może warto by z nim porozmawiać? – przebiegło mi przez myśl. Przecież zna Toma i na pewno wie, jakim on potrafi być bydlakiem, kiedy wpada w ten swój nastrój. A ostatnio wpadał niemal bez przerwy.

Jednocześnie Casimir to jeden z jego najbliższych przyjaciół, istniało więc ryzyko, że to, co mu powiem, dotrze do Toma. Poza tym nie miałam siły albo raczej ochoty maglować swoich problemów akurat tego wieczoru.

Pragnęłam jedynie być blisko chłopaka będącego przeciwieństwem Toma. Chłopaka, który się uśmiechał, zamiast truć i marudzić, delikatnie

dotykał moich włosów, zamiast bić, i mówił komplementy, zamiast szydzić.

Po imprezie Casimir zaproponował, że odprowadzi mnie do domu. Oboje zdjęliśmy buty i tańczyliśmy boso na łące. Trawa była pokryta rosą, a ziemia zrobiła się już całkiem chłodna, więc stopy drętwiały nam coraz bardziej, w miarę jak oddalaliśmy się od posiadłości.

Kiedy dotarliśmy przed mój dom, przyciągnął mnie do siebie i roześmiał się, wtulając twarz w moje włosy.

Ja też się roześmiałam, po raz pierwszy od miesięcy czułam się wolna. Ekscytujące oczekiwanie i radość wprost rozsadzały mi pierś.

– Pragnę cię, Yasmin – powiedział i znowu wybuchnął śmiechem.

Nie wiedziałam, czy żartował, czy mówił poważnie.

Chyba jednak wiedziałam. Jasne, że tak.

Sekundę później objął mnie i pocałował.

To był zupełnie inny pocałunek, nie twardy i zdecydowany jak pocałunki Toma, tylko miękki i jakby badawczy. Jak gdyby za pomocą warg próbował czegoś się o mnie dowiedzieć.

Obejmowałam go coraz mocniej, niemal kurczowo; naprawdę wierzyłam, że właśnie on może być rozwiązaniem moich problemów. Chyba to zauważył, bo delikatnie mnie odsunął i spojrzał lekko zdziwiony.

– Ja też cię pragnę – odparłam i w tym samym momencie uświadomiłam sobie, że rzeczywiście tak myślę.

Chwilę później otworzyły się drzwi wejściowe – wypadł z nich mój tata z gołym torsem i w rozpiętych dżinsach wiszących na biodrach.

Casimir cofnął się o kilka kroków, ja stałam w miejscu.

– Co ty, u diabła, wyprawiasz?! – krzyknął po francusku i ruszył ku mnie, zapinając spodnie.

Odwróciłam się, szukając wzrokiem Casimira, ale on odszedł już w stronę posiadłości. Zniknął w cieniu, a ja zostałam sama.

To tyle, jeśli chodzi o ratunek.

– Nic – odpowiedziałam.

Tata chwycił mnie za rękę, dokładnie w tym samym miejscu, co wcześniej Tom, i pociągnął w kierunku domu.

– Aua! – krzyknęłam. – To boli.

Ale on ciągnął mnie dalej. Kamyki na zwirowej ścieżce wbijały się w moje gołe pięty, upuściłam buty, które trzymałam w drugiej ręce.

– Zachowujesz się jak dziwka – syknął. – Nie pojmujesz tego?

41

A więc oficjalnie potwierdzone: byłam dziwką.

Teraz już nie tylko Tom tak uważał, tak samo myśleli też tata i Maria. Równie dobrze mogli wypisać mi to na czole.

„Najbardziej zdzirowata dziwka ever”.

Tata co wieczór robił mi awanturę. Siedzieliśmy w kuchni, Maria z Vincentem byli na górze, ale na ile ją znałam, na pewno pilnie nadstawiała uszu i z lubością słuchała, jak ojciec zmywał mi głowę.

– Na litość boską, Yasmin, trzymaj się jednego chłopaka. Co ludzie pomyślą?

To było coś zupełnie nowego, tata nigdy wcześniej nie wypowiadał się na temat tego, co robię i z kim się trzymam; dopóki dostawałam dobre oceny, czułam się szczęśliwy.

Część moich koleżanek miała chorobliwie surowych rodziców. Na przykład Bahar, Kurdyjka z drużyny koszykarskiej, nie mogła jeździć z nami na obozy szkoleniowe, bo zabraniała jej rodzina. A kiedy skończyła siedemnaście lat, w ogóle zmuszono ją do rezygnacji z treningów. Najwyraźniej koszykówka nie była odpowiednia dla dziewczyn.

Nie pojmowałam wtedy, jak mogła pozwolić na to, żeby matka i ojciec decydowali za nią o takich sprawach. Nigdy bym się na coś takiego nie zgodziła. Bo w końcu co tak cholernie złego i groźnego jest w grze w koszykówkę?

I oto teraz mój własny ojciec siedział przede mną i wyrażał swoje opinie o tym, z kim się spotykam, jak wypisz, wymaluj jakiś pieprzony talib.

– Casimir chciał po prostu być miły – skłamałam, próbując zbagatelizować znaczenie tego, co wydarzyło się tamtego wieczoru. – Bo jego brat Harold zachował się wobec mnie paskudnie.

W gruncie rzeczy skłamałam tylko w połowie. Harold podczas imprezy rzeczywiście dał popis buty i chamstwa, chociaż ani słowem nie wspomniałam o tym Casimirowi.

– Miły? – rzucił tata, robiąc taką minę, jakby ugryzł coś gorzkiego. – Jakoś trudno mi w to uwierzyć. – Po chwili drążył dalej: – A co takiego zrobił jego brat?

– Harold? Nazwał mnie Arabką i powiedział, że moje miejsce jest w Afryce, albo coś w tym stylu.

Tata otworzył szerzej oczy.

– Wobec tego sobie z nim porozmawiam.

– Nie, lepiej nie.

Wziął kilka głębokich wdechów, jego twarz nieco się odprężyła.

– To mimo wszystko nie usprawiedliwia twojego zachowania.

– Może, ale Tom nie jest w porządku – bąknęłam.

– W takim razie skończ z nim. Czy to takie trudne? Masz osiemnaście lat, w twoim wieku nie trzeba koniecznie mieć chłopaka. Należy skupić się na nauce, drugiej szansy w liceum nikt ci nie da.

W pewnym momencie spytał:

– Co to znaczy, że Tom nie jest w porządku?

Chciałam mu opowiedzieć, naprawdę próbowałam, ale nie byłam w stanie. Słowa więzły mi w gardle, wstyd zaciskał krtań, hamował je.

– Więc nie jest agresywny? – spytał tata.

– Jasne, że nie – odpowiedziałam, przewracając oczami.

Nasze kłótnie zawsze kończyły się tak samo: tata tracił panowanie nad sobą i ciskał czymś, co akurat miał pod ręką – szklanką, talerzem, czymkolwiek – prosto w ścianę.

Bang.

– Dlaczego musiałaś wszystko zniszczyć, Yasmin? Powiedz mi: dlaczego?

Którejś nocy obudził mnie hałas dobiegający od strony okna.

Regularne stuknięcia brzmiały tak, jakby ktoś stał na dole i rzucał kamykami w szybę. I tak właśnie było. Kiedy spojrzałam w ciemność, ujrzałam Toma sterczącego na trawniku, z naciągniętym na głowę kapturem bluzy i z jedną ręką wsuniętą do kieszeni dzinsów.

Nie pamiętam, co sobie wtedy pomyślałam. Może przestraszyłam się, że zaraz obudzi cały dom i że tata znowu się wścieknie. Zbiegłam na palcach na dół, włożyłam tenisówki i narzuciłam na plecy rozpinany sweter, po

czym wyszłam do niego. Ale ledwie znalazłam się na dworze, zrozumiałam, że popełniłam błąd – twarz Toma była blada i zacięta, pięści miał zaciśnięte.

– Musimy pogadać – oświadczył.

– Okej – odparłam, szczerzej otulając się swetrem.

Miałam na sobie tylko cienką koszulę nocną, a temperatura spadała poniżej zera. Ciemne wody zatoki zaczął ścinać mróz, pokrywając je błyszczącą taflą cienkiego lodu. Trawa chrzęściła mi pod stopami, oddech zamieniał się w obłoki pary. W powietrzu wisiała groźba nadciągającego niebezpieczeństwa, pożaru.

Tom spojrział na dom i powoli pokręcił głową.

– Ale nie tutaj – dodał i ruszył w kierunku posiadłości i lasu.

Stałam w miejscu, jakbym nie mogła się zdecydować. Gdybym nie poszła za nim, wpadłby w szal, choć jednocześnie doskonale widziałam – po jego przygarbionych plecach, po wzroku wbitym w ziemię i po zaciśniętych pięściach – że na nic dobrego się nie zanosilo.

W końcu to on podjął za mnie decyzję: zawrócił, podszedł do mnie, chwycił za włosy i pociągnął w ciemność.

– Puść – powiedziałam cicho, ponieważ lęk przed obudzeniem taty i Marii był nadal silniejszy niż strach przed nim.

On jednak nie puścił, tylko zawlókł mnie jeszcze dalej w cień pod dużymi drzewami obok cisowego żywopłotu.

– Aua. Co ty wyprawiasz?

– Wiem wszystko – syknął.

– Co wiesz?

– Co robiłaś na imprezie.

Oblałam się zimnym potem. To, że ja i Casimir spędziliśmy cały wieczór razem, na pewno nie uszło uwadze nikogo z obecnych. Ale nie robiliśmy nic złego – po prostu się bawiliśmy. A o tym, że potem całowaliśmy się przed moim domem, Tom chyba raczej nie mógł wiedzieć.

Czy jednak mógł?

– Dziwka – warknął i przewrócił mnie na trawę. – Harold wszystko mi powiedział.

– Co ci powiedział?

Przycisnął mnie kolanem, poczułam w ustach zmrożone liście. I żwir na policzku.

– Że wyszłaś z Casimirem. A Maria mówiła, że powinienem mieć się przed tobą na baczności, bo jesteś puszczańska.

– Ale ja nic takiego nie...

Bang.

Zaciśnięta pięść trafiła w oko. Przez sekundę byłam pewna, że je zmiażdżyła i że została po nim jedynie lepka krwawa masa.

– Puszczańska – wysyczał. – Jak dziwka.

Po chwili rzucił:

– Spałaś z nim, przyznaj się!

Chciałam, wręcz usiłowałam mu powiedzieć, że nic się między nami nie wydarzyło, ani jedno słowo nie wydostało się jednak z moich ust. Były równie zmrożone i martwe jak ziemia pode mną. Ból przeszywał mi głowę, lecz jeszcze gorszy był szok: do tej pory nigdy nie uderzył mnie w twarz. Widocznie doszedł do wniosku, że teraz każdy powinien to zobaczyć, i nie przejmował się konsekwencjami.

Mógłby mnie zabić, pomyślałam, i w tej samej chwili uzmysłowiłam sobie, że to prawda.

Wziął z ziemi duży kamień i uniósł go w obu rękach nad moją głowę.

– Nie!

Odróciłam twarz i w tym momencie kamień trafił mnie w tył czaszki.

Bang!

Kontury świata się rozmazały. Chłód wilgotnej ziemi zniknął. Ziemia zniknęła, pod moim ciężarem zamieniła się w watę.

Obudziło mnie zimno, od którego cała się trzęsłam.

Toma nie było. Słyszałam jedynie szum wiatru w koronach drzew, których sylwetki rysowały się na tle nieba. Między nimi migotały gwiazdy, miliony punktów świetlnych z odległych galaktyk.

Usiadłam, po omacku dotknęłam wypukłości z tyłu głowy i pod okiem. Spojrzałam na palce: ani śladu krwi. Potem usunęłam kamyki i igły, które przykleiły mi się do skroni.

Twarz była spuchnięta, ale kiedy zamrugałam powieką nieuszkodzonego oka, stwierdziłam, że ze wzrokiem jest wszystko w porządku. Głowę rozsadał mi ból, serce waliło jak oszalałe, ale dominowało uczucie wstydu.

Tata miał rację: wszystko zniszczyłam.

To moja wina, że byliśmy zmuszeni przenieść się do tego cholernego kraju. Gdybyśmy tu nie przyjechali, nigdy nie poznałabym Toma i żadna

z tych okropnych rzeczy by się nie przydarzyła.

Wróciwszy do domu, zmyłam z twarzy ziemię, po cichu wślizgnęłam się do swojego pokoju i położyłam się do łóżka. Po chwili ktoś ostrożnie zapukał do drzwi.

– Śpię – powiedziałam.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł tata.

Zapalił lampę. Ostre światło padło na moje podbite oko, ból wręcz rozsadał mi głowę.

– Zgaś – poprosiłam.

Wyłączył lampę, ale wciąż stał w progu.

– Twoje oko – wymamrotał w ciemności. – Co ci się stało?

– Nic. Uderzyłam się w pracy.

– Gdzie byłaś?

– Przecież mówię: w pracy.

Chwila ciszy.

– Do trzeciej nad ranem?

– Mieliśmy prywatną rezerwację, imprezę firmową. Trochę się przeciągnęła.

– Yasmin, powiedz mi szczerze: czy wydarzyło się coś jeszcze?

Nie odpowiedziałam.

– Yasmin! Czy to ma coś wspólnego z tobą i Tomem?

– Niby dlaczego? Idź już! Chcę spać.

Kiedy następnego dnia rano zesłam do kuchni, tata, Maria i Vincent siedzieli przy śniadaniu. Pachniało kawą i świeżymi grzankami. Z włączonego radia dobiegał głos lektora porannych wiadomości, który informował, że nadchodzi fala zimna i że już w weekend może spaść śnieg.

Tata na mój widok odłożył kanapkę na talerz.

– Mon dieu – wykrztusił.

– Co się stało? – spytała Maria, szczerze zaniepokojona.

– Uderzyłam się o szafkę w pracy – wyjaśniłam, dotykając wielkiego siniaka i usiłując się uśmiechnąć.

Vincent powiódł za mną wzrokiem, gdy podeszłam nalać sobie kawy. Zamrugał kilka razy, otworzył usta i je zamknął.

– Czy to boli? – wymamrotał wreszcie.

– Nie – skłamałam.

– Mam cię pocieszyć?

Podłubał w nosie palcem usmarowanym masłem.

– Nie trzeba – odpowiedziałam. – To nic strasznego.

Tata odstawił kubek z takim rozmachem, że kawa wylała się na serwetkę. Następnie wstał i wyszedł z kuchni.

Tego samego dnia, chyba wieczorem, Maria chciała, żebym napiła się z nią herbaty.

Powiedziała mi, że w razie czego zawsze mogę z nią porozmawiać. I że czasami fajnie jest pogadać z kimś innym niż z rodzicami. Poza tym że bardzo jej na mnie zależy oraz że chciałyby mi pomóc.

Wiedziałam, że kłamie. Świętoszkowata cipa.

Była ostatnią osobą, z którą chciałybym rozmawiać na ten temat.

To ona przeszukiwała mój pokój, grzebała w mojej bieliźnie i zadzwoniła do policjantki, gdy tylko znalazła odrobinę haszu. Ubóstwiała Toma, ostrzegała go przede mną i nazwała mnie puszczałką.

Kto jak kto, ale ona na pewno nie mogła mi w niczym pomóc.

42

Kilka dni później obudziły mnie rano dokuczliwe mdłości. Byłam przekonana, że to wina gulaszu rybnego, którego resztki zabrałam z restauracji i zjadłam w domu – higiena nie była najmocniejszą stroną Rialto. Poleżałam jeszcze chwilę w łóżku, wypiliśmy trochę wody ze szklanki stojącej zawsze na nocnym stoliku, a potem wstałam.

Gdy zeszałam do kuchni, na widok francuskiego chleba i na w pół stopionego masła znowu zrobiło mi się niedobrze.

– Nie zjesz śniadania? – spytał tata.

Pokręciłam głową.

Maria podniosła wzrok znad gazety, bawiąc się kosmykiem swoich zniszczonych włosów.

– Ostatnio bardzo schudłaś – zauważyła. – Może jednak spróbowałaś coś zjeść?

Nagle na piętrze rozległ się huk, jakby coś spadło na podłogę w pokoju Vincenta.

Maria westchnęła, odłożyła gazetę, podniosła się z krzesła i wyszła do przedpokoju.

– To prawda – bąknął tata, kiedy zniknęła na schodach. – Jesteś chuda jak patyk.

– Już mówiłam, że nie mam apetytu.

Zmarszczył czoło i przyjrzał mi się uważnie, ale nic nie powiedział.

Oczywiście oboje mieli rację. Całymi dniami i nocami zadreślałam się tą cholerną historią z Tomem. Problemy wypełniały mi głowę, nie zostawiając miejsca na zwykłe rzeczy, takie jak szkoła, jedzenie czy treningi koszykówki. To wszystko odbijało się na moim wyglądzie – rzeczywiście wychudłam, żebra i kości biodrowe sterczały mi jak u kościotrupa, skóra się łuszczyła, a wargi były suche i popękane.

Doszałam do wniosku, że moje życie można by porównać do miejsca jakiegoś pieprzonego wypadku samochodowego, gdzie ludzie przystają

i nie mogą się powstrzymać, żeby się nie gapić. Bo tak właśnie robią, kiedy widzą wypadek. Wybałuszają oczy, są przerażeni, ale nie odwracają wzroku. Moje koleżanki i koledzy zachowywali się tak samo: wlepiali we mnie gały. A w pracy wszyscy ciągle mnie pytali, jak się czuję.

– W porządku – odpowiadałam z uśmiechem.

Bo co miałam powiedzieć?

„Tak sobie, mój chłopak akurat niedawno spuścił mi bęcki”?

Nudności tamtego ranka nie były jednak spowodowane gulaszem rybnym z Rialto. Wróciły ze zdwojoną siłą następnego dnia i dawały o sobie znać co rano przez cały tydzień.

Może i nie byłam zbyt rozsądna, ale przecież potrafiłam myśleć.

Kupiłam test ciążowy w aptecce w śródmieściu – śmiertelnie się bałam, żeby nie spotkać kogoś znajomego, więc gdy tylko wzięłam z półki pudełko, szybko ukryłam się za regałem. Niepotrzebnie się denerwowałam – w środku znajdowało się tylko kilkoro emerytów i farmaceuta z kozią bródką, którego nigdy wcześniej nie widziałam.

Po powrocie do domu od razu zamknęłam się w toalecie, rozerwałam opakowanie i wyjęłam test. Dokładnie przeczytałam instrukcję, nasikałam na płytkę, a potem zobaczyłam dwie kreski.

Jak to się mogło stać?

Tak, wiem, idiotyczne pytanie. Oczywiście stało się to w taki sam sposób, jak zawsze się dzieje. Ale przecież Tom i ja byliśmy bardzo ostrożni. A jednak moje ciało mnie zdradziło i weszło w spisek z najgorszym facetem na świecie.

Lecz ważniejsze i pilniejsze pytanie brzmiało: co zrobić?

Nie mogłam i nie chciałam mieć dziecka z Tomem, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Zresztą nie sądziłam, by on nagle zapragnął być ojcem. Po co mu to, zostały mu jeszcze dwa lata do końca studiów, a po dyplomie planował przecież zarobić górę pieniędzy i kupić Kungsudd, tak czy nie?

Główne pytanie brzmiało zatem: czy powiedzieć Tomowi i mieć jego wsparcie podczas wizyty u lekarza, czy wybrać się na zabieg sama?

Zastanawiałam się przez kilka dni. Myślałam i jednocześnie żywiłam nadzieję, że ta grudka komórek, która we mnie rosła, zmęczy się i odpuści, jak opity krwią kleszcz. Leżałam w łóżku i próbowałam sobie

zwizualizować, jak mój organizm blokuje dopływ krwi do małego pasażera na gapę, jak on się kurczy niczym rodzyńka i umiera.

Ale oczywiście nic takiego się nie stało.

Mój tradycyjny pech.

Właściwie powinnam była poinformować Toma, w końcu to też jego twór, więc chyba ma prawo wiedzieć. Poza tym nie cierpiałam szpitali i doktorów, od czasu wypadku samochodowego miałam coś w rodzaju fobii w odniesieniu do wszystkiego, co wiązało się ze służbą zdrowia. Zatem nawet jeśli zamierzałam z nim zerwać, może jednak powinien pójść ze mną do lekarza.

Ale jednocześnie straszliwie bałam się mu o tym powiedzieć.

Potwornie bałam się Toma.

*

To stało się w sobotę drugiego grudnia.

Tom namówił mnie, żebym wpadła wieczorem do de Veghów – nie było żadnej imprezy, po prostu mieliśmy posiedzieć we trójkę: on, ja i Casimir. Nie paliłam się do tego pomysłu, ponieważ jednak odmówiłam mu już kilka razy, kiedy dzwonił i chciał się spotkać, na pewno piekielnie by się wkurzył, gdybym znowu oznajmiła mu, że mam migrenę. Dlatego obiecałam, że przyjdę. Ale zamierzałam zostać tam naprawdę niedługo – postanowiłam, że wymyślę jakąś wymówkę i zmyję się po godzinie, najwyżej po dwóch.

Wydawało mi się trochę dziwne, że chciał się spotkać ze mną i z Casimirem – przecież jeszcze niedawno miał do mnie pretensje, że z nim kręcę. Uznałam jednak, że to pasuje do jego paranoicznej osobowości, bo w takiej sytuacji będzie mógł mieć na nas oko, a jednocześnie wyraźnie zaznaczyć, do kogo tak naprawdę należę.

Kiedy wyszłam z domu, było ciemno. Od dwóch tygodni trzymał mocny mróz – rano po błyszczącej tafli lodu na zatoce jeździli łyżwiarze i właściciele psów spacerowali ze swoimi pupilami.

Szłam po zamrożonej ziemi, oszroniona trawa chrzęściła pod stopami, a mój oddech zamieniał się w białe obłoki pary unoszące się tuż przed twarzą, zupełnie jak w kreskówce. Ale śnieg jeszcze nie spadł, drzewa i krzewy wyciągały ku czarnemu niebu nagie i sękatę gałęzie.

Gdy Casimir otworzył mi drzwi, dostrzegłam błysk w jego oczach. Twarz od razu mu złagodniała i pojawił się na niej ciepły uśmiech.

– Cześć – powiedział, zapraszając mnie do środka.

– Cześć – odrzekłam, po czym weszłam do imponującego holu, zdjęłam nowe zamszowe kozaki i powiesiłam skórzaną kurtkę na wieszaku obok futra z norek.

Z kuchni dochodziły jakieś odgłosy. Zapach świeżo pieczonych cynamonowych bułeczek od razu podrażnił mi nozdrza – przypomniało mi się, że nic nie jadłam od rana, bo wegetariańska breja z groszkiem, którą Maria przygotowała na obiad, cuchnęła rzygami.

Zza pleców Casimira wyłonił się Tom, przecisnął się obok niego i pocałował mnie w usta.

– Witaj – powiedział, obejmując mnie ramieniem.

Casimir popatrzył na nas z miną niewiniątka.

– Nie mam zbyt wiele czasu – rzekł. – Za godzinę muszę odebrać swojego staruszka z lotniska. – Zamilkł i po chwili spytał: – Piwa?

– Chętnie – odpowiedziałam.

Przeszliśmy do kuchni.

Paola stała przy dużym marmurowym blacie i zagniała ciasto, ubrana jak zwykle w swój zmechacony dres. Ciemne włosy miała spięte dziecinną spinką ozdobioną żółtymi różyczkami i sztucznymi diamentami. Na kuchennej kratce obok niej stygła porcja ledwo wyjętych z pieca bułeczek.

Odwróciwszy się, posłała mi nieśmiały uśmiech i nieznacznie uniosła umączoną dłoń.

Pozdrowiłam ją skinieniem głowy i podeszłam do lodówki, przy której Casimir przykucnął i grzebał między butelkami i puszkami. Po chwili wstał i podał nam obojgu po piwie.

– Udało ci się już zerznąć Miss Kolumbii? – spytał Tom z obojętną miną, wskazując na Paolę.

Młoda kobieta zerknęła na nas, wydawała się zupełnie zdezorientowana.

– Idź do diabła – mruknął Casimir i wyszedł do salonu.

Poszliśmy za nim i usiedliśmy na fotelach.

Zapadła niezręczna cisza.

– Co słyhać? – spytał gospodarz, patrząc na mnie.

Lekko zmarszczywszy czoło, zdawał się prześwietlać mnie spojrzeniem i bacznie przyglądał się mojej twarzy. Przed wyjściem bardzo się starałam ukryć sińce pod makijażem, ale nie miałam pewności, czy mi się udało.

– Nic specjalnego – odpowiedziałam, zasłaniając oko pasmem włosów.
– A u ciebie?

– Za dwa tygodnie wybieram się do Verbier – rzekł, pociągając łyk piwa. – Mój wujek ma tam domek, zaraz przy kolejce Medran.

Tom spojrział na mnie, zapalił papierosa i podniósł wzrok na sufit. Wyglądał na zdenerwowanego. Wiercił się niespokojnie na fotelu, najwyraźniej nie mógł usiedzieć w miejscu. Nie wiedziałam, czy powodem było to, że Casimir rozmawiał tylko ze mną, czy też poczuł się gorszy, ponieważ przyjaciel po raz kolejny przypomniał mu o bogactwie de Veghów.

– Super – odparłam. – Spędzicie tam święta?

– Mhm – potwierdził Casimir z ustami pełnymi piwa. – Chociaż Douglas leci na Bahamy ze swoją dziewczyną. Babcia ma metę na Harbour Island. To jest...

– A my wybieramy się w góry – przerwał mu Tom.

Casimir uniósł jedną brew.

– Z rodziną?

– Nie, Yasmin i ja – odpowiedział, wydmuchując obłok dymu w moją stronę.

– Słucham? – rzuciłam. – Naprawdę?

Popatrzył na mnie, nie mówiąc ani słowa, tylko rozchylił nieco usta i wypuścił nitkę dymu, która uniosła się ku sufitowi.

Nie miałam pojęcia, jak zareagować. Nie chciałam jechać w góry, nawet nie mogłam – Boże Narodzenie i Nowy Rok powinnam spędzić z tatą, Marią i Vincentem. Poza tym byłam przy nadziei, w ciąży, brzemienna. O żadnej z tych rzeczy nie mogłam jednak powiedzieć w tamtym momencie, jeśli nie chciałam, żeby Tom stracił twarz przed Casimirem.

– No tak – rzuciłam w końcu.

Zapadła cisza.

Po chwili Tom odchrząknął i pochylił się do przodu.

– Chciałbym z wami porozmawiać – rzekł niskim głosem, utkwivszy wzrok w dywanie.

Gdy zaczął nerwowo pocierać kostki obu dłoni, nagle wszystko zrozumiałam: chciał, żebyśmy spotkali się we trójkę, ponieważ zamierzał postawić nas pod ścianą, przyprzeć do muru – ale właściwie z jakiego powodu? Bo Casimir odprowadził mnie tamtego wieczoru do domu, a on

był przekonany, że do czegoś między nami doszło? Bo on jest takim dupkiem, że naprawdę zaczynałam woleć Casimira od niego? Bo byłam kretynką i nie zerwałam z nim dużo wcześniej?

Nie miałam odwagi odezwać się choćby słowem, nie potrafiłam się nawet ruszyć – tak potwornie się bałam.

Przywykłam już do tego, że Tom robił mi awantury, ale nigdy wcześniej nie ośmielił się zadrzeć z Casimirem.

Ciszę przerwał dzwonek telefonu. Casimir postawił piwo na stole i podszedł do niewielkiego biurka, aby odebrać. Zwrócony szerokimi plecami do nas rozmawiał po cichu.

– Już? – spytał.

A po chwili:

– Dobrze, oczywiście.

Starłam się nie patrzeć na Toma, ponieważ wolałam, by nie zobaczył, jak bardzo jestem przerażona. Oczywiście nie mogłam też patrzeć na Casimira, bo on natychmiast by to zauważył, dlatego utkwiłam wzrok w stosie czasopism leżących na stoliku przed kanapą. „Country Living” – przeczytałam. A obok: „Horse & Hound”.

Wkrótce Casimir odłożył słuchawkę i wrócił do nas, ale nie usiadł już na fotelu, tylko przepaszająco uniósł ramiona i powiedział:

– Sorry. Pogadamy innym razem. Muszę pędzić na Arlandę. Samolot przyleciał przed czasem.

– Nie ma sprawy – odrzekłam, stawiając niedopite piwo na stoliku. – I tak zamierzałam wcześniej wrócić do domu. Obiecałam Marii, że jej w czymś pomogę.

– Będę z powrotem za jakieś dwie godziny. Może wtedy się zobaczymy?
– zaproponował Casimir.

Tom bez słowa wrzucił niedopałek papierosa do swojej pustej puszkę po piwie.

43

Staliśmy na żwirowym podjeździe i patrzyliśmy, jak tylne światła samochodu Casimira znikają w ciemności. Zrobiło się jeszcze zimniej, w cienkiej skórzanej kurtce trzęsłam się jak galareta. Palce u rąk zeszywniały mi na mrozie i aby je rozgrzać, wetknęłam je pod pachy.

– Chodź – rzucił Tom kategorycznym tonem, po czym ruszył w kierunku mojego domu.

Skoro zostaliśmy sami, powinnam była mu powiedzieć, że jestem w ciąży, ale nie wiedziałam jak.

– Dlaczego mówiłeś, że pojedziemy w góry? – spytałam na razie.

– Bo pojedziemy.

– Ja nie mogę, święta spędzam z rodziną.

– Zarezerwowałem już hotel.

Strach stopniowo ustępował miejsca złości, a właściwie furii. To był właśnie cały on. Typowe zagranie Toma: zarezerwował wspólną wycieczkę, w ogóle tego ze mną nie konsultując.

– Posłuchaj – powiedziałam ostrzej, niż zamierzałam. – To po prostu niemożliwe.

Przystanął i powoli obrócił się ku mnie. W przyćmionym świetle padającym z posiadłości jego twarz wydała się gładka i obojętna.

– Ależ ty jesteś kurewsko marudna i niewdzięczna. To tylko trzy dni, będziesz mogła sobie z nimi świętować później.

Ja też się zatrzymałam.

– No co? – spytał, grzebiąc ręką w kieszeni kurtki.

– Nie mogę, jestem...

– Kurde!

Wywrócił kieszeń na drugą stronę. Na ziemię wypadły monety i drobne kamyki, wiatr porwał jakieś strzępki papieru.

– Zapomniałem fajek – powiedział.

Zawrócił w kierunku posiadłości. Jego szybkie kroki chrzęściły na zwirowej ścieżce, ramiona kołysały się rytmicznie.

– Idziesz? – rzucił za siebie, nawet nie odwracając głowy.

Ruszyłam, próbując za nim nadążyć, ale wysokie obcasy zapadały się w żwirze i mnie spowalniały. Zaczęłam biec, aby go dogonić. Mróz szczypał w policzki.

Kiedy dotarłam do wejścia, on zdążył już zadzwonić i kilka sekund później Paola lekko uchyliła drzwi. Spojrzała na niego podejrzliwie.

– I forgot – zaczął. – My cigarettes. Cigarillos.

Gdy kilkakrotnie przyłożył palec wskazujący i środkowy do ust, Paola uśmiechnęła się, otworzyła szerzej drzwi i cofnęła się o krok.

– Vale. ¡Pasen, por favor!

Weszliśmy do ciepłego wnętrza i zamknęliśmy za sobą drzwi, a Paola od razu zniknęła w kuchni. Gdy zajrzałam tam z holu, zobaczyłam całą blachę wyrośniętych bułeczek gotowych do wstawienia do pieca.

Tom ruszył w kierunku salonu.

– Co mi chciałaś powiedzieć?

– Możemy porozmawiać?

– Mów.

W salonie nadal unosił się zapach tytoniowego dymu i piwa, którego niedopite puszki stały na stoliku przy kanapie.

– Jestem w ciąży.

Staął jak wryty w pół kroku i powoli obrócił się w moją stronę.

– Chyba żartujesz?

Na jego twarzy pojawił się niepewny uśmiech.

– To nie jest temat do żartów.

Zrobił kilka kroków w kierunku dużego malowidła wiszącego nad biurkiem. Obraz wyglądał na stary i przedstawiał mężczyznę na koniu wskazującego mieczem na porośnięte lasem wzgórze. De Veghowie posiadali sporo dzieł sztuki. Słyszałam od kogoś, że wcale nie mają arystokratycznych korzeni, choć starali się sprawiać takie wrażenie, a te wszystkie portrety, które podobno kupili na jakiejś aukcji, miały im przydać znaczenia i blichtru.

– Jesteś pewna? – spytał, wpatrując się w faceta na koniu, jakby chciał przenieść się w inny czas, do innego życia.

– Zrobiłam test.

Schylił się i oparł obie dłonie na kolanach. Wyglądało to niemal tak, jak gdyby lada moment miał zemdleć albo coś w tym rodzaju.

– Dobrze się czujesz? – spytałam.

Powoli się wyprostował i uniósł jedną rękę, wciąż nie odrywając oczu od obrazu.

– Zamknij się. Myślę. – A po chwili rzucił: – Od jak dawna wiesz?

Zastanawiałam się gorączkowo, co najlepiej powiedzieć: nie mogłam przyznać, że wiem już od ponad tygodnia, bo wpadłby w furję. Nienawidził, kiedy cokolwiek przed nim ukrywałam.

– Właśnie się dowiedziałam.

Zaczął krążyć w kółko po perskim dywanie. Kilka razy przeczesał sobie włosy dłonią.

– Czyli... Kiedy to się stało?

– Co masz na myśli?

Przystanął i popatrzył na mnie, twarz miał wykrzywioną wściekłością, oczy zasnuły się czernią.

– No, chyba wiesz. Kiedy zaszłaś w ciążę?

Usiłowałam się uśmiechnąć.

– Skąd mam to wiedzieć? Może kiedy ostatni raz byliśmy na łodzi.

Parsknął i zaczął coraz bardziej się do mnie zbliżać. Cofnęłam się i odeszłam kilka kroków w kierunku dużego otwartego kominka, ale nie byłam wystarczająco szybka. Zanim zdążyłam zrobić unik, chwycił mnie za przedramię i przyciągnął do siebie.

– Chyba wiem, kto jest ojcem tego bękarta – wysyczał.

Cuchnęło mu z ust niemytą popielniczką i piwem. Krople śliny spadły mi na twarz, odruchowo zamknęłam powieki.

– Czy tobie, do kurwy nędzy, już kompletnie odwaliło?

Bang.

Cios prosto w usta. Sekundę później poczułam smak krwi. Ciepła strużka spływała po brodzie i wzdłuż szyi, aż zatrzymała się w małym zagłębieniu między obojczykami.

– Pieprzona dziwka!

Rzucił się na mnie.

Upadłam do tyłu. Kiedy uderzyłam głową o podłogę, natychmiast wezbrała we mnie fala mdłości. Pokój się zakołysał, a mężczyzna na koniu lekko podskoczył.

Chwilę później Tom znalazł się nade mną, usiadł mi okrakiem na klatce piersiowej. Chwytał moją głowę w obie ręce i raz za razem walił nią o podłogę.

Wydaje mi się, że krzyczałam, w każdym razie próbowałam.

Czułam piekielny ból, mimo że dywan trochę tłumił uderzenia. To jednak nie ból przerażał mnie najbardziej, tylko wyraz jego oczu – widoczny w nich obłęd był tak ewidentny, że niemal namacalny. Spojrzenie przepelnione obrzydzeniem i pogardą. Czułam – nie: ja to wiedziałam – że jego już nie ma. Że Tom, którego kiedyś pokochałam – ten czuły i ambitny chłopak, który marzył o wspólnej przyszłości i z którym naprawdę dało się rozmawiać – zniknął, gdy wstąpił w niego demon.

Krew spływała mi do gardła, trudno mi było oddychać. Zaczęłam się dławić, próbowałam wymiotować, ale z ust wydobywało się jedynie słabe bulgotanie.

Pomimo chaosu i paniki moje myśli były klarowne i niemal tak zimne jak granatowoczarny lód na zatoce. Zdawałam sobie sprawę, że umrę, i zastanawiałam się nad tym, jak bezsensowne było to wszystko, jak bezsensowne było całe moje życie.

Co osiągnęłam poza zniszczeniem? Lepiej, gdybym w ogóle się nie urodziła.

Ból głowy przygasał. Poddałam się, odprężyłam i powitałam ciemność.

Wtedy rozległ się krzyk.

Pamiętam to jako przeciągłe wycie. W stanie zamroczenia, w jakim się znajdowałam, sądziłam, że to ja wyję. Ale nagle poczułam na sobie jeszcze większy ciężar – to Paola rzuciła się na Toma, przez co jego ciało zważyło się na mnie. Całe powietrze zostało wypchnięte z moich płuc, krew trysnęła mi z ust, zakasłałam.

Tom puścił moją głowę i zrzucił z siebie Paolę. Upadła obok mnie plecami na dywan z twarzą zwróconą w moją stronę. Dziecięca spinka z różyczkami i diamentkami zsunęła się z włosów i znalazła się na podłodze przy kominku.

Gdy nasze spojrzenia się spotkały, wydało mi się, że w jej oczach pojawiło się coś nowego – moc, gniew. Poczucie wspólnoty. Wyraz solidarności.

– Fuck off – ryknął do niej Tom i wstał.

Paola uniosła białe od mąki ręce w obronnym geście.

– Fuck off – powtórzył.

Skuliła się, po czym próbując się podnieść, najpierw dźwignęła się na czworaka, a potem wstała. Lekko się zachwiała, ale po chwili odzyskała równowagę.

– What are you waiting for? Spieprzaj stąd, you fucking bitch! Zjeżdżaj do swojej pierdolonej kuchni!

Ale Paola nigdzie nie poszła.

Wciąż stała na środku dywanu, z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia, ze spoconą twarzą i dłońmi zaciśniętymi w pięści. Jej spojrzenie wędrowało od Toma do mnie, jakby nie mogła się zdecydować, co ma zrobić.

Potem zobaczyła swoją spinkę na podłodze. Zrobiła krok i schyliła się po nią.

Tom musiał chyba źle odczytać jej intencje. Tuż obok stały przybory kominkowe – prawdopodobnie myślał, że ona zamierza sięgnąć po któryś

z pogrzebaczy.

– Nawet nie próbuj! – warknął i uderzył ją w twarz.

Cios nie był mocny, ale Paola się zatoczyła, znowu straciła równowagę i upadła do tyłu na kominek. Tępy odgłos, gdy jej głowa grzmotnęła o ceglaną krawędź otwartego paleniska, zabrzmiał złowieszczo.

Wiedziałam to w tej samej sekundzie, gdy tylko go usłyszałam. Całą sobą poczułam, że stało się coś straszego.

A potem zaległa cisza.

Zrobiło się cicho, zdecydowanie za cicho.

Słysząc było jedynie przyspieszony oddech Toma i szum włączonego piecyka w kuchni. Wyplułam krew na dywan, przewróciłam się na brzuch i podczołgałam się do leżącej na podłodze kobiety.

– Paola – powiedziałam, potrząsając ją delikatnie za ramię.

Jej ręka osunęła się i opadła bezwładnie obok ciała.

– Paola – spróbowałam ponownie, a potem przykucnęłam i zbliżyłam ucho do jej ust.

Nic.

Przyłożyłam dwa palce do wąskiej szyi, na próżno szukając pulsu.

– Paola! – krzyknęłam i mocno nią szarpnęłam.

Jej głowa opadła na bok i wtedy ujrzałam ziejącą w jej czaszce dziurę: pod ciemnymi włosami pulsował krater krwi i różowej mazi.

– Nie – jęknęłam. – Nie.

Obok mnie pojawił się Tom.

– Zrób coś! – krzyknęłam.

Przyklęknął i przystawił ucho do jej klatki piersiowej. Potem usiadł, złapał ją za włosy i przekręcił głowę na bok, bardziej odsłaniając ranę.

– Niech to szlag – rzucił i gwałtownie cofnął ręce, jakby się oparzył. – Szlag!

– Trzeba zadzwonić po karetkę.

Wstałam i ruszyłam w stronę biurka, na którym stał telefon.

– Ona nie żyje – powiedział.

– Skąd wiesz?

– Przecież połowa pieprzonego mózgu się...

Załamał mu się głos. Zaczął szlochać i lamentować, co tak dobrze znałam z naszych kłótni.

– Dlaczego? To takie niesprawiedliwe – zawodził. – Przecież ledwo ją dotknąłem...

– Dzwonię.

– Nie! – wrzasnął. Zerwał się na równe nogi i dopadł mnie w ułamku sekundy.

Chwycił za ramiona i spojrzał mi w oczy.

– Nie rozumiesz? Nie możemy nikogo zawiadomić. Zrujnujemy sobie życie. Chcesz urodzić nasze dziecko w więzieniu?

Urodzić jego dziecko? Ta myśl trafiła mnie jak grom z jasnego nieba. Nie zamierzałam rodzić niczyjego dziecka, a już na pewno nie jego!

– Moja kariera się skończy, zanim się jeszcze zaczęła – ciągnął. – Ojciec mnie wydziedziczy. Wszyscy mnie znienawidzą, chociaż to wcale nie jest moja wina.

A czyja? – chciałam zapytać, lecz nie zdobyłam się na to.

– Ale ona potrzebuje pomocy – powiedziałam tylko.

– Jej już nikt nie pomoże. Ani ty, ani ja, ani nikt inny. Do jasnej cholery, Yasmin, czy naprawdę musiałaś awanturować się akurat dzisiaj?

Osunął się na kolana i rozszłochał się jeszcze bardziej. Jego ramiona drżały wstrząsane płaczem.

– To tak potwornie niesprawiedliwe – zawodził od nowa. – Tak straszliwie niesprawiedliwe.

45

Siedziałam na podłodze, niezdolna się ruszyć. Tom wrócił z piwnicy, niosąc zwinięty żółto-zielony winylowy dywan.

Głowa pękała mi z bólu, zbierało mi się na wymioty. Próbowałam uporządkować dziko kłębiące się myśli, ale mój mózg chyba w ogóle przestał działać, bo najdrobniejsza refleksja wymagała nieopisanej koncentracji i energii.

Rozłożył dywan obok mnie.

– Pomóż mi – powiedział. – Weź ją za nogi.

– Ale dlaczego...?

Nie rozumiałam, wciąż jeszcze nie rozumiałam. Sądziłam, że użyjemy dywanu, żeby przetransportować Paolę do szpitala.

– Rób, co ci mówię.

Podszedł do niej, nachylił się i chwycił ją za ramiona.

– Nogi! – ryknął.

Wstałam i chwyciłam za kostki. Były tak wąskie, tak rozpaczliwie cienkie, że od razu pomyślałam o Vincencie.

– Podnieś!

Wykonałam polecenie. To zgrabne, drobne ciało ważyło więcej, niż się spodziewałam; głowa opadła do tyłu, usta się otworzyły, włosy wlekły się po parkiecie. Na podłodze pozostał krwawy śluz.

Ułożyliśmy ciało wzdłuż krótszej krawędzi starego zakurzonego dywanu. Tom zaczął powoli je zawijać, aż na koniec z rulonu wystawało tylko kilka kosmyków czarnych włosów.

Stałam nieruchomo i wpatrywałam się w nie z niedowierzaniem, wciąż nie mogąc pojąć tego, co się stało.

Tom gdzieś zniknął. Minęły sekundy, może nawet minuty – straciłam rachubę czasu. Głowa wciąż mi pulsowała, powróciły mdłości. Z holu dobiegło trzaśnięcie drzwi i szum lejącej się z kranu wody. Po chwili Tom pojawił się z mopem w jednej ręce i z żółtym wiadrem w drugiej.

– Posprzątaj to! I umyj się, bo wyglądasz tragicznie!

Zrobiłam, jak powiedział: najpierw poszłam do łazienki zmyć krew z twarzy. Zakrzepłe czerwone grudki oderwały się od wargi i zawirowały w umywalce, by po paru sekundach zniknąć w odpływie. Następnie wróciłam do salonu i wytarłam krew z podłogi. Woda w wiadrze zrobiła się różowa, a na koniec czerwona.

Tom zabrał wiadro i wyszedł. Po chwili wrócił ze świeżą wodą.

Wycierałam posadzkę i bezgłośnie płakałam. Głęboko rozcięta warga piekła od słonych łez, ale to mi nie przeszkadzało. Nawet mi odpowiadało.

Po dwukrotnej zmianie wody Tom stanął pośrodku pokoju, rozejrzał się uważnie, a następnie zerknął na swój zegarek i rzucił:

– Trzeba się zbierać.

On chwycił jeden koniec zwiniętego dywanu, ja zaś – mimo że nie wydał mi żadnego polecenia – uniosłam drugi i razem wytaszczyliśmy ciało do holu.

Włożył już jeden but, ale nagle się zawahał i go zdjął.

– Chodź.

– Śmierdzi spalenizną – zauważyłam.

– Nieważne. Rusz się.

Zeszłam za nim po wąskich schodach do piwnicy. Było w niej znacznie chłodniej, a także wilgotniej. Oprócz zapachu pleśni poczułam też jakąś kwiatową woń, jakby ktoś rozpylił odświeżacz powietrza.

Nigdy wcześniej nie byłam w piwnicy de Veghów – okazało się, że jest urządzona, na surowych betonowych ścianach wisiało kilka plakatów. Pod niedużym oknem umieszczonym tuż pod sufitem stała zniszczona kanapa.

Tom chwycił mnie za rękę i pociągnął w stronę uchylonych drzwi.

Znajdujące się za nimi pomieszczenie było małe i nie miało okien. Przy jednej ścianie stało starannie zaścielone łóżko. Na nocnej szafce leżała gruba książka w sfatygowanej czarnej okładce – Biblia. Obok zobaczyłam zdjęcie dziewczynki, mniej więcej dwuletniej. Siedziała na plaży, szeroko uśmiechnięta, z kucykami i pomarańczowymi skrzydełkami do pływania na obu rękach.

Ścisnął mi się żołądek. Przecież kobieta, która leżała zawinięta w dywan piętro wyżej, też jest – a właściwie była – człowiekiem. Prawdopodobnie gdzie żyli jej rodzice, rodzeństwo, krewni, przyjaciele.

– Nawet nie wiemy, kim ona jest – szepnęłam.

– A jakie to ma znaczenie?

Sięgnął po czarną torbę Nike'a z nadrukiem „Just do it”, otworzył szafę w rogu i zaczął ściągać z wieszaków ubrania Paoli. Potem podszedł do szafki nocnej, wziął z niej Biblię i zdjęcie i wszystko wcisnął do torby. Następnie wyjął szufladę i wysypał jej zawartość na ubrania.

Jakieś papiery, trochę monet i dokumenty.

Odwrócił się do mnie. Jego spoconą twarz wykrzywiał strach lub przerażenie, ręce mu drżały.

Demon go opuścił. Tom wyraźnie się bał.

Zanieśliśmy ją aż na pomost.

Otaczały nas tylko ciemności i zimno. Jedyne słyszalne odgłosy to nasze oddechy i trzeszczenie lodu pod stopami. Piekły mnie dłonie, od wysiłku czułam kłucie w piersi.

Gdy znaleźliśmy się nad wodą, położyliśmy dywan – położyliśmy Paolę – na ziemi obok pomostu. Tom podszedł do stojącej obok szopy na łodzie i zniknął za krzywymi drewnianymi drzwiami.

Przestępowałam z nogi na nogę, żeby się rozgrzać, i wpatrywałam się w ciemność, gdy nagle na ścieżce z lasu prowadzącej do posiadłości zobaczyłam jakąś postać.

To był Harold.

Niósł torbę ze sklepu monopolowego i szedł w naszym kierunku.

Instynktownie odsunęłam się o kilka kroków od zwiniętego dywanu, jakbym chciała zdystansować się od tego, co się stało.

Harold przystanął i spojrzał na mnie pytająco.

– Co ty tu robisz? – spytał.

Wzruszyłam ramionami i opuściłam głowę, mając nadzieję, że w ciemności nie dojrzy mojej poobijanej twarzy.

– Idę do domu – odpowiedziałam. – Chciałam się trochę przejść.

Jego spojrzenie zatrzymało się na jakimś punkcie niedaleko dywanu.

– Co...? – zaczął.

W tym samym momencie zadzwoniła jego komórka, obrócił się więc do mnie plecami i odebrał.

– Siema.

Potem przez parę sekund słuchał.

– Nie mogłeś wpaść na to odrobinę wcześniej? – odezwał się. – Zamierzałem iść do domu.

Po chwili dodał:

– Jasne, że przyjdę. Ale wiesz mi sześciopak, zapamiętaj sobie.

Włożył telefon do kieszeni i ruszył z powrotem w stronę lasu, zupełnie mnie ignorując.

Stałam w miejscu i patrzyłam, jak znika między sosnami.

Tom wyszedł z szopy.

– Kto to był?

– Harold.

– Cholera! Widział coś?

– Nie wiem. Wrócił do lasu. Chyba poszedł do jakiegoś kumpla.

Po chwili z oddali dobiegł odgłos samochodu i przed posiadłością mignęły reflektory.

– Kurde, przyjechali – rzucił Tom.

Ponownie zniknął w szopie. Słyszałam, jak coś w niej przesuwa i przestawia z hałasem.

Na górze przed domem trzasnęły drzwi auta, rozległ się też głos Casimira. Potem zatrzasnęły się też wejściowe drzwi do domu i jego głos zniknął.

Po chwili Tom wrócił. Pod pachą miał metalowe płozy, coś jakby włócznie. Dopiero po chwili się zorientowałam, że to fińskie sanki do jeżdżenia na stojąco – nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam, nie mówiąc już o używaniu. We Francji chyba nikt na czymś takim nie jeździ.

Zaniósł je na sam brzeg i postawił na lodzie. Zatrzeszczało, gdy na próbę przesunął je w przód i w tył po śliskiej powierzchni.

– Pomóż mi – powiedział.

Razem dźwignęliśmy ciało, zanieśliśmy je na sanki i położyliśmy w poprzek na siedzeniu. Tom ruszył, pchając je przed sobą w kierunku skraju lodowej tafli jakieś sto metrów dalej.

Nie było to wcale takie proste, jak mogłoby się wydawać. Końce dywanu – Paoli – ciągnęły się po lodzie, hamując ruch.

Zrobiłam kilka kroków w ciemności. Moje nowe kozaki ślizgały się po gładkiej tafli lodu. Upadłam, uderzyłam się, ale zaraz się podniosłam. Tom zatrzymywał się wiele razy i poprawiał ładunek na sankach, żeby go nie zgubić.

Wydawało się, że trwało to wieczność, ale w rzeczywistości nie minęło chyba więcej niż pięć minut, gdy dotarliśmy do otwartej wody. Grube kry

kołysały się na jej powierzchni przy samym krańcu lodu i obijały się o siebie, wydając głuchy odgłos.

Tom kopnął sanki, zawahał się sekundę, po czym pchnął je z całej siły. Niemal bezszelestnie zsunęły się z krawędzi, przewróciły się i zniknęły w czarnej otchłani. Zabulgotało, pokazały się bąbelki powietrza, a potem po ciemnej powierzchni rozeszła się niewielka fala.

I to był ostatni raz, kiedy widziałam kobietę o imieniu Paola.

46

W drodze do domu Tom na przemian albo mnie włókł, albo popychał przed sobą. Nie pamiętam, co myślałam, o ile w ogóle cokolwiek myślałam, pamiętam natomiast doznanie, które mnie wypełniało. To było poczucie utraty, zanikania, jakbym wiedziała, że na wszystko jest już za późno.

Gdy znaleźliśmy się przed domem, ujął moją twarz w dłonie i ścisnął tak mocno, że rozcięta warga pękła mi na nowo.

– To się nigdy nie wydarzyło – powiedział i namiętnie pocałował mnie w usta.

Otwarta rana zapiekła dotkliwie, więc instynktownie się cofnęłam.

Wcisnął mi do ręki czarną torbę Paoli, którą przez cały czas niósł na ramieniu.

– A to gdzieś ukryj – dodał.

Postawiłam ją na ziemi.

– Zadzwoń na policję – wykrztusiłam. – Opowiem, co się stało.

Roześmiał się sucho.

– Gównu zadzwonisz!

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić. Nie jestem twoją własnością.

Znowu śmiech.

– No to sobie dzwoń, do cholery. Proszę bardzo. Tylko żebyś wiedziała, że wszystkiemu zaprzeczę. – Urwał, ale po chwili kontynuował: – Nie ma ani jednego świadka. Kto ci uwierzy? Wszyscy wiedzą, że ćpasz. Wszyscy wiedzą, że jesteś nic niewartą dziwką, która poluje na Casimira i jego pieniądze. I że zazdrościłaś Paoli, bo on na nią leciał. A Harold na pewno będzie mógł potwierdzić, że widział cię nad wodą. On cię nie cierpi, chyba wiesz? Nienawidzi ciebie i całej reszty ciapatych.

A potem zniknął, pochłonięty przez zimową noc. Słysząc było tylko chrzęst jego butów na śniegu między drzewami.

Kiedy weszłam do przedpokoju, było w nim ciemno, cicho i znajomo. Buty Vincenta stały równo w rzędzie, ohydne szale Marii wisiały na wieszaku, adidas taty leżały ciśnięte obok drzwi; z jednego wystawała skarpetka.

Tak, wszystko wyglądało jak zawsze, a jednak było całkiem inne, bo nic nigdy nie mogło już być takie jak dotąd.

Kręciło mi się w głowie, zachwiałam się i oparłam o ścianę. Zdjęłam kurtkę, ale nie pamiętałam, gdzie powinnam ją powiesić, więc po prostu rzuciłam ją na podłogę. Potem ściągnęłam kozaki i powlokłam się do łazienki. Postawiłam torbę Paoli na ziemi i zapaliłam światło.

W głowie mi huczało, znowu wezbrały mdłości. Pochyliłam się nad umywalką, próbując zwymiotować, ale na próżno – w żołądku nic już nie było, chyba wszystko zwróciłam w ciągu ostatnich dni.

Wyprostowałam się powoli i spojrzałam na swoje odbicie w lustrze.

W poprzek dolnej wargi ziało kilkucentymetrowe podłużne rozcięcie, z którego wciąż jeszcze sączyła się krew. Jeden z przednich zębów się poluzował, ruszał się, gdy dotykałam go językiem. Na linii obojczyków widoczne były krwawe odciski dłoni, jak na rysunku wykonanym farbą palcową.

Przekręciłam twarz w jedną stronę, potem w drugą. I wtedy to zobaczyłam.

Nie miałam jednego kolczyka.

Na trzynaste urodziny dostałam od mamy złote kolczyki i od tamtej pory nosiłam je właściwie codziennie. Sylvie miała identyczne.

Zaparło mi dech. Musiałam go zgubić w domu de Veghów.

– Rany boskie, Yasmin!

Obróciłam się.

W drzwiach stał tata, w samych bokserkach i sfatygowanym T-shircie z wizerunkiem Boba Marleya. Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, jego kręcone włosy sterczały wokół głowy jak aureola.

Tamtego wieczoru wyciągnął ze mnie wszystko.

Zaprowadził mnie do kuchni, posadził na krześle i przyniósł opatrunki oraz środki dezynfekujące. Podczas gdy przemywał mi rozcięcie na wardze, wydusił ze mnie po kolei każdy paskudny szczegół, wydłubał jak kawałki szkła z otwartej rany.

– Tom mnie uderzył – przyznałam, kiedy spytał, dlaczego mam poobijaną twarz.

– Wiedziałem! – krzyknął i walnął pięścią w stół z taką furją, że kilka gazików spadło na podłogę. Leżały zakrwawione przy moich nogach.

A chwilę później zawołał:

– W ciąży? Mój Boże! Dlaczego nic nie powiedziałaś?

Później było jeszcze gorzej. Gniew i współczucie ustąpiły miejsca niedowierzaniu, obrzydzeniu i szokowi, kiedy opowiedziałam o Paoli.

– Co wy zrobiliście?!

W jego oczach nagle coś zgasło, tak jakby ktoś dosłownie wyłączył światło. Jakby wszystkie nadzieje, jakie ze mną wiązał, umarły w jednej sekundzie.

– Co wy zrobiliście? – powtórzył.

Naprawdę nie pamiętam, co mówiłam na swoją obronę. Chyba tłumaczyłam, że Tom mnie zmusił, że byłam w szoku, że ona i tak już nie żyła, kiedy na fińskich sankach zepchnęliśmy ją z lodu do wody.

Czy to miało jeszcze jakiegokolwiek znaczenie?

– Moja własna córka, krew z krwi, kość z kości – płakał. – Jak mogłaś? Czy tak cię wychowałem? Czy nie zdołałem nawet cię nauczyć, ile warte jest ludzkie życie?

Nic już nie czułam, byłam zimna i pusta. Ale to wyznanie przyniosło mi ulgę – podzieliłam się swoim brzemieniem, mój problem stał się też jego problemem.

Zajrzał do leżącej na podłodze torby, a kiedy zobaczył na wierzchu zdjęcie małej dziewczynki z kolorowymi rękawkami do pływania, rozplakał się jeszcze głośniej.

– Dzwonię na policję – powiedział przez łzy.

– Nie, nie rób tego. Tom mnie zabije. Nie chcę trafić do więzienia. Proszę, proszę.

Za drzwiami wejściowymi dały się słyszeć kroki, a po chwili rozległ się chrobot klucza w zamku. Kilka sekund później pojawiła się Maria, w kurtce i kozakach. Z przedpokoju dobiegał głos Vincenta.

– Co się stało? – spytała.

*

Tak, wszystko zaczęło się od Toma.

Był chory, coś z nim było nie tak. Zawsze czuł się pokrzywdzony, gorszy, drugiej kategorii, a jego jedyna strategia radzenia sobie z tymi emocjami sprowadzała się do przemocy. To mnie jednak ani trochę nie

usprawiedliwia – jestem w najwyższym stopniu współwinna tego, co się wtedy stało. Gdybym wcześniej położyła temu kres, zerwała z Tomem albo poszukała pomocy, Paola nadal by żyła. I gdzieś po drugiej stronie oceanu pewna rodzina nie straciłaby córki, siostry, mamy.

Kiedy tego samego wieczoru tata wiozł mnie ze szpitala z powrotem do domu, ujął w słowa to, o czym myślałam już od dawna.

– Jesteś taka młoda, Yasmin, taka młoda... A wydaje się, że śmierć depcze ci po piętach.

Była sobota szesnastego listopada tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku.

Mama, ja i Sylvie wracałyśmy do domu z występu tanecznego. To moja siostra występowała, nie ja. Z nas dwóch ona była tą utalentowaną, cudownym dzieckiem, które już w wieku pięciu lat tańczyło przed zachwyconą widownią telewizyjną.

Mama i tata rozważali posłanie jej do szkoły dla zawodowych tancerzy.

Kim ja miałam zostać? O tym nikt nie mówił, a przynajmniej nie wtedy.

Sylvie skończyła dwanaście lat i nie sądzę, by rzeczywiście wiedziała, kim chce być – bo co można wiedzieć w takim wieku? Ale uwielbiała tańczyć, a jej ciało było wręcz stworzone do klasycznego baletu: zgrabne, umięśnione, giętkie. We mnie zaś nie było ani jednej muzycznej komórki, nie dorównywałam też siostrze pod względem zwinności, nie potrafiłam zrobić szpagatu ani gwiazdy. Poza tym nie pociągało mnie to i nie widziałam w tym większego sensu. Wolałam siedzieć w swoim pokoju nad lekcjami – w szkole całkiem dobrze mi szło – albo spotykać się z koleżankami, gadać o chłopakach i słuchać muzyki.

Sylvie siedziała obok mamy na przednim siedzeniu, wciąż w stroju z występu i w ocieplaczach na nogach. Ciemne włosy miała ciasno upięte dziesiątkami spinek w mały koczek na czubku głowy.

Na dworze było ciemno i mgliście, na ulicach panował gorączkowy ruch, jak to w Paryżu. Latarnie wzdłuż jezdni pędziły ku nam, mrugały i zaraz znikwały. Twarze Sylvie i mamy rozświetlane impulsami światła wyglądały tak, jakby ich ruchy były mechaniczne, jak w niemym filmie.

– Byłaś dzisiaj fantastyczna – powiedziała mama do Sylvie i zmieniła pas.

To nie było puste pochlebstwo, tylko stwierdzenie faktu. Tego wieczoru moja siostra wzbudziła swoim tańcem ogólny zachwyt i podziw.

Mama nagle przyspieszyła, a moje plecy wcisnęły się mocniej w oparcie. Plastikowe obicie siedzenia było trochę lepkie, ponieważ poprzedniego dnia niechcący wylałam na nie colę.

– Mm – mruknęła Sylvie i włożyła do ust kawałek czekolady.

Po występach zawsze dostawała słodycze, o co nawet ja nie miałam pretensji, bo na co dzień musiała przestrzegać bardzo surowej diety. Tancerze nie mogą ani odrobinę przytyć.

– Na teście z matematyki nie zrobiłam żadnego błędu! – wtrąciłam.

– Gratulacje – rzuciła mama. – Tata się ucieszy. Uczymy to po powrocie do domu.

Nagle z daleka dobiegł głośny warkot, właściwie ryk silnika. Sekundę później z prawej strony wyprzedził nas jakiś motocykl, po czym przeciął nam drogę tuż przed maską i znów odbił na lewy pas, żeby wyprzedzić kolejne auto. Czerwone tylne światło błyskawicznie zniknęło w ciemności, a wraz z nim oddalił się też hałas.

– Boże drogi, jak ci ludzie jeżdżą! – westchnęła mama.

Kiedy zerknęła na Sylvie, dostrzegłam w jej spojrzeniu niepokój.

Mama nie lubiła prowadzić. Mówiła, że wszyscy Francuzi jeżdżą jak złodzieje samochodów i że poruszanie się po ulicach Paryża jest równoznaczne ze śmiertelnym niebezpieczeństwem. Tata zwykle śmiał się z tego i kwitował stwierdzeniem, że mama boi się wszystkiego i że nie sposób tak żyć.

– Życie w ciągłym lęku to żadne życie – uważał.

Zgadzałam się z nim, moja siostra także.

No bo czego tu się bać?

– Może w przyszłym tygodniu pojedziemy kupić ci kurtkę? – zwróciła się mama do Sylvie. – Robi się coraz chłodniej.

– Mhm.

– Ja też potrzebuję nowej kurtki – wtrąciłam znowu.

Tak, byłam zazdrosna o młodszą siostrę. Przeszkadzało mi, że rodzice skupiali całą uwagę głównie na niej i że niemal wszystko w naszej rodzinie kręciło się wokół niej. Przynajmniej ja tak to widziałam.

„Śliczna Sylvie, utalentowana Sylvie. Daleko zajdziesz, Sylvie”.

– Znajdziemy jakąś i dla ciebie – powiedziała mama, włączając kierunkowskaz, aby wyprzedzić ciężarówkę, która z trudem podjeżdżała na wzniesienie.

– Sylvie mogłaby nosić moją starą, jeśli ja dostanę nową? – zasugerowałam.

– Nie chcę twojej ohydnej starej kurtki – odpowiedziała siostra, odwracając się do mnie i bawiąc się jednym ze złotych kolczyków w kształcie delfina. Potem pokazała trzymany w ustach kawałek czekolady i uśmiechnęła się zaczepnie, niemal złośliwie. Ale takie zagrywki między rodzeństwem są chyba całkiem normalne? Byłam niewiele lepsza od niej, ja też się z nią drażniłam, kiedy tylko nadarzała się okazja.

„Primabalerina od siedmiu boleści. Ptasi mózdzek. Jesteś taka niska, że nikt cię nie zobaczy. Masz odstające uszy. Masz ohydne stopy. Masz żółte paznokcie”.

– Ja też chcę kawałek czekolady – powiedziałam, wyciągając rękę po opakowanie leżące na kolanach Sylvie.

– Przestańcie – rzuciła mama i zjechała na lewy pas.

Nie wydawała się zła, tylko raczej zmęczona.

Pokonałyśmy szczyt wzniesienia i droga zaczęła opadać. Przed nami majaczył w ciemności zarys wiaduktu.

– Daj mi! – domagałam się dalej i pochyliłam się między mamą a siostrą, żeby sięgnąć po czekoladę.

– Zapomnij – odpowiedziała Sylvie i zaczęła wymachiwać nią poza moim zasięgiem.

– Yasmin! – krzyknęła ostro mama.

Ja jednak, nie zwracając na nią uwagi, wyciągnęłam się jak najdalej do przodu i chwyciłam opakowanie. Szarpałyśmy je z Sylvie każda w swoją stronę, aż w końcu papier się rozdarł i czekolada rozsypała się na podłogę.

– Yasmin! – krzyknęła znowu mama, prawą ręką puściła kierownicę i złapała mnie za nadgarstek, zjeżdżając z pasa wprost na ciężarówkę.

– Aua! – pisnęłam, wyrywając się z jej uścisku.

I wtedy to się stało.

Pamiętam kolejne fazy tego, co się zdarzyło: widziałam błysk ulicznych latarni rzucających żółte światło na policzek mamy. Odnotowałam, że Sylvie się pochyliła, aby podnieść z podłogi kilka kawałków czekolady, i że lewa ręka mojej mamy na ułamek sekundy ześlizgnęła się z kierownicy.

A potem nasz samochód się zakołysał.

Być może wszystko dobrze by się skończyło, gdyby ta ciężarówka nie jechała tak blisko nas. Być może mama odzyskałaby kontrolę nad autem, gdyby droga na wiadukcie nie była taka oblodzona.

Ale tamtego wieczoru szczęście nam nie sprzyjało.

Ciężarówka potrąciła tył samochodu ze zdrażliwie przytłumionym hukiem. Nasze stare auto zostało stuknięte mniej więcej z taką siłą jak wtedy, gdy próbując zaparkować w ciasnej zatoczce, niechcący popycha się inny pojazd. Mimo to natychmiast nas odrzuciło i cisnęło bokiem w metalowego potwora. Sekundę później ciężarówka uderzyła w nas po raz drugi – teraz już mocniej. Poleciałam do przodu, samochód się obrócił, a świat zawirował.

Mama krzyczała, miazdżona blacha zgrzytała z przeciągłym chrzęstem, szyby pękały. Kawałki czekolady i odłamki szkła tańczyły mi przed oczami.

Nic więcej nie pamiętam.

*

To oczywiste, że tata nie winił mnie za śmierć mamy i Sylvie. Dlaczego miałyby to robić? To był przecież nieszczęśliwy wypadek.

Powtarzał to setki razy, może nawet tysiące.

– To nie była twoja wina, Yasmin.

Powtarzał to jak mantrę przez kolejne miesiące.

Wmawiał mi to tak często, że pewnie zdołał przekonać samego siebie. Opowiadał też o wypadku każdemu, kto tylko chciał słuchać.

– Biedna Yasmin – mówił. – To przecież nie jej wina.

Jedyną osobą, która mu nie wierzyła, byłam ja – ja, która zabiłam własną matkę i młodszą siostrę i nie zasługiwałam na to, by żyć. Siedziałam w swoim pokoju, nie chciałam nigdzie wychodzić. Olewałam szkołę, nie miałam ochoty spotykać się z przyjaciółkami.

I to spowodowało, że przenieśliśmy się do Szwecji. Tata zrobił to dla mnie – zostawił swoje życie, pracę i swój kraj dla mnie.

Jak mogłabym mu to kiedykolwiek wynagrodzić?

Po wyjeździe z Francji nie przestawał się poświęcać: weźmy na przykład historię z Marią. Wiem, że jej przeszkadzałam, że według niej byłam trudną, niesforną nastolatką, którą należałoby trzymać krócej. Kilka razy słyszałam, jak mówiła to tacie. Ale on zawsze stał po mojej stronie, nigdy nie uległ jej presji.

– Ona wiele przeszła – powtarzał. – Potrzebuje miłości, a nie surowych zasad.

A jak ja odpłaciłam mu za to zaufanie?

Nie byłam jego warta. Nie byłam warta życia, które dostałam i które nadal miałam. To ja powinnam była zginąć wtedy na drodze i ja powinnam była leżeć na tych fińskich sankach. Zniknąć w czarnej, lodowatej wodzie i spocząć na dnie morza.

Maria sięgnęła po mleko, wlała trochę do kawy i spojrzała za okno.

– Chyba będzie ładny dzień.

Świeciło blade grudniowe słońce. Zima na razie odpuściła, kapało z dachu, trawnik był grząski. Tu i ówdzie połyskiwały spore kałuże.

– Boli? – spytała, patrząc na moje spuchnięte wargi.

Delikatnie dotknęłam świeżego szwu i pokręciłam głową.

– Na pewno ładnie się zagoi – dodała Maria z uśmiechem. – Ale powinnaś teraz na siebie uważać i się oszczędzać. Wstrząśnienie mózgu to poważna rzecz.

Sprawiła wrażenie, jakby rzeczywiście troszczyła się o mnie i życzyła mi jak najlepiej, dlatego przez sekundę zrobiło mi się wstyd, ponieważ nie potrafiłam się przemóc, żeby ją polubić.

Tata spojrzał na mnie, nic nie mówiąc, a następnie wziął do ręki kanapkę, popatrzył na nią, skrzywił się z niesmakiem i odłożył z powrotem na talerzyk.

– Przyjdziecie wieczorem?

Maria przekrzywiła głowę, spoglądając to na mnie, to na tatę.

– Wieczorem? A co takiego się dzieje? – spytał.

– Chodzi o tę wystawę kolaży tekstylnych wykonanych przez afrykańskie dzieci. Amelie de Vegh ją organizuje. Zbiera pieniądze na wioskę w Mali.

Pokręciłam głową.

– Ja nie mogę. Muszę się uczyć.

– Tak – potwierdził tata. – Jest dużo pracy.

– Ja chcę pójść! – odezwał się Vincent.

Maria od razu pojaśniała i pocałowała go w policzek.

– No dobrze, czyli jednak będę miała towarzystwo.

Minął już prawie tydzień, odkąd tamto się stało.

Tata i ja zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy o niczym nie wiedzieli, i całkiem dobrze nam to wychodziło. Maria po raz kolejny próbowała ze mną porozmawiać, zapewniając, że jeśli tylko chciałabym się w czymś poradzić, to ona zawsze jest do mojej dyspozycji. Ale ja ani nie miałam na to siły, ani nie widziałam sensu.

W czym mogłaby teraz pomóc rozmowa?

W końcu dała spokój i zaczęła gadać o tym, co zwykle, czyli o dzieciach w Afryce, prawidłowym odżywianiu i znaczeniu tego, żeby odpowiednio ciepło ubierać się zimą.

– Moja panno – powiedziała. – Jeśli wyjdiesz w takim stroju, od razu nabawisz się zapalenia dróg moczowych.

Wyjątkowo miłe było to zwodnicze poczucie normalności pojawiające się od razu, gdy tylko Maria zaczynała te swoje dyżurne oklepane gadki. Pozwalało uciec od rzeczywistości, w której mniejsza czy większa infekcja dróg moczowych nie miała żadnego znaczenia, ponieważ i tak nie zasługiwałam na to, by żyć.

Takie chwile trwały jednak krótko, bo gdy tylko tata i ja zostawiliśmy sami, od razu zaczynały się kłótnie. Kłóciliśmy się też wieczorami, kiedy Maria i Vincent położyli się już do łóżek. Nie ulegało wątpliwości, że nas słyszeli – to nieuchronne, ale mówiliśmy po francusku, a francuski Marii był bardzo kiepski.

– Musisz iść na policję – stwierdził tata. – Nie masz wyboru.

– Serio? Harold de Vegh widział mnie przy pomoście. I widział dywan. Tom zrzuci wszystko na mnie.

Tata zawahał się przez sekundę, a potem dopytał:

– Ten Harold? Ten sam, który uważa, że twoje miejsce jest w Afryce?

– Tak, właśnie on. Jest najgorszy. I mnie nienawidzi.

Gdy milczał, dodałam:

– Nie ufam policji. To przecież jasne, że uwierzą Tomowi i Haroldowi. Bogatym szwedzkim snobom.

To ostatnie nie było prawdą, ale powiedziałam tak, ponieważ wiedziałam, że tata nie ufa policji ani żadnej władzy. Kilka miesięcy temu został zaatakowany przez strażników na zewnątrz swojego instytutu tylko dlatego, że ma ciemną karnację. A innym razem, kiedy próbował zgłosić na policję faceta, który nazwał go ciapatym, jedynie go wyśmiano, jakby był ostatnim kretynem.

Tak, tata ani trochę nie ufał policji, ani szwedzkiej, ani francuskiej.

– Trzeba odpowiadać za swoje czyny – rzekł.

– I urodzić dziecko w więzieniu?

Utkwił we mnie wzrok.

– Czyś ty do końca postradała zmysły? Chyba nie zamierzasz urodzić? Nie możesz mieć dziecka, bo sama jesteś dzieckiem.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałam – przecież nie miałam najmniejszego zamiaru zostać matką. Ale chyba jeszcze bardziej przerażała mnie myśl, że tata jednak nie wytrzyma i pójdzie na policję.

– On mnie zabije – rzuciłam. – Tom mnie zamorduje, jeżeli go wydam.

Nie wiem, czy mi uwierzył, byłam jednak święcie przekonana, że tak właśnie by się stało, ponieważ w oczach Toma nieraz widziałam demona.

W pewnym momencie tata powiedział:

– W takim razie jedź do Marrakeszu. Zamieszkasz u Muhammeda i Mony. Oni się tobą zaopiekują.

Prychnęłam.

– Co miałabym robić w Marrakeszu?

Wzniósł oczy do nieba.

– Zacznesz nowe życie. Pójdiesz na studia, zostaniesz lekarką i wyjdiesz za męża. Muhammed znajdzie ci męża, kogoś odpowiedniego dla ciebie.

– Serio? Naprawdę tak myślisz?

Tata ukrył twarz w dłoniach.

– Boże drogi, jaka ty jesteś rozpieszczona i naiwna! Poświęciłem dla ciebie wszystko, Yasmin. I uczyniłem to ze szczerą radością, bo jesteś moim dzieckiem. Jedynym, jakie mam. A ciebie stać tylko na to, żeby niszczyć siebie i wszystkich dookoła. Nadużyłaś mojego zaufania, mojej dobrej woli i mojej miłości.

Oczywiście było mi wstyd, bo on miał rację.

– Jeśli wyjadę, policja i tak mnie znajdzie – odparłam. – Wszyscy wiedzą, że mam krewnych w Maroku. Tom też to wie. Nie jest kretynem, a do tego ma nieograniczone możliwości finansowe. Możesz być pewny, że będzie mnie szukał na końcu świata, jeżeli tylko spróbuję go opuścić.

Chwilami oczy ojca wypełniały się bezbrzeżnym smutkiem, a jego głos przybierał błagalny ton.

– Dziecko, nie zdołasz uciec przed prawdą. Ona zawsze cię dogoni. Zrób to, co należy. Idź na policję, zanim znajdą ciało.

– A dlaczego mieliby je znaleźć? Na dnie morza?

Tata popatrzył na mnie przeciągle.

Kiedy indziej znowu tracił panowanie nad sobą, wpadał w furję i ciskał czym popadło. Za którymś razem kopniakiem uszkodził drzwi do kuchni – wybił w nich dużą dziurę i rozharatał sobie nogę.

Wystraszyłam się i zaczęłam płakać, ale najciszej, jak umiałam, bo nie chciałam, żeby Maria usłyszała.

– Chcę umrzeć – łkałam. – Marzę o tym, żeby nie żyć.

Tata uderzył ręką w stół.

– Nigdy więcej nie mów w ten sposób – powiedział cicho, masując sobie stopę.

*

W ciągu dnia udawałam, że chodzę do szkoły. Wstawałam, brałam prysznic, jadłam śniadanie, potem zarzucałam na ramię plecak i wychodziłam. Ale zamiast wsiąść do autobusu, włączyłam się bez celu po Kungsudd. Wędrowałam godzinami po lesie i u podnóża klifów – w zatoce lód prawie się roztopił, tylko wzdłuż linii brzegowej zbiło się trochę kry. Spoglądałam na morze i myślałam o Paoli leżącej w lodowatych głębinach.

W nocy dręczyły mnie koszmary.

Zakrwawiona ręka Paoli wysuwała się przez szczelinę w dywanie, chwytła mnie i wciągała do ciemnej wody, podczas gdy fińskie sanki ześlizgiwały się z krawędzi lodu. Krzyczałam, szarpałam się, żeby się uwolnić, ale ona trzymała mnie zbyt mocno, woda była zbyt zimna, a poczucie winy zbyt silne.

Budziłam się z łomoczącym sercem, cała złana potem.

Któregoś razu ujrzałam obok siebie twarz Vincenta.

– To był tylko sen, Yasmin.

Nie, to nie był tylko sen, ale tego nie mogłam mu powiedzieć.

Tom dzwonił kilka razy. Nie odebrałam. Nie miałam siły słuchać jego głosu. Wysłuchiwanie jego żenujących lamentów i uzalania się nad sobą było ponad moje siły.

To jest tak cholernie niesprawiedliwe. Cholernie niesprawiedliwe, powtarzał.

Jasne, to było kurewsko niesprawiedliwe. Moja mama i siostra nie żyły, tata porzucił swój kraj i własne życie dla niewdzięcznej, zdirowatej

córki, a niewinna młoda kobieta z Kolumbii leżała na dnie morza zawinięta w plastikowy dywan. A we mnie rosła śluzowata gruda komórek, o której nie chciałam nic wiedzieć.

To dopiero było niesprawiedliwe.

*

Pewnego wieczoru tata przyszedł do mojego pokoju i usiadł na brzegu łóżka. Wyglądał jakoś inaczej, jak gdyby z ramion spadł mu olbrzymi ciężar. Miał jaśniejsze spojrzenie, ale jednocześnie jego oczy były pełne smutku, co mnie niemal przeraziło.

Maria właśnie kładła spać Vincenta, przez cienką ścianę słyszałam jej monotonne mamrotanie. Uwielbiała opowiadać bajki, najchętniej jakieś kretańskie historie zakończone aż nadto jasnym morałem, na przykład że ciężka praca popłaca, że prawda zawsze zwycięży albo że kto pod kim kopie dołki, sam w nie wpada. Jakby naprawdę istniała jakaś kosmiczna sprawiedliwość albo nadęty bóg z długą brodą, który siedział na obłoku i rozdzielał nagrody i kary.

Tata spojrzał na mnie i położył dłoń na moim policzku.

Przymknęłam powieki, bo nie mogłam znieść bólu i litości widocznych w jego oczach.

A potem powiedział mi, co będzie.

49

Maria postawiła torbę na podłodze i dała tacie całusa. Potem uściskała Vincenta.

– Opiekuj się Samirem i Yasmin – powiedziała do niego, głaszcząc go po rudej czuprynie.

Vincent skrzyżował ręce na piersi i wyduł dolną wargę.

– No co? – Maria zmarszczyła czoło i wyciągnęła rękę w kierunku wieszaka. Zawahała się.

– Samir, nie widziałeś mojego brązowego szala?

– Nie – odpowiedział.

– Babskie wieczory są głupie – odezwał się Vincent. – To strasznie niesprawiedliwe, że mężczyźni nie mają takich wieczorów. Albo dzieci.

Maria uśmiechnęła się i włożyła kurtkę.

– Niedługo wrócę. A wiesz co? Samir obiecał, że urządzicie sobie dzisiaj kino domowe i obejrzyjecie Króla Lwa.

Vincent natychmiast się rozchmurzył, a mnie przez chwilę zrobiło się smutno – tak łatwo było wprowadzić go w dobry humor, nie wymagało to nawet większych starań.

– Na pewno? – spytał.

Tata skinął głową.

– Hura! To jest mój najlepszy dzień w życiu!

Potem chwycił mnie za rękę i lekko pociągnął.

– Musisz dzisiaj pracować?

– Niestety – odpowiedziałam. – W Rialto nie dadzą sobie beze mnie rady.

Tata przykucnął przed nim.

– Ale najpierw, kolego, ty i ja pójdziemy sobie na plac zabaw.

Gdy wszyscy wyszli, poszłam do swojego pokoju i zaczęłam się przygotowywać. Wzięłam prysznic, umyłam włosy i usiadłam przed lustrem. Potem ostrożnie przesunęłam palcem po wardze: rana się

zagoiła, pozostała tylko ostra czerwona obwódka wzdłuż zgrubienia, a także nieduże strupki w miejscach szwów.

Maria miała rację – pewnie nie będzie blizny, albo co najwyżej bardzo mała.

Przez ostatni tydzień była miła, jakby wszystko wiedziała, choć oczywiście nie wiedziała. Tata nigdy by jej nie powiedział. Czegoś takiego po prostu nie można zdradzić nikomu.

Dotarły do mnie jego słowa.

„Przykro mi, Yasmin, ale pora ponieść odpowiedzialność za swoje czyny”.

Zamknęłam oczy.

To było chore, beyond fucking chore.

Moje życie się skończyło, zanim na dobre się zaczęło. Już nigdy nie zobaczę taty, Vincenta i Marii. Już nigdy nie będę mogła pójść do szkoły ani grać w koszykówkę. Tych „już nigdy” było tyle, że aż zakręciło mi się w głowie. Zamknęłam oczy i bezradnie opuściłam ramiona.

Gładka poszewka poduszki na moim policzku – już nigdy. Cichy szum kaloryfera – już nigdy. Obrzydliwe zupy fasolowe Marii – już nigdy. Małe palce Vincenta łaskoczące mnie w stopy – już nigdy.

Koniec.

Fini.

Gunnar

Dwadzieścia lat później

Taksówka zatrzymała się w dzielnicy mieszkaniowej, nieco ponad dwadzieścia minut jazdy na południe od lotniska. Manfred zapłacił i obaj wysiedliśmy z samochodu. Temperatura była przyjemna, około siedemnastu stopni, a lekki wiatr kołysał koronami palm, wywołując lekki szum.

Manfred spojrzał na mnie i skinął głową. Gdybym nie znał go tak dobrze, prawdopodobnie nie dostrzegłbym w jego twarzy wyrazu powściągliwej ekscytacji.

Wróciłem myślami do nocy, kiedy siedząc na komendzie, studiowałem materiały dotyczące starego śledztwa w poszukiwaniu jakiegoś drobiazgu – czegokolwiek, co pomogłoby nam definitywnie rozwiązać tę sprawę. W gruncie rzeczy nie liczyłem na to, że na coś natrafię, bo przecież już tyle razy przetrząsnąłem całą dokumentację. Poza tym od wydarzeń w Kungsudd minęło dwadzieścia lat, a po tak długim czasie niezwykle rzadko udaje się wyjaśnić dawne zbrodnie.

Dwadzieścia lat to cała wieczność, przynajmniej z punktu widzenia policji. Mimo to w jednym z dokumentów odkryłem coś, co mogło okazać się kluczowe – nazwisko na liście pasażerów.

Pamiętam irytację Manfreda, kiedy do niego zadzwoniłem:

„Co jest, u diabła?! Czy ty masz pojęcie, do cholery, która jest godzina?”

I swoją odpowiedź:

„Chyba wiem, co się stało. Możesz przyjechać?”

Od tamtej pory całkiem sporo się wydarzyło. Obecna podróż była zwieńczeniem naszej wielotygodniowej intensywnej pracy: przeprowadziliśmy nowe przesłuchania, odbyliśmy mnóstwo spotkań z prokuratorem i nawiązaliśmy kontakt z instytucjami za granicą. Złożyliśmy wnioski o pomoc prawną, powiadomiliśmy Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a przez komendę przewinęło się wielu tłumaczy.

– To tam – oznajmił Manfred, wskazując na nowoczesny budynek.

Był dosyć duży, niski i pokryty czerwono-brązowym tynkiem, podobnie jak inne domy przy tej ulicy. Po obu stronach wyłożonej kamieniami ścieżki rozpościerał się wypielegnowany ogródek z trawnikiem i kwitnącymi krzewami. Gdzieś w tle słychać było szmer wody.

Manfred zdjął marynarkę, przewiesił ją sobie przez ramię i otarł pot z czoła. Następnie podeszliśmy do ozdobnych drewnianych drzwi i zadzwoniliśmy.

Otworzyła nam dwudziestoletnia dziewczyna o długich ciemnych włosach, ubrana w dżinsy i koledżówkę z nadrukiem. Pod pachą trzymała książkę. Spomiędzy stron wystawały różowe karteczki samoprzylepne. Na nasz widok wyjęła słuchawki z uszu.

Manfred pokazał swoją legitymację, przedstawił się po angielsku i wyjaśnił cel naszej wizyty.

Z obojętną miną pochyliła się nieco, by przyjrzeć się bliżej dokumentowi, po czym wzruszyła ramionami.

– Proszę poczekać, zaraz ją zawołam – powiedziała nienaganną angielszczyzną, a następnie zniknęła w głębi korytarza.

Siedzieliśmy w ratanowych fotelach na tyłach domu. Ogród był ogromny, przypominał niemal park – palmy, drzewka cytrynowe i kwitnące kolorowo krzewy okalały starannie przystrzyżony trawnik. Wokół basenu stały donice z terakoty z jasnoczerwonymi kwiatami. W oddali na tle nieba rysowały się pokryte śniegiem górskie szczyty.

Stojąca przy stole kobieta o siwiejących włosach zebranych w luźny kok i z ciężkim srebrnym naszyjnikiem z turkusami na szyi naląła herbaty do filiżanek, postawiła na stole talerz z ciasteczkami i usiadła naprzeciw nas.

– Wiedziałam, że któregoś dnia się zjawicie – rzekła, spoglądając na góry. Następnie przesunęła talerz z ciastkami w naszą stronę. – Proszę się częstować. Są smaczne, tylko bardzo słodkie.

Na tarasie pojawiła się dziewczyna z książką. Powiedziała coś po arabsku i z powrotem weszła do domu.

– Córka idzie na siłownię – wyjaśniła kobieta, biorąc do ręki paczkę papierosów. – Nie będzie panom przeszkadzać?

– Ani trochę – odpowiedział Manfred, rzucając na nie tęskne spojrzenie. Następnie wyjął komórkę i położył ją na stole.

– Będziemy nagrywać przesłuchanie – poinformował.

W głębi domu trzasnęły drzwi. Kobieta spojrzała na mnie, zaciągnęła się papierosem, po czym lekko odchyliwszy głowę do tyłu, wydmuchnęła dym w kierunku żaglowego płótna rozpiętego nad fotelami dla ochrony przed słońcem. Szara wstążka dymu wiła się coraz wyżej, aż w końcu rozplynęła się na wietrze.

Po chwili kobieta potrząsnęła głową i popatrzyła na trzymanego między szczupłymi palcami papierosa.

– Co chcecie wiedzieć?

– Wszystko – odpowiedział Manfred.

Yasmin, 2000

51

Stałam w ciemności przy cisowym żywopłocie i patrzyłam na nasz dom. Chociaż pożyczycyłam sobie jeden z szali Marii, trzęsłam się z zimna.

W kuchni i w pokoju Vincenta paliło się światło. Ciepły blask padał na błotnisty trawnik, malując go tu i ówdzie w złociste cienie.

Spojrzałam na zegarek: wpół do dziewiątej. Tata pewnie kładł Vincenta spać.

Po kilku chwilach w jego oknie zrobiło się ciemno.

Przestępując z nogi na nogę, nasłuchiwałam, czy przypadkiem ktoś się nie zbliża, ale naokoło panował spokój. Maria była o dwie godziny drogi promem stąd, a obok naszego domu prawie nigdy nikt nie przechodził.

Bo i po co? Przecież mieszkaliśmy na końcu świata.

Niedługo potem w kuchennym oknie pojawiła się ciemna postać.

Tata.

Stał bez ruchu i zdawał się wpatrywać w ciemność.

Lekko uniosłam rękę, chociaż wiedziałam, że nie mógł mnie zobaczyć.

Jeszcze trochę – pomyślałam. – Najwyżej pół godziny.

Czasami trwało całkiem długo, zanim Vincent się wyciszył i uspokoił, ale kiedy już zasnął, niewiele rzeczy mogło go obudzić. Można było włączyć odkurzacz, oglądać głośno telewizję albo słuchać muzyki na cały regulator – nic mu nie przeszkadzało.

Postać taty zniknęła, a ja stałam dalej. Wsunęłam dłonie za pasek spodni, próbując je chociaż trochę ogrzać. W końcu zaczęłam chodzić tam i z powrotem. Zerknęłam w stronę posiadłości. Leżała pogrążona w mroku, de Veghów chyba nie było w domu.

Znowu spojrzałam na zegarek: wpół do dziesiątej.

Otworzyły się drzwi wejściowe.

Serce podeszło mi do gardła.

Już pora.

Wciągnął mnie do środka, ledwie dotarłam do drzwi. Zdjęłam szal i skórzaną kurtkę, powiesiłam je na wieszaku.

– Śpi? – spytałam.

– Jak suseł.

Ujął moje ręce. Jego dłonie – dłonie taty – były suche, ciepłe i bezpieczne.

– Przemarzałaś.

Objął mnie, zaprowadził do kuchni i delikatnie posadził na krześle.

– Zrobię herbaty – powiedział.

Milczałam. To nie była raczej odpowiednia chwila na picie herbaty, ale gdy podał mi parujący kubek, z wdzięcznością go od niego wzięłam. Siorbałam gorący napój, grzejąc sobie dłonie o brzydkie ceramiczne naczynie, które Maria ulepiła na jakimś kursie rękodzieła ostatniego lata.

Usiadł naprzeciwko, spojrzał na mnie i ciężko westchnął.

– Wciąż jeszcze możesz zmienić zdanie. Możemy zadzwonić na policję.

Pokręciłam głową.

– Nie – odparłam. – Już postanowiłam.

Zaczęłam płakać, łzy same napłynęły mi do oczu, z piersi wydobywał się szloch.

Tata podał mi papierowy ręcznik. Oderwałam kawałek, wytarłam nos i zgniótlszy papier w kulkę, sięgnęłam po następny.

Nasze spojrzenia się spotkały. Wyglądał naprawdę kiepsko: jego czoło przecinały głębokie bruzdy, w oczach widać było rezygnację, ale także coś jeszcze.

Gniew.

– Wybacz mi – szepnęłam. – To wszystko moja wina.

Nie odpowiedział, tylko wziął długopis i kartkę i przesunął je w moją stronę.

– Pisz!

Gdy chwyciłam długopis, najpierw wyślizgnął mi się z palców i upadł na podłogę, ale zaraz go podniosłam. Kawałki zużytego ręcznika zsunęły się pod nogi, zostawiłam je. Potem przyłożyłam długopis do kartki. Pisałam to, co wcześniej ustaliliśmy, chociaż przez łzy prawie nic nie widziałam.

„Przepraszam, dłużej nie mam już siły. Kocham was. Y.”

Tata wziął kartkę. Popatrzył na nią, skinął głową, a potem włożył ją do foliowej torebki. Następnie wstał i podszedł do mnie.

– Ręka!

Posłusznie wykonałam polecenie. Poczułam ukłucie i chłód, kiedy igła wbiła się w zgięcie łokcia. Zamknęłam powieki. On wyciągnął igłę, przyłożył kawałek gazy do miejsca nakłucia i mocno przycisnął. Potem wsunął pojemnik do torebki.

– Musimy już iść.

Szliśmy przez las. Błady księżyc rzucał srebrzysty blask na ścieżkę. Starałam się za wszelką cenę nadążyć za tatą, ale przez nowe buty, a także przez kamienie i korzenie, które czyhały wszędzie, kilkakrotnie się zachwiałam i straciłam równowagę, jakbym była pijana. Ale jego ręka – ręka taty – ciągnęła mnie dalej, coraz głębiej między wysokie drzewa.

– Nie chcę – powiedziałam.

On jednak, nic nie mówiąc, mocniej zacisnął palce wokół mojego nadgarstka. Pod wpływem bólu na sekundę przeniosłam się w inne miejsce, i to już nie tata ciągnął mnie za sobą, tylko Tom.

– Nie, nie, nie – powtórzyłam.

Kilka razy wydawało mi się, że słyszę z tyłu czyjeś kroki, że obok majaczy jakiś cień.

– Ktoś nas śledzi – szepnęłam.

Tata zatrzymał się i odwrócił, wpatrując się w ciemność.

– Nie, to tylko wyobraźnia – odpowiedział i pociągnął mnie dalej.

Dotarliśmy nad urwisko i stanęliśmy na niedużym płaskim występie skalnym. Przed nami rozciągało się morze. Mróz szczypał w policzki i dłonie.

Pomyślałam znowu o Tomie, o wieczorze, kiedy się poznaliśmy. Przypomniałam sobie, jak trzymał mnie za ręce i poprosił, żebym przechyliła się nad przepaścią. Podobało mi się to – strach, który ćmił w żołądku, i świadomość, że wszystko może się skończyć w ułamku sekundy.

Tata wskazał na moje stopy, na co bez słowa zdjęłam buty. Postawiłam je na samej krawędzi i pośród całego tego koszmaru zrobiło mi się żal moich nowych, eleganckich zamszowych kozaków.

Ależ ze mnie żałosna idiotka – pomyślałam. – Zrujnowałam sobie życie, zniszczyłam życie taty, a teraz płaczę nad parą butów.

Tata wyjął foliową torebkę, wyciągnął z niej list i wsunął go do jednego buta. Sekundę później księżyc schował się za chmurą i zrobiło się całkiem ciemno. Rozległ się jakiś hałas, jakby pękła gałązka. Spojrzałam

w kierunku skraju lasu, ale nie zobaczyłam niczego poza rysującymi się na tle nieba sosnami.

– Kurtka – polecił krótko tata.

Zdjęłam ją i mu podałam. Wyjął z kieszeni niedużą strzykawkę, w której była moja krew, i wycisnął na nią jej zawartość. Krew spłynęła mu na rękę, kilka kropli spadło też na spodnie i buty.

Zza chmury znowu wyjrzał księżyc. Zanim tata cisnął kurtkę z urwiska w dół, nasze spojrzenia się skrzyżowały.

Po chwili wyjął z torby kawałek papierowego ręcznika i wytarł nim sobie ręce i buty. Następnie wskazał głową na torbę stojącą obok mnie na ziemi.

– Włóż nowe ubranie i buty. Musimy jechać.

On też się przebrał i ruszyliśmy na lotnisko. Leżałam na tylnym siedzeniu, żeby nikt nie mógł mnie zobaczyć, z głową opartą na starej czapce Vincenta zostawionej kiedyś w samochodzie. Wciąż nim pachniała.

Po drodze tata zatrzymał się przy składowisku śmieci. Wskoczył z auta, otworzył bagażnik i wyjął foliową torbę, w której były jego ubrania, buty i papierowe ręczniki, po czym ruszył w kierunku kontenerów.

Niedługo później, kiedy jechaliśmy już autostradą, zrobił kolejny przystanek na parkingu i wyrzucił do kosza należącą do Paoli torbę z logo Nike'a, którą ukrywałam w swoim pokoju od chwili jej śmierci.

– Nigdy nie dość ostrożności – wymamrotał, wsiadłszy z powrotem do samochodu.

Jechaliśmy w milczeniu.

Tata nie odrywał oczu od drogi i obiema rękami mocno ścisnął kierownicę. W pewnym momencie odwrócił się do mnie i powiedział, że boi się, czy Vincent się nie obudzi i nie odkryje, że jest sam, mimo że dał mu jakiś środek uspokajający.

Nie odpowiedziałam. Nie chciałam myśleć o Vincencie, który leżał teraz w łóżku, sam w pustym domu. Nie chciałam myśleć o tym, że go okłamałam.

– Zobaczymy się jutro – powiedziałam mu tego wieczoru. – Jak chcesz, mogę zacząć ci czytać nową książkę.

– Straszna?

– No jasne.

Ostatni raz sprawdziłam zawartość niedużej torby: trochę ubrań, kosmetyczka, powieść Stephen Kinga, bilety i paszport.

Otworzyłam go, popatrzyłam na zdjęcie uśmiechniętej młodej kobiety i przeczytałam nazwisko:

Paola Vargas.

Gunnar

Dwadzieścia lat później

Siedzieliśmy już ponad dwie godziny, słońce zachodziło powoli nad niebieskawymi górami Atlasu. Powietrze było przesycone wilgocią i chłodem, wokół unosił się intensywny zapach kwiatów i ziemi. Yasmin przyniosła koce i zapaliła stojące na stole lampy z kloszami oprawnymi w ołów. Przytłumionym i jednostajnym głosem opowiedziała historię swojego życia – jak przyjechała do Szwecji, przeprowadziła się do Kungsudd i poznała Toma. W urywanych zdaniach zrelacjonowała śmierć Paoli i to, jak ona i Tom pozbyli się ciała.

– Nie ma usprawiedliwienia dla tego, co zrobiliśmy – powiedziała. – Paola ocaliła mi życie, a ja podziękowałam jej, wyrzucając ją do morza.

I ja, i Manfred milczeliśmy.

Ona zaś paliła papierosa za papierosem ze wzrokiem utkwionym w górach w oddali.

W końcu Manfred nie wytrzymał.

– Mogę? – spytał, wyciągając rękę w kierunku pudełka.

– Oczywiście.

– Czyli po zainscenizowaniu wspólnie z ojcem pani samobójstwa poleciała pani do Maroka, wykorzystując paszport Paoli? – zwrócił się do Yasmin.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Wykorzystałam nie tylko jej paszport. Ukradłam także jej tożsamość. Przecież to dzięki temu mnie odszukaliście, prawda?

– Zgadza się – potwierdziłem. – Znalazłem jej nazwisko na liście pasażerów samolotu, który odleciał z Arlandy do Frankfurtu zaledwie kilka godzin po pani zniknięciu. Od razu nasunęło się nam podejrzenie, że to pani tam wyjechała. Poprosiliśmy nawet marokańską policję o pomoc w odnalezieniu pani.

– Myśleliśmy z tatą, że jesteśmy bardzo sprytni – odezwała się po chwili. – Teoretycznie to była solidna konstrukcja, zbudowana po

dokładnym rozważeniu wszystkich za i przeciw. Ja miałam zniknąć, a ktoś miał znaleźć moje buty i list pożegnalny. Chodziło o to, aby zaczęto szukać mnie w morzu i natrafiono na moją kurtkę ze śladami krwi. Nie dało się nie zauważyć, że miałam problemy, depresję i że w ciągu ostatnich tygodni strasznie schudłam. I każdy na pewno by zaświadczył, że często się z Tomem kłóciliśmy oraz że Maria i ja nie przepadałyśmy za sobą.

Urwała i zamknęła oczy, a potem mówiła dalej:

– Oczywiście mieliśmy świadomość, że istnieje spore ryzyko. Na przykład mogłam zostać zdemaskowana podczas kontroli granicznej w Maroku. Podróżowałam przecież z kolumbijskim paszportem, a nie znałam ani słowa po hiszpańsku. Obawialiśmy się też, że Tom wpadnie w szal i jakoś mnie wytropi, albo że ja i tata po prostu nie damy rady żyć osobno. Do głowy nam jednak nie przyszło, że on zostanie oskarżony o zabójstwo, a właśnie tak się niestety stało. Mieliśmy straszego pecha tamtego wieczoru. No bo jakie było prawdopodobieństwo, że jakiś cholerny właściciel psa zobaczy nas na klifie? I że ktoś zauważy samochód taty w drodze na składowisko?

– Zabezpieczyliśmy tam całkiem sporo dowodów technicznych – wtrąciłem. – Pani ojciec był naukowcem, powinien był więc sporo wiedzieć o DNA, prawda?

Yasmin uśmiechnęła się gorzko.

– Oczywiście, że wiedział, chociaż w tamtym czasie chyba nie wykorzystywano DNA w śledztwach kryminalnych na tak dużą skalę. Ale przede wszystkim, jak już wspomniałam, nie przeszło nam nawet przez myśl, że on mógłby być o cokolwiek oskarżony. Sądziliśmy, że jesteśmy maksymalnie ostrożni.

– Przepraszam – odezwał się Manfred. – Jestem w stanie zrozumieć, że pani była młoda, zdesperowana i być może uznała pani, że to dobry pomysł. Ale Samir? Dorosły mężczyzna, doświadczony, wykształcony...

Zapalił papierosa i zaciągnął się zachłannie.

– Proszę nie zapominać, że on stracił już jedno dziecko, nie potrafił pogodzić się z myślą, że moja przyszłość mogłaby zostać zrujnowana. Sądzę też, że czuł się winny, bo to on nalegał, żebyśmy przenieśli się do Szwecji, to on przywłókł mnie do tego obcego kraju wbrew mojej woli. A potem zakochał się w Marii i bardzo chciał, żebyśmy udawali wzorową rodzinę w zielonym domku.

Po krótkiej pauzie kontynuowała:

– I to on nie widział nawet, że Tom się nade mną znęca, niczego nie dostrzegął, chociaż znaków nie brakowało. Ponadto jego zaufanie do systemu prawnego było równe zeru, podobnie jak do Szwecji jako państwa. Bezpośrednio po przyjeździe miał bardzo romantyczny obraz kraju, w którym wszyscy traktowani są równo i sprawiedliwie i otrzymują takie same możliwości. Ale z czasem... No cóż. Okazało się, że było tak samo jak we Francji. Ludzie nawet mnie nazywali ciapatą. Myślę, że to go złamało: świadomość, że ja też nie znajdę w Szwecji lepszej przyszłości.

– A pani córka? – zacząłem.

– Niedługo skończy dwadzieścia lat. Studiuje medycynę. Można powiedzieć, że urzeczywistnia moje, a właściwie taty marzenie.

– Dwadzieścia...? – zapytałem z niedowierzaniem, dokonując szybkiego obliczenia w głowie.

– Tak. Jej ojcem jest Tom. Ona tego nie wie i wolałabym, żeby nigdy się nie dowiedziała.

– Co się wydarzyło po pani przyjeździe do Maroka? – spytałem.

– Kuzyn taty, Muhammed, i jego żona odebrali mnie z lotniska. Otworzyli dla mnie swój dom. I swoje serca. Razem z tatą ustaliliśmy, że tu, w Marrakeszu, poddam się aborcji. Ale kiedy już się tutaj znalazłam, nie potrafiłam się na to zdobyć. Przecież z mojego dawnego życia nie pozostało mi nic poza tą małą istotką, która we mnie rosła. Tyle bliskich mi osób nie żyło. Nie usunęłam więc ciąży i urodziłam Samirę. Muhammed i Mona mnie wspierali. Jesteśmy bardzo zżyci. Dzięki nim poznałam mojego męża.

Pochyliłem się do przodu.

– Samira? Dała jej pani imię Samira?

Yasmin skinęła głową.

– Muszę o to spytać: dlaczego nie wróciła pani do Szwecji, kiedy pani ojciec został oskarżony?

Przez chwilę nie padła żadna odpowiedź.

– Dużo o tym rozmawialiśmy, ale Muhammed uważał, że lepiej poczekać na rozstrzygnięcie sądu. Postanowiliśmy, że pojedę, jeśli tata zostanie skazany. Wtedy wszystko wyjaśnimy i wyrok będzie musiał zostać uchylony. Ale jeżeli zostanie uniewinniony, nie było powodu, aby dodatkowo pogarszać sytuację moim powrotem i ujawnieniem, że żyję.

Najwyraźniej nie rozumieliśmy, jak wielkie zainteresowanie wywoływała ta sprawa w Szwecji i jak wielką nienawiść ściągnął na siebie mój tata.

Zapatrzywszy się w mozaikowy blat stołu, powiodła palcami po lśniących kamykach, a następnie wyjęła z pudełka kolejnego papierosa.

– A potem został zamordowany – powiedziała, wzdrygnąwszy się. – Co miałam zrobić? Pojechać tam i opowiedzieć Marii, że to moja wina, że ktoś go zabił? Poza tym byłam kompletnie załamana. Przez miesiąc nie wychodziłam z łóżka. Mona musiała mnie karmić, dosłownie jak niemowlę.

– To nie pani wina, że Samir zginął – zauważył Manfred.

Roześmiała się. Krótki i urywany śmiech przeszedł w kaszel.

– Maria raczej by się z panem nie zgodziła. – Zawahała się, po czym mówiła dalej: – Nasza relacja była dosyć skomplikowana. Ona niewątpliwie chciała dobrze, starała się, ale tak naprawdę mnie nie widziała. Idealizowała zarówno Samira, jak i Toma, stawiała ich na piedestale. Wkurzała mnie i odpowiednio do tego ją traktowałam. Ale w miarę upływu lat moja ocena się zmieniła. Dziś potrafię ją zrozumieć. Z pewnością nie było jej łatwo z nastoletnią pasierbicą, która nagle pojawiła się w jej życiu i miała całą masę problemów.

Papieros w jej palcach przełamał się na pół i upadł na podłogę.

– Co teraz? – spytała. – Pójdę do więzienia?

– To nie zależy od nas – powiedziałem. – O tym, czy zostanie wniesione oskarżenie, zdecyduje prokurator. Sądzę jednak, że pani wina uległa przedawnieniu.

– Rozumiem. Czyli nie grozi mi więzienie?

– Prawdopodobnie nie. Ale bez względu na to musi pani wrócić do domu. Musimy przesłuchać panią na miejscu.

– Do domu... – powiedziała, przeciągając ostatnie słowo i wiodąc spojrzeniem po ogrodzie. – To jest teraz mój dom. Poza Muhammedem i Moną nikt nic nie wie. Ani mój mąż, ani córka.

Sekundę później spytała:

– Kto zabił mojego tatę?

Taksówka wlokła się powoli do hotelu w centrum Marrakeszu. Ból bioder dawał mi się we znaki po długim locie ze Sztokholmu, a potem po wielu godzinach spędzonych na ratanowym fotelu w ogrodzie Yasmin. Za szybami kłębowisko ludzi, ulicznych sprzedawców oferujących różne

przysmaki, trąbiące auta i motorowery lawirujące między stojącymi w korku pojazdami.

– Wierzysz jej? – spytał Manfred, gładząc się po brodzie.

Trzymał marynarkę na kolanach, a na jego koszuli pod pachą dostrzegłem dużą wilgotną plamę.

– Tak. A ty?

– Też.

– Potworna historia – westchnął.

– Mhm.

– Wtedy nikt nie wierzył Samirowi.

Manfred odpowiedział dopiero po chwili.

– Trudno się dziwić. Zabójstwa honorowe się zdarzały. To było rozsądne założenie, oparte na tym, co wtedy wiedzieliśmy. Gdyby z nami współpracował i powiedział prawdę, to wszystko by się nie wydarzyło.

Przymknąłem powieki, próbując przewidzieć konsekwencje tego niepojętego odkrycia. Moje myśli natychmiast powędrowały ku Marii, która wierzyła w niewinność swojego męża, dopóki czas nie zmusił jej do zmiany zdania, i która wyrzuciła Samira z domu. Tak, wiem, to była zrozumiała reakcja, ale brzemienna w skutki.

– Postąpiła słusznie – powiedziałem. – A jednak okazało się to błędem.

– Yasmin?

– Nie, Maria. A teraz będę musiał jej powiedzieć, że Samir Foukara był niewinny.

Gdy zajechałem przed dom Marii, właśnie rąbała drewno, ubrana w sfatygowane dzinsy i w zbyt dużą kurtkę. Niskie popołudniowe słońce malowało jej włosy na złoty kolor. Pieniek, na którym rozłupywała polana, rzucał długi cień na zamrożoną ziemię.

Postawiła na nim kolejną szczapę, uniosła siekierę nad głowę i uderzyła. Trafiła idealnie, rozłupując podłużny klocek na dwa jednakowej wielkości kawałki, które spadły na zmrożoną trawę.

– Dzień dobry – powiedziałem.

Podniosła głowę.

– Witam.

– Chyba lepiej mieć się na baczności przed panią! – zażartowałem, wskazując na siekierę.

Roześmiała się i odłożywszy ją na ziemię, pozbierała porąbane drewno do kosza, a następnie podniosła go i podeszła ku mnie bez pośpiechu.

Na jej twarzy malował się szeroki uśmiech, jakby trochę wyczekujący.

– Napije się pan kawy? – spytała.

– Chętnie.

Weszliśmy do domu. Maria zdjęła drewniaki i zaniósła kosz do kuchni. W starym piecyku na drewno trzaskał ogień, w powietrzu unosił się lekki zapach dymu.

Zerknęła na zegar na ścianie.

– Właściwie to już prawie wieczór. Co by pan powiedział na kieliszek wina?

– Prowadzę.

– Musiałby pan zostać chwilę dłużej.

Wzruszyłem ramionami, doskonale wiedząc, że prawdopodobnie tak właśnie zrobię, po czym usiadłem przy stole.

Maria postawiła dwa kieliszki, wyjęła z lodówki butelkę białego wina, a do ceramicznej miseczki włożyła parę oliwek. Potem usiadła naprzeciw

mnie i otarła pot z czoła.

– Musimy porozmawiać – powiedziałem, patrząc jej prosto w oczy.

Godzinę później za oknem zapadła ciemność. Ogień w piecyku już dawno się wypalił, a kieliszki stały puste na stole.

Twarz Marii była czerwona od płaczu.

– Ale dlaczego nie wróciła do domu, kiedy aresztowano Samira? – wyszeptała.

Powtórzyłem jej to, co usłyszałem od Yasmin, wyjaśniłem, że ona i Muhammed czekali na wyrok sądu.

– A kiedy umarł?

– Będzie mogła ją pani sama o to zapytać, gdy tu przyjedzie.

Maria zapatrzyła się w ciemność.

– Ja nie mogę się z nią spotkać.

– Ależ oczywiście, że pani może.

Gwałtownie pokręciła głową.

– Nigdy.

Rozumiałem jej reakcję. Nic dziwnego, że obwiniała Yasmin za śmierć Samira.

– Nie mogła przypuszczać, że dojdzie do czegoś takiego – powiedziałem.

– Była młoda, naiwna i działała pod presją. Samir nie powinien był postąpić tak, jak postąpił. Był dorosły. Musiał rozumieć, że popełnia błąd, że to wszystko nie skończy się dobrze.

Maria parsknęła śmiechem. Pozbawionym radości i gorzkim, jakby zdumiała się moją głupotą.

– Mówi pan tak, bo nie ma pan dzieci.

– No nie mam.

– Przepraszam – rzuciła pospiesznie. – Nie chciałam pana urazić. Ale wydaje mi się, że komuś, kto nie ma dzieci, trudno zrozumieć, co człowiek jest w stanie zrobić dla własnej córki czy dla własnego syna. Samir prawdopodobnie gotów był uczynić wszystko, byle tylko uratować Yasmin przed więzieniem.

– Wcale nie jest pewne, że ona by do niego trafiła. Jeśli przedstawiona przez nią wersja jest zgodna z prawdą, Paola zginęła przypuszczalnie w wyniku nieszczęśliwego wypadku. To nie ona przyczyniła się do jej śmierci. A fakt, że wrzucili ją do morza... To zakwalifikowano by jako pośmiertne naruszenie dóbr osobistych. Dostałaby za to co najwyżej...

Maria uniosła rękę.

– Dzięki – przerwała mi z wyrazem obrzydzenia. – Rozumiem. Samir na pewno nie brał tego pod uwagę. On nie ufał instytucjom państwowym. Poza tym uważał, że po przyjeździe do Szwecji Yasmin się wykoleiła.

Pauza.

– I miał rację – dodała po chwili.

Zerknąłem na zegarek. Powinienem był już jechać do domu, zjeść kolację i przespać chociaż jedną całą noc.

– Co będzie teraz? – spytała.

– Zostanie wznowione śledztwo. Potem prokurator podejmie decyzję, czy wszcząć postępowanie przeciwko Tomowi lub Yasmin, ale popełnione przez nich czyny przypuszczalnie uległy przedawnieniu.

Maria pokiwała głową.

– Pójdę już – powiedziałem.

Zawahała się i niespokojnie obróciła się na krześle.

– Posłuchaj, Gunnar...

– Tak?

Gdy spojrzała na mnie, a właściwie we mnie, tak samo jak wtedy, gdy opowiedziałem jej o Li, zmiękło mi serce.

– Zostań u mnie dzisiaj. Nie chcę być teraz sama.

W pokoju zalegała ciemność, jedyne, co słyszałem, to szum wiatru za oknem. Leżałem za Marią w szerokim łóżku, obejmując jej ciało. Mój nos niemal dotykał jej karku. Czułem wznoszące się i opadające fale jej oddechu, a pod dłonią drżące bicie serca.

Po raz pierwszy od dwudziestu lat spałem z inną kobietą niż Li.

Po raz pierwszy od dwudziestu lat dzieliłem łóżko z kobietą, nie uprawiając z nią seksu.

To było dziwne, ale całkiem przyjemne uczucie. Podobne do tego, gdy po długiej podróży wraca się do domu – walizki wciąż w rękach, mieszkanie znajome, ale zarazem trochę obce. Zapachy, przedmioty i sprzęty, o których się zapomniało, a mimo to natychmiast się je rozpoznaje. Bezpieczne dźwięki dochodzące z ulicy i klatki schodowej.

To uczucie, które budzi nadzieję; rodzi wiarę, że inne życie jest możliwe.

– Dziękuję – wybąkała. – Dziękuję, że zostałeś.

Pomyślałem, że to raczej ja powinienem podziękować.

– I za to, że przyjechałeś do mnie i powiedziałeś mi o Yasmin – dodała.

– Ale nadal nie wiemy, kto zabił Samira – powiedziałem.

W tym momencie wydało mi się, że jej ciało przeszył dreszcz. Ledwie zauważalny, dlatego nie miałem pewności, czy to nie było tylko złudzenie. Ale nagle w ciemnym pokoju zrobiło się jakby zimniej, a wokół nas rozsnuł się chłód.

Po długim wahaniu zadałem wreszcie pytanie:

– Czy widziałaś coś tamtego wieczoru, kiedy umarł Samir? Coś, o czym nie powiedziałaś?

Maria

Czy widziałaś coś tamtego wieczoru, kiedy umarł Samir? Coś, o czym nie powiedziałaś?

Zaczęłam się trząść, bo nagle zrobiło mi się zimno, mimo puchowej kołdry i ciepłego ciała Gunnara obok.

Jak odpowiedzieć na takie pytanie? Jak na nie odpowiedzieć?

– Nie – skłamałam.

Poprzestał na tym i po chwili zasnął. Jego ręka na moim ramieniu stawała się coraz cięższa, a oddech przeszedł w przytłumione pochrapywanie. Ostrożnie uwolniłam się z jego objęcia i położyłam się na plecach. Wpatrując się w ciemność, próbowałam zrozumieć to, czego zrozumieć się nie da.

*

Czy w tamtym czasie byłam tą samą osobą?

Byłam realistką, ale może trochę również idealistką. Przywiązywałam dużą wagę do tego, żeby wszystko było czyste i całe, żeby moja rodzina odżywiała się zdrowo domowym jedzeniem, żeby robić ekologiczne zakupy i pomagać tym, którym powodziło się gorzej.

Byłam też uczciwa, i chyba nadal jestem. Uważałam, że to ważne, by ludzie odpowiadali za swoje czyny, ale jednocześnie wyznawałam zasadę, że każdy powinien dostać drugą szansę. Może to rodzaj skrzywienia zawodowego. Bycie nauczycielką bowiem to znacznie więcej niż samo przekazywanie wiedzy. Młodzi ludzie potrzebują wskazówek w sztuce bycia człowiekiem.

„Nigdy nie kop leżącego. Poproś o wybaczenie, jeśli zachowałeś czy zachowałaś się głupio. Powiedz przepraszam, przytul. Nie kłam”.

Czy byłam niesprawiedliwie surowa dla Yasmin?

Być może. Chyba tak. Oczywiście, że tak.

Ale ona okazała się diabelnie trudna. Wkroczyła w nasze życie, przyjmując pozę księżniczki, a Samir traktował ją tak, jakby rzeczywiście nią była – imprezowała całe noce, przynosiła do domu narkotyki, z premedytacją mnie prowokowała i ignorowała wszelkie rady, jakich jej udzielałam w dobrej wierze.

„Yasmin, powinnaś zastanowić się nad tym, co komunikujesz, wychodząc w tak krótkiej spódniczce”.

I przeszkadzało mi to, jak postępowała z Tomem. Kroplą, która przelała czarę goryczy, był, rzecz jasna, tamten wieczór, kiedy bez najmniejszej żenady obściskowała się z Casimirem przed naszym domem. Kiedy ich zobaczyłam, jakby coś we mnie pękło.

Tom był dla mnie prawie jak własne dziecko – znałam go od małego, właściwie od pieluch, pomagałam mu przejść przez różne trudne doświadczenia, jak mobbing i zaburzone relacje z rówieśnikami. Widziałam, jak upadał i znowu się podnosił. Rozkwitał. Aż wreszcie wyrósł i stał się wspaniałym drzewem, o jakim zawsze mówił mój ojciec: z silnymi korzeniami, mocnym pniem i koroną marzeń wznoszącą się ku niebu.

Uważałam, że zasługiwał na coś lepszego.

Nigdy, nawet w najdzikszych fantazjach, nie byłabym w stanie wyobrazić sobie, by Tom mógł być zdolny zrobić jej krzywdę. Kiedy na niego patrzyłam, widziałam wciąż tamtego pulchnego chłopca, który dostawał w kość od swoich kolegów. A kiedy był razem z Yasmin, widziałam młodego mężczyznę, raz po raz odtrącanego, upokarzanego i oszukiwanego.

– Skoro on daje ci takie ładne kwiaty, chyba mogłabyś się zdobyć chociaż na to, żeby zdjąć z nich folię i postawić wazon na stole – powiedziałam, na co ona odrzekła:

– Nie mam siły.

Boże drogi, biedna Yasmin.

Ale chyba najgorzej zniósł to wszystko Vincent – stracił siostrę, o której zawsze marzył. Najlepszą przyjaciółkę, jaką kiedykolwiek miał. Gdyby Yasmin nie umarła – przepraszam: nie zniknęła – na pewno by nie zaniemówił. Nadał byłby tym samym wesołym chłopcem i beztrząsco krzątałby się w kuchni.

Piekłby ciastka i plótl trzy po trzy o tym i owym.

A Samir?

Pokochałam go do szaleństwa od pierwszej chwili. Jego zmysłowość, to, jak na mnie patrzył i jakie emocje we mnie wywoływał. Jego pasję. Ów nieodparty urok artystycznej bohemy, konsekwentne kaleczenie szwedzkiego i przeuroczy francuski akcent.

„Chodź. Spadajmy stąd. Pójdziemy się wykąpać po szwedzku”.

Kochałam Samira. Ostatnia rzecz, jakiej bym chciała, to go skrzywdzić.

„Powiedz przepraszam, przytul. Nie kłam”.

A jednak właśnie to zrobiłam.

*

Wieczór, kiedy zginął Samir.

Amelie pomachała mi na pożegnanie, ja też odpowiedziałam jej takim samym gestem i wyszłam w ciemność. Czułam ulgę, że wreszcie komuś się zwierzyłam, i byłam jej wdzięczna, że wysłuchała mojej opowieści o okropnych miesiącach, gdy niepewność i strach prześladowały mnie każdego dnia. Powiedziałam jej wszystko: o śmierci Yasmin, procesie Samira i tym, co najtrudniejsze: o stopniowo narastającym przekonaniu o jego winie.

Mój mąż był mordercą.

Amelie okazała się wdzięczną słuchaczką. Dawała mi czas, nie oceniała i nie podsuwała natarczywych sugestii, jak mam sobie poradzić z tą sytuacją. Po prostu siedziała, trzymała mnie za rękę, gdy tego potrzebowałam, i popijała swój calvados.

Kiedy zamknęła za mną drzwi, ogarnęła mnie cisza – słyhać było tylko szum wiatru w koronach drzew, zbliżał się sztorm.

Gdy z lasu nagle dobiegł krzyk, zatrzymałam się, odwróciłam w tamtym kierunku i zaczęłam nasłuchiwać. Potem weszłam między drzewa. Ostrożnie omijałam leżące na ziemi złamane gałęzie i kamienie, korzystając ze światła księżyca, które pojawiało się i znikało.

Chyba w którymś momencie krzyknęłam.

– Halo?

Tak, krzyknęłam. Odgłosy dochodzące z lasu brzmiały tak, jakby ktoś tam umierał.

Potem zobaczyłam but Samira. A za chwilę: nogi. Jedna drgnęła gwałtownie, na śniegu rozlały się plamy krwi.

Podbiegłam, natychmiast ruszyłam ku mężczyźnie, którego kiedyś kochałam, albo może nadal kochałam. Liczyłam na to, że żyje, że

wszystko będzie dobrze – tak, wiem, to była prózna nadzieja, ale nadzieja zawsze opuszcza człowieka jako ostatnia.

Dwa kroki, trzy. Może cztery, nie pamiętam dokładnie, i znalazłam się na polanie.

Tom siedział okrakiem na piersi Samira. Trzymał jego głowę w obu dłoniach i uderzał nią raz za razem o duży kamień. Głuchy odgłos odbijał się echem między drzewami.

– Tom! – wrzasnęłam i rzuciłam się na niego. – Przestań!

Natychmiast zamarł, ale nie puścił głowy. Potem podniósł wzrok, jakby zdumiony, i wymamrotał coś niezrozumiałego.

Przyklękłam obok.

– Rany boskie, Tom! Coś ty zrobił?

Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, jego oczy były puste.

– On zabił Yasmin – wyszeptał.

Następnie cofnął ręce, powoli wstał i zrobił kilka kroków do tyłu. Miał dłonie czerwone od krwi, krwi Samira.

Pochyliłam się nad nim, nasłuchując oddechu. Sprawdziłam puls – był niewyczuwalny. Wokół jego głowy rozlewało się jezioro parującej krwi.

Wrócił płacz, który wciąż czaił się w mojej piersi po rozmowie z Amelie.

– Coś ty zrobił, Tom? – powtórzyłam. – Coś ty zrobił?

Przed oczami przemknęły mi obrazy z przeszłości: Tom jako dziecko, wrażliwy i kruchy chłopiec. Mocno wymalowana, obojętna twarz Yasmin. Proces Samira i rozpacz, jaka mnie ogarnęła, gdy zdałam sobie sprawę, że był winny.

Do dziś pamiętam, w jaki sposób rozumowałam tam, na polanie. Wtedy wydawało mi się to logiczne i słuszne, jakbym miała prawo wymierzać sprawiedliwość. Przed Tomem było całe życie, zasługiwał na drugą szansę. Samira już nic nie mogło uratować. Poza tym być może otrzymał to, na co zasługiwał. Może to miało sens, nikomu bowiem nie wolno bezkarnie mordować własnego dziecka.

Za plecami usłyszałam głos Toma:

– Nie chciałem zrobić mu krzywdy. To on zaczął... On...

Zdecydowałam w ciągu sekundy. Po co niszczyć jeszcze jedno życie? Czy nie dość się już wszyscy nacierpieliśmy?

Podniosłam się i podeszłam do niego. Mocno uderzyłam go w twarz.

Przyjął policzek, nie mrugnawszy okiem. Nawet nie próbował się uchylić.

– Weź się w garść – rzuciłam. – Idź do domu. To się nigdy nie wydarzyło.

Nie odpowiedział.

Rozejrzałam się dookoła. Na śniegu, mniej więcej metr od Samira, leżała czapka Toma. Jasnoniebieska plama na białym tle.

– Podnieś ją!

Wskazałam na nią, a on bez słowa wykonał moje polecenie.

Następnie uklękłam i na kolanach zaczęłam przeczesywać przysypany śniegiem mech. Grzebałam między ściętymi mrozem liśćmi i ostrymi gałązkami.

Metal pod palcami – monety. Podniosłam je. Kawałek dalej kilka paragonów zwianych przez wiatr pod kępkę wrzosu. Zebrałam je, zgmiotłam w dłoni w twarde kulki.

– Bierz – powiedziałam, podnosząc się z kolan.

Tom patrzył na mnie z niedowierzaniem, ale w końcu wziął ode mnie monety i papierowe kulki i włożył je do kieszeni.

– Uciekaj! – rzuciłam. – Zjeżdżaj stąd!

Ruszył powoli, wysoka i chuda postać oddalała się w srebrzystym świetle.

*

„Czy widziałaś coś tamtego wieczoru, kiedy umarł Samir? Coś, o czym nie powiedziałaś?”

Tak, jasne, że widziałam. Nie tylko widziałam, ale sama uczestniczyłam w tym, co się stało.

A mimo to skłamałam. Bo pewnych prawd nie sposób wypowiedzieć.

To było bardzo smaczne – powiedziałam do Vincenta, odkładając łyżkę na talerz.

Uśmiechnął się i podziękował w języku migowym.

– Użyłeś ciecierzycy i szpinaku?

Skinął głową i dalej migając, dodał: i pomidorów, i ziół.

Przyjrzałam się swojemu synowi: już od dawna nie był małym chłopcem, teraz to trzydziestoletni krępy mężczyzna o lekko siwiejących i coraz rzadszych włosach. A mimo to wydawał się wciąż taki sam – charakterystyczny błysk w oczach nie zniknął, nadal też kochał gotować i piec. W dalszym ciągu wyróżniał się wręcz bezgraniczną empatią i niezachwianym uporem, który niezmiennie doprowadzał mnie do szału.

– Ja posprzątam – zaproponowałam. – A ty idź i pooglądaj sobie swoje wideo.

Z grymasem na twarzy zamigał szybko: nie wideo, tylko Netflix.

– Okej, przepraszam, skarbie. Starzeję się i nie nadążam.

Uśmiechnął się szeroko, po czym wstał i wyszedł z kuchni.

Za oknem słońce zaczynało już chować się za wierzchołkami drzew, mimo że dochodziła dopiero druga. Przezrocyste welony pojedynczych chmur jaśniały pomarańczowymi i różowymi odcieniami, na trawniku migotał szron. W miejscach, gdzie padało słońce, tu i ówdzie błyszcząły mokre plamy. Siedziałam tak przez chwilę, sycąc się spektaklem hojnie oferowanym przez naturę. W momencie gdy wstałam i sięgnęłam po wylizany niemal do czysta talerz Vincenta, zobaczyłam, że ktoś biegnie przez łąkę.

Mała dziewczynka.

Nagle upadła, ale podniosła się i szła dalej w naszą stronę. Gdy znalazła się bliżej, dostrzegłam, że jest tylko w T-shircie i dżinsach.

To Ebba, córka Toma i Nicole.

Odstawiwszy talerz, wypadłam do przedpokoju.

– Vincent! – zawołałam.

Po chwili wyszedł z pokoju i spojrzał na mnie pytająco.

– Pójdę na chwilę do sąsiadów. Muszę coś sprawdzić.

Ruszyłam w kierunku Ebby, która dotarła już do połowy łąki. Sięgająca kostek poźółkła trawa ocierała się o moje stopy. Gumowe śniegowce zapadały się w rozmięklej ziemi, lśniąc od wilgoci.

Przyspieszyłam kroku, bo czułam, że musiało stać się coś niedobrego. Nie byłam w posiadłości od wizyty Gunnara – nie tylko dlatego, że ostatnio nie było tam dla mnie nic do roboty. Nie wiedziałam, co powiedzieć Tomowi, gdybym go spotkała – teraz, kiedy poznałam prawdę o nim i o Yasmin.

W tej sytuacji nie miałam jednak wyboru.

– Ebba! – zawołałam.

Przestała biec, zatrzymała się kilka metrów przede mną, jej ciemna postać rysowała się na tle zachodzącego słońca.

– Co się stało? – wysapałam, podchodząc do niej i przykucając. Na jej policzkach widniały smugi po łzach, nogawki dżinsów były ubłocone i mokre.

– Mama się przewróciła – powiedziała, nie patrząc na mnie.

– Chodź! – Wzięłam ją za rękę i ruszyłam razem z nią w kierunku posiadłości. Minąwszy rabaty z różami, przyspieszyłyśmy kroku na szutrowej ścieżce.

Na schodach prowadzących do drzwi wejściowych siedziała mała Adrienne z twarzą ukrytą między kolanami. Drobnymi rączkami zakryła sobie uszy, jakby chciała odciąć się od świata zewnętrznego, i powoli kołysała się w przód i w tył.

– Adrienne, nic ci nie jest?

Drgnęła, gdy dotknęłam jej ramienia. Podniosła głowę i spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

Widząc, że jest cała i zdrowa, nie czekałam już na odpowiedź, tylko otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Ebba wślizgnęła się za mną do holu, ale zatrzymała się przy wieszaku, chowając się nieco za futrzaną kurtkę swojej mamy.

– Tam. – Wskazała palcem na kuchnię, chociaż właściwie nie musiała nic mówić, ponieważ w tym samym momencie rozległ się hałas, jakby jakiś garnek spadł na podłogę.

Weszłam do dobrze mi znanego pomieszczenia, w domu, w którym jako dziecko nieustannie przebywałam między ludźmi, którzy byli mi niemal tak bliscy jak własna rodzina i o których wiedziałam wszystko. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Nagle świat zakołysał mi się przed oczami, wszystkie kontury się rozmyły. Poczułam ucisk w piersi, a w gardle uwiązał mi krzyk. Zdałam sobie bowiem sprawę z tego, jak niewiele rozumiałam i jak bezgranicznie byłam naiwna, nawet po tym, co Gunnar opowiedział mi o Yasmin.

Scena, którą miałam przed oczami, była tak znajoma, że w jednej chwili znowu znalazłam się w lesie tamtej nocy sprzed dwudziestu lat: niepohamowana furia, zapach krwi, strach, odgłos uderzeń i ciosów. Niemal słyszałam wiatr szarpiący sosny nade mną, czułam gałęzie drapiące moje kostki i wilgoć wdzierającą się do butów. Widziałam leżącego na śniegu Samira, jego nogę drgającą w przedśmiertnym skurczu.

Ale to nie Samir leżał na podłodze w kuchni. To była Nicole.

Nad nią stał Tom.

Kopał raz po raz na pozór martwe ciało. Wszędzie krew, potłuczone naczynia, porozrzucane garnki. Samotny karton mleka spadł z kuchennej wyspy, biały płyn zmieszał się z krwią w różową ciecz.

Mamrotał coś pod nosem, ale nie wszystko byłam w stanie zrozumieć.

– ...jebana cipa...

– Tom! – krzyknęłam, ale on jakby mnie nie zauważył. Dalej kopał bezwładny tobołek, czyli swoją żonę.

Rzuciłam się do niego i pociągnęłam za rękę.

– Tom!

Szarpnął się, odwrócił i zamierzył się na mnie. W jego oczach odbijała się czarna otchłań, wzrok był nieprzytomny, a twarz zniekształcona, jakby znajdował się zupełnie gdzie indziej, w jakimś innym świecie.

– Tom, przestań!

Spojrzałam na Nicole. Nie sposób było stwierdzić, czy żyła. Jej twarz wyglądała jak krwawa masa. Lepkie czerwone kosmyki przykleiły się do kamiennej posadzki.

Mijały sekundy, może nawet minuta.

Tom się rozluźnił, jego rysy złagodniały, opuścił podniesioną na mnie rękę. Dzika furia ustępowała miejsca czemuś innemu, co przypominało

strach. Powoli przeczesał palcami włosy, pozostawiając krwawy ślad na czole. Potem osunął się na podłogę i usiadł po turecku.

Ebba podbiegła do Nicole.

– Mamusiu! – załkała, spoglądając ukradkiem na Toma, który siedział nieruchomo z opuszczoną głową.

Ja również podeszłam do niej, przykucnęłam i przyłożyłam ucho do jej piersi. Usłyszałam urywany oddech, słaby, ale jednak wyczuwalny. Poczułam, że jej pierś unosi się i opada w jego rytmie.

– Mamie nic nie będzie – powiedziałam do Ebby, starając się, by zabrzmiało to przekonująco.

Potem spojrzałam na Toma.

Popatrzył mi w oczy, ale po chwili bez słowa odwrócił twarz.

– Dlaczego? – wyszeptalam, czując, że płaczę. – Dlaczego, Tom? Przecież miałeś wszystko.

*

Patrzyłam na dom sąsiadów w oddali.

Zapadał zmierzch, jedynie czerwonawa smuga nad horyzontem zdradzała, że łagodne popołudniowe słońce jeszcze niedawno oblewało łąkę.

Gdy ambulans zabrał Nicole, a policja aresztowała Toma, od razu zadzwoniłam do babci dziewczynek. Kiedy przyjechała, a ja po przesłuchaniu przez policjantów mogłam wrócić do siebie, usiadłam w kuchni i próbowałam uporządkować myśli.

Powinłam była mieć tego świadomość, to przecież oczywiste. W końcu Gunnar opowiedział mi, jak Tom znęcał się nad Yasmin. Dlaczego miałby zmienić swoje zachowanie? Tylko dlatego, że poznał nową kobietę?

I dlaczego nie widziałam Toma takim, jakim był, chociaż znałam go przez całe życie? Jak mogłam nie dostrzec, że to potwór? Przecież to musiało być widać. Nie sposób iść przez życie, tłuc ludzi do nieprzytomności i wciąż skutecznie to ukrywać. Czy jednak to możliwe?

Chociaż widziałam na własne oczy, że był w stanie uciec się do brutalnej przemocy, uznałam to za jednorazowy incydent. Za błąd, który nie mógł, nie powinien zrujnować jego młodego życia.

Przypomniałam sobie wieczór, kiedy odwiedził mnie Gunnar i dzika zabawa dziewczynek wymknęła się spod kontroli. Ebba kopała leżącą na

podłodze Adrienne, a jej oczy pały wściekłością, gdy wysyczała dwa słowa: „Pieprzona dziwka”.

 Nie, ona nie nauczyła się tego z telewizji.

 A siniaki i obrażenia Nicole nie miały nic wspólnego z jej uzależnieniem. Ona wcale nie spadła ze schodów, nie poślizgnęła się na posadzce w łazience ani nie uderzyła głową o półkę, szukając swojej komórki.

 Ukryłam twarz w dłoniach. Czy to nigdy się nie skończy?

 I dlaczego całe to gówno wciąż przykleja się do mnie, skoro jedyne, czego pragnę, to być dobrym człowiekiem?

 „Czy widziałaś coś tamtego wieczoru, kiedy umarł Samir? Coś, o czym nie powiedziałaś?”

 Sięgnęłam po leżącą na stole komórkę, wybrałam numer Gunnara i zadzwoniłam natychmiast, aby przypadkiem się nie rozmyślić.

 – Mówi Maria – zaczęłam, kiedy odebrał. – Mógłbyś do mnie wpaść? Chciałabym ci coś powiedzieć.

Vincent

56

Dzień, w którym znowu zacząłem mówić, to była niedziela.

Weekend spędzałem u mamy. Obudziła mnie o dziewiątej. Na śniadanie zjedliśmy chleb, który upiekliśmy poprzedniego wieczoru, ale nadal bardzo dobrze smakował, szczególnie z masłem i dżemem malinowym.

Potem obejrzałem na Netfliksie serial o seryjnym mordercy, który zabijał tylko złych ludzi.

Potem zrobiłem lunch.

Potem zjedliśmy.

– To było bardzo smaczne – powiedziała mama.

Widziałem, że mówiła szczerze, bo zjadła wszystko co do odrobiny i jeszcze wzięła kawałek chleba, żeby wytrzeć reszkę sosu z talerza.

Ucieszyłem się.

Spytała, co dodałem do gulaszu, więc wymieniałem wszystko, czego użyłem.

Kiedy gotuję, zawsze dokładnie przestrzegam przepisów. Lubię wiedzieć wcześniej, jak to będzie smakować, i lubię odmierzać składniki różnymi miarkami.

Gotuję też dla lokatorów naszego wspólnego mieszkania. Chociaż czasami pomaga mi trochę Mimmi, nasza kierowniczka.

– Jesteś niesamowicie zdolny, Vincent – mówiła mi. – Może powinieneś zostać kucharzem?

Ale nie jestem kucharzem i wcale nie chcę nim być, bo mam już pracę.

Pracuję pięć godzin w tygodniu w sklepie spożywczym blisko naszego domu. Wybieram owoce i warzywa, które zgniły, i wrzucam je do czarnych worków na śmieci. Potem zawiązuję te worki i zanoszę do śmietnika, który jest bardzo duży i pełen innych worków, a także pustych kartonów, całkiem płaskich po tym, jak zostały zgniecione w prasie. A czasami wykładam też na półki różne towary, na przykład płatki zbożowe, mąkę, olej, czekoladę i konserwy.

To bardzo ważne, żeby ustawiać artykuły w równych rzędach, tak aby wszystkie się zmieściły i nie spadły na podłogę, bo wtedy mogłyby się zniszczyć. A jak coś takiego by się stało, towary straciłyby przydatność, a sklep pieniądze, i to nie byłoby dobre dla mnie, bo może nie starczyłoby na moją pensję. A fajnie jest mieć pieniądze, szczególnie jak się ma przyjaciółkę i chce się coś kupić do mieszkania.

Moja partnerka nazywa się Bianca.

Ma brązowe włosy, które trochę się kręczą, i niebieskie oczy. Ona nie lubi gotować ani piec, ale lubi jeść, przede wszystkim bułeczki, ciastka i lody o smaku waniliowym.

Jest wiele rzeczy, które podobają mi się w Biance. Nie mogę ich wszystkich wypisać, bo nie starczyłoby miejsca na papierze, nawet gdyby kartka była strasznie duża, taka jak ręcznik kąpielowy albo podłoga w moim mieszkaniu. Ale trzy rzeczy podobają mi się bardzo, ale to bardzo.

Pierwsza: ona prawie zawsze jest wesoła i lubi robić różne rzeczy razem ze mną, na przykład pracować w ogródku, chodzić na spacery albo oglądać horrory. Kiedy oglądamy wspólnie horror, Bianca nigdy się nie boi i nie zamyka oczu. Zamiast tego mówi:

– Vincent, to jest tylko na niby. Nie musisz się bać.

Druga: ma bardzo ładny biust, zwłaszcza jak leży na plecach.

Trzecia: jest zakochana we mnie tak samo jak ja w niej, a to jest strasznie ważne, bo nigdy nie może być dobrze, jeśli jedna osoba jest bardziej zakochana niż druga.

Spodobaliśmy się sobie dwa lata temu, ale dopiero po roku odważyliśmy się wyznać, że się zakochaliśmy.

– Lubię cię – powiedziała pewnego dnia Bianca, kiedy siedzieliśmy w pokoju telewizyjnym i układaliśmy koraliki, bo ona uwielbia koraliki.

Nie odpowiedziałem, ponieważ strasznie się zdenerwowałem i spościłem, poza tym Bianca nie najlepiej znała język migowy. Ale tego samego wieczoru napisałem do niej list.

„Ja też Cię lubię. Chyba jestem w Tobie zakochany. A Ty we mnie?”

I od tamtej pory jesteśmy razem.

Niedługo potem Bianca przeniosła się do mojego mieszkania, w którym są łazienka i sypialnia z jednym łóżkiem i z niebieskim biurkiem oraz okno z zasłonkami w kratkę. Za oknem widać ogródek warzywny,

choć teraz jest w nim tylko ziemia, bez żadnych warzyw, bo wciąż jest zima i prawie wszystkie rośliny śpią.

Ponieważ Bianca nie znała dobrze języka migowego, czasami, kiedy nikt nie widział, mówiłem do niej szeptem. Szeptanie to nie to samo co mówienie, czyli to wcale nie znaczyło, że zacząłem znowu mówić.

– Jesteś stuknięty – powiedziała i się roześmiała. – Ty umiesz mówić. Więc dlaczego migasz?

Nie odpowiedziałem jej, bo wyjaśnienie tego zajęłoby za dużo czasu. Musielibyśmy siedzieć przez wiele dni, a może i tygodni, żebym opowiedział jej o tacie Samirze i Yasmin. Poza tym nie miałem na to ochoty, bo kiedy tylko o nich myślałem, od razu ciężko mi się oddychało i czułem mrowienie w ramionach i dłoniach, jakby ktoś wstrzyknął mi wodę gazowaną do krwi.

Ale czasami nie mogłem się powstrzymać od myślenia o nich i wtedy robiło mi się smutno, i musiałem wołać Mimmi. Ona przytulała mnie i mówiła, że wszystko będzie dobrze, i po paru minutach smutek mijał.

Któregoś razu po czymś takim zabrała mnie do swojego biura i powiedziała:

– Usiądź. Trochę porozmawiamy.

Usiadłem.

– Czy dobrze ci tu u nas?

Zamigałem „tak”, bo bardzo mi się podobało w naszym wspólnym domu. Jedyne, co mi przeszkadzało, to że nie wolno było trzymać tam psa, ponieważ kilka osób z personelu miało alergię. Strasznie tego żałowałem. Bo naprawdę chciałem mieć psa. Takiego w ciapki, jak kiedyś Ella.

– Uważasz, że się rozwijasz?

– Co masz na myśli? – zamigałem.

– Czy uczysz się nowych rzeczy i czy twoje życie się zmienia? A może staje się lepsze?

Nie rozumiałem.

Nie chciałem, żeby moje życie się zmieniło. I nie mogło stać się lepsze, bo było prawie idealne. Okropnie lubiłem mieszkanie, swoją pracę, no i Biancę.

Jedyne, czego nie lubiłem, to kiedy myślałem o Yasmin i tacie Samirze.

Ale chciałem opowiedzieć o tamtym dniu w domu, u mamy.

Po obiedzie nagle wyszła, powiedziała, że idzie do sąsiadów, i nie było jej dosyć długo. Nie widziałem jej, kiedy wróciła, bo oglądałem na Netflixie swój serial, ale słyszałem, jak otworzyły się drzwi, a potem jak mama wycierała buty na wycieracze.

Patrzyłem już na trzeci odcinek, w którymś momencie zatrzymałem go i poszedłem się wysikać, a potem oglądałem dalej. Pod koniec odcinka odezwał się dzwonek przy drzwiach.

Mama otworzyła, ktoś wszedł, usłyszałem męski głos.

Byłem ciekawy, kto to, i postanowiłem pójść sprawdzić. Nie zamierzałem podglądać ani podsłuchiwać, już od dawna nie robiłem takich rzeczy, ale kiedy miałem wejść do kuchni, zobaczyłem, że mama płacze. Rozpoznałem mężczyznę, z którym rozmawiała, i pamiętam, co powiedział.

„Nazywam się Gunnar, jestem policjantem. Poznaliśmy się wiele lat temu, kiedy umarła Yasmin”.

Na jego widok znowu nie mogłem oddychać i pojawiło się to dziwne mrowienie w dłoniach. Dlatego nie wszedłem do kuchni, tylko stanąłem za drzwiami i patrzyłem przez szparę.

Gunnar siedział bardzo blisko mamy i trzymał ją za rękę.

– Jeszcze nie powiedziałam Vincentowi, że Yasmin żyje – odezwała się mama i pociągnęła nosem. – Nie mam pojęcia, jak to zrobić.

Strasznie się zdziwiłem, prawie się przewróciłem.

Yasmin żyje?

A jednocześnie poczułem się szczęśliwy, tak samo szczęśliwy jak wtedy, kiedy poznałem Biancę, bo Yasmin była moją siostrą i moją najlepszą przyjaciółką.

– Po prostu powiedz mu prawdę – rzekł Gunnar. – On zrozumie. Sądzę, że lepiej niż większość z nas.

Mama skinęła głową i wytarła nos kawałkiem papierowego ręcznika.

– Ale chyba nie dlatego do mnie zadzwoniłaś?

Tym razem mama pokręciła głową i przez chwilę nic nie mówiła. Patrzyła przez okno, a jej twarz wyglądała na smutną.

– To był Tom. To on to zrobił – wyszeptała bardzo cicho.

Mimo to usłyszałem, bo ja słyszę tak samo jak chomiki, a one mają bardzo dobry słuch, ponieważ nie śpią w nocy, kiedy jest ciemno, i zamiast oczu muszą używać uszu.

Potem opowiedziała, że widziała, jak Tom zabił tatę Samira w lesie, ale nie zgłosiła tego policji, bo myślała, że to byłoby niesprawiedliwe, gdyby Tom wylądował w więzieniu.

Strasznie się zezłościłem na mamę, tak okropnie, że chciałem walnąć pięścią w ścianę. Przecież ja myślałem, że tata Samir umarł przeze mnie. Czyli byłem niemy tyle czasu na próżno.

– To wszystko moja wina – zaszlochała mama i oparła czoło o blat stołu. – A teraz on niemal zabił swoją żonę. I to też moja wina. Powinnam była zatrzymać to wcześniej. Powinnam była...

Gunnar uniósł rękę, jakby chciał pogłaskać mamę po głowie, ale chyba się rozmyślił i podrapał się po brodzie. Raczej nie wyglądał na dobrego w pocieszaniu.

– Wszystko się ułoży – powiedział. – Przejdziemy przez to razem, dzień po dniu. Czas leczy rany. Z czasem wszystko staje się łatwiejsze. Wiem coś o tym.

Ale mama tylko płakała i płakała.

A kiedy widziałem ją taką smutną, nie potrafiłem się już na nią złościć, bo cała złość od razu gdzieś ze mnie wyparowywała, mniej więcej tak, jak kiedy zbyt długo gotuje się wodę i w końcu ronderek robi się pusty i zaczyna się przypalać. Poza tym przypominałem sobie, że zrobiłem to samo. Przecież ja też nie powiedziałem nikomu o Yasmin i tacie Samirze, o strzykawce i przepaści, bo nie chciałem, żeby on trafił do więzienia.

Oprócz tego bycie niemym nie było wcale takie złe, bo przestałem rozmawiać z tyloma nudnymi ludźmi, z którymi nie chciałem rozmawiać. Nauczyłem się też języka migowego i może któregoś dnia spotkam kogoś głuchego, kto będzie potrzebował pomocy, i wtedy będę mógł się z nim porozumieć. A Bianca uważała, że to bardzo ekscytujące, że nic nie mówiłem.

– Jesteś tajemniczy – powiedziała mi.

Kiedy Gunnar skończył pocieszać mamę, siedzieli przez długi czas w milczeniu.

Jeżeli ludzie razem milczą, może to oznaczać dwie rzeczy: że okropnie się nudzą albo że dobrze się znają i nie muszą bez przerwy ze sobą gadać.

Zastanawiałem się, co pasowało do nich.

Gunnar popatrzył długo na mamę. Potem pogłaskał ją po głowie i już nie podrapał się po brodzie. A potem pochylił się i ją pocałował – ale nie w policzek, tylko tak na serio, w usta. Tak jak my całujemy się z Bianką.

I wtedy zrozumiałem, że oni się kochają.

*

Bianca poprawiła mi koszulę.

– Zapomniałeś zapiąć jeden guzik.

Mama cofnęła się o krok i popatrzyła na mnie.

– Vincent, jaki ty jesteś przystojny!

– Wiem – odpowiedziałem, bo już dwa razy obejrzałem się w lustrze.

Mama zatrzymała się pośrodku pokoju, jakby nagle coś zobaczyła. Zmarszczyła czoło, przeszła obok mnie w kierunku biurka i stanęła przed korkową tablicą.

– To zdjęcie tutaj – powiedziała i pokazała na fotografię małej Yasmin z pomarańczowymi skrzydełkami do pływania na rękach.

– Tak?

– Kto to jest?

– Yasmin – wyjaśniłem. – Jak była mała. I miała się kąpać.

Mama nachyliła się jeszcze bardziej i przyglądała się strasznie długo.

– Nie, to nie ona – powiedziała. Wyjęła pinezkę z tablicy i wzięła zdjęcie do ręki. Potem odwróciła je i długo patrzyła na tylną stronę.

– Co robisz? – spytałem.

– Skąd masz to zdjęcie?

– Znikąd.

– Vincent!

Nie odpowiedziałem, bo znowu chciałem być niemy.

– Vincent – powtórzyła mama. – To ważne. Nie jestem na ciebie zła, ale musisz mi powiedzieć, gdzie je znalazłeś.

– W pokoju Yasmin. Chciałem mieć jej zdjęcie.

Mama milczała przez dłuższą chwilę. Potem włożyła fotografię do swojej torebki.

– Ono jest mi bardzo potrzebne. Jeśli ci zależy, postaram się o inne jej zdjęcie dla ciebie. Będziemy mogli razem je oprawić. Okej?

Nie odpowiedziałem, bo wciąż byłem zły.

– Idziemy? – spytała. – Podrzucę was do hotelu i odbiorę was o drugiej. Może być?

– Już to mówiłaś – rzuciłem.

– Nastawiłeś zegarek na drugą?

– Nie zegarek, mamó, tylko komórkę.

Wyszliśmy z mieszkania, zeszliśmy po schodach i wsiedliśmy do samochodu mamy.

Spojrzałem na Biancę. Ona także wyglądała bardzo ładnie w swojej niebieskiej sukience i czerwonej pikowanej kurtce. Dzień też był piękny: niebo błękitne, ani jednej chmurki, a drzewa i krzewy miały już małe zielone pąki, które lśniły w słońcu.

Przypominały mi koraliki Bianki.

Śnieg zniknął i zrobiło się tak ciepło, że właściwie można już było zdjąć kurtkę.

Mama powiedziała, że Tom będzie miał proces za to, że zamordował Samira i pobił swoją żonę tak mocno, że prawie umarła. Ale Yasmin nie stanie przed sądem, ponieważ przestępstwa, które popełniła, się przedawniły. To znaczy, że nie są już ważne i nikogo nie obchodzą.

To, co Tom zrobił z Paolą, też się przedawniło, chociaż moim zdaniem niesłusznie, bo przecież to ma znaczenie, że umarła i została zawinięta w dywan, a potem wrzucona do morza, nawet jeśli od tamtej pory minęło dużo czasu.

Mama stała się trochę szczęśliwsza.

Myślę, że to dlatego, że tamtego dnia kilka miesięcy temu zacząłem mówić. Ale chyba też z innego powodu, bo kiedy świętowaliśmy Nowy Rok, powiedziała coś takiego:

– Zrobiłam pewną trudną rzecz i nagle wszystko wydało się łatwiejsze, chociaż powinno być trudniej.

A potem dodała:

– Przepraszam, to zabrzmiało idiotycznie.

I jeszcze:

– Ach, zapomnij.

Ale ja wcale nie uważałem, że to brzmiało idiotycznie. Dokładnie zrozumiałem.

Mama zatrzymała się przed hotelem zbudowanym z żółtej cegły, z dużymi oknami osłoniętymi trochę brudnymi markizami w żółte i białe paski. Na schodach leżał czerwony dywan.

– Nie chcesz wejść? – spytałem.

Pokręciła głową i chociaż się uśmiechnęła, wcale nie wyglądała na zadowoloną.

– Potrzebuję jeszcze trochę czasu, kochanie. Ale kiedyś się z nią spotkam, na pewno.

Rozpoznałem ją od razu, mimo że odrobinę posiwiiała, a jej twarz zrobiła się węższa i jakby kanciasta. Siedziała w fotelu i patrzyła przez okno. Na kolanach miała torebkę wyszywaną koralikami w najprzeróżniejszych kolorach.

– Tam – powiedziałem i wskazałem na Yasmin, a potem chwyciłem Biancę za rękę. – To jest moja siostra.

– Ojejku! – westchnęła Bianca. – Ale fajowa torebka.

Kiedy ruszyliśmy w jej stronę, od razu mnie zauważyła. Zerwała się z fotela i podbiegła do nas.

– Vincent! – powiedziała i uściskała mnie strasznie mocno.

Ja też ją uściskałem.

Staliśmy tak całkiem długo. Jakbyśmy chcieli pocieszyć się nawzajem, chociaż nie potrzebowaliśmy pocieszenia. Przecież byliśmy już superszczęśliwi.

Kiedy już się naprzytulaliśmy, Yasmin przywitała się z Biancą. A potem odwróciła się do dziewczyny w skórzanej kurtce, która stała tuż za nią.

Prawie się wystraszyłem, gdy ją zobaczyłem, bo ona wyglądała dokładnie tak jak Yasmin, kiedy zniknęła. Włosy, oczy, a nawet ubranie – wszystko identyczne, jakby były bliźniaczkami, chociaż Yasmin była oczywiście dużo starsza.

– To jest Samira. Moja córka.

Samira wyciągnęła do mnie rękę, uścisnąłem ją.

– Gratulacje – powiedziała do mnie Yasmin. – Zostałeś wujkiem!

Odwróciłem się do Bianki.

– Słyszysz? Wujkiem! – powtórzyłem. – To jest mój najlepszy dzień.

Maria

Siedziałam w kawiarni naprzeciwko i przez okno patrzyłam na hotel. Mimo odległości widziałam, jak Yasmin obejmuje Vincenta w hotelowym foyer.

Stali długo, ściskając się nawzajem.

Za Yasmin dostrzegłam chudą dziewczynę o długich czarnych włosach. To musiała być ona – Samira, która mogłaby być moją przyszywaną wnuczką, gdyby życie potoczyło się inaczej.

Ta myśl wywołała ostre ukłucie w piersi. Odwróciłam więc głowę i przesunęłam wzrokiem po gościach w kawiarni. Siedzieli przy małych okrągłych stolikach, jedli ciastka i popijali latte – starsze panie, jakaś zakochana para i młoda mama z wózkiem przypominającym rower wyścigowy.

W mojej kieszeni zawibrowała komórka. Wyjęłam ją i przeczytałam wiadomość:

„Czy dobrze poszło?”

Napisałam, że wszystko świetnie i że ukryłam się w kawiarni. Po chwili wahania dodałam serduszko i wysłałam esemesa.

Odpowiedział od razu.

„Któregoś dnia, niedługo, będziesz musiała się z nią spotkać”.

Odczytałam wiadomość i schowałam telefon do kieszeni. Nie wszystko naraz, pomyślałam.

Za tydzień miałam zeznawać w procesie przeciwko Tomowi.

Popełniony przeze mnie czyn karalny, czyli ukrywanie przestępcy, uległ przedawnieniu już wiele lat temu. Ale z moralnego punktu widzenia moja wina obejmowała, rzecz jasna, więcej występków: błędne osądy, kłamstwa i pomyłki, które nie podlegają ściganiu i których nie da się zaskarżyć.

Wejść na salę sądową z podniesioną głową, powiem prawdę, niczego nie zatajając ani nie fałszując. I uczynię to nie ze względu na siebie, ale

ze względu na Samira, Paolę Vargas oraz Nicole Borgmark, która dopiero teraz mogła opuścić szpital.

Otworzyłam torebkę i wyjęłam wyblakłe zdjęcie umieszczone przez Vincenta na korkowej tablicy. Przyjrzałam się szeroko uśmiechniętej dziewczynce.

Czy widziałam je wcześniej, nie wiedząc, kim jest ta mała?

Być może.

Odwrociłam fotografię i jeszcze raz przeczytałam ozdobny podpis: „Marcela, Junio 1998”.

Pomyślałam o Paoli Vargas – kobiecie, która prawdopodobnie ocaliła Yasmin życie w tamten grudniowy wieczór dwadzieścia lat temu. Pomyślałam także o wszystkich zdarzeniach, które połączyły ją ze mną, o niciach biegnących poprzez czas i przestrzeń i tworzących sieć, która przez lata trzymała nas wszystkich w pułapce, sparaliżowanych i niezdolnych do tego, by pójść dalej.

Tyle straconych lub zrujnowanych istnień, tyle osób dotkniętych tą tragedią.

Wczoraj wieczorem wstąpił do mnie Casimir. Miał zaczerwienione oczy i niespokojny wzrok.

Powiedział, że przez te wszystkie lata uważał, iż to z jego winy Paola zniknęła. A kiedy policja stwierdziła, że ona nie żyje, początkowo przypuszczał, że odebrała sobie życie. Najwyraźniej próbował ją uwieść. Chociaż to chyba nie jest właściwe słowo. Jeśli dobrze zrozumiałam jego wyznanie, te zaloty nie były mile widziane – próbował dobrać się do niej, mimo że ona za każdym razem dawała jasno do zrozumienia, że nie jest zainteresowana.

Ponadto przyglądał się biernie, jak Amelie oskarżała Paolę o kradzież biżuterii, chociaż wiedział, że to Harold ją wziął, by móc spłacić swoje długi.

Sądzę, że się wstydził, i oczywiście słusznie. Prawdopodobnie nie było jej łatwo – biednej kobiecie pracującej na czarno – bronić się przed synem swojej pracodawczyni. A jeszcze do tego była bezpodstawnie oskarżana o kradzież.

Rodzice Paoli nie potrafili pogodzić się z faktem, że Tom nie mógł być osądzony za śmierć ich córki. Jego zbrodnie – nieumyślne spowodowanie śmierci człowieka i pośmiertne naruszenie dobra osobistego – uległy bowiem przedawnieniu. Prokurator postawił mu jednak zarzut

zamordowania Samira. A zabójstwo nie podlega przedawnieniu, dlatego teraz został oskarżony o pozbawienie życia Samira i pobicie swojej żony. Rodzice Paoli mają przyjechać na proces, chcą zobaczyć człowieka, który doprowadził do śmierci ich dziecka. Właściwie nie stać ich na taką podróż, ale Amelie de Vegh postanowiła im ją sfinansować. Jestem ciekawa, czy jest jej wstyd, że nigdy nie zainteresowała się tym, co stało się z jej gosposią.

Jeszcze raz spojrzałam na zdjęcie. Zamierzałam oddać je dziadkom dziewczynki. Potem wsunęłam je ostrożnie do wewnętrznej kieszeni torebki obok kart kredytowych i wyjęłam małą foliową torebkę wciśniętą za portfel. Podniosłam ją pod światło. Złoty kolczyk w kształcie delfina błyszczał w padających przez okno promieniach słońca.

Gunnar miał rację.

Któregoś dnia, niedługo, spotkam się z Yasmin.

Razem zejdziemy na skały, usiądziemy na jednym z głazów i będziemy rozmawiać, dopóki słońce nie schowa się w morzu i nie wyczerpią się słowa. Ona odzyska swój kolczyk, a ja opowiem wszystko, co wiem. Będę tak samo uczciwa i prawdomówna jak w sądzie – ale tam, mając morze jako jedyne świadka, wyznam prawdę ze względu na siebie. Ponieważ rozpaczliwie potrzebuję zakończenia.

Pojednania – jeśli ono w ogóle jest możliwe.

Nie żywię jednak próżnych nadziei, nie marzę o tym, że znowu będziemy rodziną. Yasmin i ja nigdy nie staniemy się sobie bliskie. Nigdy nie będziemy spędzać razem Bożego Narodzenia, dzwonić do siebie w urodziny ani jeździć na wspólne wakacje – zbyt wiele wypowiedziałyśmy kłamstw, zbyt dużo zadałyśmy sobie nawzajem bólu. Otchłań, która otworzyła się dwadzieścia lat temu, nie zniknie i już zawsze będzie nas dzielić.

Bo nawet czas nie leczy wszystkich ran.

Przypomniały mi się słowa Samira, które wypowiedział w naszą noc poślubną, kiedy siedzieliśmy na plaży, czekając na świt:

„Szczęście jest ulotne. Jak szwedzkie lato. Pojawia się znienacka i równie szybko znika, bez ostrzeżenia”.

Podziękowania

Serdeczne podziękowania kieruję do wszystkich, którzy swoim wsparciem przyczynili się do powstania tej powieści. W szczególności należą się one mojej redaktorce Katarinie Ehnmark Lundquist i wydawczyni Sarze Nystrom z wydawnictwa Wahlstrom & Widstrand, jak również mojej agentce Christine Edhall oraz jej koleżankom i kolegom z Ahlander Agency. Pragnę także podziękować Asie Torlof za pomoc w kwestiach dotyczących pracy policji, Annie Strath, która podzieliła się ze mną wiedzą prawniczą, Martinie Nilsson, która cierpliwie odpowiadała na pytania z zakresu analizy DNA, Martinowi Csatlosowi, który wprowadził mnie w arkana medycyny sądowej, oraz Bengtowi Henningsowi, dzięki któremu dowiedziałam się, jak wygląda życie z dzieckiem z zespołem Downa. Na koniec dziękuję swojej rodzinie i przyjaciołom za wyrozumiałość i słowa otuchy podczas mojej pracy nad książką. Bez waszej miłości i cierpliwości na pewno by jej nie było!

1 Udd po szwedzku znaczy: ostrze, czubek; udde – cypel. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Spis treści

Strona redakcyjna

Dedykacja

Maria

I

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

Vincent

15

16

17

18

19

20

Gunnar

Dwadzieścia lat później

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

Yasmin, 2000

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

Gunnar

Dwadzieścia lat później

50

Yasmin, 2000

51

Gunnar

Dwadzieścia lat później

52

53

Maria

54

55

Vincent

56

Maria

57

Podziękowania

Przypisy